Fascynująca podróż do świata śmierci, wierzeń i rytuałów

GRZEGORZ KAPLA

OBLICZA ŚMIERCI

GRZEGORZ

KAPLA

OBLICZA ŚMIERCI

SKARPA WARSZAWSKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp

Rozdział pierwszy. Śmiertelne CV

Rozdział drugi. Egipskie ciemności

Rozdział trzeci. Metempsychoza i greckie wino

Rozdział czwarty. A wraz z nim śmierć

Rozdział piąty. Wielki sen

Rozdział szósty. Tam, gdzie Księżyc i Słońce spotykają śmierć

Rozdział siódmy. Dzień, w którym umierasz po raz drugi

Rozdział ósmy. Kawałek mnie płonie z tym, kogo kocham

Rozdział dziewiąty. Żywi umarli

Rozdział dziesiąty. O śpiących królewnach i wędrówkach serc

Rozdział jedenasty. Dlaczego czwórka przynosi pecha

Rozdział dwunasty. O najpiękniejszym grobowcu świata i o Mieście Śmierci

Rozdział trzynasty. O duchach i cmentarzach naszego plemienia

Rozdział czternasty. O dobrej śmierci

Rozdział piętnasty. Strefa tabu

Rozdział szesnasty. Tatuaż z duchem

Rozdział siedemnasty. Czaszki pod pachą i wiszące trumny

Rozdział osiemnasty. W stronę Mekki

Rozdział dziewiętnasty. Rozdziobią ich kruki, wrony

Rozdział ostatni. Czyli ostatnie słowo

Wybrana bibliografia

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Anna Mieczkowska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©Marlon Schmeiski on Usplash

Autorem wszystkich zdjęć użytych w publikacji jest
Grzegorz Kapla

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021
© Copyright by Grzegorz Kapla, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-66644-93-9

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Moim niewierzącym przyjaciołom.
I wierzącym też.

WSTĘP

Żył raz ubogi krawiec, który miał dwanaścioro dzieci. Kiedy urodził mu się kolejny syn, nie było nikogo, kto mógłby trzymać chłopca do chrztu.

Zapytam pierwszego, który będzie przechodził – postanowił krawiec i wyszedł na drogę. Pierwszy szedł Pan Bóg.

Nie, jego nie poproszę, Bóg błogosławi tylko bogaczom – pomyślał ojciec i czekał dalej.

Drugi szedł Diabeł.

Nie poproszę go, bo jest kłamcą, kusicielem i sprowadza ludzi na złą drogę – stwierdził krawiec.

Trzecia szła Śmierć.

Ona wszystkich traktuje równo, bogatych i biednych. Ona jest uczciwa – pomyślał i poprosił o pomoc Śmierć.

Tak, stara opowieść braci Grimm dotyka jednej z najważniejszych prawd o śmierci – wszyscy jesteśmy wobec niej równi. W każdym razie tak nam się wydaje, bo w różnych kulturach i różnych czasach bywało z tym… różnie. W Egipcie faraonów każdy wiedział, że śmierć faraona i śmierć zwykłego fellacha nie mają ze sobą nic wspólnego – religia starożytnego Egiptu służyła w zasadzie temu, żeby władcy, który sam jest bogiem, urządzić wygodną, bezpieczną i dostatnią wieczność.

Ci, którzy pozostają po naszej stronie życia, muszą sobie poradzić ze śmiercią i tak na dobrą sprawę trudno określić, czy rytuały żałobne potrzebne są bardziej nam czy tym, którzy odeszli. Czy kiedy starzy bogowie uczyli pierwszych kapłanów ludzi, co mają mówić i co czynić, chodziło im bardziej o spokój tych, co muszą pozostać, czy też o to, żeby ci, co odchodzą, potrafili odnaleźć właściwą drogę? W społeczności

ludów Papui, żyjących do dziś nieomalże w epoce kamienia, skoro nie znali żelaza jeszcze pół wieku temu, pożegnanie zmarłego wojownika wymaga od wszystkich, od całej społeczności, żeby płakali.

To rozdzierający płacz.

Rytuały żałobne należą do najbardziej podstawowych w ludzkich kulturach. Spełniają trzy zasadnicze funkcje: mają przygotować umierającego do odejścia ze świata żywych, mają pozwolić mu na zorientowanie się w zaświatach, a tym, co pozostają, mają pomóc w pogodzeniu się ze stratą i ułożeniu sobie życia na nowo.

W niektórych kulturach są niezwykle rozbudowane. W innych – na przykład w naszej współczesnej, szybko laicyzującej się kulturze pośpiesznej tandety – stają się powierzchowne i zdawkowe.

Jeśli nie należymy do ludzi wierzących, pozostaje nam uczcić zmarłego minutą ciszy i zamieścić emotikon smutnej buźki na fejsie.

Kiedyś sądziliśmy, że kulturę tworzyć mogą tylko ludzie, dzisiaj nauka przeczy temu poglądowi. Niektóre zwierzęta też to potrafią.

Zwierzęta stadne bez wątpienia rozpoznają śmierć. Psy towarzyszą choremu, kładą się przy nim, liżą go, ale na tę ostatnią, ostateczną chwilę odchodzą. Potem nie wyją. Nie wspominają i nie rozpamiętują. Naukowcy uważają, że kiedy pies kładzie się na grobie swojego pana, czyni to dlatego, że stracił przewodnika stada i utracił wszelkie więzi społeczne, ale czy rozpacza z powodu utraty, czy własnej samotności – nie umiemy stwierdzić z całą pewnością.

Utarło się przekonanie, że słonie mają swoje cmentarzyska i że odprowadzają tam starsze osobniki, ale nie jest to prawdą, lecz legendą z opowieści o Tarzanie. A jednak słonie rozumieją, czym jest śmierć, bo kiedy umiera dominująca samica, schodzą się, żeby ją pożegnać, i zmienia się ich zachowanie. Powiedzielibyśmy, że stają się smutne. A kiedy znajdują szkielet innego słonia, zatrzymują się i dotykają go trąbami.

Szympansy zabierają ze sobą zmarłe młode. Matka nosi je przez długi czas, choć to bardzo utrudnia jej życie. Jeśli to pojedynczy, indywidualny przypadek, możemy mówić o żałobie, ale jeśli robią tak wszystkie samice – naukowcy mówią o kulcie. W Gwinei małpy nauczyły się mumifikować ciała młodych zmarłych, choć wymaga to długiej pracy, bo nie wolno pozwolić owadom, żeby złożyły w ciele jaja. Profesor Dora Biro opisała badania nad tą populacją w 2010 roku.

Nie tylko my, ludzie, musieliśmy znaleźć sposób na uporanie się ze śmiercią.

Każda ludzka kultura czyniła to, i wciąż czyni, za pomocą opowieści i rytuałów, czasami bardzo odległych od tego, co znamy z własnego świata. Wikingowie mieli osobne zaświaty dla tych, co polegli w boju, dla bogatych wojowników, którzy nie dostąpili tego zaszczytu, no i dla zwykłego pospólstwa.

Śmierć jest obecna w dziejach człowieka od jakichś 100 tysięcy lat, czyli od momentu, w którym zdaniem naukowców pojawił się homo sapiens, istota obdarzona świadomością, zdolna rozpoznać, kim jest, zrozumieć, że jest odrębna od otaczającego ją świata, i doświadczyć nie tylko tego, że żyje, lecz także tego, że pewnego dnia to się skończy.

Skończoność życia pozwoliła ludziom odkryć jego piękno. Oczywiście nie wszystkim. Niektórzy wciąż marnują czas na smartfony i Instagramy, zupełnie nieświadomi tego, że czasu jest mniej, niż im się wydaje.

Świadomość tego, że wcześniej czy później każdemu z nas przyjdzie się zmierzyć ze śmiercią, miała poważne kulturotwórcze skutki. Rytuały dotyczące narodzin, inicjacji i umierania legły u podstaw tworzenia się ludzkich cywilizacji. W ciągu tych wszystkich lat, setek pokoleń, śmierć była stale obecna w życiu każdego człowieka. Wojny, zarazy, polowania czy choćby wiejskie życie dzieci, dla których śmierć zwierząt rzeźnych nie była niczym dziwnym i niezrozumiałym.

Wszystko zmieniło się w naszej, zachodniej części świata wraz z końcem II wojny światowej. Dorosły kolejne pokolenia ludzi, dla

których pierwszy kontakt ze śmiercią to chwila, kiedy przychodzi właśnie po nich. Żyjemy dziś, zdaniem badaczy, w kulturze zaprzeczania śmierci. Nie zabieramy dzieci na pogrzeby, głosujemy w sejmie ustawy o tym, żeby zakazywać im udziału w polowaniach, mamy diety i zestawy ćwiczeń, które pomagają nam zachować wieczną młodość, czterdziestka to nowa osiemnastka, a kiedy ktoś umiera, mówimy, że „odszedł do wieczności", „przeszedł na drugą stronę tęczy" albo że „zasilił grono aniołków", choć to kłamstwo, bo ludzie nie mogą stać się aniołami ani za życia, ani po śmierci. Zmieniają się żałobne rytuały. Dziś, żeby pożegnać tego, który już nie powróci, nie pamiętamy o tym, aby zasłaniać lustra; wystarczy, że pamiętamy numer do domu pogrzebowego, a oni już się tam wszystkim zajmą, z księdzem, rabinem, pastorem czy imamem w razie potrzeby.

O dodatkowym wigilijnym nakryciu mówimy, że jest dla zbłąkanego wędrowca, choć przez całe stulecia wszyscy wiedzieli, że jest dla tych, co zmarli w ciągu minionego roku.

Z jednej strony myśl o własnej śmierci odsuwamy od siebie z wielką starannością i zaangażowaniem. Ale z drugiej strony fascynuje nas coraz bardziej śmierć innych ludzi. Przyciąga naszą uwagę w wiadomościach, literaturze i kinie. I to nie tylko w wersji fantasy, jak te wszystkie opowieści o zombie, ale też obyczajowej – serial *Sześć stóp pod ziemią*, poświęcony perypetiom rodziny prowadzącej zakład pogrzebowy, miał kilka udanych sezonów.

Z atrakcyjności przekazu dotyczącego śmierci szybko zdali sobie sprawę choćby terroryści, i do propagowania swoich żądań zaprzęgli dziennikarzy, posyłając im w zamian filmiki z egzekucjami zakładników.

Popkultura karmi nas obcą śmiercią, bo to odsuwa myśl o naszej własnej. Odkąd rewolucja francuska wygnała z naszego świata Zmartwychwstałego, zastępując go czystym rozumem, odrzucającym wszelkie niemające naukowych podstaw opowieści, nie wolno nam wierzyć w życie wieczne, a lęk przed śmiercią musimy tłumić za

pomocą alkoholu, narkotyków, zakupów, zabawy, zwłaszcza w piąteczek, i czarnego humoru w Halloween. Nowocześni, wykształceni, niewierzący ludzie uwierzyli, że przebranie się za ducha albo paradowanie z wydrążoną dynią po ulicach uchroni ich przed umieraniem.

Nadzieja umiera ostatnia.

To nie jest antropologiczna ani w ogóle naukowa książka. I nie rości sobie pretensji do tego, żeby wyjaśnić, czym jest tajemnica śmierci. Taką książkę mógłby napisać jedynie ktoś, komu udało się powrócić z tamtej strony – ot, choćby Łazarz z Betanii, jeśli wierzyć ewangeliście Janowi, Ozyrys, jeśli ufać egipskim kapłanom, Dionizos porozrywany na kawałki przez Tytanów i przywrócony do życia przez Reę czy Odyn samobójca, który powiesił się na gałęzi Yggdrasill – drzewa mądrości i przebił sobie włócznią bok, żeby jego dusza mogła poznać prawdę i dotrzeć do Źródła Mądrości, napić się i powrócić z martwych.

To książka o tym, co o spotkaniach ze śmiercią myślą ludzie różnych kultur, niekiedy bardzo odległych od siebie w czasie i przestrzeni.

Mam nadzieję, że okaże się ciekawa.

Ach, nie zapominajmy o chłopcu, którego Śmierć trzymała do chrztu.

Otóż niczego mu w życiu nie brakowało, bo Śmierć jest hojnym przyjacielem. Najcenniejszym darem była rada, żeby został lekarzem.

– Ile razy wezwą cię do chorego, sprawdź, gdzie stoję, jeśli u głowy łóżka, przepisuj lekarstwa, jeśli w nogach, powiedz, że wybiła już godzina chorego. Twoje diagnozy będą zawsze bezbłędne.

I tak się stało. Syn krawca został najlepszym medykiem swoich czasów. Kiedy wezwano go do króla, spostrzegł, że śmierć stoi w nogach łóżka. Kazał natychmiast je obrócić i podał choremu magiczne zioła.

– Nigdy więcej ze mną nie igraj – powiedziała Śmierć. – Drugiego ostrzeżenia nie będzie.

Tymczasem świętowali ozdrowienie króla i młody doktor zakochał się w jego córce. Wirus wszakże nie próżnował i w tydzień zachorowała

księżniczka. Doktor zobaczył Śmierć w nogach łóżka i wiedział, że to koniec, ale zakochany człowiek traci przecież rozum, więc obrócił łoże i podał dziewczynie lek.

Śmierć zawiodła go do jaskini życia. Płonęły tam świece wszystkich ludzi. Kiedy któraś się dopalała, Śmierć wiedziała, że nadszedł jego czas.

– Proszę cię, chrzestna matko – błagał lekarz – pozwól mi wrócić.

– Kocham cię, ale mówiłam ci, że nie wolno igrać ze Śmiercią – odparła i dwoma palcami zgasiła jego świecę.

Niech wasze płoną jak najdłużej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śmiertelne CV

Kiedy jako czteroletni chłopiec stałem w kościele na mszy wielkanocnej, musiałem już słyszeć o śmierci, ale nie wiedziałem jeszcze, kim jest. Miałem mnóstwo czasu, żeby się dowiedzieć.

Wciąż noszę w sobie to dziecięce złudzenie, że czasu mam pod dostatkiem. Inaczej przecież nie mógłbym go marnować na samotność, na Facebooki, Instagramy, na gry, na flirt, na wódkę, czytanie o polityce, oglądanie ofert kabrioletów, na filmy niewarte oglądania. A jednak jest go mniej, niż mi się wydawało jeszcze wczoraj. Kiedy byłem dzieckiem, sądziłem, że jest nieskończony. Że wystarczy na wszystkie książki i płyty. I że na filmy można chodzić do kina po kilkanaście razy. Kiedy Iwona zadecydowała, że nasza młodzieńcza miłość się wypaliła, nie potrafiłem tego zrozumieć. Nie rozumiałem jej „nie ma więcej czasu". A kiedy Jurek Hirszowski, mój nauczyciel wspinaczki, człowiek, z którym wiązałem się wspólną liną, zginął w górach, pojąłem, że życie ma kres. Wcześniej widziałem zwłoki, ale śmierć nie dotykała mnie mocno, bo nie byłem dość blisko z ludźmi, którzy odchodzili. Zresztą kiedy odchodzili ci, co mieli w życiu dość czasu na wszystko – na wojnę, na miłość i na opowieści, nie bolało. Bolało, kiedy odchodzili ci niedokonani. Albo ci, którym nie zdążyłem powiedzieć „dziękuję".

Wydawało mi się, że życie i śmierć są dwiema stronami tego samego medalu. Okazuje się, że to nieprawda. Życie jest o wiele starsze. Naukowcy zgadzają się obecnie, że nasza planeta, Ziemia, istnieje już jakieś 4,5 mld lat. Życie zaczęło się na niej kształtować 3,8 mld lat temu,

cichutko i bez eksplozji, kiedy węgiel, wodór, azot, tlen, fosfor i siarka znalazły odpowiednie warunki, żeby wejść między sobą w reakcje chemiczne i stworzyć protokomórki. Jak to poetycko ujmuje António Damásio, życie było taką komórką. Kiedy zużywała się jakaś jej część, nauczyło się ją naprawiać, czerpiąc energię z zewnątrz i wydalając tam to, co było już jej zbędne. Metabolizm jest esencją życia. Drugim krokiem jest zdolność do reprodukcji. Aby komórki istniejące w pierwotnej, chemicznej zupie nauczyły się istnieć w stabilny sposób i wytworzyły mechanizmy powielania własnej struktury z jądrem komórkowym, potrzebowały znowu niemal 2 mld lat. Oczywiście komórki ginęły. Możemy powiedzieć, że spotykała je śmierć, ale przecież nie były tego świadome.

A jeśli nie jesteś świadomy śmierci, to ona nie istnieje. Do pojawienia się świadomości droga była jeszcze bardzo daleka.

Komórki eukariotyczne, wyspecjalizowane, posiadające jądra i zdolność reprodukowania swojej struktury pojawiły się jakieś 2 mld lat temu. Organizmy wielokomórkowe – 700 mln lat temu, po kolejnych 200 mln lat wielokomórkowce miały już pierwotny układ nerwowy, a więc stały się zdolne do podstawowej analizy swojego stanu. Można w wielkim uproszczeniu powiedzieć, że stały się świadome własnego życia, ale oczywiście nie miały pojęcia o tym, że istnieje śmierć. Nasz daleki przodek *Homo erectus* żył już około 1,9 mln lat temu, ale nasz gatunek, *Homo sapiens*, ma historię liczącą sobie dopiero 100 tys. lat, choć niektórzy uznają za słuszną teorię Leakeyów, którzy szacują wiek naszego gatunku na prawie 200 tys. lat. Jakkolwiek liczyć, dopiero człowiek rozumny potrafił uświadomić samemu sobie istnienie śmierci. W dodatku za tę świadomość człowiek musi zapłacić wysoką cenę. Jest nią życie w nieustannym lęku, że śmierć w końcu nadejdzie.

W każdym razie życie i śmierć nie mają wspólnego rodowodu. Życie na Ziemi jest starsze od śmierci o jakieś 3,8 mln lat. Wedle kalendarza żydowskiego jest nieco inaczej – wszystko zdarzyło się w ciągu 5780 lat.

Narodziny śmierci opisane są w Genesis, Księdze Rodzaju. Kiedy Stwórca urządził już wszystko w Edenie i dał Adamowi żonę, żeby nie musiał wszystkim cieszyć się w osamotnieniu, Zły pod postacią węża skłonił Ewę do nieposłuszeństwa. Pierwszym grzechem było sięgnięcie po wiedzę. Zdobycie świadomości o tym, co jest dobre, a co złe. Człowiek nie chciał posłuchać Stwórcy. Chciał decydować samodzielnie. Właściwie kiedy obserwujemy spór zwolenników prawa przyrodzonego z entuzjastami prawa stanowionego, widzimy, że niewiele się w tej kwestii zmieniło do dziś.

Karą za uzyskanie samoświadomości jest śmierć.

„Oto człowiek stał się taki jak My – myśli sobie Stwórca – zna dobro i zło; niechaj teraz nie wyciągnie przypadkiem ręki, aby zerwać owoc także z drzewa życia, zjeść go i żyć na wieki".

Aby temu zapobiec, Stwórca wypędza człowieka z raju, skazując go nie tylko na śmierć, lecz także na konieczność zarabiania na jedzenie, ubrania, domy, samochody, a przede wszystkim na spłaty kredytów, odtąd bowiem Bóg błogosławić będzie niektórym bardziej, obdarowując ich wszelkimi dobrami, a innym będzie błogosławił mniej.

Żeby ludzie nie wrócili do Edenu i nie odnaleźli drzewa życia, Bóg stawia na straży ogrodu cherubinów uzbrojonych w ostre miecze.

Zauważmy, że śmierć jest tu jeszcze zjawiskiem abstrakcyjnym, a nie kostuchą uzbrojoną w kosę. Ta personifikacja jest pomysłem średniowiecznych iluminatorów i do jej powstania musi jeszcze upłynąć kilkadziesiąt stuleci.

Portret Boga ze słynnej *Trójcy* Andrieja Rublowa (fragment, obecnie w Galerii Trietiakowskiej)

Cmentarz przy świątyni Wang, Karkonosze

Oczywiście judaistyczna opowieść o pochodzeniu śmierci nie jest jedyną znaną ludzkości. W mitach afrykańskich ludów pojawia się przekonanie o tym, że śmierć jest karą za ludzkie przewinienia i gdyby nie skłonność do zła, ludzie byliby nieśmiertelni. A jednak śmierć zaistniała. Ludy Bantu opowiadają swoim dzieciom, że to wszystko przez kameleona. Najstarszy ze starszych posłał do ludzi dwóch posłańców. Kameleon miał im powiedzieć, że nigdy nie umrą. Jaszczurka zaś miała przekazać wieść, że będą śmiertelni. Pobiegły. Kameleon był szybszy, ale zobaczył nagle owoce na drzewie ubukwebezane, wlazł tam i zaczął się objadać. Jaszczurka natomiast biegła jak szalona.

– Umrzecie! – krzyczała. – Wszyscy umrzecie!

Wtedy nadszedł kameleon i powiedział, że to nieprawda. Że nikt nigdy nie umrze. Ale było już za późno, bo ludzie zdążyli uwierzyć w złą

nowinę.

Ciekawe. Śmierć zależy więc od tego, czy się w nią wierzy, czy nie.

Opowieść znana jest też w Afryce Wschodniej, ale zamiast jaszczurki występuje w niej drozd, oraz w Zachodniej, ale tam posłańcem śmierci jest żaba. Hotentoci i Masajowie znają opowieść o księżycu i o zającu. Księżyc wiedział już o tym, że znika i że się pojawia, ale ludzie byli na ziemi całkiem nowi. Księżyc posłał więc zająca, żeby powiedział ludziom: „tak jak ja znikam i odżywam na nowo, wy umrzecie, a potem wrócicie do życia". Zając, zwierzę pełne lęku, powiedział jednak: „tak jak ja znikam i nie wracam, tak i wy umrzecie i nigdy nie ożyjecie", bo nie chciał, żeby ludzie żyli i na niego polowali. Dlatego ludzie umierają. Kiedy księżyc ożył i zrozumiał, co się stało, walczył z zającem i rozciął mu wargę. Zając zaś podrapał księżyc i do dziś widać na nim te rany.

Ludy Ameryki Północnej o pojawienie się śmierci winią kojota. Kojot ma w mitologii indiańskiej różne role, także prometejskie, bo to on wykrada bóstwom sekret uprawy roli. Ale w sprawie śmierci się nie popisał. Na początku w ogóle nie było śmierci. Ludzi wciąż przybywało i przybywało, a jedzenia było coraz mniej i mniej, i nie mieli już się gdzie pomieścić na ziemi. Zebrali się więc i uradzili, że część z nich będzie musiała umrzeć na jakiś czas, żeby zrobić miejsce innym, a potem czarownicy będą przywracać ich do życia. Kojot powiedział wówczas, że to zły pomysł, bo od tego, że niektórzy będą martwi przez jakiś czas, jedzenia ani ziemi nie przybędzie. Ludzie nie chcieli go słuchać, bo żal im było istnieć bez swoich ukochanych i bliskich. Kiedy więc ktoś umierał, stawał się duchem i w postaci wiatru wędrował do namiotu czarownika, żeby ten przywrócił go do życia. Kojot obserwował to, aż pewnego dnia, kiedy wiatr chciał się wedrzeć do namiotu, kojot zasznurował wejście i duch pobłądził. Od tamtej pory ludzie umierają na zawsze, ich duchy krążą po świecie w postaci wiatru, a kojot zawsze ogląda się za siebie, sprawdzając, czy któryś nie chce mu odpłacić za taki los.

Swoją opowieść o śmierci mają też ludy Polinezji, które zawiódł Maui. Gdyby potrafił umknąć ze świata umarłych, ludzie nie musieliby umierać, ale nie dał rady uciec, bo zdradziły go śmiejące się mewy. Opowieść o śmierci stała się fundamentalna dla kształtowania kultury, tożsamości, religii, albo jej braku, dla formowania naszych osobistych przekonań. António Damásio w swojej książce *Dziwny porządek rzeczy. Życie, uczucia i tworzenie kultury* poświęconej ewolucji i pracy ludzkiego umysłu pisze, że mityczna opowieść jest dowodem osiągnięcia najwyższego stopnia ewolucyjnego rozwoju mózgu. Opowieść o śmierci dla każdej z kultur stanowi jeden z mitów podstawowych.

Przyjrzyjmy się jeszcze personifikacjom śmierci. Dla żydów ma ona postać Anioła Śmierci. Do wykonywania swoich zadań używa czarnego miecza, który wedle jednej z opowieści miał mu w drodze w zaświaty skraść Joszua ben Lewi i przeskoczyć z nim przez bramę Raju. Ponieważ Anioł Śmierci nie może odbierać życia bez swego miecza ani też nie może wejść do Raju, Joszua w pewien sposób pokonał śmierć. Stwórca, któremu nie spodobał się ten uczynek, nakazał sprytnemu rabinowi, aby oddał miecz. Joszua zgodził się, w zamian za to, że pozna imię Anioła Śmierci. Zapisał je sobie na przedramieniu, ale kiedy oddał miecz, napis zniknął. Anioł Śmierci bywa czasami utożsamiany z Samaelem lub Azraelem.

Dla muzułmanów śmierć też ma postać anioła. W chwili śmierci dobry człowiek widzi go w postaci pięknej istoty, a złoczyńca – w skórze ohydnego potwora. Po śmierci dwa kolejne anioły, Munkar i Nakir, zadają zmarłemu trzy pytania, a od odpowiedzi na nie zależy, jak spędzi wieczność: „kto jest twoim Bogiem?", „jaką wyznajesz religię?", no i „kim jest Mahomet?". Każde dziecko wie, jak odpowiedzieć.

Dla bogobojnych wyznawców hinduizmu śmierć ma postać bóstwa Jamy i podróżuje na grzbiecie czarnego bawołu.

Chińczycy wyobrażają sobie śmierć w postaci Yan Luo, bóstwa ubranego w tradycyjną chińską długą szatę i czapkę cesarskiego

urzędnika. Wszyscy znają jego twarz, bo często jest nadrukowana na pieniądzach dla duchów.

Japończycy mają dwie personifikacje śmierci – boginię Izanami i władczynię potworów i demonów Shinigami.

Koreańczycy nie spotykają ani anioła, ani bóstwa, lecz ducha. Nazywa się Joseung Saja i jest posłańcem niosącym Jeokpaeji – listę umarłych zapisaną na czerwonym płótnie. Rozwija ją, odczytuje trzykrotnie twoje imię i umierasz.

Archanioł z fresku *Trionfo Della Morte* Buonamica di Martino, Piza, Campo Santo

Mieszkańcy Skandynawii swoją boginię śmierci nazywali Hel. Była córką Lokiego i Angerbody. Miała twarz i ciało żywej, pięknej kobiety, ale od pasa w dół była zgniłą mumią.

Starożytni Grecy czcili Tanatosa, Celtowie znali śmierć pod imieniem Angau lub Ankou. Był to duch zmarłego widziany w postaci szkieletu z długimi białymi włosami pod czarnym, obszernym kapeluszem.

Mieszkańcy Irlandii znali Banshee – siwą kobietę w bieli, ducha zapowiadającego, że ktoś wkrótce umrze. Po praprzodków Szkotów przychodził wielki, śnieżnobiały pies.

Dla Słowian, w czasach, gdy jeszcze nie nauczyliśmy się pacierzy, była Marzanną lub Marą i miała swoje święto, kiedy to na znak jej odejścia w Jare Święto topiło się w wodzie jej kukłę wykonaną ze słomy. W tamtych czasach Litwini i Łotysze sądzili, że bogini śmierci, Giltine jest starą, brzydką kobietą o sinym nosie i długim, zatrutym języku. Kiedyś była piękna jak jej siostra Laima, bogini życia, ale przeleżała siedem lat w grobie i stąd na jej ciele ślady rozkładu.

Kiedy nadeszło chrześcijaństwo, wszyscy w Europie zaczęliśmy wyobrażać sobie śmierć jako kościotrupa z kosą. We wczesnośredniowiecznej ikonografii był najpierw rozkładającymi się zwłokami. Kiedy mistrz Polikarp spotyka Śmierć na kartach manuskryptu spisanego w Płocku około roku 1465, jest ona płci żeńskiej, obdarta i brzydka:

Chuda, blada, żółte lice,
Łszczy się jako miednica;
Upadł ci jej koniec nosa,
Z oczu płynie krwawa rosa;
Przewiązała głowę chustą,
Jako samojedź krzywousta;
Nie było warg u jej gęby,
Poziewając skrżyta zęby
[.....].

Jeszcze w XIX wieku w polskiej literaturze Śmierć ma inny kostium niż tylko szkielet kostuchy. W *Konradzie Wallenrodzie* Mickiewicza mówi się o niej tak:

Nieraz na pustych cmętarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.
[.....]
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

W tradycji germańskiej i angielskiej śmierć jest Mrocznym Żniwiarzem. Jest rodzaju męskiego. Dla nas, podobnie jak dla Hiszpanów, Włochów czy Francuzów, bez wątpienia jest kobietą. Najczęściej kobietą z kosą.

W średniowieczu człowiek stykał się ze śmiercią o wiele częściej, niż dzieje się to obecnie. Kiedy dżuma szła przez Europę, kładąc trupem jedną trzecią populacji, szczątki ludzkie zalegały ulice miast. Dziś widzimy tylko kolorowe wykresy statystyk dotyczących koronawirusa. To w średniowieczu biorą początek takie przedstawienia śmierci jak *danse macabre* – alegoryczny taniec śmierci, w którym kościotrup prowadzi upiorny ludzki pochód złożony z przedstawicieli najbogatszych elit wymieszanych z pospólstwem, nędzarzami i prekariatem. Śmierć nie ma bowiem względu na osobę, a trumna nie ma kieszeni.

Wszystko zaczęło się od XV-wiecznego, ilustrowanego wydania *Trionfo della Morte* Petrarki. Na jednej z rycin Śmierć jako kościotrup powozi zaprzęgiem wołów i tratuje ludzi stojących jej na drodze. W 1485 Guy Marchand wydał drukiem zbiór drzeworytów z cyklu *Danse Macabre* i wywołał europejską modę – taniec śmierci stał się jednym z najpopularniejszych tematów średniowiecznego malarstwa. Do najwybitniejszych przykładów należą obrazy Bernta Notkego z kościoła

Świętego Mikołaja w Tallinie i kościoła Mariackiego z Lubeki, obrazy Mikołaja Manuela Deutscha z klasztoru Dominikanów w Bernie czy wybitny fresk w kościele w słoweńskiej miejscowości Hrastovlje. W Polsce też mamy kilka znakomitych obrazów z tańcem śmierci, najlepszy jest zdaniem znawców sztuki obraz z krakowskiego kościoła Bernardynów. Tańczy na nim z kościotrupami dziewięć kobiet, między innymi: królewna, mieszczanka, chłopka, mniszka. Dookoła tej sceny jest czternaście innych, na których ze śmiercią tańczą: papież, cesarz, król, biskup, książę, szlachcic, kupiec, chłop, Żydzi, a nawet dziecko.

Obok tańca śmierci popularnym w europejskiej sztuce motywem jest wiersz *Ubi sunt qui ante nos fuerunt?* – co znaczy „gdzie są ci, którzy byli przed nami?". Pojawia się nawet w słynnej pieśni *Gaudeamus igitur*.

Pierwszym wierszem *Ubi sunt…* są lamentacje z biblijnej Księgi Barucha:

Gdzież są zwierzchnicy narodów
i panujący nad zwierzętami ziemi,
ci, co igrają z ptakami powietrznymi,
ci, co gromadzą srebro i złoto,
w których ludzie złożyli ufność
[.....]
Zniknęli i do Szeolu zstąpili,
a inni stanęli na ich miejsce.

Motyw powracał u Villona, Szekspira, Macphersona, Tolkiena (*Lament Rohirrimów* w *Dwóch wieżach*) i w finałowym monologu filmu *Łowca androidów*.

Najsłynniejszy jest jednak motyw *memento mori* – „pamiętaj, że umrzesz". Formuła ta, nawiązująca do biblijnej Księgi Koheleta, wyliczającej wszelkie marności doczesnego życia, miała przypominać człowiekowi o tym, co naprawdę jest ważne – o czystości duszy, dzięki

której można będzie osiągnąć szczęśliwą wieczność. Motyw powracał nie tylko w literaturze czy malarstwie (w formie inskrypcji lub rekwizytów w postaci czerepu lub zegara), lecz także na przykład w architekturze.

Motywy średniowieczne powróciły z całą siłą w malarstwie Bruegla w epoce wojen religijnych w Europie, wracały także w malarstwie symbolistów, a śmierć powoli zadomowiła się w kulturze popularnej, skazując ludzkie zwłoki na poniewierkę eksponatu początkowo szokującego, a potem już tylko odartego z jakiejkolwiek godności rekwizytu, który budzi zadziwienie.

Nie jest to, o dziwo, wymysł naszych czasów, bo już w renesansie popularne stają się grafiki z ludźmi odartymi ze skóry. Taki wizerunek człowieka pojawia się też w pełnowymiarowym malarstwie. Na obrazie *Lekcja anatomii doktora Frederika Ruyscha* Jana van Necka oglądamy rozkrojone ciałko dwulatka, nad którym dumnie pozują ówcześni naukowcy. Rembrandt w *Lekcji anatomii doktora Tulpa* poprzestał na sekcji zwłok dorosłego mężczyzny.

W 1766 roku w Musée Fragonard d'Alfort na przedmieściach Paryża można było zobaczyć zarówno dziesięcionogą owcę, jak i obdarte ze skóry ciało człowieka na koniu. Był to *Jeździec Apokalipsy*. Zainspirowany grafiką Dürera upozowany ludzki trup z mięśniami wysuszonymi i poddanymi zabiegom mumifikacji był największą sensacją roku i sam król Ludwik XV przybył, żeby mu się przyjrzeć. Przez sześć lat Kościół starał się o zamknięcie tej wystawy w imię szacunku dla ludzkiego ciała.

Otwarta ponownie w roku 1991 nie budziła już żadnych sprzeciwów, a jedynie zachwyt. Któż nie chciałby mieć selfie z oskórowanym trupem siedzącym na szkielecie konia?

Furta cmentarna, detal, Warszawa

Oczywiście dzisiaj eksponaty Honoré Fragonarda nie wytrzymują już konkurencji. Światowy sukces odniosła pokazywana także w Polsce ekspozycja *Body Worlds*, na której profesor Gunther von Hagens prezentuje 160 „instalacji" wykonanych z autentycznych ludzkich ciał w różnym wieku, poddanych plastynacji, upozowanych w przeróżnych konfiguracjach. Tańczą, biegają, jeżdżą na łyżwach, grają w piłkę, szachy czy robią sobie nawzajem sztuczne oddychanie. Von Hagens podkreśla, że wszystkie ciała pochodzą od dawców, którzy zgodzili się na ich wykorzystanie w takiej postaci. W meksykańskim mieście Guanajuato można obejrzeć mniej spektakularne, ale równie nieludzkie Muzeum Mumii wyjętych z grobowców na tutejszym cmentarzu, bo, jak się okazało, ciała świetnie się tam w naturalny sposób konserwują. Jeśli rodzina przestaje opłacać miejsce dla ciała swojego bliskiego, może on trafić na muzealną półkę. Szczególną popularnością wśród amatorów makabrycznej fotografii cieszy się młoda dziewczyna pochowana

żywcem. Na jej dłoniach widać ślady walki – najwyraźniej próbowała rozdrapać trumnę.

Nie pierwszy to raz w historii, kiedy zaczyna panować moda na robienie zdjęć zmarłym. Wiktoriańskie zdjęcia nieboszczyków zapełniają w internecie tysiące stron i narosło mnóstwo mitów wokół tego, że fotografowani wówczas zmarli wyglądają jak żywi, a nie ma żadnego sekretu w tym, że w XIX stuleciu Europejczycy nie próbowali wypchnąć śmierci ze świadomości, nie tworzyli mechanizmów mających na celu zaprzeczenie jej istnienia, nie ostrzykiwali botoksem ust ani zmarszczek, nie zatrudniali psychoterapeutów i coachów, żeby wmawiali im, że pięćdziesiątka to nowa osiemnastka, i nie próbowali przekonywać samych siebie, że nigdy nie umrą.

Nie. Byli tego pewni, ale nie bali się umierania. Robili fotografie swoim zmarłym bliskim najpiękniej, jak potrafili.

O tym, jak dzisiaj traktujemy śmierć, najlepiej świadczą badania dr Agnieszki Olchowskiej-Kotali na temat sposobu umierania w obrazie telewizyjnym. Okazuje się, że w czasie osiemnastu godzin emisji programów dostępnych w polskich kablówkach można było zobaczyć śmierć 11 344 239 osób, z czego aż 98,8% to były zabójstwa, 1,2% zginęło w wyniku działania żywiołów, a 0,03% w wypadkach komunikacyjnych. Naturalna przyczyna śmierci stanowiła jeden promil przypadków.

W czasach sprzed epidemii koronawirusa nie wierzyliśmy, że można tak zwyczajnie, po prostu umrzeć. I nie obchodziła nas zwyczajna śmierć. Za to na wirtualnych grobach sławnych artystów, aktorów, piosenkarzy, zwłaszcza jeśli umarli młodo, paliliśmy miliony wirtualnych zniczy. Pamiętacie lament po śmierci Amy Winehouse czy Kobego Bryanta?

Epidemia sprawiła, że ten trend wypierania śmierci ze świadomości społecznej stracił rację bytu. Śmierć znowu stała się tragedią, która może dotknąć nas wszystkich, a co ważniejsze – każdego z nas osobiście. To nic nowego. Śmierć w różnych fazach kultury europejskiej bywała zawsze tragedią, ale zdarzało się jej, zwłaszcza w wiekach

wzmożonej religijności, być także powodem do chwały. Taka była dziesięć wieków temu śmierć Rolanda w wąwozie Roncevaux. I taka, heroiczna i chwalebna, była – w każdym razie tak nam się wówczas wydawało – śmierć Jana Pawła II w świetle jupiterów i pod obstrzałem kamer. W relacji z pogrzebu papieskiego reporter „Gazety Wyborczej" Jan Turnau napisał wtedy, że papież wielokrotnie modlił się za życia słowami „niech Twój Duch wieje, kędy chce". I dodał: „Na tym pogrzebie najważniejszy był dla mnie wiatr. Przewracał karty Ewangelii, powiewał kardynalskimi szatami. Zobaczyłem w tym Ducha Świętego: wiatr to po grecku *pneuma*, po łacinie *spiritus*".

Dziś już tego nie pamiętamy, ale ewangeliarz na trumnie Jana Pawła II zatrzasnął się w czasie, kiedy kantor śpiewał słowa Psalmu 23: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego, pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć".

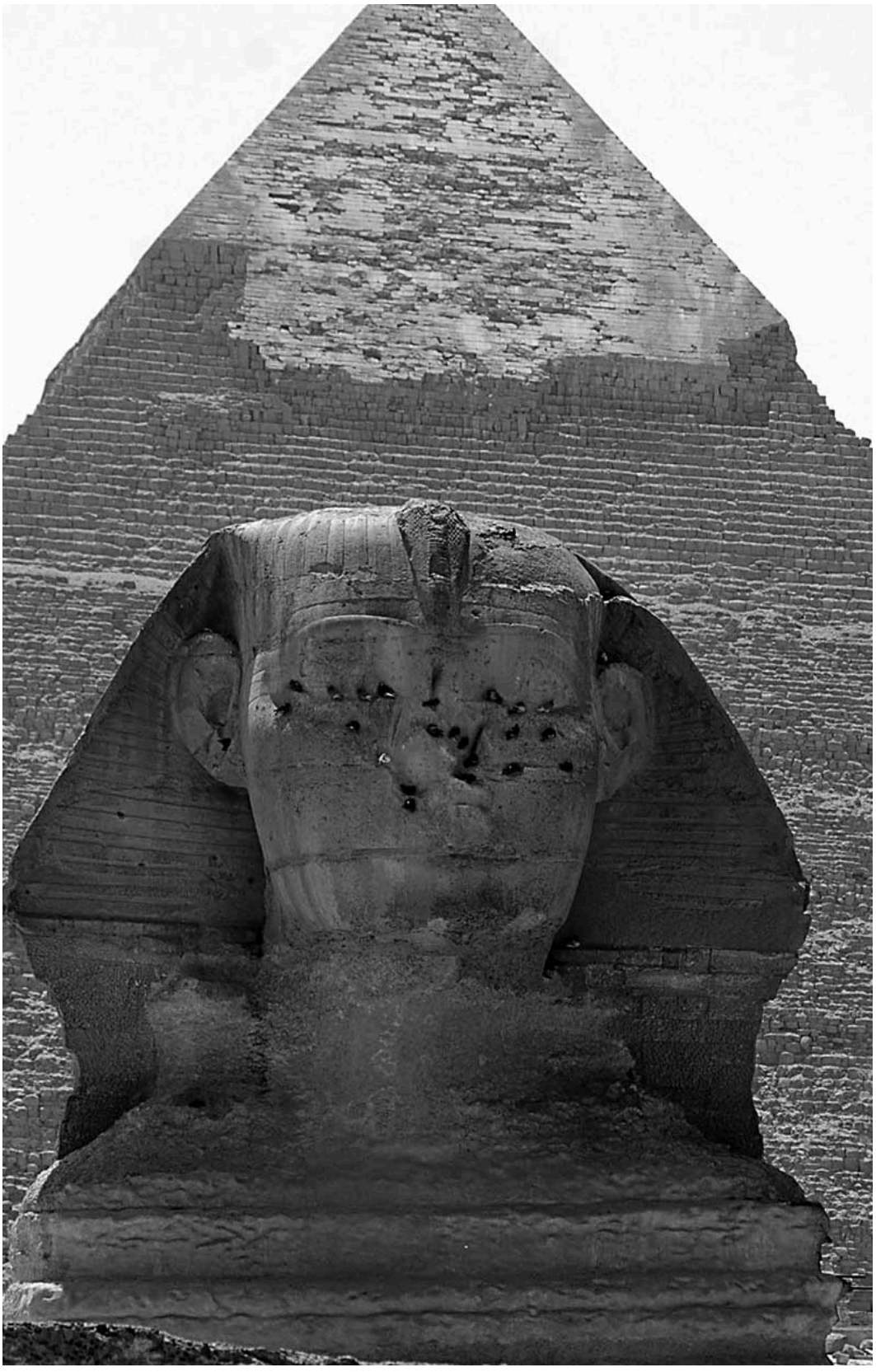

ROZDZIAŁ DRUGI

Egipskie ciemności

Sala z mumiami znajdowała się na piętrze. Wbiegliśmy po schodach, na półpiętrze, tak to zapamiętałem, rozwinięty był kompletny papirus z *Księgą umarłych*.

Poczułem dreszcz.

Widziałem już wówczas kilka zmumifikowanych ciał. Diaboliczny uśmiech Jaremy Wiśniowieckiego na Świętym Krzyżu, przerażająco żywą Rosalię Lombardo w eleganckiej sukience w katakumbach w Palermo. Ale prawdziwa mumia musi być jednak z Egiptu. Była dziewiąta, na dworze temperatura sięgała dużo powyżej trzydziestu stopni, ale tutaj, w jasnym wnętrzu Muzeum Kairskiego, chłód klimatyzacji suszył czoła i T-shirty.

Brrr. To musi być gdzieś tutaj – zerknęliśmy na planik muzeum w przewodniku. Sala z mumiami. Jeszcze jeden zakręt i…

Closed for renovation – przeczytaliśmy na kartonowej tabliczce. Na wypadek gdyby ktoś nie potrafił czytać, tablicy pilnował rosły wartownik. W mundurze.

– No idź, zrób coś! – Elżbieta popchnęła mnie w jego stronę.

– Ale już nigdy tu nie będziemy, zlituj się pan – spróbowałem.

Ani drgnął.

Zacząłem opowiadać mu całe życie. O tym, że jesteśmy z Polski, że kiedy byliśmy mali, to był najbiedniejszy kraj w całej komunie, że nie można było posiadać paszportów, a miesięczny zarobek wynosił w przeliczeniu dziesięć dolarów.

– Dwadzieścia – powiedział strażnik.

– Dziesięć. Bądź człowiekiem.

Potarł czoło pod czarnym beretem.

– Dobra, dawaj dziesięć.

Otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Malowali chyba sufit, bo wszystkie gabloty były przykryte szarymi płachtami. Z góry sypało się mnóstwo kurzu.

– Tylko szybko – warknął, uniósł plandekę i wepchnął nas pod spód.

Klęczeliśmy o centymetry od mumii. Była całkiem pozbawiona bandaży. Wyschnięta, zapadła twarz, oczodoły zapadnięte pod powiekami wysuszonymi na wiór, wargi obnażone, zęby jakby chciały chwycić za gardło. Słowo daję, że drgnęła.

Byliśmy w takim szoku, że nawet zdjęcia nie zrobiłem.

A potem po raz pierwszy pomyślałem, że wszystkie te kości w muzeach to przecież ludzie. Żyli, kochali, nienawidzili, mieli matki, braci, może nawet mieli własne dzieci. Uczyli się, marzyli, próbowali robić karierę, zdobyć sławę, dokonać podbojów albo odkryć, albo po prostu chcieli ułożyć sobie życie. Cierpieli na bóle głowy, zębów, może ich łamało w krzyżu.

Może byli złymi ludźmi – okrutnymi, zawistnymi, pełnymi pychy i pogardy. A może byli dobrymi – pełnymi współczucia i empatii. Śmierci nie robi to żadnej różnicy.

Wierzyli, że po tamtej stronie życia czeka na nich wieczność, i z pewnością nie wyobrażali sobie, że będzie to wieczność w gablocie, w klimatyzowanym muzealnym wnętrzu, że będą ją musieli spędzić jako dziwowisko dla zwiedzających.

Tak, musiałem zacząć od Egiptu, nie tylko dlatego, że to jedna z trzech najstarszych cywilizacji, które mogły poszczycić się zbudowaniem struktur państwowych, ale dlatego, że to mój pierwszy podróżniczy kierunek i niewiele brakowało, a mógłby okazać się ostatnim.

Pierwszy, bo to właśnie tutaj przestałem być po prostu turystą w dniu, w którym mój przyjaciel Ian Borgdorff wsadził mnie do autobusu jadącego do Marsa Matruh ze sfatygowanym egzemplarzem przewodnika Lonely Planet w ręce i zadaniem dotarcia do oazy Siwa, w której Aleksander Wielki stał przed wyrocznią Zeusa Ammona, żeby usłyszeć o swoim boskim rodowodzie i ujrzeć wizję zwycięstwa tak silną, że pchnęła go do podboju całego ówczesnego świata. Siwa do dziś pozostaje dla mnie jednym z najważniejszych miejsc w całym świecie.

Zanim pojechałem do Egiptu pierwszy raz, przeczytałem mnóstwo książek na temat tej fascynującej starożytnej kultury. Polscy archeologowie prowadzą tam badania, więc dobrych źródeł we własnym języku mamy całkiem sporo. Przeczytałem całe morze liter, więc w Muzeum Kairskim z daleka rozpoznałem bezbłędnie *Księgę umarłych*. Potrafiłem nawet rozpoznać kilka hieroglifów. Wydawało mi się, że na tym polega podróżniczy fach – trzeba wiedzieć wszystko. Nawet kto zabił w słynnej opowieści Agathy Christie *Śmierć na Nilu*.

Starożytni Egipcjanie wiedzieli dużo. Ich skomplikowany, bogaty system wierzeń znamy dość szczegółowo dzięki temu, że syn księgarza z Figeac, Jean-François Champollion, odczytał hieroglify. Chłopak znał dziewięć języków, nie lubił matematyki i napisał kilka książek. Pierwszą, o sławnych psach, już jako dwunastolatek.

Staroegipski kod rysunkowego pisma złamał, porównując treść trzech zapisów na kamieniu z Rosetty. Ten sam tekst wyryto za pomocą hieroglifów, staroegipskiego języka zwanego demotyką, zbliżonego, jak to odkrył Champollion, do języka Koptów, oraz starogreckiego. Pierwsze słowa, zapisane w demotyce imiona Aleksandra Wielkiego i Ptolemeusza, odczytał Antoine baron Silvestre de Sacy, francuski lingwista, nauczyciel Champolliona.

Nie mogli pracować z oryginalnym kamieniem z Rosetty, bo Francuzi po klęsce Napoleona musieli oddać wszystkie artefakty Anglikom, ale zachowali dokładne rysunki zabytku. I to wystarczyło.

Rok po tym, jak Francuz odczytał znaki, niezależnie od niego tego samego dokonał Anglik Thomas Young, cudowne dziecko, które potrafiło czytać już w wieku dwóch lat, a potem znało czternaście języków, w tym kilka naprawdę egzotycznych, i przyczyniło się do kilku odkryć w dziedzinie optyki.

Odczytanie pierwszych hieroglifów otworzyło ludzkości drogę do poznania sekretu nieśmiertelności.

Egipcjanie wierzyli w życie po śmierci. W jaki sposób doszli do tego przekonania, nie potrafimy zrozumieć, ale wiemy że zaświaty – Sehet Jaru, czyli Pola Trzcin – były ludzkim przeznaczeniem. Kto nie miał niewolników, pozagrobowych robotników uszebti (gliniane figurki w kształcie mumii wyposażone w worek i dwie motyki trzymane w skrzyżowanych na piersi dłoniach), ten musiał sam zapracować na jedzenie na tamtym świecie.

Uszebti wkładano więc do grobów, żeby pracowały za swojego pana. Zmarły mieszkał w zaświatach w swoim grobie. Ponieważ mieszkał tam całą wieczność, starał się jeszcze za życia, żeby grobowiec, który sobie szykuje, był wygodniejszy niż dom, który posiadał na ziemi. W tym właśnie tkwi sekret monumentalności piramid.

Egipcjanie żyli w przekonaniu, że mieszkają w najlepszym istniejącym miejscu. Oraz w lęku przed tym, że szczęśliwość i powodzenie mogą okazać się nietrwałe, jeśli nie będą dbać o harmonię – Maat – albo zaniedbają oddawanie czci bogom lub ominą ich przykazania. Kto nie wypełniał tych powinności, nie mógł liczyć na szczęśliwą wieczność.

Bogini Maat była jedną z sędziów Sądu Ozyrysa w Sali Dwóch Prawd, do której Anubis, bóg z głową szakala, strażnik procesu mumifikacji i przeistoczenia, prowadził duszę po śmierci. W Sali Dwóch Prawd stała waga. Na jednej szali Anubis kładł serce zmarłego, a na drugiej Pióro Prawdy. Maat zasiadała w trybunale Prawdy wraz z czterdziestoma dwoma sędziami odpowiedzialnymi za poszczególne grzechy. To nie byli byle jacy sędziowie. Jednym z nich był Ra. Jeśli zmarły dopuszczał

się fałszerstw, Ra ujawniał to w czasie sądu. Istniały czterdzieści dwa powody, żeby skazać duszę na potępienie. Grzechy uniemożliwiające wejście do Pola Trzcin to między innymi: kradzież, morderstwo, marnowanie jedzenia, kłamstwo, nieposzanowanie chleba, cudzołóstwo, zamykanie uszu na prawdę, seks z nieletnim chłopcem, kłótliwość, nadpobudliwość ruchowa, narcyzm (rozumiany jako samouwielbienie w mowie) czy bluźnierstwo.

Jeśli przeważyło strusie pióro Maat, Ozyrys zabierał duszę do Pola Trzcin. Jeśli cięższe okazało się serce – przerażająca bogini Ammit, pożeraczka dusz, w jednej trzeciej lwica, w jednej trzeciej krokodyl i w jednej trzeciej hipopotam (najstraszliwsze zwierzęta, jakie czyhały na Egipcjan w ich świecie) porywała duszę do siedliska demonów na wieczną mękę. Sąd Ozyrysa był sądem ostatecznym.

Porady, jak przebrnąć przez Sąd Ozyrysa i jak w ogóle nie pobłądzić w zaświatach, zawierała *Księga umarłych*. Wykorzystane zostały w niej rytuały, formuły i zaklęcia znane już wcześniej jako *Teksty piramid* (z okresu, kiedy całą opowieść o zaświatach artyści wyryli w ścianach grobowców faraonów) oraz *Teksty sarkofagów* zapisywane na ścianach skrzyń grobowych, a więc dostępne już nie tylko dla faraonów, lecz także dla zamożnych urzędników i szlachty, którą stać było na budowę grobowca i wyszykowanie sarkofagu.

Księga umarłych, zapisywana na zwojach papirusu, była trzecim etapem tej ewolucji, gdyż papirus był tańszy niż sarkofag i swój egzemplarz mógł otrzymać kupiec albo urzędnik niższego szczebla.

Księga zawiera zaklęcia potrzebne do przebycia trudnej drogi w zaświaty, imiona i fragmenty „życiorysów" bóstw i demonów, tak aby zmarły potrafił je rozpoznać i zyskał przychylność bogów oraz władzę nad demonami (pomysł, że znajomość imienia demona pozwala posiąść nad nim władzę, to także zasługa egipskich kapłanów). Księga zawiera też treści przydatne do tego, by przypomnieć sobie swoje własne życie i wzbudzić pamięć o bliskich.

Jest tam również porada dotycząca Sądu Ozyrysa, w nieco innej formule i bez wymieniania wszystkich grzechów. Przypomina swoim kształtem pouczenie, które kilka stuleci później Jahwe, Bóg Izraela, ofiaruje Mojżeszowi na górze Synaj.

Wersja z *Księgi umarłych* brzmi tak:

Nie grzeszyłem przeciw ludziom, nie szkodziłem poddanym, nie czyniłem nieprawości w miejscu prawdy, nie znałem zła, nie popełniałem grzechów. Nigdy nie starałem się być pierwszym ani też, by dzieła rąk poddanych moich dawano mi wobec innych ludzi, nie stałem się przyczyną nędzy biedaków, nie robiłem tego, co jest wstrętne bogom. Nie oczerniałem sługi wobec przełożonego jego, nie stałem się przyczyną głodu, nie stałem się przyczyną płaczu, nie zabijałem sam ani nie kazałem zabijać, nie zadawałem cierpienia nikomu. Nie pomniejszałem ofiar w świątyniach, nie umniejszałem chlebów bożych, nie zabierałem placków duszom zmarłych. Nie oddawałem się rozpuście ani samogwałtowi.

Znamienne, że *Księgę umarłych* rozpoczyna zdanie, które będzie powracać w przeróżnych formach w niemal każdej ludzkiej kulturze: „Rzeka płynie na północ, wiatr dmie na południe. Każdy człowiek ma swoją godzinę".

Klucze do wiecznej szczęśliwości posiadał Ozyrys. Nieprzypadkowo, bo przecież to on jest pierwszym zmartwychwstałym. Zielony Ozyrys, z którego ciała na znaku hieroglificznym wyrastają młode pędy, porównywany do Księżyca, który znika, a potem się odradza, Ozyrys, który nauczył ludzi uprawy ziemi i panuje nad nimi w Polu Trzcin.

Ozyrys umiera porąbany na części przez swojego zazdrosnego brata Seta. Wdowa po nim, Izyda, zbiera części jego ciała i kocha się z tym kadłubem, a martwy Ozyrys daje życie swemu synowi Horusowi. Izyda ukrywa Horusa, aż ten dorośnie, pokona Seta i będzie mógł dopełnić rytuału, który przywróci Ozyrysa do życia, aby oddać mu tron.

Ta opowieść ma wiele odmian. W tej, którą najbardziej lubię, Set mierzy ciało Ozyrysa, kiedy król śpi, a potem zamawia zrobioną na

wymiar piękną rzeźbioną i malowaną skrzynię. W czasie uczty przynosi sarkofag do pałacu i oświadcza, że podaruje go temu, kto się idealnie w niego wpasuje.

Nikt się nie mieści, zabawa jest przednia, więc próbuje i sam Ozyrys. A kiedy tylko się umości, Set zatrzaskuje wieko, zamyka zasuwy, umacnia zaklęciami pieczęcie, ładuje skrzynię na wóz, zawozi ją nad rzekę i wrzuca do Nilu, żeby odpłynęła do morza.

Izyda w rozpaczy obcina swoje włosy.

Sarkofag znika, ale po kilkunastu miesiącach wieści o cudowniej skrzyni wyrzuconej przez morze i podarowanej królowi Byblos docierają do Egiptu, więc Izyda wyrusza, żeby odzyskać skrzynię od tamtejszego władcy. Udaje cudzoziemską piastunkę jego dzieci, kocha je, ale kiedy przeszkadzają jej w otwarciu wieka sarkofagu, giną od jej gniewnego wzroku. Bogini nie oszukasz.

Potem ładuje skrzynię na łódź i płynie do domu. Kiedy mija bagna, dopada ją Set, kradnie sarkofag, otwiera go i widzi nietknięte ciało Ozyrysa. Wścieka się i porąbawszy ciało na sto czternaście kawałków, wrzuca je do wody. Izyda odnajduje wszystkie z wyjątkiem członka, który zjadła ryba z rodzaju *Lepidotes*, dlatego Egipcjanie nigdy nie spożywali potraw z tej ryby.

Żona składa Ozyrysa w całość, a członek lepi z gliny. Jest twardy, dzięki czemu może mieć ze swoim mężem syna.

Aby Set w niczym się nie zorientował, Izyda buduje świątynię w każdym miejscu, gdzie znalazła fragment ciała swojego męża, dlatego w Egipcie istniało sto trzynaście grobów Ozyrysa.

Z mitu o Ozyrysie narodziło się przekonanie o nieśmiertelności dostępnej każdemu, kto potrafi zapewnić trwanie swojemu ciału.

Aby zachować ciało, Egipcjanie opanowali tajemną sztukę mumifikacji. Właściwie najpierw posiadł ją tylko Anubis, syn Ozyrysa i Neftydy, ukochany towarzysz Izydy, ten, który potrafił połączyć ze sobą członki ciała Ozyrysa.

Neftyda zwabiła Ozyrysa do swego łoża, żeby upokorzyć swoją siostrę Izydę. Wykorzystała fakt, że były bardzo do siebie podobne we wszystkim oprócz dobroci serca. Z tego związku narodził się Anubis, ale Neftyda nie chciała opiekować się chłopcem z głową szakala i pognała go precz na zatracenie.

Kiedy Izyda, po śmierci Ozyrysa, poznała prawdę (znalazła w łożnicy swojej siostry kwiat identyczny z tymi, jakie Ozyrys zostawiał jej za każdym razem, kiedy się kochali), zrozumiała, że jej mąż był niewinny i nieświadomy. A kiedy usłyszała o porzuconym dziecku, odnalazła je w strasznym stanie, ale żywe – nieśmiertelni przecież nie umierają – i odtąd stali się nierozłącznymi przyjaciółmi.

I to Anubis odprawił rytuał, który przywrócił Ozyrysowi życie.

Ozyrysowi Egipcjanie zawdzięczają też pomysł mumifikacji. Początkowo prawdopodobnie zawijano jedynie ciało zmarłego w bandaże i składano w „skrzyni Ozyrysa".

Dziwnym trafem najsławniejszy egipski rytuał albo nie doczekał się kompletnego oryginalnego opisu, albo też żadnemu z poszukiwaczy nie udało się odnaleźć zwoju dotyczącego mumifikacji. Być może kapłani tak pilnie strzegli swojej sztuki, że nie pozwolili na spisanie jej prawideł, zachowały się jedynie relacje greckich historyków – Herodota i Plutarcha oraz łaciński odpis rytuału balsamowania zawierający wskazania dla balsamującego i rytualne, religijne formuły, które trzeba wypowiedzieć, aby wszystko się udało na tym etapie.

Najwięcej informacji dostarczyło naukowcom zbadanie mumii Ramzesa II. W 1976 roku przewieziono ją z Kairu do Paryża celem konserwacji i wówczas po raz pierwszy w europejskich dziejach królewska mumia spotkała się w Europie z godnym przyjęciem – na lotnisku witały ją gwardia honorowa i orkiestra grająca hymny państwowe.

Do tej pory mumie trafiały na nasz kontynent w charakterze półproduktu albo gotowego proszku. *Pulver mumiae* sprzedawano od średniowiecza do końca XIX wieku w aptekach jako środek na

przeróżne choroby oraz jako afrodyzjak. Pierwsi na pomysł okradania egipskich grobowców i mielenia mumii na proszek wpadli Arabowie. Samo słowo *mumiya* jest pochodzenia arabskiego. Pierwotnie oznaczało rodzaj bitumenu, naturalnego, mineralnego asfaltu używanego w procesie mumifikacji.

Proceder okradania grobów stał się nagminny, podobnie jak wywożenie mumii z kraju. Jedna z nich trafiła w roku 1662 do Wrocławia, do apteki Kruzjusza. Zachował się opis z jej rozwinięcia. Handel mumiami przybrał takie rozmiary, że już w XVII wieku Egipt zabronił wywożenia mumii za granicę. Wówczas europejscy aptekarze rozpoczęli produkcję własnych, mumifikując zwłoki biedaków, aby potem je mleć na leczniczy proszek.

Wedle zachowanych zapisów proces balsamowania rozpoczynało umycie ciała i natarcie go sodą. Następnie kapłani odziani w maski Anubisa i Horusa opróżniali wnętrzności przez nacięcie wykonane z boku tułowia. Wyjmowano wszystkie wnętrzności oprócz serca, które potrzebne było zmarłemu, żeby mógł przejść przez Sąd Ozyrysa. Oczyszczano też czaszkę, przebijając się przez nos, aby wyciągnąć mózg. Czaszkę płukano prawdopodobnie alkoholem z wina palmowego. Żołądek, jelita, płuca i wątrobę balsamowano osobno. Znajdowały one miejsce w grobowcu w specjalnych kamiennych stągwiach albo były wkładane na powrót do wnętrza ciała wypłukanego sodą, mirrą, cynamonem i olejami. Ciało prawdopodobnie osuszane było przez długi czas sodą, a potem nasączane woskiem, aby zachowało elastyczność, dzięki czemu można było je wypchać trocinami, płótnem i piaskiem. Przed owinięciem w płótno mumie kobiet malowano na żółto, a mumie mężczyzn na czerwono.

Bandaże nie były zwyczajne, lecz zawierały wypisane magiczne formuły. Układ warstw wskazuje, że najpierw bandażowano głowę. Umieszczano pod nimi magiczne amulety.

Jak dokładnie wyglądał rytuał bandażowania i umieszczania ciała w sarkofagu – nie wiemy.

Zmumifikowane ciało składane w sarkofagu Egipcjanie nazywali *khat*. Aby zmarły mógł stanąć przed Sądem Ozyrysa, musiał przejść ceremoniał otwarcia ust, szczegółowo opisany na ścianach komory grobowej faraona Setiego I.

Nieśmiertelna wersja *khat*, ta, która mogła istnieć na Polu Trzcin, to *sahu*. *Sahu* mogło powracać na ziemię, aby dopełnić zemsty na tych, którzy wyrządzili mu zło za życia.

Mumia. Muzeum w Gizie, Egipt

Ankh, symbol życia w ręce faraona, Karnak, Egipt

Khat pierwszego człowieka ulepił z gliny Chnum, bóg z głową barana. Żeby je ożywić, umieścił w środku *ka* oraz własne nasienie. *Ka* to siła życiowa, kiedy opuszcza ciało – następuje śmierć. Aby ją podtrzymać, w grobowcach zostawiano dla niej jedzenie i picie. W pewnym sensie *ka* można przetłumaczyć jako ludzką duszę, choć w egipskiej koncepcji człowiek posiada także inny duchowy aspekt: *ba*, czyli osobowość. *Ba* jest nieśmiertelna i może powracać do świata żywych w postaci ptaka z ludzką głową. Niektórzy badacze uważają, że wraz z rozwojem judaizmu religia egipska zaadaptowała pojęcie nieśmiertelnej duszy i *ba* otrzymała te właśnie cechy. W *Księdze umarłych* to właśnie *ba* otrzymała zdolność do życia pozagrobowego w niewidzialnej postaci. Na tym nie kończy się metafizyczna część istnienia Egipcjanina, bo posiadał on jeszcze cień, który był magiczną istotą zawierającą indywidualne cechy człowieka, oraz imię – *ren*. Kto posiadał znajomość prawdziwego imienia, zdobywał władzę nad istotą nie tylko ludzką, lecz także boską.

Izyda znała prawdziwe imię Ra i bóg musiał jej być posłuszny. Jeśli *ren* trwało, *ka* i *ba* człowieka mogły się połączyć i zapewnić mu wieczne życie. Jeśli *ren* zostało zapomniane – jego *ka* i *ba* nie mogły się połączyć, a wówczas człowiek rozpływał się w niebycie. To dlatego właśnie faraonowie dbali o to, żeby ich imiona wyryte były w kamieniu. I z tego samego powodu niektórzy władcy starali się zetrzeć imię poprzednika z powierzchni ziemi. Zwłaszcza jeśli na przykład przejęli władzę w wyniku zamachu. Wówczas woleli, żeby zniknął i żeby jego *sahu* nie powróciło, by się mścić.

Sęk w tym, że trzeba było wymazać każdą wzmiankę, w kamieniu, na papirusie, na kawałku drewna. Dopóki przetrwało choć jedno *ren* – zemsta wciąż była możliwa.

Od pierwszej wizyty w Kairze wiedziałem, że będę wracał do Egiptu, kiedy tylko będzie to możliwe. Do Miasta Umarłych – olbrzymiego kairskiego cmentarza, na którego terenie, w drewnianych lub glinianych grobowcach, wraz z trumnami przodków mieszkają tysiące ludzi. Do klasztoru Świętej Katarzyny na Synaju, żeby wspiąć się na górę, na której Mojżesz spotkał Pana i otrzymał od niego kamienne tablice, nad Morze Czerwone, które rozstąpiło się przed Izraelitami, ale przede mną nie chciało i dobrze, bo dzięki temu mogłem zanurzyć się w krystalicznie czystych wodach pod rafami koralowymi Dahabu i zobaczyć świat tak bogaty i barwny, że nic nie może się z nim równać, może tylko rafy Południowego Pacyfiku. Wracałem, żeby popłynąć drewnianą łodzią z Suezu do Ismailii przez Wielkie Jezioro Gorzkie i być gościem ludzi biednych, ale dobrych, którzy nie wypuszczą cię z domu, zanim nie nakarmią cię tym, co sami mają, choć mają niewiele, bo są dumni, że dotarłeś do ich wioski, że dzieliłeś z nimi skrawek cienia pod szmatą na pokładzie, który słońce próbowało podpalić cały dzień, że nie zadzierałeś nosa i pozwalałeś dzieciom dotykać swoich włosów bez koloru i skóry, co płonie od słońca jak sam wstyd.

Najchętniej jednak na pustynię.

Pustynia ma w sobie coś nierzeczywistego, metafizycznego i kiedy tam jesteś, rozumiesz, że to nie jakieś pozaziemskie cywilizacje przyniosły starożytnym tak niebywale bogatą obyczajowość i tak złożoną religię, ale że oni naprawdę spotkali Boga.

Na pustyni to nikomu nie wydaje się niemożliwe.

Kiedyś, w czasie Rajdu Faraonów, zapędziliśmy się zbyt daleko na wydmy. Mateusz Szelc i ja byliśmy tam, żeby fotografować i pisać o postępach zawodników Poland National Team, którzy w rajdach cross country walczyli o puchar świata. Rafał Sonik gnał po zwycięstwo, Mateusz świetnie jeździ po pustyni, więc wdzieraliśmy się w jej otchłań, żeby przyłapać zawodników w najbardziej nieprawdopodobnych i groźnych okolicznościach natury.

Zabłądziliśmy, bo na wydmach nie możesz pojechać tam, dokąd zechcesz, ale musisz trzymać się grzbietów wydm i nieustannie ryzykować. Jeśli nie będziesz dość szybki, utkniesz na stoku przed jego przełamaniem, a jeśli będziesz zbyt szybki, wylecisz w powietrze i złamie cię na przeciwstoku.

Tak się stało. Utopiliśmy w piachu land cruisera, wykopywaliśmy go godzinę albo dłużej, a potem ruszyliśmy ku twardej ziemi najszybciej, jak się da i – po skorupie na azymut – ku szosie do granicy libijskiej.

Nie było tam wtedy bezpiecznie, bo islamscy fundamentaliści próbowali przedzierać się tą drogą, żeby wzniecić zamieszki po egipskiej stronie granicy.

Ankh wkładany w usta faraona na znak jego wiecznego życia, Luwr, Paryż

Posterunki były gęsto rozstawione. Nie baliśmy się, bo wojsko zostało uprzedzone o obecności zawodników.

Ale nie dziennikarzy, którzy nadjadą zakurzoną toyotą od strony Libii, w czasie kiedy cały wyścig jest już w zupełnie innej części pustyni.

Jechaliśmy szybko. Widzieliśmy, jak światło błyska od strony posterunku. Zachód słońca odbijał się w lornetkach zwiadowców.

Pół kilometra od bunkra leżały na ulicy kolczatki i betonowe bloki, musieliśmy zwolnić i jechać zygzakiem.

Potem się zatrzymaliśmy.

Zwiadowcą był młody chłopak.

– Mieliście dużo szczęścia – powiedział, kiedy Mateusz opuścił szybę. – Snajper trzymał was cały czas na muszce, ale coś mi mówiło, żeby jeszcze poczekać. My też mieliśmy szczęście, bo naprawdę wyglądało to tak, jakbyście chcieli się przedzierać przez blokadę.

Tak. Kto był w Egipcie, ten ma szczęście. Bez wątpienia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Metempsychoza i greckie wino

Pamiętam Rodos w kolorze ochry, z białymi domkami i oszałamiającym błękitem niebios. Na Prasonisi uczyliśmy się, jak postawić latawiec do pionu, a następnie wskoczyć na deskę i szpanować na plaży w charakterze mistrzów kitesurfingu. Wszyscy to potrafili – poza mną. Ja, ciągnięty przez latawiec po płytkiej wodzie, piłem sól, a potem żarłem piasek, bo ten potwór potrafił ciągnąć mnie nawet po brzegu.

Wtedy byłem szczuplejszy.

Piłem później piwo pod wielkim parasolem i to był szczęśliwy czas. Z Darią, dziewczyną z naszej grupy, pojechaliśmy do Lindos, żeby zrobić sobie zdjęcia z osłami, najeść się fig, wspiąć na Akropol i popatrzeć z góry na morze. Niewiele pozostało ze świątyni Ateny, ale niektóre fragmenty murów mają 3 tys. lat, a kolor morza widziany z wierzchołka musi być fantomem, fatamorganą, fantasmagorią. W żadnym razie nie może być prawdziwy. W kościółku w Lindos mają kolorowe freski pełne świętych mężów, a Święty Krzysztof wyobrażony jest tam z głową psa. Przed ikonostasem na pulpicie umieszczona była ikona, a na niej gałązka z kwiatami; kiedy Daria podeszła tam, żeby przyklęknąć, jeden z kwiatów oderwał się, padł do jej stóp i oboje pomyśleliśmy, że to wróżba, ale nie umiała się wypełnić.

Następnego dnia z przyjaciółmi popłynęliśmy jachtem dookoła wyspy po turkusowej wodzie, a nasz kucharz przygotował świeżą ośmiornicę z rusztu. Przypomniałem sobie, że greccy filozofowie nie wierzyli w istnienie śmierci, i kiedy patrzyłem z pokładu na to olbrzymie,

nieskazitelne niebo oczyma cierpkimi od wina, to przez moment wiedziałem, że mieli rację. Że nie umrzemy. Bo nie ma śmierci. Może gdzieś tam w nieprzebytych puszczach Germanii albo w pustyniach Libii może się komuś przydarzyć, ale nie tutaj.

Tales z Miletu uważany jest za ojca europejskiej filozofii, bo jako pierwszy odłożył na półkę z bajkami mity o Zeusie, Afrodycie i Hadesie i postanowił za pomocą rozumu odnaleźć jednolitą zasadę, która kieruje zjawiskami natury. Poszukiwania te doprowadziły go do rewolucyjnego wówczas, w VII wieku przed narodzinami Chrystusa, twierdzenia o nieśmiertelności duszy. Oczywiście nie w sensie, w jakim mieli to kiedyś w przyszłości rozumieć chrześcijanie – zasiadania nieśmiertelnych dusz pośród anielskich chórów w niebie, w którym jest mieszkań wiele. Tales uważał, że ludzka dusza podlega zasadzie tak jak wszystkie inne zjawiska, więc nie umiera, bo zasada jest stała, niezmienna i nieśmiertelna. Dusza więc jedynie zmienia swoje właściwości. Podobnego twierdzenia nie powstydziliby się żyjący 2,5 tys. lat po Talesie współcześni ateiści racjonaliści, tłumaczący, że po śmierci człowiek staje się wiązką kwantowej energii, bo we wszechświecie żadna energia przecież nie ginie ani nie powstaje z niczego. Mówi o tym wprost pierwsza zasada termodynamiki – „zmiana energii wewnętrznej układu zamkniętego jest równa energii, która przepływa przez jego granice na sposób ciepła i pracy". Dla Talesa umieranie i powstawanie jest po prostu przemianą bytu. Physis – natura jest bowiem ostatecznym rozwiązaniem. Z niej wszystko powstaje i w nią się potem rozpada.

Znacznie radykalniej sformułował zasadę nieśmiertelności Parmenides, uznając oczywistość istnienia bytu, który jest wieczny, nie ma początku ani końca, jest nieruchomy, doskonały i kompletny oraz jednorodny. Parmenides wyprowadził zasadę nieistnienia niebytu. Dlatego nie może istnieć śmierć, która byłaby osią zamiany bytu w swoje zaprzeczenie. Zasadę bytu rozpoznać można tylko rozumem, nie zaś zmysłami, którym wydaje się, że istnieją dzień i noc, choć obie

są tym samym bytem. Śmierć jest jedynie złudzeniem zmysłów, którym wydaje się, że rejestrują ustanie procesów życiowych. Na szczęście rozum wie, że ona nie istnieje.

Ten radykalny pogląd złagodził Empedokles, ustalając, że świat zbudowany jest z czterech niezniszczalnych, odwiecznych żywiołów: wody, ognia, powietrza i ziemi. Łączenie tych elementów wydaje się ludziom powstawaniem, a rozłączanie wydaje się rozpadem i umieraniem, ale tak naprawdę to zjawisko nie następuje, bo żywioły wciąż pozostają takie same jak przed połączeniem.

Jeśli nie pociesza was ta myśl, proponuję odrobinę czerwonego wytrawnego wina Minos Palace, oczywiście z Krety.

Od teorii czterech żywiołów blisko już do rewolucyjnego pomysłu Demokryta z Abdery, podróżnika i filozofa, który ogłosił światu, że byt nie jest jednolity, ale składa się z nieskończonej liczby atomów poruszających się w próżni. Jeśli jest ich mniej – materia jest miękka, jeśli więcej – twarda, znamy to wszyscy z fizyki. Zdaniem Demokryta zarówno ciało, jak i dusza człowieka też składają się z atomów. A ponieważ śmierć polega na tym, że atomy się rozpadają, to śmierć człowieka jest nieuchronna i bezdyskusyjna, ponieważ rozpada się zarówno ciało, jak i dusza.

W związku z tym nie ma życia pozagrobowego, wszelakie żałobne rytuały są najzupełniej zbędną stratą czasu, a przywiązanie człowieka do życia i spraw doczesnych całkowicie niepojęte. Zwłaszcza jeśli objawia je ktoś, komu przypadło w udziale życie w znoju i trudzie.

Co innego my, na pokładzie białego jachtu ze schłodzonym kubkiem Minos Palace.

Żeby była jasność – filozofowie nie byli najwybitniejszymi celebrytami swoich czasów. Sława herosów takich jak Achilles czy Herakles była niepomiernie szersza, a młode greckie cwaniaczki miały w swoich domach ich odlane ze spiżu figurki. O Demokrycie z Abdery zwykli zjadacze chleba nie słyszeli, ale jego mityczny krajan z Tracji, Orfeusz – o, ten cieszył się niebywałą sławą. Orfeusz, tracki król i poeta,

syn Kalliope – muzy poezji epickiej, był najlepszym opowiadaczem historii w całej Grecji. Kiedy grał na cytrze, cichła burza, a dzikie zwierzęta stawały się łagodne jak baranki. Największe zasługi położył jednak w tym, jak my, Europejczycy, traktujemy śmierć.

Pewnego razu Aristajosowi spodobała się żona Orfeusza, Eurydyka. Spodobała mu się tak bardzo, że postanowił natychmiast ją posiąść. Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, ale wtedy nie wszystko było jeszcze wybrukowane i w gęstwinie traw nadepnęła na jadowitą żmiję.

Po śmierci Grecy wędrowali w owym czasie do podziemnej krainy Tartaru rządzonej przez Hadesa i Persefonę. Żaden śmiertelnik nie mógł przekroczyć granic Styksu, rzeki oddzielającej Tartar od krainy żyjących. Przez rzekę woził zmarłych swoją łodzią niejaki Charon; aby zechciał płynąć, musiał dostać od duszy zmarłego obola, dlatego Grecy swoim zmarłym dawali pieniądz na drogę.

Orfeusz zagrał tak pięknie, że zahipnotyzował Charona, który przewiózł na drugą stronę żywego. W Tartarze z kolei oczarował swoją grą Persefonę, a ona przekonała męża, żeby wypuścił Eurydykę do świata żywych.

Warunek był taki, że Orfeusz, wracając, nie obejrzy się ani razu. Duszę Eurydyki prowadził Hermes o uskrzydlonych stopach i przez całą drogę Orfeusz słyszał jedynie własne kroki. Nie wytrzymał napięcia, obejrzał się i w ten sposób zmarnował szansę na zmartwychwstanie ukochanej.

Orfeusz uchodzi za twórcę orfizmu – prądu religijnego, który odcisnął wyraźne piętno na sposobie, w jaki starożytni Grecy myśleli o śmierci. Wszystko zaczęło się od bogów. Oto Zeus i Persefona, żona jego brata, wdali się w romans. Urodził się im chłopiec, Zagreus. Hades nie lubił chłopca i poszczuł na niego Tytanów. Zagreus był mądrym dzieckiem, które rozumiało, że nie ma najmniejszych szans w starciu z siedmioma olbrzymami z czasów starszych niż nieśmiertelni bogowie. Nie uciekał więc, ale zmieniał postacie. Ukazał im się jako Kronos, potem jako Zeus, tygrys i wreszcie jako byk.

Tytani zabili byka i zjedli go, pozostawiając jedynie serce.

Serce znalazła Atena, a jej brat Apollo ukrył je w Delfach. Zeus pozabijał Tytanów, zjadł serce swojego syna i wraz z królewną Tyone począł swego syna ponownie, dając mu tym razem na imię Dionizos.

Z tej opowieści wyrosła wiara Greków w nieśmiertelną duszę zdolną do metempsychozy – czyli kolejnego wcielenia. Po spotkaniu z bogiem Zagreus odrodził się jako Dionizos. Dusza musiała odradzać się w kolejnych wcieleniach, aż do momentu, kiedy stawała się czysta i mogła sama stać się boska.

Nie wiadomo, w jakim żylibyśmy świecie, gdyby filozofowie byli lepszymi opowiadaczami historii niż Hezjod czy Homer. Ludzie woleli uwierzyć poetom.

Wierzyli, że Orfeusz otrzymał od bogów opowieść o powstaniu świata i stworzeniu człowieka oraz o istnieniu boskiego, nieśmiertelnego pierwiastka w każdym człowieku.

Utożsamiali go z daimonionem, demonem, czyli duszą.

Dusze przebywają w zaświatach, ale kiedy zaciągają winę, skazane zostają na życie w ciele i jeśli wypełnią ten obowiązek dobrze, czeka je wybawienie.

Dusza grecka jest niezwykle skomplikowana. Być może dlatego, że do rozwikłania tajemnic duszy wzięli się poeci, zamiast pozostawić to filozofom.

O tym, czym jest dusza, opowiadał mit o Erosie i Psyche – dziewczynie, która igra z bogami i miłością, ale jest tak piękna, że Zeus bierze ją do nieba, daje jej nieśmiertelność i pozwala urodzić córkę Erosa – Hedone, czyli Rozkosz.

Grecy używali trzech słów na określenie duszy. *Psyche* to obejmująca całe ciało warstwa metafizyczna osobowości, która w momencie śmierci ulatuje w niebiosa, aby błąkać się przez całą wieczność w Hadesie, a jeśli była wyjątkowo zła – to nawet w Tartarze. Druga warstwa – *nous* – to intelektualno-poznawcza część ludzkiej osobowości. Nie ma swego

miejsca po śmierci i być może dlatego psyche jest taka zabłąkana. Trzecią warstwą jest *thymos* – siła życiowa człowieka, ale także i zwierząt. Z chwilą, kiedy *thymos* opuszcza ciało z ostatnim oddechem lub upływem krwi, człowiek przestaje żyć.

Przekonanie, że śmierć jest ostatecznym nieszczęściem, po którym po człowieku pozostaje tylko marny, chwiejny, niewyraźny cień *psyche*, zawdzięczamy Homerowi. To on skazał ludzkość na lęk przed umieraniem, które jest ostatecznym kresem marzeń o szczęściu. Pola Elizejskie są przeznaczone tylko dla tych, którzy stali się bohaterami, i dla ich boskich kochanek.

Dusza wraca z Hadesu na ziemię, żeby dopełnić kary, dlatego życie ludzkie naznaczone jest cierpieniem. Człowiek nie pamięta swojego bytowania w zaświatach, bo przed kolejnym wcieleniem dusza musi pić z rzeki Lete, z wody zapomnienia.

Na wyższy poziom egzystencji podniósł duszę Sokrates. Rozwinął on myśl Pitagorasa, że ciało więzi duszę i przeszkadza jej w staniu się doskonałą, ale w jego filozofii dusza nie jest już jedynie strzępem i bezwolnym cieniem, tylko bytem świadomym, unoszącym do Hadesu pamięć o tym, kim była za życia. Dusza jest nieśmiertelną ludzką świadomością.

Sokrates przeniósł ciężar ziemskich starań człowieka z dbania o urodę i wygodę ciała na staranność o zachowanie dobrej, czystej, niepokalanej duszy. Ta koncepcja dominowała w europejskiej humanistyce aż do naszych czasów, które cofnęły nas do barbarzyńskiego modus vivendi, w którym nie liczy się już, kim jesteśmy, ale jakie mamy tatuaże, ile przeszliśmy liposukcji i czy zrobiliśmy sobie usta, czy też cycki.

Liberalna, wolnorynkowa gospodarka bezwzględnego zysku i demokratyczny, lecz wychowujący ludzi na wtórnych analfabetów system facebookowych, emotikonowych lajków cofnęły naszą cywilizację o dwadzieścia kilka stuleci. Oczywiście nie w dziedzinie motoryzacji, ale rozumienia ludzkiej kondycji i powinności. Ponieważ

istota człowieka, jego indywidualna osobowość mieści się w nieśmiertelnej duszy, śmierć jest dla niego wybawieniem od uciśnienia w okowach ciała, jest najważniejszym, oczekiwanym z niecierpliwością momentem oświecenia i powrotu do miejsca, w którym dusza czuje się najbardziej u siebie. Sokrates zdawał sobie sprawę z ludzkiego lęku przed śmiercią, choć sam go nie doświadczał. Uważał, że wykształcony człowiek o niepokalanej moralności oczekuje śmierci jak wybawienia. Strach przed śmiercią cechuje bowiem jedynie jednostki ociężałe umysłowo i niedojrzałe duchowo. W chwili, kiedy został skazany na śmierć, Sokrates stwierdził, że stał się człowiekiem naprawdę wolnym. Platon, najzdolniejszy z uczniów Sokratesa, o śmierci powiadał przede wszystkim, że dotyczy jedynie ciała. Dusza, wyzwolona z ciała, istnieje odtąd sama dla siebie. Jeśli w toku życia udało się duszy ocalić dobro, może teraz oddawać się bez końca kontemplacji idei. Kontemplacja jest celem, dla którego dusze zostały stworzone przez demiurga – osobową siłę, która stworzyła świat. Dusza jest nieśmiertelna, jako że to, co porusza się samo z siebie, istnieje ponad wszelką wątpliwość. W platońskim ujęciu filozofia jest doskonaleniem się w śmierci – duchową drogą skupienia się na tym, co dobre i trwałe, a powstrzymania się od rozkoszy, żądz, cierpień i lęku. Odrzucenia wszystkiego, co doczesne, a człowieka jedynie rozprasza. Śmierć nie jest złem, ale wysłanie w zaświaty duszy obarczonej niesprawiedliwością jest największym złem, jakie człowiek może wyrządzić sam sobie.

Najwybitniejszy z greckich myślicieli, Arystoteles ze Stagiry, człowiek, który opracował struktury fabularne nauczane dzisiaj na zajęciach z kreatywnego pisania, napisał używane do dziś podręczniki logiki, skodyfikował zasady demokracji i wymyślił psychologię, tak bardzo lubił swoje miejsce na ziemi, że kiedy Filip II zburzył miasto, Arystoteles zgodził się zostać nauczycielem jego syna, Aleksandra Wielkiego, pod warunkiem, że król je odbuduje.

Na biednego nie trafiło, więc król odbudował Stagirę i Arystoteles mógł po śmierci spocząć na tamtejszym cmentarzysku, choć wcale go to nie obchodziło, bo nie wierzył w nieśmiertelną duszę jak jego nauczyciel Platon.

Dusza ma różne właściwości, na przykład myślenie, ale nie mogłaby myśleć niezależnie od ciała, jest więc z nim nierozerwalnie związana. I choć dusza jest najdoskonalszą ze wszystkich istniejących form, najbliższą połączenia się z Bogiem, to nie może istnieć bez ciała i kiedy ciało umiera, dusza odchodzi wraz z nim. Ale nie całkiem umieramy, ponieważ rozum oddziela się od ciała i właśnie on istnieje w formie nieśmiertelnej, łącząc się z Bogiem, który sam jest najdoskonalszym rozumem. Arystoteles nie wierzył w bogów z Olimpu, ale w Najdoskonalszy Umysł, Wielkiego Poruszyciela, którego Tomasz z Akwinu utożsami kiedyś z Jahwe.

Bóg zajęty jest kontemplowaniem własnej doskonałości, a rozum ludzki po śmierci łączy się z Nim w tym chwalebnym działaniu. Dusza nie ma pamięci ani nie odczuwa emocji. Wszystko to dostępne jest duszy jedynie do momentu śmierci. Wraz ze śmiercią nie musimy już pamiętać ani złego, ani dobrego, ani się smucić, ani radować.

Lepiej więc niektórych radości nie odkładać na potem.

Zwłaszcza że w kontemplacji doskonałości Boga, jak wiadomo, pomocne są wina ze starych miejscowych szczepów roditis oraz malagousia, na przykład wspaniała Alexandra z winnicy Papayianni, kwadrans samochodem na zachód od Stagiry.

Moi przyjaciele z Bałkanów twierdzą, że najlepsze greckie wina pochodzą z Samos. Winorośle uprawiane od dwunastu stuleci przed Chrystusem na wysokich, dochodzących do dziewięciuset metrów nad poziomem morza tarasach gór Ambelos były prawdziwym przysmakiem bogów. I filozofów. Z Samos pochodził Epikur i jemu należy się palma pierwszeństwa w uwalnianiu ludzi od śmierci. A przynajmniej od lęku przed nią.

Epikur uważał, że lęk przed śmiercią jest najpoważniejszym lękiem, jakiego może doświadczyć człowiek. Lęk ten potęgują w człowieku wizje zaświatów – kar piekielnych czy krain wiecznej szczęśliwości, do których dostać się jest diabelnie trudno, bo trzeba całe życie być dobrym i nie czynić zła, żeby tam dotrzeć. Epikur twierdził, że to nielogiczne, kategorie dobra i zła wiążą się bowiem z czuciem, a śmierć jest przecież całkowitym pozbawieniem czucia. Śmierć jest rozpadem ciała i duszy na atomy, z których powstaną następnie inne ciała i inne dusze. Śmierć jest dla człowieka źródłem szczęścia i spokoju, bo skoro dusza jest śmiertelna, to nie grozi nam żadne piekło czy Tartar. Wybawia nas też od ziemskich lęków, niespełnień, bólu, cierpienia, zawiedzionych nadziei.

Śmierć, najstraszniejsze z nieszczęść, wcale nas nie dotyczy – twierdzi Epikur – bo gdy my istniejemy, śmierć jest nieobecna, a gdy tylko śmierć się pojawi, wtedy nas już nie ma.

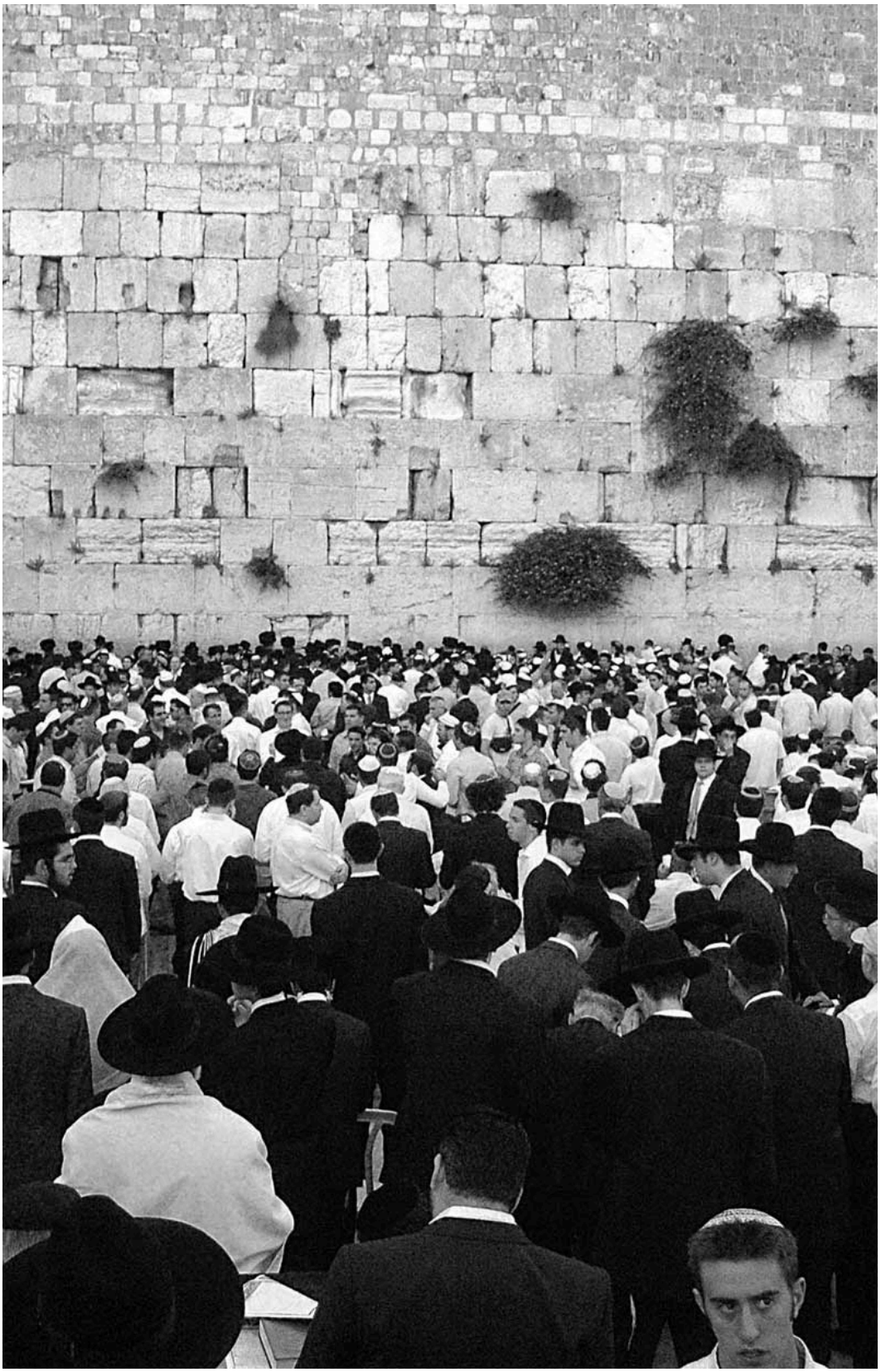

ROZDZIAŁ CZWARTY

A wraz z nim śmierć

Zeszliśmy ku Ścianie Płaczu, a tam najpierw trzeba iść przez bramki do wykrywania metalu i pokazać wnętrza plecaków uzbrojonym strażnikom. Kontrole są drobiazgowe, ale uprzejme. Starsi koledzy mówią, że nie zawsze tak bywało.

– *Enjoy* – oficer w czarnym berecie w końcu się uśmiecha – tylko proszę nie robić zdjęć. Nie w szabas.

Potem nas rozdzielają. Dziewczyny na prawo, a my na lewo. Wkładamy na głowy papierowe, jednorazowe jarmułki i wchodzimy w tłum. Karabiny ustawione w pęczki. Splecione ramiona. Taniec i śpiew. Zupełnie jak w Polsce na weselu, kiedy wszyscy mają już w czubie tyle, że pęka wstyd i zaczyna się zorba. Ale tutaj wszyscy są trzeźwi. A może pijani radością? Tu nie są żołnierzami. Ani bankierami. Ani nawet *yuppie* z Tel Awiwu. Tu nie ma wojen, nie ma żadnych epidemii, światowego kryzysu, ani nawet wszędobylskich zasieków z drutu. Tylko biegnący środkiem drewniany parkan. Lewa strona dla mężczyzn, prawa dla kobiet. Nikogo z odkrytą głową. Chasydzi w czapach i kapeluszach. Pozostali w kipach. Obcy w papierowych jarmułkach, które trzeba wpiąć we włosy wsuwką, bo inaczej odlecą z wiatrem.

– Jak to możliwe, że ludzie potrafią się tak cieszyć?

– To Szechina, miejsce, w którym można doświadczyć obecności Boga. – Yoram, brodacz, który wygląda na sprzedawcę komputerów, ale przecież umie strzelać (a może i skakać ze spadochronem?), rozkłada

ręce. – To miejsce, do którego tęskniliśmy dwa tysiące lat. Czy może dziwić, że tańczymy z radości? Wy nie tańczycie w kościołach?

Nawet jeśli kpi, to nie daje tego poznać po sobie.

– Nie. Nie tańczymy.

Żydzi nie używają nazwy Ściana Płaczu. Mówią Zachodni Mur.

– Widzisz, to raczej ściana radości, prawda? Mówiliśmy o niej Ściana Lamentu, póki byliśmy na wygnaniu. Ale odkąd wróciliśmy, jest inaczej.

W 1967 roku spadochroniarze dotarli pod Mur, zdjęli hełmy i zaczęli się modlić. Ktoś zrobił im zdjęcie. Chłopak w środku, taki blondyn, wyglądał jak Janek z *Czterech pancernych*. Plakat z tym zdjęciem można teraz kupić w każdym kiosku i na każdym straganie. Żeby zapewnić ludziom dostęp do Ściany, Izrael wyburzył palestyńskie osiedle. Po lewej stronie Muru sklepione wejście prowadzi do podziemnej synagogi. Brodaci rabini za „datek na biednych" prowadzą do gabloty, z której wyciągają „prastary zwój Tory".

– Za sto szekelim można zrobić zdjęcie… Nie chcesz? To pobłogosławię ciebie, pomodlę się za twoje dzieci i twoją małżonkę. – Rabbi uśmiecha się dobrotliwie. – Jesteś po rozwodzie? To za pięćdziesiąt.

Nie pamiętałem, jak wiele nas łączy, ale łapiemy w lot nasze żarty i smutki, podobnie zażarte toczymy spory o politykę, mamy tak samo nadopiekuńcze matki, lubimy kisić ogórki, a Menachem Begin, legendarny twórca izraelskiej niepodległości, zanim rozpoczął tę walkę, otrzymał od generała Andersa zwolnienie z przysięgi wojskowej na wierność Rzeczypospolitej. Myślenie o śmierci mamy podobne, choć rabini podkreślają, że ani w Torze – pierwszych pięciu księgach Biblii – ani w żadnej z pozostałych ksiąg nie ma mowy o żadnych zaświatach, niebie, piekle czy, nie daj Boże, czyśćcu. Ale kilka tysięcy lat współistnienia z innymi religiami, zwłaszcza z chrześcijaństwem i islamem, odcisnęło wyraźne piętno na żydowskiej obyczajowości i ku utrapieniu ortodoksyjnych, wykształconych w Piśmie rabinów przekonanie o istnieniu życia pozagrobowego jest dosyć powszechne.

Chrześcijańska Europa przejęła z judaizmu opowieść o tym, skąd śmierć wzięła się w idealnym, szczęśliwym świecie stworzonym przez Boga w ciągu sześciu fascynujących dni. Wydawać by się mogło, że skoro stworzył wszystko, to właśnie Bóg stworzył śmierć.

Otóż nie. Kiedy ktoś krzyczy na dziecko i dziecko zaczyna płakać, to czy Bóg stworzył jego ból i strach? Nie – stworzył je ten, który krzyczy. Ze śmiercią jest dokładnie tak samo. Stwórcą śmierci jest człowiek. Bóg umieścił człowieka w Edenie i pozwolił mu jeść owoce z każdego drzewa, które tam rosło, z wyjątkiem drzewa poznania dobra i zła.

– Jeśli z niego spożywać będziesz, niechybnie umrzesz.

W hebrajskiej tradycji słowo „spożywać" ma znaczenie szersze niż polskie „jeść" i oznacza zapanowanie nad czymś. Bóg ostrzega człowieka, żeby nie przypisywał samemu sobie zdolności do rozstrzygania, co jest dobre, a co złe. W żydowskiej egzegezie Eden symbolizuje duszę ludzką, Adam intelekt, a Ewa zmysły. Kiedy rozum śpi, budzą się upiory, a Ewa rodzi się z żebra Adama, kiedy mężczyzna śpi. Zmysły sprawiają, że człowiek sięga po owoc. Księga Genesis nie mówi, jaki to jest owoc. W judaistycznej tradycji to najczęściej owoc winorośli, bo wino powoduje, że człowiek traci rozsądek.

– Na pewno nie pomrzecie – mówi Wąż. – Gdy spożyjecie owoc z tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło.

Bóg wypędza ludzi z Edenu w obawie, że mogliby zjeść także z Drzewa Życia i stać się nieśmiertelni. Na wschód od Edenu człowiek staje się prochem i w proch się musi obrócić.

Śmierć przyszła na świat wraz z grzechem popełnionym przez człowieka.

Ale pobożny żyd nie boi się *mot* ani *tojt*, czyli śmierci. Każdego wieczora w czasie modlitwy myśli nad tym, co złego i dobrego uczynił w ciągu dnia, i może poczuć żal za zło. To daje gwarancję, że gdyby umarł we śnie, Bóg wybaczy mu wszelkie winy.

Tyle teoria. Praktyka życia w diasporze pośród wielu innych kultur sprawiła, że żydowska obyczajowość bardzo rozbudowała opowieść

o śmierci i o zaświatach. Roznosili je po świecie baal szemowie – wędrowni egzorcyści handlujący amuletami, magicznymi miksturami – i cadykowie, których w każdym pokoleniu jest trzydziestu sześciu i którzy dzięki swoim dobrym uczynkom podtrzymują istnienie świata.

Kiedy żyd popadał w chorobę, rodzina modliła się za niego w synagodze, ale też na grobie cadyka albo na grobie kogoś bliskiego choremu, aby zdobyć wsparcie i pomoc z zaświatów. Stawiano też w domu świecę ważącą tyle samo co chory oraz, żeby Malach ha-Mawet, Anioł Śmierci stający z mieczem u wezgłowia łóżka, nie zabrał chorego – zmieniano mu imię. Anioł Śmierci nie mógł go wówczas zawołać. To nowe imię, jeśli wyzdrowiał, nosił już do końca życia. Jeśli chory miał żonę lub męża – rozwód mógł powstrzymać śmierć, a jeśli miał narzeczoną – to rozdarcie układu zaręczynowego nad łóżkiem chorego. Można było też ogłosić *pidjon nefesz*, zbiórkę na rzecz duszy chorego. Zebrane pieniądze rozdawano biednym.

Jeśli wszystko zawiodło – trzeba było umierać. Jeszcze sto lat temu w żydowskim domu stawiano na oknie naczynie z wodą, żeby Anioł Śmierci mógł w niej obmyć ostrze swojego miecza, i wieszano czyste płótno, żeby mógł to ostrze osuszyć.

Do domu przychodzili członkowie bractwa żałobnego Chewra Kadisza, żeby zająć się umierającym – odmówić z nim psalmy i pomóc w pogrzebie. Nie wolno zarabiać na czyjejś śmierci, pomoc bractwa była bezinteresowna, a pieniądze za pogrzeb, w zależności od zamożności zmarłego, otrzymywała gmina.

Kiedy chory przestawał mówić, kładziono mu na ustach piórko albo przystawiano do nich lusterko. Wierzono, że ostatnim, co widzi umierający, jest Anioł Śmierci z obnażonym mieczem, na którego ostrzu drży kropla krwi albo żółci.

Jeśli umierający już nie oddychał, najstarszy syn zamykał oczy zmarłego.

Teraz trzeba było zakryć wszystkie lustra, otworzyć okna i zatrzymać zegar. To dlatego, że w żydowskiej nauce o duszy wyróżnia się jej trzy

postaci. *Neszama* w chwili śmierci odlatuje do Boga, otwarte okno może jej pomóc. *Nefesz* zostaje, bo na siedmiodniowy okres żałoby przywiązana jest do ciała i nie powinna widzieć siebie w lustrze ani nie powinien jej oglądać nikt z żyjących. *Nefesz* odchodzi całkiem po roku od śmierci. *Ruach* nigdy nie opuszcza ludzkich szczątków. Ciało po śmierci wciąż jest święte, jako że stworzone zostało na obraz i podobieństwo Boga. I zostaje święte do dnia sądu ostatecznego. Kości martwych są święte i nienaruszalne. Żydzi nie praktykują ekshumacji i nie dotykają ziemi, w której jest obecna *ruach*.

Kirkut Warszawski późną jesienią

Tablica na siedzibie Vernichtungskommando, ul. Żelazna 103, Warszawa

Tradycja stanowi, że każde naruszenie kości na ziemi powoduje zakłócenie spokoju duszy w niebie. Ma to poważne konsekwencje, ponieważ żydowska tradycja nie pozwala na jakiekolwiek prace, które mogą naruszyć znajdujące się pod powierzchnią ziemi kości. Nie należy tego czynić, w przeciwnym razie człowiek nie będzie mógł zmartwychwstać na końcu czasu. Nie wolno więc „porządkować" zapadniętych czy zniszczonych grobów. Nie wolno podnosić zapadniętych w glebę płyt nagrobnych, nie wolno usuwać korzeni drzew, które wrosły w ziemię na grobach czy w ogóle na terenie cmentarza. Rośliny można usuwać tylko do powierzchni ziemi, a gałęzie i liście trzeba zbierać ręcznie. Nie dopuszcza się ekshumacji osób, które zginęły za wiarę, dla uświęcenia imienia Pana, a do takich zaliczane są ofiary Zagłady. W wyjątkowych sytuacjach, po uzyskaniu zgody rabina można przenieść zwłoki w przypadku, kiedy grób jest zagrożony zniszczeniem albo kiedy zwłoki mają być przeniesione do

Ziemi Izraela, albo jeśli zmarły wyraźnie sobie tego zażyczył przed śmiercią, lub też kiedy omyłkowo pochowano obok siebie niespokrewnionych kobietę i mężczyznę. Ten ostatni przypadek należy rozpatrywać w ujęciu historycznym, ponieważ judaizm w toku swojej liczącej sobie ponad 5780 lat historii rozwijał się i ewoluował. Prosty podział na judaizm ortodoksyjny i reformowany nie opisuje zawiłości tego zjawiska, ponieważ żydowska kultura rozwijała się w diasporze rozproszona po całym niemal świecie.

Kiedy najstarszy z synów stwierdził zgon, domownicy podchodzili, aby poprosić zmarłego o przebaczenie, a potem rozdzierali szaty i opuszczali pomieszczenie. Od tej pory obrzędami zajmowało się bractwo żałobne Chewra Kadisza. Pochówek powinien nastąpić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przygotowanie, *tahara*, odbywa się w domu pogrzebowym, kiedy zmarły zostaje wyniesiony z domu na marach, wylewa się wodę stojącą na oknie i wodę z innych otwartych naczyń, żeby przypadkiem nie pozostała w niej kropla żółci z ostrza miecza, i zamiata podłogę, aby Anioł Śmierci opuścił pomieszczenie.

Rozpoczyna się *sziwa*, żałoba. Trwa siedem dni, w czasie których członkowie najbliższej rodziny nie strzygą się, nie golą, nie czeszą włosów dla przyjemności, nie noszą skórzanych butów, nie chodzą do pracy i żadnej pracy nie wykonują. Nawet posiłki przygotowują przyjaciele i znajomi. Siedzi się tylko na niskich stołkach. Nie wolno czytać Tory ani odmawiać modlitw innych niż Szema Jisrael. Nie wolno odbywać stosunków płciowych, pić wina i spożywać mięsa.

Pierwszym posiłkiem po pogrzebie są chleb i jaja na twardo lub inne potrawy, które mogą przybrać kształt kuli, żeby przypominać o ciągłości życia.

Powracających z pogrzebu wita formuła „niech cię Bóg pocieszy między żałobnikami po Syjonie i Jerozolimie". Żydzi aszkenazyjscy dostawali też do wypicia kieliszek wina lub wódki, bo napisane jest „daj wino zgorzkniałym na duchu".

Sziwa jest trudnym okresem żałoby i najlepiej, jeśli w ciągu tego tygodnia nie wychodzi się z domu.

Tymczasem w domu pogrzebowym członkowie bractwa myją zmarłego, obcinają mu włosy i paznokcie, recytując fragmenty pism: „oto ja zdjąłem z ciebie twoją winę i każę cię przyoblec w szaty odświętne", „pokropię was czystą wodą, abyście się stali czystymi, i oczyszczę was od wszelkiej zmazy i dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała".

Ciało ubierano w ubranie bez żadnych węzłów, żeby nie więziły ciała na ziemi, pod głowę wkładano ozdobny tałes – modlitewny biały szal z czarnym wzorem i frędzlami *cicit*. Trumna oczekiwała przy grobie. Zmarły obleczony w całun niesiony był na miejsce na marach.

Kiedy miasta stały się zbyt duże, żeby możliwe było przenoszenie zmarłego na marach z domu do domu pogrzebowego, żydzi zaczęli używać karawanów. Początkowo konnych. Woźnica szedł wówczas obok pojazdu, żeby nie odwracać się do zmarłego plecami.

W pogrzebie biorą udział członkowie rodziny, bractwa, bliscy, ale i każdy, kto napotkał orszak żałobny. Jeżeli nie może uczestniczyć w całej uroczystości, powinien iść z orszakiem żałobników przynajmniej cztery pełne kroki.

W czasie pogrzebu żałobnicy odmawiają kadisz, mowę żałobną, zasypują trumnę i wracają do domu inną drogą niż ta, którą przyszli, żeby nie napotkać Anioła Śmierci.

W domu trzeba dokładnie umyć ręce.

W osobnej części cmentarza chowano samobójców. Zjawisko to wśród żydów jest niezwykle rzadkie, ponieważ Bóg, zawierając przymierze z Noem, powiedział, że upomni się o ludzką krew ze względu na ludzkie życie. Rabini nauczają, że oznacza to, iż człowiek nie jest właścicielem swojego życia, ale jedynie jego dysponentem.

Dlatego nawet w czasie Zagłady samobójstwa wśród wierzących żydów zdarzały się nieprawdopodobnie rzadko. Myśl o samobójstwie

dopuszczana jest tylko jeśli może uchronić człowieka przed kazirodztwem, cudzołóstwem, bałwochwalstwem lub morderstwem.

W czasie całej *sziwy* w czasie modlitw zapalano świece na znak myśli o zmarłym, a w rok po śmierci przygotowywano specjalne jorcajtowe świece, które płonęły przez dwadzieścia cztery godziny. Na miejscach pamięci i zbiorowych mogił po Zagładzie zapala się sześć świec żałobnych ku pamięci sześciu milionów ofiar.

Rocznice śmierci wybitnych rabinów czy cadyków są świętami pełnymi radości, gdyż od smutku rozstania ważniejsze jest to, że dusze tych wybitnych ludzi wspięły się ku Bogu.

Co innego zwykli śmiertelnicy. Zwłaszcza ci, którzy nie oddawali się studiowaniu pism, a życie, które wiedli, dalekie było od ideału.

Na nich, w myśl ludowych opowieści, po śmierci czeka nie radość, ale strach, bo ledwie żałobnicy opuszczą cmentarz, pojawia się tam Anioł Śmierci, żeby zapytać zmarłego o jego imię. Zmarły, przerażony widokiem Anioła Śmierci, zapomina języka w gębie, a wtedy Anioł uderza go trzy razy łańcuchem w brzuch, aż biedak wszystko sobie przypomni. Dusza musi patrzeć na te męki i cierpieć, bo ona zawsze była dobra i czysta, a wszystko, co złe, pochodziło przecież od ciała.

W trzynastowiecznej mistycznej księdze Zohar jej domniemany autor, Mojżesz ben Szem Tow z Leónu, opisał proces oddzielania od ciała trzech warstw duszy po śmierci. Jak długo kości pozostają w grobie, znajduje się tam także *nefesz*. Krąży po ziemi, błagając o przebaczenie ludzi, którym przyniosła ból. Cierpiąca *nefesz* odpoczywa tylko w chwilach, gdy *neszama* w górze zdobi się świętą koroną, a *ruach* w szabaty, dni nowiu i święta wznosi się w górnym świetle. W święta *nefesz* nie cierpi i formuje sobie powłokę na podobieństwo tej, którą miała w ciele, aby wychwalać Przenajświętszego.

A kiedy bliscy przychodzą modlić się za zmarłego, *nefesz* pobudza *neszamę*, a ta porusza *ruach* i modlitwa przynosi im wszystkim ulgę.

Na grobach żydowskich nie ma zdjęć ani podobizn zmarłych, to się obecnie zmienia, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia ze świeckimi

Izraelczykami, ale tradycyjne groby są pozbawione wizerunków ludzi. Są za to pełne symboli.

Na przykład na nagrobkach kohenów, czyli potomków arcykapłana Aarona, brata Mojżesza, widnieją ręce w geście błogosławieństwa. Na grobach lewitów są pochylone dzbany lub misy. Na grobach kobiet słynących z dobroczynności jest skarbona albo moneta – gest jałmużny. Na grobach rabinów umieszcza się koronę, a lwa na grobach ludzi z plemienia Judy. Na grobie mohela, człowieka, który dokonuje rytuału obrzezania, fundamentalnego dla żydowskiej kultury ceremoniału, widnieją kleszcze, sztylet i osłona w kształcie dzwonu. Jeśli na nagrobku widnieje szafa z księgami, jest to grób rabina. Na grobie wybitnego rabina lub cadyka stoi ohel – budyneczek symbolizujący namiot, bywa że jest on bardzo bogato zdobiony. Kilka oheli należących do wybitnych cadyków można odwiedzić na warszawskim cmentarzu żydowskim. Ale najważniejszą żydowską nekropolią jest ta w Dolinie Cedronu w Jerozolimie u stóp Syjonu, góry zwanej też Morią, skały, na której stała jedyna Świątynia i w której kryła się boska obecność oraz Arka Przymierza. Na wierzchołek tej skały wiedzie dziesięć bram. Wszystkie w kierunku miasta są otwarte, ale ta jedna jedyna na wschodnią stronę – zakurzona Złota Brama – jest zamurowana. Pod nią rozciągają się cmentarzyska w Dolinie Cedronu, utożsamianej w powszechnym mniemaniu z Doliną Jozafata. Kiedy tam byłem, usłyszałem od pana przewodnika, że każdy żyd chciał być tam pochowany, bo przecież właśnie oni powstaną z martwych jako pierwsi.

Dolina Jozafata wymieniona jest w Księdze Joela jako miejsce sądu ostatecznego i nazywana Doliną Wyroku. W Księdze Joela Bóg mówi, że mieszka na Syjonie. W trakcie samego sądu słychać wołanie z Jerozolimy, stąd właśnie wzięła się myśl, że ta głęboka, sucha dolina pomiędzy Syjonem a Górą Oliwną jest właśnie miejscem sądu. Nie wszyscy rabini przyjęli taką interpretację, niektórzy uważają, że Dolina Jozafata to symboliczne miejsce i nie można go znaleźć na mapie Izraela.

Judaizm nie potwierdza chrześcijańskich i islamskich wyobrażeń o piekle i wieczystym potępieniu grzeszników. Uznaje raczej, że dusza ulega procesowi oczyszczenia i powraca do Boga. Oczyszczenie ma nastąpić w miejscu zwanym Gehenną, czyli w Dolinie Syna Hinnoma, na południe od Jerozolimy. Tam dusze będą oczekiwać momentu, kiedy czyste wejdą do przyszłego świata (*olam ha-ba*).

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wielki sen

Słowa „sen, brat śmierci” po raz pierwszy znalazłem, zdaje się, w *Panu Tadeuszu* w czasach, kiedy musieliśmy czytać w szkole opowieść o tęsknocie za krajem, jakiej posmakować mogą przecież jedynie ci, co musieli go opuścić, a my nie mogliśmy wyjechać. Nie tęskniliśmy. Potem okazało się, że to z Księgi Jeremiasza. W jego proroctwie Babilończycy pewnego dnia zasną snem wiecznym, żeby się już nigdy nie obudzić.

O tym, że sen jest bratem Tanatosa, starogreckiego boga śmierci, pisze w *Iliadzie* Homer. Związek snu i śmierci jest w ikonografii europejskiej bardzo powszechny – zmarli przedstawieni są w malarstwie czy rzeźbie nagrobnej tak, jakby spali. Maryja, matka Jezusa w ogóle nie umiera, ale zasypia po to, by wraz z duszą i ciałem trafić do nieba. Na średniowiecznych ołtarzach Chrystus unosi duszę Maryi w postaci małej dziewczynki. To wyjątkowy przywilej. Dusze innych zmarłych unoszą zwykle aniołowie, Maryja, albo też – jako zdobycz – czyni to Szatan.

O pokrewieństwie snu i śmierci świadczą też ludowe przekonania, wedle których kiedy ktoś śpi, to jakby był na pół umarły, więc w domu, w którym ktoś umiera, trzeba było budzić śpiących, żeby z nim nie odeszli. Dusza śpiącego człowieka mogła zamienić się w zmorę i dusić we śnie innych ludzi, w czasie kiedy jej właściciel niczego nie był świadomy. Powiedzenie, że dusi kogoś senna zmora, przetrwało do dziś, choć o pochodzeniu tej istoty dawno zapomnieliśmy. Zmora była

duszą między innymi osoby o zrośniętych brwiach albo dziewczyny, której ukochany ożenił się z inną kobietą.

We śnie wreszcie przychodzą do umierającego zmarli z jego rodziny, żeby go do siebie wołać. We śnie możemy zobaczyć tamten świat. Doświadczyć jego bezczasu, bo to, co się dzieje we śnie, toczy się w zupełnie innym czasie niż to, co w naszym świecie.

Ten rozdział będzie nie o snach, ale o ludziach, dla których sen jest prawdziwą realnością, a rzeczywistość nie jest tak ważna jak sen – o Aborygenach.

Nigdy nie byłem w Australii, choć widziałem jej odległy brzeg z samolotu w czasie podróży na Nową Kaledonię. To moja najważniejsza podróż. Ta, która dopiero się wydarzy. Australia nigdy nawet mi się nie przyśniła.

Aborygeni to wyjątkowa kultura i przez swoją odmienność ciężko doświadczona w ostatnim czasie. Wedle popularnej, choć nieprawdziwej opowieści jeszcze w latach 60. XX wieku figurowali w australijskich rejestrach fauny i flory. Pełnię praw uzyskali dopiero w 1967 roku. Od tego roku mogą wybierać osobistą drogę rozwoju – asymilację z kulturą Zachodu czy podążanie Ścieżką Snu. Wcześniej biali mogli bezkarnie odbierać im dzieci i wychowywać je w duchu zachodniej cywilizacji.

Kultura aborygeńska rozwijała się w całkowitej izolacji od reszty ludzkości przez przynajmniej 50 tys. lat. Niektórzy badacze skłaniają się ku przypuszczeniu, że okres rozwoju tej kultury w całkowitej izolacji od reszty ludzkości mógł być o kilkanaście tysięcy lat dłuższy. Być może to właśnie Aborygeni zachowali taki obraz świata, jaki dominował między ludźmi w początkach naszej historii. Dlatego to, co myślą o śmierci, jest zupełnie odmienne od wyobrażeń reszty świata. Nie wykształcili pisma i swój świat opowiadają w formie rytuałów, obrazów, wizji i pieśni, o których myślimy, że potrafimy je zrozumieć, ale to złudzenie. Nasza przywykła do symboliki liter dusza nie pojmie tego organicznego związku rdzennych Australijczyków ze wszechświatem.

Aborygeni uważają, że wszechświat zaistniał w czasie snu. Czas snu ma wiele nazw, bo Aborygeni tworzą liczne i niejednorodne skupiska. Najpopularniejszą nazwą jest *alcziranga*, od słowa *alczeri*, używanego przez ludy z Terytorium Północnego na określenie snu. Carl Strehlow, niemiecki pastor i antropolog, zanotował słowo *alczirerama* w znaczeniu „we śnie widzieć Boga" i *alczira mara* w znaczeniu przedwiecznego ducha, stwórcy wszechświata z mitów ludu Aranda. Ma on czerwoną skórę, białe włosy, nogi emu i wiele czerwonoskórych żon o nogach psów. Mieszka w niebie nad rzeką, którą widać tylko nocą – Drogą Mleczną.

Mit stworzyciela nie jest znany pośród wszystkich, ale Czas Snu tak.

Alcziranga, Czas Snu, to moment stwarzania wszechświata i powiązań pomiędzy wszystkimi zjawiskami, żywymi i nieożywionymi, jakie istnieją. Czas Snu nie jest przeszłością, ale trwa nieustannie i nieustannie kontynuuje się proces stwarzania. Dzięki odpowiednim rytuałom człowiek może przedostać się do Czasu Snu i obcować z przodkami za pomocą objawień, dzięki którym znajduje rozwiązania problemów i odpowiedzi na pytania. Rzeczywistość Czasu Snu jest bardziej istotna niż rzeczywistość doczesności. Stąd tak zadziwiająca ludzi Zachodu obojętność Aborygenów na współczesny świat.

Ponieważ wszystkie istoty i zjawiska są ze sobą połączone, przodkowie ludzi wcale nie musieli, czy też, ponieważ Czas Snu jest czasem trwającym, nie muszą być ludźmi. Mogą być zwierzętami lub roślinami. Mogą też być skałami i górami. Stanowią dla współczesnych Aborygenów miejsca kultu, rejony, w których przy pomocy rytuałów mogą oni wchodzić w Czas Snu i stawać się częścią Stworzenia.

Czas Snu jest zarazem czasem bardzo odległym, istniał przed stworzeniem świata, bo z niego wyłoniło się całe istniejące jestestwo. Każdy Australijczyk ma swój własny ceremonialny Sen, pełniący dla niego osobistą, totemiczną rolę. Aborygeni malują swoje sny w postaci symbolicznych, rytualnych malowideł będących opowieścią o przodkach i ich uczynkach w Czasie Snu.

Aborygeni wędrują szlakiem Stworzenia – przygód przodków – odwiedzając święte miejsca, aby odprawiać w nich swoje rytuały. Ta pielgrzymka, nazywana po angielsku *songline*, pozwala im odnajdować ślady pozostawione przez przodków albo też spotykać ich samych w postaci drzew lub skał. Ludzie wierzą, że *songline* jest powtórzeniem Stworzenia i dzięki jej kultywowaniu Stworzenie wciąż może trwać.

Przodkowie wędrujący po świecie pozostawiali po sobie czuringi – święte przedmioty będące świadectwem ich istnienia. Są to kamienne lub drewniane artefakty, pokryte niekiedy symbolicznym malowidłem. Czuringa jest święta, bo po śmierci człowieka jego istnienie mieści się w tym przedmiocie w oczekiwaniu na powtórne narodziny.

Już w połowie lat 30. jeden z najwybitniejszych antropologów badających Australię, Ted Strehlow, zanotował, że od czasu, kiedy młodzi zaczęli znajdować pracę u białych, starsi uważnie ich obserwowali i często uznawali za zbyt przesiąkniętych obcym, zachodnim światem, żeby stali się godnymi przejścia rytuałów pozwalających na posiadanie własnej czuringi.

To oznaczało, że uznawali ich za niezdolnych do istnienia w Krainie Snu, niezdolnych do powtórnego narodzenia.

Aby człowiek posiadł swoją własną czuringę, musi poddać się skomplikowanemu (w przypadku opisanym przez Strehlowa także bolesnemu, bo mężczyźnie wyrywano paznokcie) rytuałowi, niekiedy trwającemu nawet kilka lat, ale przecież w sakralnym kontinuum Czasu Snu dnie i noce trwają zupełnie inaczej niż w naszym, cywilizowanym świecie uwięzionym przez zegary i kalendarze.

W ten sposób, wędrując w snach, dotarliśmy do tego, co Aborygeni sądzą o śmierci.

To skomplikowane zagadnienie, nie tylko ze względu na wielość aborygeńskich kultur, które rozwijały się na ogromnym terytorium często całkiem niezależnie od siebie, wykształcając wielość wierzeń i rytuałów, lecz także dlatego, że szafarze wartości i tradycji nie bardzo chcieli się tym dzielić.

Podczas gdy zachodnia kultura stara się odsunąć z ludzkiej świadomości myśl o śmierci, wyprowadzając śmierć z naszych mieszkań do domów pogrzebowych i szpitali, dla Aborygenów jest to wciąż sprawa ważna i przeżywana przez całą społeczność. Wszystkie istoty są połączone, więc odejście jednego człowieka przynosi żal i ból całej społeczności. Wspólnota schodzi się do domu rodziny zmarłego, aby wspólnie z nią opłakiwać stratę i dać wyraz żalowi. Nie tylko najbliższa rodzina i przyjaciele, ale wszyscy, którzy znali zmarłego albo odczuwają więź ze wspólnotą. Jeśli człowiek umiera w szpitalu, wspólnota gromadzi się na korytarzach, żeby pomóc mu w ostatniej, najważniejszej podróży.

Od chwili śmierci fotografie zmarłego muszą zniknąć, a jego imię nie będzie już wypowiadane. Zamiast tego używa się słów *Kumanczawi* lub *Kwementyjaje*. W aborygeńskich kulturach człowiek nie umiera, ale istnieje dalej jako duch. Mieszka w swojej czurindze. Powinien pozostawać w spokoju. Nie należy więc wymieniać jego imienia, bo wtedy będzie musiał przebudzić się i pojawić. W Terytorium Północnym w latach 50. popularne stały się imiona nadawane w języku białych ludzi. Opisany jest przypadek człowieka o imieniu Tuesday (Wtorek). Kiedy zmarł, w okolicach, w których był znany, słowo „wtorek" przestało być używane.

Tradycja nieużywania imienia jest wciąż silna w Terytorium Północnym. Aborygeni z wielkich miast już nie usuwają z sieci zdjęć swoich bliskich, a ich imion nie wykreślają z pamięci.

Uroczystości pogrzebowe wraz z rytuałami i tańcami ceremonialnymi mogą trwać nawet tydzień. W tym czasie ludzie nie idą do pracy, a dzieci nie chodzą do szkoły. Osoby spoza wspólnoty nie powinny uczestniczyć w tych obrzędach, gdyż są one wciąż chronione przez rodzaj tabu.

Współcześni Aborygeni kremują swoich zmarłych, ale w przeszłości pogrzeby były inne. O ceremoniałach aborygeńskich z czasów sprzed „odkrycia" wiemy niewiele, ponieważ nie istniało pismo, lecz jedynie

ustna tradycja przekazywana przez starszych. Po „odkryciu” Aborygeni ze wszystkich kultur, które obcowały z przybyszami z Zachodu, skłaniani byli do tego, żeby za przykładem zdobywców chować ciało w drewnianej skrzyni i zakopywać je w ziemi.

Niektóre szczepy budowały zmarłym platformy w odludnym miejscu i pozostawiały na nich ciała na kilka tygodni. Kiedy zostały tam już same kości, malowano je ochrą i zakopywano w ziemi.

Tasmańczycy zakopywali swoich zmarłych w pozycji embrionalnej lub wyprostowanej na plażach nad oceanem lub w zakolach rzek, bo tam piach był miękki i można było kopać do głębokości metra przy użyciu drewnianych narzędzi. Zdarzało się, że taki grób przykrywany był płaskim kamieniem.

Część grup tasmańskich wznosiła stos pogrzebowy, by posadzić w jego środku zmarłego twarzą na wschód i obudować go gałęziami i suchą trawą na kształt piramidy. Niektóre grupy budowały stos pogrzebowy wewnątrz pni drzew albo wewnątrz chaty. Inne na otwartej przestrzeni.

Zdarzało się, że członkowie rodzin zachowywali kość przodka, by nosić ją ze sobą na lince z traw. W razie potrzeby, choroby lub innej okoliczności można było wtedy łatwo przywołać ducha i poprosić go o pomoc.

Spora część tasmańskich grobów została ograbiona przez ludzi Zachodu, ponieważ na przełomie XIX wieku naukowcy z całego świata chcieli badać kości „prymitywnych ludzkich plemion”. Te ze sławnej kolekcji Crowthera powróciły do ziemi, ale kości tasmańskich Aborygenów wciąż śpią w wielu muzeach historii naturalnej.

Zwykle groby zawierają jedno, dwa ciała, ale na terenie stanu Wiktoria znane są stanowiska liczące nawet po kilkaset ludzkich szczątków. Czasami widać na nich pozostałości ochry lub ognisk.

Cmentarzyska wciąż są odkrywane za sprawą erozji brzegów rzek lub przy budowie ścieżek rowerowych. Dzisiaj przysługuje im ochrona prawna, ale chronią je też wierzenia niektórych grup. Według nich

człowiek po śmierci odchodzi do przodków w Czasie Snu, ale jego duchowa siła wciąż może objawiać się na ziemi i nie pozostanie obojętna, jeśli ktoś dotykać będzie kości.

Zdarza się po dziś dzień, że wierzenia Aborygenów stoją w sprzeczności z tym, jak australijscy politycy chcieliby poukładać świat.

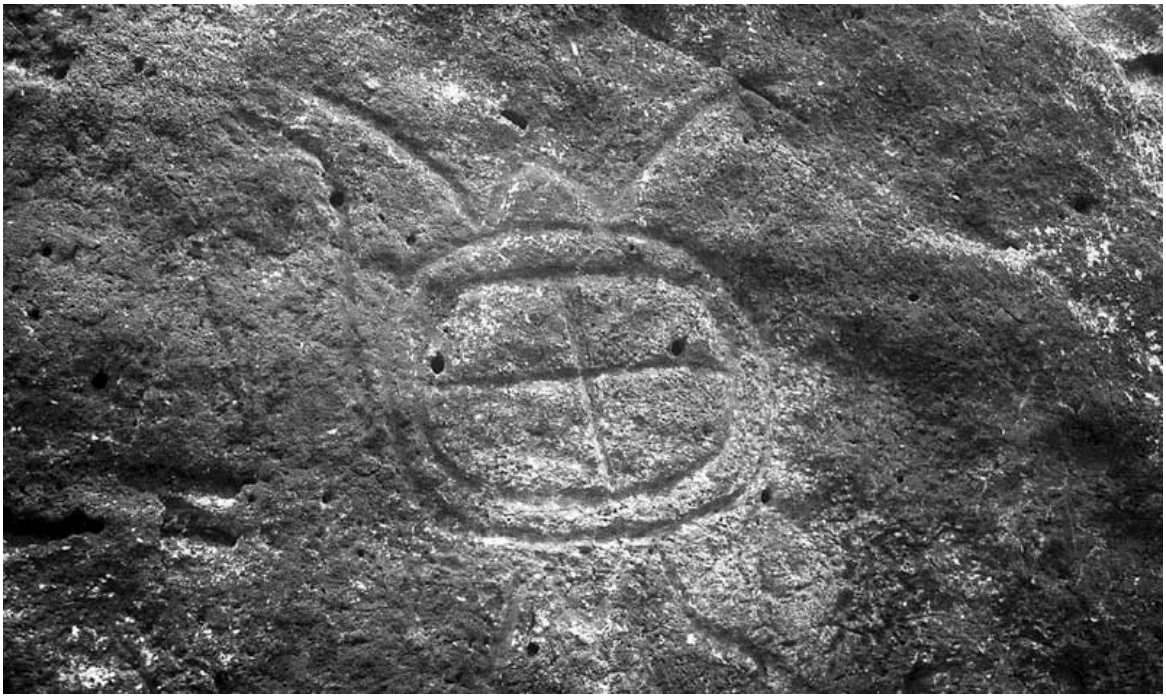

Petroglif przedstawiający żółwia, Oceania

W 2019 roku władze Terytorium Północnego okazały oburzenie tym, że pogrzeby Yolngu ciągną się po kilka lub kilkanaście dni i że ludzie chowani są po prostu w ziemi w pobliżu domów, w których mieszkali. Dla członków klanu to jedyny, choć już tylko symboliczny sposób zachowania obowiązku powrotu zmarłego do Domu Przodków. Miejsca, z których pochodzą Yolngu, dawno już przestały być dla nich dostępne. Władze zagroziły ludziom Yolngu najpierw grzywną w wysokości 31 tys. dolarów australijskich, a potem dwoma latami więzienia, jeśli nie będą respektować obowiązku chowania ludzi w trumnach na terenie cmentarzy.

Wywołało to protesty różnych grup Aborygenów. Przywódca klanu Golpa oświadczył dziennikarzom: „Jeśli ktoś próbuje odwieść nas od sposobu, w jaki chowamy naszych zmarłych, to oznacza, że próbuje odebrać nam naszą tożsamość. To najgorszy sposób okazania pogardy, jaki mogę sobie wyobrazić. Rytuał grzebalny jest długi, ale długa jest podróż, którą musi przebyć duch zmarłego".

W efekcie akcji protestacyjnej postanowienia dekretu o pogrzebach i kremacji ponownie trafiły pod obrady parlamentu Terytorium Północnego.

Aby uniknąć takich sytuacji, dyrekcje szpitali w Sydney wydają dla swoich pracowników informatory z instrukcjami, w których czytamy zalecenie, żeby nie wypowiadać na głos imienia pacjenta, który umarł w szpitalu, pozwolić rodzinie odciąć pukle włosów zmarłego i umożliwić im rytualne użycie piór i kamieni, dzięki którym odczytają oni informację o przyczynie zgonu.

Wedle tradycyjnych przekonań tylko starcy i dzieci umierają w sposób naturalny. Jeśli śmierć przychodzi po człowieka w sile wieku, obowiązkiem klanu jest odczytanie przyczyny zgonu. To powinność wobec totemicznych przodków, bo każdy Aborygen jest inkarnacją przodków – powstał z ich zarodków rozsianych na terytorium klanu.

Może się zdarzyć, że rodzina będzie chciała dokonać ceremonii okadzenia zwłok, żeby pomóc duchowi zmarłego w opuszczeniu ciała.

Jeśli rytuały nie zostaną przeprowadzone w staranny sposób, *Yingarna*, Tęczowy Wąż, nie będzie mógł pożreć ich dusz, żeby powróciły do Czasu Snu.

Źródła historyczne podają, że w niektórych regionach Australii (centralne rejony Queenslandu, północne Kimberleys, Ziemia Arnhema) obserwowano przypadki kanibalizmu jako element rytuału pogrzebowego. Wybrani członkowie klanu zjadali fragmenty ciała, zanim zostało umieszczone na platformie w celu oczyszczenia kości. Adolphus Peter Elkin w fundamentalnej pracy *The Australian Aborigines: How to Understand Them* podaje, że Ludzie Maung z wysp Goulburn

gotowali serce i wątrobę zmarłego, żeby podzielić między siebie jego siłę. Elkin pisze też, że matki dzieci, które zmarły w czasie porodu, zjadały ich ciało, aby uwolnić ducha i umożliwić mu powrót do Snu. Wedle jego opinii Aborygeni uważali zjedzenie fragmentu ciała zmarłego za wyraz najwyższego szacunku.

O przypadkach kanibalizmu grzebalnego pisał też Walter Roth, raczej w duchu sensacji, ale jego prace uchodzą dziś za mocno kontrowersyjne.

Pozostaje kwestia wyjaśnienia, skąd wzięła się śmierć. Każdy z klanów ma o tym własną opowieść, często związaną ze znikaniem i pojawianiem się księżyca lub z walką księżyca z totemicznym Oposem, znakiem Przodków. Jest też opowieść o Psie Dingo i jego ludzie. Księżyc postanowił podarować Psu zdolność powracania do życia, tak jak on sam to potrafi, ale Pies nie chciał przechodzić cyklu znikania i pojawiania się na nowo, więc stanęło na tym, że jego lud musi umierać całkowicie. Od kiedy Pies zrozumiał, jak wielki dar chciał mu ofiarować Księżyc, ze smutku wyje do niego każdej nocy, ale Księżyc od tamtej pory milczy już niewzruszenie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tam, gdzie Księżyc i Słońce spotykają śmierć

Pierwszy raz w życiu zobaczyłem miasto Meksyk, kiedy Roman Hamerski trącił mnie w ramię i powiedział, że już czas. Wyrwał mnie ze snu, mieliśmy wtedy w nogach kawał drogi przez wszystkie kraje Ameryki Środkowej i spałem jak zabity. Wyjrzałem przez okno (zawsze siadam przy oknie, bo widok z góry wydaje mi się nieodmiennie bardziej fascynujący niż wszystkie filmy, które wyświetlają w samolotach). Była noc, choć młoda, bo wysoko ponad nami niebo było jeszcze granatowe, ale poniżej rozlewał się już atrament mroku, a w nim, zupełnie jakby to były gwiazdy, błyszczały miliardy świateł.

– Tam, gdzie te czarne plamy, to góry – powiedział Roman. – Poza tym to miasto nie ma końca.

Tak właśnie było. Ocean świateł, gdzieniegdzie przecięty pomarańczowymi rzekami autostrad, oblewał wyspy mroku tam, gdzie za dnia mieliśmy zobaczyć wulkany: Popocatépetl, Iztaccíhuatl, Tláloc, i gdzieś po drugiej stronie Ajusco.

Przylecieliśmy, żeby na piramidach Słońca i Księżyca świętować urodziny. Tamtego dnia nie wiedziałem jeszcze, że Teotihuacán nie było miastem Azteków, ale nieznanego nawet z nazwy imperium, które przewyższało swoją potęgą wszystko, co znał ówczesny świat. Naukowcy uważają, że miasto zbudowane pomiędzy 100 rokiem przed

naszą erą i VII stuleciem po Chrystusie zamieszkiwało w czasach jego największej potęgi ponad 100 tys. ludzi.

Ci skłonni do koloryzowania nie wahają się powiedzieć dwieście, ale oni dodają czasem, że to miasto zbudowane na planie mapy nieba powstało dzięki kosmicznej technologii przybyszów z gwiazd. Oglądając precyzyjną kamieniarkę, trudno nie pomyśleć choć przez moment, że mogą mieć rację. Gdybyśmy byli tutaj pierwszego dnia wiosny, zobaczylibyśmy nieprzebrany tłum ludzi w białych i czerwonych szatach, witających z szeroko rozłożonymi ramionami słońce i czerpiących z niego energię życia w rytuale, o którym sądzą, że jest przedkolumbijski, preaztecki, pierwotny i święty.

Jest w tym coś metafizycznego.

Ale wtedy był zwyczajny pierwszy dzień nowego roku i Meksykanie odsypiali po prostu sylwestra. Zdaniem pana taksówkarza nie było więcej ludzi niż zazwyczaj.

– Pamiętajcie, że Teotihuacán w języku Tolteków znaczy miejsce, gdzie ludzie zmieniają się w bogów, więc nie pijcie za dużo – poradził nam i obiecał poczekać. Powiedział nam wcześniej wszystko, co powinniśmy wiedzieć o Juanie Diego i Matce Boskiej z Guadalupe, oraz o tym, że Aztekowie samych siebie nazywali mexicas i stąd właśnie bierze się nazwa tego ludu i kraju.

Nie uwierzyliśmy mu. W naszej książce mądrzy ludzie napisali, że nazwa miasta pochodzi z języka nahuatl, którym posługiwali się Aztekowie. I że odkryli oni to miejsce na początku XIV stulecia. Stało więc opuszczone w prastarej dżungli pomiędzy wulkanami jakieś 700 lat.

Wspięliśmy się na Piramidę Słońca i wypiliśmy trochę wódki, rozlewając odrobinę dla duchów, bo nieważne, w jakim jesteś świecie, duchy, jak się zdążyliśmy przekonać, lubią dostać swoją część.

Piramida Słońca ze swoimi sześćdziesięcioma pięcioma metrami wysokości należy do najwyższych tego typu struktur na naszej planecie. Widać z niej całe to miasto zbudowane z nieprawdopodobną precyzją

przez ludzi nieznających pisma: świątynię Tlaloca, Cytadelę, świątynię Pierzastego Węża, pałace, domy, ulice.

Poszliśmy później wzdłuż Calzada de los Muertos wprost do Piramidy Księżyca. Droga Zmarłych. Ma ponad kilometr i siedemset metrów długości i nie wiadomo, kto nazwał ją tak pierwszy. Przewodnicy opowiadają krwawe legendy o bóstwach pradawnych ludów, które karmić trzeba było bijącymi sercami niewolników. Właśnie tędy mieli podążać w niekończącym się łańcuchu strachu, aby wspiąwszy się po stopniach piramid, oddać bijące serca kapłanom, którzy nakarmią nimi serce Słońca.

Oczywiście znaleziono na miejscu pozostałości ludzkich szczątków. Pod Piramidą Słońca nawet dziecięcych kości, o których przypuszcza się, że zakopano je tam przed rozpoczęciem budowy.

Najdziwniejsze było odkrycie z 2003 roku, kiedy to Sergio Gómez, archeolog z Narodowego Instytutu Antropologii i Historii badający podstawy świątyni Pierzastego Węża, odkrył zapadlisko wypłukane przez ulewne deszcze, które nękały Meksyk tamtej jesieni. Najpierw przestraszył się, że osuwisko zniweczy badania, ale potem dostrzegł w nim szansę, zsunął się w głąb ziemi i znalazł w tunelu prowadzącym z piramidy w stronę Drogi Zmarłych. Najpierw badacze natrafili na wejście zaplombowane i zawalone kamieniami przed co najmniej 2 tys. lat. Zanim Gómez napisał projekt i rozpoczęły się badania, minęło pięć lat. To już nie są czasy Indiany Jonesa i trzeba sterty papierów podpisanych przez przeróżnych urzędników, także tych z UNESCO, żeby wybrać z takiego tunelu choćby piędź ziemi. Pracowało tam kilkudziesięciu ludzi. Wybrali ręcznymi łopatkami ponad 1000 ton ziemi. Najpierw znajdowali muszle morskie i kości kotów, potem ceramikę, naszyjniki i pierścienie. Wreszcie dokopali się do komory na końcu tunelu i wprowadzili do środka robota na gąsienicach ze skanerem 3D. Nazywał się Tlaloc II. Znaleźli we wnętrzu 70 tys. obiektów, które nie były porzucone, jak w tunelu, ale ułożone starannie. Jak w skarbcu. Obsydianowe ostrza, figury jaguarów, zasuszone kolby

kukurydzy, biżuteria, ceramika, maski inkrustowane serpentynem, muszlami, kryształem górskim, jadeitem i kwarcem, przedmioty z ludzkiej skóry. Na sklepieniu komory pirytowe gwiazdy lśnią blaskiem, który naśladuje złoto, tak że jeśli położysz się na podłodze, zdaje ci się, że spoglądasz w niebo. Zespół Gómeza doszedł do przekonania, że to mityczna jaskinia, z której narodzili się bogowie, stworzyciele wszechświata, i kapłani tutaj właśnie schodzili, aby oddawać im cześć. Prawdopodobnie chowani byli tu władcy miasta, a w komnacie odprawiano rytuały żałobne i związane z przekazaniem insygniów władzy. Nowy król wyłaniał się z tunelu w świątyni Pierzastego Węża, a zmarły spoczywał na zawsze w środku jaskini, w której wszystko się rozpoczęło.

O tym, że mogą się tu znajdować królewskie groby, archeologowie mówili od początku lat 80., kiedy to w fundamentach świątyni Pierzastego Węża odkryli ponad sto grobów wojowników i kilkadziesiąt grobów kobiet. Wojownicy mieli ze sobą broń i naszyjniki z ludzkich zębów – prawdopodobnie były to zęby wrogów. Stąd z kolei przypuszczenie, że to nie są groby jeńców ani niewolników. Czy dali się złożyć w dobrowolnej ofierze?

Ciała ludzkie znaleziono także pod Piramidą Księżyca. W pięciu lokalizacjach znaleziono po dwa do sześciu ciał wraz z towarzyszącymi im przedmiotami – posążkami (niektóre o nieokreślonej płci, inne kobiece), obsydianowymi nożami skierowanymi w stronę głów szkieletów (sugestia, że to ofiary), kosztownymi ozdobami i kośćmi zwierząt. Naukowcy uważają, że to ofiary złożone w czasie budowy trzeciej i czwartej platformy piramidy. Wcześniej ofiar z ludzi nie składano, co oznacza, że dopiero w trakcie istnienia miasta zmieniły się rytuały, religia ewoluowała w stronę wierzeń o bogach, którym nie wystarczy już modlitwa i kadzidło i którzy wymagają ofiar. W grobowcu numer trzy, pochodzącym z okresu wznoszenia piątej platformy, znaleziono cztery męskie ciała, które przed śmiercią były skrępowane, a więc tym razem to byli jeńcy. Trzej z nich posiadali ozdoby, bransolety

i kolczyki, co sugeruje, że byli wysoko urodzeni. W grobowcu znaleziono też osiemnaście odciętych głów różnych drapieżnych zwierząt, jedna z nich należała do jaguara.

W czwartym grobie, pochodzącym z okresu budowy szóstej platformy, znaleziono siedemnaście odciętych ludzkich głów, którym nie towarzyszyły żadne przedmioty, naukowcy uznali więc, że były to ofiary o niskim statusie społecznym.

W innym grobie z tego okresu odnaleziono trzy ciała pochowane w pozycji siedzącej z rękami na kolanach (dokładnie tak swoich królów chowali Majowie). Miały przy sobie bogate ozdoby oraz symbole duchów pum i złotego orła. Jeden ze szkieletów należał do mężczyzny po siedemdziesiątce, dwaj pozostali byli w chwili śmierci w średnim wieku.

W ostatnim grobowcu znaleziono ciała tuzina spętanych ludzi i ponad czterdziestu zwierząt.

Archeologowie Leonardo López Luján i Saburo Sugiyama uważają, że w czasie największego rozkwitu cywilizacji, która zbudowała Teotihuacán, ofiary z ludzi były dość powszechne w mezoamerykańskich kulturach i częstokroć towarzyszyły rytuałom ku czci Słońca i Księżyca.

Największe miasto półkuli zachodniej upadło prawdopodobnie w ciągu kilku lat z powodu… rewolucji. Ubodzy mieszkańcy przedmieść ruszyli Drogą Zmarłych, żeby rozgromić ówczesnych celebrytów, sytych i – jak im się wydawało – bezpiecznych.

Przez siedem stuleci nad monumentalnymi piramidami Teotihuacán szumiała dżungla. Czasami jakiś tapir albo puma zabłąkały się do tego dziwnego miejsca, w którym zamiast drzew rosły tylko kamienie.

Mimo że niektórzy badacze podejrzewają, iż ludzie kultury Teotihuacán znali jednak pismo (odnaleziono kamienne znaki, które tak właśnie są interpretowane), nie zachowały się źródła, z których moglibyśmy czerpać wiedzę o ich wierzeniach. Wyposażenie grobów

w cenne przedmioty i ozdoby świadczy, że wierzyli w życie pozagrobowe.

Dużo więcej wiemy o tym, jak wyobrażali sobie śmierć odkrywcy tego nieprawdopodobnego miasta – Aztekowie. Praojcowie znaleźli kiedyś w lesie olbrzymią kamienną głowę. Bóg Huitzilopochtli obiecał im wskazać miejsce, skąd będą rządzić światem, jeśli tylko go ze sobą zabiorą. Początkowo nie szło im najlepiej i po przegranej wojnie z ludem Culhuacán stali się poddanymi ich władcy. Kamienna głowa podpowiedziała im, co należy uczynić – porwali córkę wodza Culhuacán i oddali ją głowie za żonę. Legenda mówi, że aby ceremonia mogła się odbyć, obdarli dziewczynę ze skóry, którą następnie nałożył na siebie jeden z azteckich kapłanów.

Wreszcie po wielu latach tułaczki wypełniła się przepowiednia i azteccy kapłani ujrzeli wizję wyspy, na której orzeł siedzący na opuncji pożerał węża. Texcoco było ich pierwszą stolicą. W ciągu następnych dwustu lat podbili potężne terytorium i zbudowali imperium, które Hernán Cortés z pięciuset ludźmi zrównali z ziemią w ciągu zaledwie pięciu lat, korzystając z kasandrycznej przepowiedni o przeobrażeniu Pierzastego Węża (Cortés był uznany za jego wcielenie) oraz z pomocy podbitych przez Azteków indiańskich ludów, które uznały, że wróg naszego wroga jest najlepszym przyjacielem.

Kiedy Teudilli, posłaniec Montezumy II, w kwietniu 1519 roku stanął przed Cortésem, upuścił sobie krew do czary i dał ją dowódcy Hiszpanów do wypicia. Potem podarował „bogom" 2 tys. niewolników, żeby zbudowali chaty, w których Hiszpanie mogli przeczekać deszcz.

W listopadzie Hiszpanie dotarli do Tenochtitlán. Montezuma był pewien, że to bogowie przybyli go odwiedzić, i otworzył bramy miasta, bo Quetzalcoatl (Pierzasty Wąż) miał rzeczywiście wedle przepowiedni przybyć ze wschodu.

Kiedy Cortés zobaczył ofiary z ludzi, zażądał, aby je natychmiast przerwać. Montezuma posłuchał, przyjął chrzest i zawiesił w komorze ofiarnej piramidy w Tenochtitlán krucyfiks. Kapłani azteccy odebrali to

jako zdradę. Kiedy Cortés wyjechał do Veracruz, jego żołnierze wymordowali Azteków w czasie święta ku czci Tezcatlipoki.

Hiszpanie, zanim zdusili aztecką cywilizację, zdążyli ją nieco zbadać i opisać.

Rdzenni mieszkańcy Meksyku kultywują azteckie tradycje, Zocalo, Miasto Meksyk

Prekolumbijska tradycja przetrwała. Magiczne obrazy Indian Kuna, Panama

Słońce – Huitzilopochtli – było najwyższym bóstwem Azteków. Wierzyli oni, że bogowie wybrali ich spośród wszystkich innych ludów, aby dbali o to, żeby Słońce każdego dnia powracało nad ziemię. Żeby chciało powracać, trzeba było je karmić. Najlepiej sercami ludzkimi. Płonęły więc serca w misach ofiarnych na szczytach piramid.

Było to również wyrażenie wdzięczności wobec bogów, bo powołali oni ludzi do życia z prochów zmarłych w minionych epokach, łącząc je z własną krwią. Quetzalcoatl zszedł do podziemi, utoczył własną krew w ludzkie prochy i stworzył nowych ludzi na nowe czasy.

Poświęcenie leży u podstaw azteckiej kultury.

Najchętniej poświęcano krew niewolników. Oraz ich bijące jeszcze serca, bo to przecież ulubiony pokarm Słońca. Aby zdobyć niewolników, wyruszali na wojny i podbijali kolejne terytoria. Oczywiście taka ofiara nie miała większej mocy niż dobrowolne poświęcenie, więc azteccy żołnierze oddawali czasami w tym krwawym rytuale własne serca, aby

zdobyć w zamian zaszczyt wędrowania po niebie w orszaku Słońca, a potem szczęśliwie powrócić na ziemię pod postacią kolibrów.

Tamten świat nie był demokratyczny. Zaświaty podzielone na kilkanaście stref miały osobne miejsca dla arystokratów, żołnierzy, niewolników, samobójców, topielców, dzieci czy kobiet zmarłych przy porodzie. Do poszczególnych sfer zmarli trafiali zależnie od rodzaju śmierci, jaka ich spotkała. Ci, którzy zginęli od pioruna, topielcy, oraz zmarli od chorób, jakie nastają w czasie pory deszczu, szli do zaświatów rządzonych przez Tlaloca, boga deszczu, który w minionych epokach sam był Słońcem i też trzeba było go karmić. Żeby stworzyć deszcz, Tlaloc potrzebował serc i łez dzieci. Szczególnie tych upośledzonych w jakiś sposób, bo ich serca miały szczególną moc.

Aby skłonić dzieci do płaczu, wyrywano im paznokcie. Zachowały się też relacje o obdzieraniu ich żywcem ze skóry. Nie było to wyrazem okrucieństwa, ale przekonania, że gdyby zabrakło łez i krwi dzieci, deszcz przestałby padać, a wtedy cała społeczność umarłaby z głodu.

W nagrodę za to trafiały do zaświatów, w których rządził Tlaloc. Był to prawdziwy raj – bujny, bezpieczny ogród pełny beztroski.

Inni ludzie trafiali w zaświaty w czterech stronach świata. Wojowników poległych w bitwie, tych, którzy pozwolili się złożyć w ofierze, albo tych, którym wyrwano serca wbrew ich woli, oraz tych, którzy zmarli w podróży, palono na stosie, a ich dusze trafiały do raju, w którym stawały się towarzyszami Słońca. Były to zaświaty na wschodzie. Dusze kobiet przebywały w zaświatach zachodnich. Dusze zwyczajnych ludzi musiały wędrować do północnej krainy Mictlan. Była to wędrówka pełna cierpienia i złych przygód. Dlatego chłopów, rzemieślników, tych, którzy zmarli na pospolite choroby, i mieszczan chowano z psami, które miały im towarzyszyć w drodze trwającej nawet cztery lata. Najpierw trzeba było pokonać rwącą rzekę Chignahuapan, potem wspiąć się na wąską przełęcz pomiędzy dwiema zrośniętymi górami. Następnie wspiąć się na szklaną górę z obsydianu, przetrwać w miejscu, gdzie zamarzało się na kość, pokonać płaskowyż wiatrów,

cierpieć od tysiąca strzał, oddać bestii do zjedzenia własne serce. Wreszcie docierało się do piekła i można było odpocząć.

Nic dziwnego, że dla azteckiego chłopca dola wojownika wydawała się zbawieniem.

Biskup Juan de Zumárraga, franciszkanin trwający w wiecznym konflikcie ze zdobywcami, nazywany przez nich pogardliwie obrońcą Indian, skromny człowiek, który nie chciał przyjąć dostojeństwa biskupiego w proteście przeciw temu, jak konkwistadorzy traktują miejscowych, napisał, że liczba ofiar azteckich krwawych rytuałów dochodzi do 20 tys. rocznie.

Inni sprawozdawcy uważali, że ofiar jest wielokrotnie więcej.

Dominikanin Diego Durán, autor kluczowej książki dotyczącej religii azteckiej: *Historia de los Indios de Nueva España e Islas de Tierra Firme* sądził, że kapłani, składając ofiary, oddawali cześć diabłu, którego uważali za swojego boga, i składali mu w darze ludzkie serca. Pisał, że wyrywano ludziom serca na szczytach piramid, a ciała zrzucano w dół, żeby je potem jeść.

Takie opowieści podsycały w konkwistadorach przekonanie, że są na terenie późniejszego Meksyku wysłannikami prawdziwego Boga i mają za zadanie uratować ludzi przed zakusami diabła. Ta myśl łagodziła w zdobywcach wyrzuty sumienia. Niektórzy z nich mogli je mieć, rabując bezlitośnie indiańskie złoto.

Najwięcej jeńców ginęło w Tenochtitlán i Calpulalpan. W tym ostatnim miejscu archeolodzy odnaleźli ślady co najmniej 500 ofiar.

Ofiary były szczególnie potrzebne co pięćdziesiąt dwa lata, kiedy dobiegał końca aztecki kalendarz rytualny. Zbiegały się wówczas końce dwóch kalendarzy – *xiuhpōhualli* i *tōnalpōhualli* – i następował moment kosmicznego kryzysu: kiedy wszechświat zagrożony był rozpadem i kapłani musieli przeprowadzić ceremonię rozniecania nowego płomienia. Składanie ofiar z ludzi nie wystarczało, bo wdzięczność za krew bogów, dzięki którym istnieli ludzie, okazać musieli wszyscy. Aztekowie nacinali sobie więc uszy, ramiona lub genitalia, żeby złożyć

osobistą ofiarę krwi. Nacinano skórę dzieciom, niemowlętom i starcom. Każdemu żywemu człowiekowi.

Ostatnia taka ceremonia miała miejsce na dziesięć lat przed przybyciem Cortésa, w 1507 roku.

Hiszpanie byli świadkami innych krwawych obrzędów. Do najbardziej wstrząsających z ich punktu widzenia należał rytuał poświęcony Centeotlowi, bogu kukurydzy, w jedenastym miesiącu azteckiego kalendarza. Centeotlowi nie wystarczało, że wszyscy nacinali sobie ciało, puszczając krew, chciał, aby zabijano wtedy najpiękniejszą z dziewcząt, żeby kapłan mógł nałożyć na siebie maskę z jej świeżo ściągniętej skóry i dopełnić rytuału przywołującego echa mitu o wybraniu Azteków na panów Ameryki.

Hiszpanie nie potrafili pojąć tej krwawej religii.

Cortés był bezradny, kiedy Montezuma tłumaczył mu, że śmierć jest dla Mexica najbardziej zaszczytnym obowiązkiem, dzięki któremu wszechświat może się odradzać i trwać. Miał powiedzieć, że przyszli na świat po to, aby ruszyć do boju i spotkać błogosławioną śmierć wychwalaną przez przodków. Bogowie poświęcili się, żeby ludzie mogli istnieć, więc ludzie poświęcają się, żeby bogowie byli szczęśliwi i zsyłali światu błogosławieństwo.

Jeńcy, którzy okazali strach, nie byli składani w ofierze, ale zabijani szybko, jakby wstydliwie. Do tego, aby ofiara mogła się dokonać, potrzebna była akceptacja ze strony niewolników. Jeśli rytuał miał dotyczyć ludzi z plemion z odległych rejonów, musieli oni najpierw mieszkać jakiś czas w Tenochtitlán, aby bogowie mogli ich poznać i zaakceptować.

Jeńcy też woleli dobrą śmierć i przyszłe życie w orszaku Słońca niż złą śmierć w łóżku i tułaczkę w drodze do piekła.

Wedle przekazów, których prawdziwości nie sposób dowieść, bo nie da się oddzielić hiszpańskiej skłonności do przesady od rzeczywistości, w czasie poświęcenia przebudowanej *Templo Mayor* w Tenochtitlán w 1487 roku król Ahuizotl zażądał złożenia w ofierze 80 tys. ludzi.

Badacze podkreślają zazwyczaj, że Aztekowie budowali konsekwentnie legendę tych krwawych rytuałów, bo była im potrzebna do utwierdzenia w regionie władzy politycznej. Inne ludy musiały się bać Synów Słońca.

James George Frazer uważał, że religia Azteków była efektem myślenia, które określał mianem magii homeopatycznej – wykonywaniem praktyk magicznych polegających na przekonaniu, że podobne działanie powinno wywołać podobny efekt. Łzy sprowadzą deszcz. Poświęcenie spowoduje odrodzenie. Krew ludzi da nowe życie bogom, tak jak krew bogów dała nowe życie ludziom. Aztekowie byli przekonani, że od ich rytuału zależy, czy Słońce wzejdzie czy zgaśnie. Karmili Słońce sercem, bo Słońce jest sercem ich świata. Skóra dziewczyny, którą nosił kapłan w rytuale kukurydzy, nie mogła być skórą niewolnicy, ale musiała być skórą pięknej dziewczyny ze szlachetnego rodu, bo tylko wtedy kukurydza urodzi się piękna i szlachetna. Wierzyli, że Słońce i Księżyc potrzebują wojowników we własnym orszaku, bo same nie będą miały dość sił, żeby wznieść się ponad nieboskłon.

W takim ujęciu ofiarnicza śmierć okazuje się nie opresją, ale warunkiem trwania życia.

Wszystko się zmieniło, kiedy aztecki wojownik Cuauhtlatohuac (w języku nahuatl Mówiący Orzeł), który dał się ochrzcić konkwistadorom i został chrześcijaninem, w dniu Niepokalanego Poczęcia w 1531 roku spotkał młodą dziewczynę, która powiedziała mu, że jest Matką Boga.

Biskup Zumárraga nie uwierzył Indianinowi, więc ten poszedł raz jeszcze na wzgórze Tepeyac, a Madonna znów mu się ukazała. Powiedziała, żeby nazbierał róż i zaniósł je biskupowi, a on, zdziwiony, bo to przecież była zima, narwał ich takie mnóstwo, że wypełniły jego pelerynę. Kiedy zaniósł je do miasta i przed biskupem rozpostarł płaszcz, róże na oczach Zumárragi i jego świty zamieniły się

w wizerunek Matki Boskiej, znany dzisiaj jako Matka Boża z Guadalupe.

To był pierwszy przypadek objawienia wobec Indianina.

Wierzący uznają to wydarzenie za cud. Niewierzący za ostateczny symbol podporządkowania sobie Azteków przez Hiszpanów. W każdym razie krew po stopniach piramid ofiarnych więcej już nie popłynęła.

Ale azteckie tradycje przetrwały w sercach meksykańskich. Możemy je wciąż obserwować, jeśli uda nam się być w tym kraju w Dniu Zmarłych.

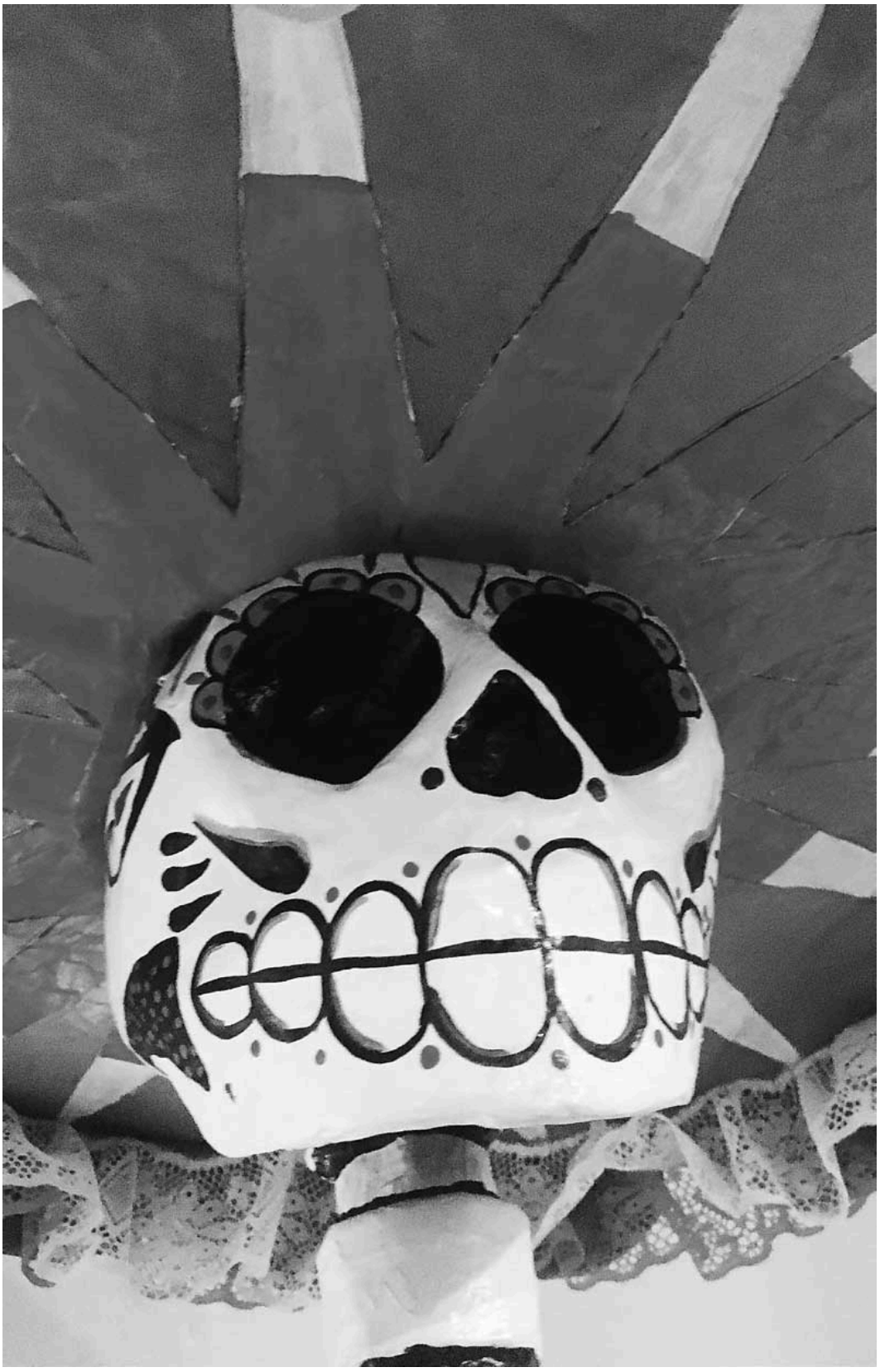

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dzień, w którym umierasz po raz drugi

Wszyscy doskonale wiemy, że meksykańskie święto zmarłych to radosna, kolorowa fiesta angażująca całą społeczność we wspólne paradowanie, śpiewanie, tańczenie, pożeranie cukrowych czaszek nasączonych tequilą (w wersji dla dzieci – czekoladą), malowanie ciała i przebieranie się w stroje we wszystkich kolorach świata. Jeśli ktoś nie był tego świadomy, to po *Spectre* – pamiętnym odcinku przygód Jamesa Bonda, w którym ściga on terrorystę Marco Sciarrę w tłumie tańczących kościotrupów na ulicach Meksyku – wie już wszystko.

W mieście Meksyk nigdy przedtem nie było parady z okazji Dnia Zmarłych. Wymyślili to scenarzyści filmu, ale po premierze *Spectre* stało się jasne, że turyści z całego świata oczekują, iż świat będzie dokładnie taki jak na filmie, więc od listopada 2016 roku śmiertelna parada wędruje głównymi ulicami stolicy.

Bond nie był jedyny. Kino uwielbia sięgać po Dzień Zmarłych z całą jego krzykliwą, wielobarwną obyczajowością i mnóstwem tajemniczych rekwizytów. Do najlepszych obrazów należy *Księga życia* Jorgego R. Gutiérreza, w której dziewczyna i jej dwaj adoratorzy wplątani zostają w rywalizację bogini La Muerte rządzącej krainą zamieszkiwaną przez tych, którzy są po śmierci pamiętani przez swoich bliskich, i Xibalby rządzącego ponurą krainą tych, o których wszyscy już zapomnieli.

Znikanie z zaświatów tych, którzy zostali zapomniani przez żyjących, to najgłębsza istota Dnia Zmarłych.

Potomkowie Azteków wierzą, że ci, których pamiętamy, wciąż żyją w krainie szczęśliwej, a zapomniani trafiają do prawdziwego piekła. W filmie *Księga życia* rządzi tym miejscem Xibalba – to wedle wierzeń Majów najstraszliwsza otchłań, Miejsce Strachu. La Muerte zaś to La Catrina – Królowa Umarłych, postać wymyślona przez artystę grafika, litografa, mistrza politycznej satyry. José Guadalupe Posada Aguilar miał w Meksyku własną drukarnię, z której wychodziły jego mistrzowskie czarno-białe plakaty. Na początku XX wieku zaczął rysować *calaveras* – czaszki symbolizujące Dzień Zmarłych. Nadawał im osobisty charakter i unikalne, przerysowane, ale nie karykaturalne, raczej budzące sympatię cechy. Potem oprócz samych czaszek zaczął rysować kościotrupy w eleganckich strojach z poprzednich epok – zmarli nosili się elegancko i po pańsku, martwi, ale wciąż zachowujący maniery arystokratów w bogatych, choć zniszczonych przez czas kostiumach. Nieśmiertelną sławę przyniosła artyście La Catrina, Królowa Umarłych, która błyskawicznie zawojowała parady Dnia Zmarłych i dzisiaj wydaje się, że królowała niezapomnianym od zarania dziejów. Nosiła się po francusku i nadmiarem pudru zdradzała, że odrobinę się wstydzi swojej śniadej skóry Meksykanki i chce uchodzić za przybyłą z Europy. Światową popularność La Catrinie przyniósł bajecznie kolorowy mural Diego Rivery. *Sueño de una tarde dominical en la Alameda Central* (Sen niedzielnego popołudnia w Alameda Central) powstał w 1947 roku na zamówienie restauracji Wersal w hotelu Prado. Dzisiaj to jeden z najważniejszych zabytków Meksyku, po trzęsieniach ziemi pieczołowicie przeniesiony do Muzeum Narodowego. Na ścianie liczącej sobie prawie szesnaście na pięć metrów Rivera przedstawił najważniejsze postacie z meksykańskiej historii prowadzone w barwnym korowodzie przez La Catrinę.

Dzisiaj Dzień Zmarłych bez niej nie miałby racji bytu. Jej drewniana, bajecznie kolorowa figurka w szerokim sombrero, z którego ronda zamiast frędzelków zwieszają się maluteńkie czaszki, jest najlepszą pamiątką, jaką można przywieźć z tego kraju.

Bohaterowie *Księgi życia* narysowani są tak, jakby sami byli drewnianymi rzeźbami z kramów ludowych meksykańskich twórców. Film zawiesił poprzeczkę tak wysoko, że wydawał się niedościgłym ideałem, ale Lee Unkrich i Adrian Molina, twórcy disneyowsko-pixarowego filmu *Coco* poradzili sobie z wyzwaniem. Zdobyli dwa Oscary, dwa Złote Globy, Baftę, Saturny i co tam jeszcze może zdobyć animowany film o chłopcu, który w towarzystwie psa Dantego (patrz: pies, który towarzyszy azteckim zmarłym w wędrówce przez piekło w poprzednim rozdziale) musi zejść do królestwa Śmierci, aby odszukać prapradziadka i otrzymać od niego błogosławieństwo, które pozwoli mu powrócić do świata żyjących. Praca nad tym filmem trwała ponad sześć lat i widać to w każdym ujęciu. Zadziwiająca jest dbałość o każdy najdrobniejszy szczegół – nawet kwiaty, które widzimy w filmie, to aksamitka wzniesiona, zwana w Meksyku kwiatem umarłych. Dekoruje się nią groby w tym wyjątkowym dniu, wysypując umarłym drogę do miejsc, w których mają się pojawić, kiedy już przekroczą most między naszymi światami.

Błogosławieństwo też przenoszone jest przez płatek aksamitki.

Meksykanie nie mogli pozostawić pucharu w rękach Disneya i na *Coco* odpowiedzieli *Salmą w krainie dusz*. Osierocona dziewczynka w Dniu Zmarłych, kiedy to światy żywych i umarłych są na wyciągnięcie ręki, przechodzi w zaświaty, aby spotkać rodziców. Wizualnie film nie dorównuje poprzednikom, ale można się znowu naoglądać kolorowych kostiumów, uśmiechniętych czaszek, przystrojonych zdjęć umarłych osób. A kiedy już to zobaczyliśmy, kiedy nasłuchaliśmy się świetnej meksykańskiej muzyki, nadeszła pora, żeby rozszyfrować powody, dla których Dzień Zmarłych w katolickim Meksyku tak bardzo różni się od listopadowej melancholii Wszystkich Świętych, którą znamy z własnego podwórka.

I nie, nie będzie nic o pogodzie.

Słodka czaszka z piernikowego ciasta

Słodkie akcesoria *Dia de los Muertos*

Dzień Zmarłych jest najstarszym religijnym świętem obchodzonym na terenie Meksyku i Ameryki Środkowej i choć dzisiaj spleciony jest nierozerwalnie z chrześcijańską tradycją Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego, to jest od chrześcijaństwa starszy o co najmniej 1000 lat. Nawiązuje bezpośrednio do azteckiej tradycji festiwalu ku czci bogini Mictēcacihuātl, Królowej Śmierci, pani podziemnej krainy Mitclān, w której strzegła kości umarłych i przewodniczyła świętom, bo jej boski małżonek Mictlāntēcuhtli nie opuszczał swojej siedziby w najgłębszym, dziewiątym kręgu piekła.

Festiwal Królowej Śmierci w azteckim kalendarzu obrzędowym trwał cały miesiąc i miał swoje odpowiedniki w tradycji innych ludów Mezoameryki – Inków, Majów, Totonaków, Zapoteków, ludów określających się jako mexicas, mixtecos czy texcocanos.

Obchody odbywały się latem i były połączone ze świętem plonów kukurydzy, dyni, fasoli czy ciecierzycy. Pamiętacie? Rytuały związane z plonami kukurydzy obejmowały zdejmowanie skóry z najpiękniejszej dziewczyny po to, żeby kapłan mógł się nią przystroić. Śladów tego rytuału na szczęście w Dniu Zmarłych już nie zobaczymy – po cudzie z pojawieniem się wizerunku Maryi na płaszczu Juana Diego Indianie woleli o tym zapomnieć. Lepiej było przyjąć chrześcijaństwo niż śmierć z rąk konkwistadorów, ale przywiązanie do ceremoniałów było silniejsze od rozsądku, a obrzędy związane z kultem przodków należą do najsilniej zakorzenionych w obyczajowości niezależnie od kultury, w jakiej wyrastają ludzkie społeczności. Kościół był tego świadom i zastosował taktykę asymilacji lokalnych wierzeń i obyczajów. Nie było to nic nadzwyczajnego, ten sam sposób asymilacji papiestwo z powodzeniem zastosowało choćby wobec naszych przodków, którzy na przykład noc sobótkową zamienili na świętojańską.

Zamiast miesięcznego festiwalu mieszkańcy Meksyku otrzymali kilkudniowe święto, ale nie w sierpniu, kiedy dojrzewa kukurydza, lecz w okresie, w którym chrześcijanie na całym świecie obchodzili Wszystkich Świętych.

Meksykańskie obchody są kilkudniowe, bo nie dało się w dwa dni pomieścić całej złożoności rytuałów ku czci Królowej Śmierci.

Niektórzy obchody rozpoczynają już 29 października. To dzień poświęcony ludziom, których spotkała nagła śmierć, a nie byli na nią przygotowani. Nie zdążyli się wyspowiadać, więc ich los w zaświatach jest niepewny. Kolejny dzień to czas, kiedy trzeba zbudować *la oferenda* – domowy ołtarz z fotografiami zmarłych oraz zdjęciami przedmiotów, które lubili za życia, bo to pozwala im trafić z zaświatów do domu. Czekają na nich żyjący bliscy i przygotowany specjalnie dla nich poczęstunek – woda, chleb, mleko i owoce. Są też orzechy i kukurydza oraz kwiaty – oczywiście aksamitki, zazwyczaj ułożone w kształt łuku, co symbolizuje otwartą bramę pomiędzy światem żywych a umarłych. Panuje przekonanie, że zapach aksamitek przyciąga dusze zmarłych.

Nad wszystkim czuwa dyskretnie Zbawiciel zawieszony wysoko nad ołtarzem, ale kolorystyka i dekoracje są poza tym akcentem dalekie od tego, co znamy z chrześcijańskich świątyń w okresie zadusznym. Dominują purpura i pomarańcz – kolory festiwalu Królowej Śmierci. W tych właśnie barwach dekoruje się ołtarz *papel picado* – wycinankami o tradycyjnych motywach, w których dominują czaszki i tańczące kościotrupy.

Oferenda musi mieć kilka poziomów. Przynajmniej dwa – symbolizują wtedy niebo (tam znajduje się Zbawiciel) i ziemię. Mogą mieć trzy poziomy na znak nieba, ziemi i świata umarłych. Albo siedem poziomów, z których każdy ma symboliczne znaczenie. Znalazłem dwa objaśnienia dotyczące tej liczby. Pierwsze mówi, że siedem stopni ołtarza oznacza siedem prób, które musi przejść dusza zmarłego, zanim trafi do miejsca wiecznej szczęśliwości. Drugie wyjaśnienie jest bardziej praktyczne: na pierwszym stopniu trzeba ustawić wizerunek świętego patrona lub Maryi, na drugim dary dla dusz cierpiących w czyśćcu, na trzecim zostawić sól dla dzieci nieochrzczonych, które też przebywają w czyśćcu. Sól ma im pomóc w zachowaniu ciała. Czwarty stopień przeznaczony jest na *pan de muerto* – chleb umarłych upieczony przez krewnych zmarłego, na piątym stopniu znajdują się ulubione potrawy zmarłego, kukurydza oraz owoce na pamiątkę po azteckich dożynkach. Na szóstym stopniu stoją zdjęcia zmarłych. Siódmy stopień zarezerwowany jest dla krzyża.

Na ołtarzu pali się świece, które mają wskazywać drogę duszom, oraz kadzidło z aromatycznej żywicy *copal*. Ma ono moc oczyszczania duszy ze zła i smutku. Wokół ołtarza wiszą łańcuchy wycinanek *papel picado* dla podkreślenia, że życie i śmierć są nierozerwalnie złączone.

Domowy ołtarz musi być bardzo bogaty, panuje bowiem przekonanie, że zmarli nie są zadowoleni i szczęśliwi, jeśli dostają byle kawałek chleba i dzbanek wody.

Welkie oczy La Catriny

Psychodeliczna twarz *alebrije* – przewodnika duszy

Oferendas buduje się także w miejscach publicznych, aby uczcić ofiary wojen czy trzęsień ziemi. Olbrzymi ołtarz ku czci zabitych w trzęsieniu ziemi z 2017 roku stanął na El Zócalo – centralnym placu stolicy Meksyku.

W wigilię Wszystkich Świętych do swoich bliskich przybywają *angelitos*, czyli dusze zmarłych dzieci, i trzeba mieć dla nich dar. Pierwsze przybywają dusze dzieci zmarłych przy porodzie, które nie zdążyły zostać ochrzczone i muszą czekać w czyśćcu na koniec świata. Ołtarze dla nich udekorowane są kolorową bibułą, zabawkami i słodyczami.

Potem przybywają dusze ochrzczonych dzieci i dorosłych, aby zostać z domownikami przez całą noc.

To jest noc wspomnień i odbudowania pamięci o tych, którzy odeszli, moment, kiedy granice świata żywych i umarłych stają się przenikalne.

Obchody 1 listopada nie są spektakularne, bo to dzień modlitwy przed domowymi ołtarzami, w kościołach i na cmentarzach. Groby udekorowane są świecami i kwiatami, a zmarli dostają wtedy swój własny chleb – *pan de muerto*.

Kwiaty, naturalne i papierowe, układa się w specjalne kompozycje zwane *coronas*. Muszą być bardzo kolorowe. Czasami wkomponowane są w nie wizerunki Matki Bożej z Guadalupe.

Ludzie pozostają ze swoimi bliskimi na cmentarzach do świtu następnego dnia. Jedzą tam posiłki, biwakując całymi rodzinami i opowiadając sobie anegdoty na temat ich bliskich zmarłych. Je się *tamales* – rodzaj nadziewanych pierogów z mąki kukurydzianej. Gotuje się je owinięte w liście kukurydzy. Pije się *atole* – słodki napój z gotowanej mączki kukurydzianej. Obie potrawy związane były z Dniem Zmarłych jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. Inną cmentarną potrawą jest chleb umarłych – okrągła kukurydziana buła z wyciśniętym na niej znakiem krzyża lub skrzyżowanych piszczeli, tak aby podzielić chleb na cztery części na znak czterech kierunków, w które według azteckich wierzeń udawały się dusze zmarłych w zależności od rodzaju śmierci, jaka ich spotkała. W krajach Ameryki Środkowej spożywa się *mukbilpollo* – rodzaj pikantnych pyz nadziewanych mięsem kurczęcia lub świni, które dusi się w kociołku wkopanym w ziemię, co ma symbolicznie nawiązywać do pogrzebu.

Na grobach i na ołtarzach nie może zabraknąć oczywiście potrawy, którą zmarły lubił najbardziej za życia. Na moim grobie musiałaby się znaleźć pomidorówka.

Oprócz potraw zjadanych w czasie czuwania na cmentarzu nieodłącznym elementem Dnia Zmarłych są cukrowe czaszki. *Calaveras de azúcar* nasączane czekoladą, alkoholem, dekorowane piórami i skrawkami materiału nie są przeznaczone do zjadania, ale stawiane na ołtarzach i na grobach służą jako podarunki dla tych, których

kochaliśmy. Duże czaszki są dla dorosłych duchów, maleńkie – dla dzieci.

Na 2 listopada jadłospis jest już odmienny. Króluje *sopa azteca* z pomidorów i ostrej papryki ze smażoną tortillą i *chicharrón* – smażonymi wieprzowymi skórkami lub żołądkami. W wersji dla turystów – z kurczakiem. Może się trafić zupa *pozole* z kukurydzy *cacahuazintle* z wieprzowym mięsem. W wersji na Dzień Zmarłych zawsze to będzie czerwona *pozole* z dużą ilością chili.

Na drugie *chalupas* – czyli kukurydziane tacos nadziewane mięsem, warzywami lub serem podawane z gotowanym specjalnie tego dnia sosem *mole negro* na bazie czekolady i pieprzu, ale każda rodzina ma własną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie recepturę.

Na deser *calabaza en tacha* – kawałki dyni w lukrze z dodatkiem cynamonu w soku pomarańczowym.

Teraz można już zrobić sobie makijaż, nałożyć kostium i udać się na paradę. Dzień Zmarłych jest przecież okazją do tego, żeby celebrować życie. Można w nim dostrzec oznaki karnawalizacji świata – odwrócenia porządku rzeczy, co jest widoczne choćby w humorystycznych rysunkach, na których barwne szkielety tańczą, jedzą, piją, palą papierosy, kochają się i na wszelkie sposoby używają życia. Przy stole bliscy przekomarzają się za pomocą żartobliwych kupletów *calaveritas* w rymowanej formie opowiadających o życiu i śmierci tych, do których są adresowane.

No i wreszcie *fiesta* – czyli parada ludzi poprzebieranych za szkielety, koniecznie z makijażem przypominającym czaszkę. Panuje przekonanie, że zmarli przodkowie również biorą w niej udział. Za najważniejszą i najstarszą w całym Meksyku uchodzi *La Calaca*, parada w San Miguel de Allende. Uczestnicy wspominają na niej zmarłych nawet sprzed trzech tysiącleci.

We współczesnych paradach nie może zabraknąć *alebrijes* – fantastycznych stworzeń będących przewodnikami dusz w świecie zmarłych. Jeszcze sto lat temu nikt o nich nie słyszał, ale w 1930 roku

artysta Pedro Linares zachorował ciężko i zapadł w malignę. We śnie trafił w zaświaty. Bał się, ale tylko do momentu, kiedy u jego boku pojawiły się osioł, kogut i lew, wykrzykujące: *alebrije, alebrije!*. Człowiek poczuł się nagle bezpieczny i zrozumiał, że nie umrze ani nie będzie więcej chorował. Wtedy zobaczył, że zwierzęta nie są zwyczajne, ale bajecznie kolorowe. Osioł unosił się na skrzydłach motyla, kogut miał rogi byka, a lew głowę orła.

Kiedy Linares się wybudził, zaczął tworzyć portrety zwierząt z zaświatów. Nie wystarczyło mu, że je rysował, budował też wielkie modele z drutu i papier mâché. Dzisiaj nie może ich zabraknąć na paradach – jadą na specjalnych platformach, machając skrzydłami, wywracając oczyma i wywalając w kierunku gapiów papierowe języki.

Dzień Zmarłych obchodzony jest na terenie nie tylko Meksyku, lecz także innych krajów. Świętuje się go w Stanach Zjednoczonych w miastach skupiających meksykańską emigrację, takich jak San Diego czy Tucson ze słynną, organizowaną od początku lat 90. kolorową paradą. W Belize odbywa się *Hanal Pixán* – karmienie dusz ze specjalnie budowanych ołtarzy, w Boliwii 9 listopada jest Dniem Czaszek na pamiątkę prekolumbijskich zwyczajów przechowywania w domach czaszek przodków, co miało zapewnić potomkom powodzenie i ochronę. W Gwatemali 1 listopada wypuszcza się w niebo latawce z uczepionymi do nich listami do zmarłych, na znak, że wciąż się o nich pamięta.

Jak to wyjaśnia Héctor Rivera, nieżywy bohater filmu *Coco*: kiedy w świecie żywych nikt już o tobie nie pamięta, to znikasz także i z tego w zaświatach. Umierasz po raz drugi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kawałek mnie płonie z tym, kogo kocham

Na całym świecie ludzie gór są honorowi, dumni, skłonni do obcowania z duchami. Cudzego nie wezmą, a swego zabrać nie dadzą. A jeśli przyjdzie im żegnać się ze światem – góry zaciągają się mgłą albo deszczem.

Było późne popołudnie, lało jak z cebra, plecaki żłopały wodę jak gąbka, a my byliśmy nasiąknięci czerwonym błotem i wyglądaliśmy niczym duchy. Była więc szansa, że przegapią nas i nie będą zrzucać błotnych lawin ani nie sprowadzą piorunów, żeby zagrodzić nam drogę do Ugem.

Szliśmy przez dżunglę Papui, żeby wziąć udział w góralskim pogrzebie. To nie jest taka dżungla jak na Borneo. To prawdziwy górski las. Jeśli z Everestu spojrzeć na wschód, to pomiędzy Andami a Himalajami nie ma potężniejszych szczytów niż Carstensz i Trikora. Tuż pod równikiem w środku dżungli i bagien Nowej Gwinei góry wypiętrzają się na prawie 5 tys. metrów. Wiecznie spowite chmurami, odsłaniają swoje lodowe języki tylko o świcie. Kiedyś było inaczej. Papuasi powiadają, że Trikora lśniła śniegiem każdego poranka. Wówczas nazywała się jeszcze Górą Wilhelminy, a miejscowi patrioci sądzili, że po odejściu Holendrów będą wolni. Ale stali się kolonią Indonezji, góra otrzymała imię Trikory na cześć trzech wielkich przywódców Indonezji – Suharty, Sukarny i Habibiego.

– Od tego czasu Góra się wstydzi – żartują czasem miejscowi – i rzadko odsłania twarz.

Wojowników z gór Papui, ludzi z plemienia Dani, zdaje się to w ogóle nie obchodzić. Czasy się zmieniają, góry pozostają. Dani, mimo że znają już żelazne narzędzia i zapałki, żyją tak, jak żyli tysiące lat temu: ogień – *etu* – krzeszą za pomocą bambusowej linki i kawałka drewna, a na znak żałoby palce i uszy odcinają sobie kamiennymi siekierami *oponagare.* Kobiety odcinają sobie palce, mężczyźni płatki uszu, bo wojownikom palce potrzebne są do walki. Ale jeśli uszy nie mają już płatków, a wojownik miał wielu bliskich, to i jego lewa dłoń może być pozbawiona kilku palców. Odcinają je w myśl zasady, że kawałek mnie powinien spłonąć z tym, kogo kocham.

Papuasi zamieszkują tę olbrzymią wyspę od 20 tys. lat, kiedy to przywędrowali z południa po grobli, która, zdaniem specjalistów od prehistorii, łączyła wówczas Australię z Nową Gwineą. Albo, jak sami uważają, są tu od początku świata, kiedy to wedle ich wierzeń Nauczyciel wyprowadził ich z dziury w ziemi prosto w światło Słońca. Dani – we własnym, góralskim języku po prostu Ludzie – wysmagani wiatrem i wypłowiali w słońcu, mają twardą, garbowaną deszczem skórę, która jest ich jedynym odzieniem. Stopy też mają inne niż my. Niewysklepione ku górze i niewklęsłe od spodu. Nawet bardziej niż płaskie. Gruba skóra, siwa od pyłu, przypomina tę na stopach słonia. Kiedy oglądają nasze żałosne, delikatne stopy pokrwawione od ostrych kawałków granitu, jakich pełne są strumienie, albo poznaczone żółtymi wyspami pęcherzy wyszczerzają zęby w dziecięcym uśmiechu – trochę w nim niedowierzania, trochę politowania i mnóstwo zdziwienia. Dłonie również mają inne niż my – nawykłe do styliska kamiennego topora, do ciskania czterometrowej, prostej dzidy i do plecionej z bambusowych włókien cięciwy łuku. Używają trzech rodzajów strzał. Trójpalczastej, rozczapierzonej strzały *suap*, którą potrafią schwytać w locie ptaka tak, że spadnie, ale nie będzie martwy. Strzały o gładkim grocie, która bez trudu wchodzi w serce świni i łatwo daje się usunąć, żeby zwierzę mogło się swobodnie wykrwawić. I strzały *tok* o długim grocie z zadziorami. Takiej, która jeśli dosięgnie ciała, nie pozwoli

innemu góralowi jej wyciągnąć bez rozrywania sobie trzewi. Strzała cierpienia.

Wojownik z wrogiej drużyny powinien cierpieć, bo nasze duchy domagają się zemsty za to, co oni zrobili naszym w czasie poprzedniej wojny. Kto ją rozpoczął, nikt już dzisiaj nie pamięta na pewno, ale to przecież musieli być oni.

Kiedyś strzała cierpienia nie wystarczała i Dani potrafili wyciąć schwytanemu wrogowi kawał mięsa z uda lub ramienia, udusić go z patatami i szpinakiem w dole do gotowania wygrzebanym w ziemi i spożyć gremialnie na oczach ofiary. Nie ma dla wojownika gorszej potwarzy niż konieczność patrzenia, jak inni gotują i jedzą jego własne ciało. Nie ma większej hańby dla jego wioski niż pozostawienie potwarzy bez odwetu. Dani są jak górale z Bałkanów czy twardzi i nieustępliwi hodowcy winorośli ze zboczy Etny. Żyją, żeby pomścić. Od czterdziestu lat, przynajmniej oficjalnie, nie wolno im jeść ludzkiego mięsa. W każdym razie starają się nie czynić tego w świetle fleszy i jupiterów. Ale kto wie, co dzieje się w odległych o kilka dni marszu od jakiejkolwiek cywilizacji wioskach, które od setek lat toczą ze sobą wojny?

Śmierć w górach chodzi za ludźmi po ścieżkach jak ich własny cień. W Tatrach, jak powiadają, na każdego czeka jego kamień. W Alpach – jego śnieżny nawis. Co czyha w górach Nowej Gwinei – najdzikszym zakątku naszej planety? Ostatnim, którego mapa wygląda jak dopiero co rozpoczęte puzzle – trochę kolorów i wielkie białe plamy z adnotacjami „teren o nieustalonej topografii". W tych górach nie ma roku, żeby z buszu nie wylegli na drogę ludzie, którzy nie widzieli jeszcze obcego świata białych. I których świat jeszcze nigdy nie widział.

Nie ma tu niedźwiedzi. Są jadowite pająki. A w niższych partiach gór najbardziej śmiercionośny rodzaj malarii znany medycynie – wywołany przez zarodźca sierpowatego (*Plasmodium falciparum*). Prócz tego żmije, trujące żaby, rośliny, które, jeśli zadrapią skórę, nie pozwolą się jej zagoić. Wyżej jest to, co we wszystkich górach – zabłąkane kamienie,

brak oddechu i zawrót głowy na stromej ścieżce 4 tys. metrów n.p.m. Są i gwinejskie przypadłości: nie ma mapy – nie znajdziesz wody. Nie ma schronisk, szlaków, często nawet ścieżek. Wszystko, czego potrzebujesz, musisz mieć ze sobą. Nie tylko kilkadziesiąt litrów wody pitnej, prowiant, śpiwory, zapałki, sól czy papier toaletowy. Kompletnie wszystko. Jesteś w odciętej od świata dżungli, do której nie prowadzi żadna droga, oprócz powietrznej. To tak, jakbyś był na pustyni. Musisz zorganizować karawanę. I znaleźć przewodnika. Najlepiej takiego, który zna przynajmniej kilka miejscowych języków.

Śmierć czyha w górach na każdym kroku. A już na pewno czyha w rzece. Dlatego jeśli góral stanie przed brodem sam, usiądzie i będzie czekał, aż nadejdą inni. Rzeki w dolinie Baliem potrafią pokonać wszystko. Nawet czas. Tutejszym zwyczajem mężczyźni strącają ze skał wielkie granitowe bloki, rozłupują je, a następnie wybierają z nich takie odłamki skał, które będą się nadawać na ostrza toporów. Te wkładają do rzeki na okres jednego pokolenia. Za każde ostrze włożone – wyjmują jedno, które wkładali ich poprzednicy pół wieku wcześniej. Ostrze jest gładkie jak polerowana stal.

Za rzeką, jeśli uda się ją pokonać, jeśli duchy będą łaskawe, nie ma już żadnej drogi.

Drogi są tylko w Wamenie – miasteczku z lotniskiem i w promieniu kilkunastu kilometrów od niego. Dalej – jedynie podniebne ścieżki po kopulastych wierzchołkach pociętych szachownicami pól z uprawami patatów, tytoniu i taro. Pola wydarte są zboczom o nachyleniu sześćdziesięciu stopni za pomocą drewnianych i kamiennych narzędzi. Pogrodzone setkami kilometrów ręcznie układanych murów z surowego kamienia. Patrzysz na nie i wiesz, że są na świecie dłużej niż mury Krakowa. Że całe pokolenia kobiet Dani nosiły na głowach kamienie z rzeki, żeby kilkaset metrów wyżej układać je jeden po drugim w swoje ogrodzenia.

Ogrodzenia chronią uprawy przed świniami. Ale nic nie uchroni górali przed śmiercią. Jeśli ma nadejść – na pewno nadejdzie. Ścieżka

życia człowieka pęka. Od tej pory będzie chodził po górach jako duch. Może łatwiej dostrzeże drogę powrotu do czasów, kiedy wszyscy byli jednakowo szczęśliwi?

Ludzie tutejszych gór uważają, że nie umierają z powodów naturalnych. Śmierć zadać może tylko człowiek, albo też może sprowadzić ją duch. Człowiek – wojownik z innego plemienia – jeśli zabija, będzie sam musiał zginąć. Albo on, albo też któryś z jego krewnych. Tego wymaga odwieczne prawo zemsty. Każda śmierć musi zostać pomszczona.

Jeśli człowiek umiera z powodu duchów, sprawa jest bardziej skomplikowana. Bo oznacza to, że duchy się gniewają. Być może nie tylko na zmarłego, może także na jego rodzinę, jego wieś lub klan. Duchy należy przebłagać. Wtedy śmierć opuści wioskę. Trzeba przebłagać w pierwszym rzędzie ducha zmarłego. Nie załatwił on przecież wszystkich spraw za życia – a lepiej, żeby nie mącił żywym, lepiej, żeby im pomagał. Dlatego pogrzeb jest taki ważny – źle skremowany człowiek będzie nękać swoich pobratymców przekleństwem – ich dzieci mogą chorować, a ich tytoń marnieć, mimo że w ogródkach sąsiadów plony będą znakomite. Kiedy góral umiera, jego bliscy modlą się, żeby nie padało. Bo stos z mokrego drzewa nie będzie się dobrze palić.

Kiedy góral umiera, nad jego wioską rozlega się pożegnalne zawodzenie rodziny i przyjaciół. Kiedy góral umiera, góry zasnuwają się dymem stosu. Palenie natartego tłuszczem świni ciała jest jedynym sposobem chowania zmarłych. Stos musi być suchy. Jeśli w dniu śmierci nie było deszczu – ludzie uznają to za błogosławieństwo. W temperaturze czterdziestu stopni ciało rozkłada się błyskawicznie. Szczęśliwa rodzina, która zdoła zgromadzić dość drewna na opał.

Stos zapala się szybko. Kiedy jest już dość gorący, mężczyźni wkładają ciało do środka i zamykają od góry specjalnie przygotowaną deską. Tak, że zwłok spod niej nie można dostrzec. Tak się dzieje w wioskach na pograniczu dolin Baliem i Bugi. W relacjach

podróżników z innych rejonów – ciało płonie na otwartym stosie. Wraz z nim płoną końce palców kobiet z tej rodziny i fragmenty małżowin uszu mężczyzn. To wyraz jedności tych, którzy pozostają, z tym, który odchodzi. Odchodzi, ale w pewnym sensie pozostaje – następnego ranka, kiedy stos wygaśnie, prochy zmarłego zostają przeniesione do domu duchów.

I o ile samą kremację można zobaczyć i sfotografować, to próba zrobienia zdjęcia spopielonego stosu budzi gwałtowne protesty. Duchy nie lubią zdjęć. Duchów nie wolno złościć. Trzeba je namówić, żeby pozostały w swoim miejscu wraz z duchami przodków. Bo teraz są inne – duchy Papuasów po przejściu przez zaświaty mają wedle ich wierzeń białą skórę.

W czasie kremacji żałobnicy lamentują wniebogłosy, kołysząc się na piętach. Mężczyźni kładą sobie wówczas na głowach dłonie. W pobliżu stosu stoją wojownicy z dzidami w rękach. Wyprostowani i piękni. Nieustraszeni. Choć i oni przecież któregoś dnia napotkają śmierć na swoje drodze. Od rzeki gdzieś daleko pod nami ciągnie chłodem. Okoliczne szczyty pokrywają się coraz grubszą warstwą czarnych chmur. Zdaje się, że słychać poszum dalekiego deszczu. Ale nad stosem nie pada. Góry są łaskawe. Człowiek może w spokoju oddać im ciało i kości.

Popioły wysypywane są w miejscu dla duchów. To sfera sacrum, jedyne miejsce, którego nie wolno mi było sfotografować. Nie wyglądało szczególnie intrygująco. Cztery kije wbite na planie kwadratu o boku metra, może półtora. Na kijach czerwony sznurek. I więcej nic.

Nie każdy członek plemienia Dani płonie na stosie. Najwybitniejsi wojownicy i wodzowie byli mumifikowani w nieprawdopodobnym rytuale. Wewnątrz specjalnej chaty zwanej *honai* dwaj mężczyźni wędzili ciało nad ogniem, nacierając je świńskim tłuszczem, aż do momentu, w którym całkiem wyschło. Mówili nam, że taki rytuał trwa około dwóch lat, a obaj wojownicy zaangażowani do tego zajęcia nie

opuszczają w tym czasie chaty, dostają jedzenie i wystawiają za wejście swoje odchody.

Dwa lata to umowne pojęcie, bo Dani nie liczyli przecież czasu w okresie, z którego pochodzą mumie. Zdaniem badaczy mogą liczyć po jakieś 200, może 300 lat. Mumie mieszkają w specjalnych skrzynkach w domu wodza. Skrzynka mumii jest właściwie jedynym meblem, który widzieliśmy w czasie papuaskiej podróży, jeśli nie liczyć stołów i krzeseł przywiezionych przez misjonarzy, którzy w latach 70. ubiegłego wieku chrystianizowali tereny Dani.

Dani nie są jedynymi ludźmi, którzy mumifikują swoich wybitnych wodzów. Znane są relacje dotyczące plemienia Angu, którego członkowie nakłuwali ciała zmarłych, żeby wypuścić z nich wszystkie płyny, a po wysuszeniu ciała usuwali wnętrzności przez odbyt, pilnując, żeby ciało ani żadna z jego części czy płynów nie dotknęły ziemi.

Lud Buang ze wschodniego wybrzeża Nowej Gwinei mumifikował swoich zmarłych poprzez wyciągnięcie wnętrzności z ich ciał, a następnie zakopanie ich na kilka miesięcy w dołach wypełnionych trawą i piaskiem. Zwłoki owijano w *tapa* – tkaninę wykonaną z kory drzewa i pomalowaną w magiczne wzory pozwalające nawiązać kontakt z duchami przodków. Wysuszone ciała owinięte w magiczne tkaniny pozostawiano na wapiennym klifie nad oceanem, aby całkowicie wyschły.

Mumie papuaskie są inne niż te, które znamy z Egiptu – czarne, nasączone tłuszczem, ubrane w *horim* i pióropusz, ale przede wszystkim zdają się skurczone, bo ciała poddano mumifikacji w pozycji embrionalnej. Jakby symbolicznie powracały do miejsca, w którym wszystko się zaczęło. Sprawa nie jest taka prosta, bo przecież papuascy kapłani nie mogli wiedzieć, w jakiej pozycji ciało znajduje się w ciele matki.

Na początku Bóg stworzył dwoje ludzi – Tabeha i Hesage. Uczynił ich z kawałka skały, dał im skórę białą jak mleko, ale delikatną, tak delikatną, że już pierwszego dnia słońce spaliło ją na ciemny brąz i taką

miała pozostać na wieki wieków. W obawie, że staną się całkiem czarni, ludzie schronili się w jaskini. Tu Hesage rok po roku wydawała na świat ciemnoskóre dzieci o kręconych włosach. Kiedy dzieci dorosły, Stwórca zmienił matkę w suchą trawę, a ojca przeistoczył w zeschnięte liście. Potem Bóg podpalił trawę i wrzucił do niej liście. Dzięki temu duch Tabeha mógł powrócić do kamienia – do tej samej skały, z której został wezwany, aby stać się mężczyzną. Od tej pory jego duch zamieszkał w kamieniu. Bóg uczynił to, żeby ludzie Dani wyszli z jaskini. Każdy z synów zabrał ze sobą kawałek skały – *ganekhe*. Wodzowie mają je do dziś, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

– *Ganekhe* jest najważniejszym ze wszystkich kamieni, jakie istnieją w świecie, najważniejszym, bo jest w nim zaklęta dusza praojca. – Opowieść Yosa, naszego przewodnika, dobrze brzmiała nad rzeką Yetni, która uparła się utoczyć w dolinę wszystkie kamienie świata. – Najważniejszym rytuałem ludzi jest *wim ganekhe hakasim*, to jakby odnowienie przymierza z duchem praprzodka. Kiedyś odbywali go przed każdą wojną. Ale to rytuał nie tylko wojenny. Czasami odprawiają go, kiedy ktoś z nich jest bardzo chory. Albo kiedy któraś z żon wodza nie może mieć dziecka. Albo gdy trzeba przenieść wioskę i zbudować nowe domy. Dani budują domy okrągłe właśnie dlatego, żeby przypominały im pierwszy dom, jaskinię.

Tylko najwybitniejsi wojownicy z ludu Dani mogą liczyć na wieczność w postaci mumii, Dolina Baliem, Papua Zachodnia

Mumia przechowywana jest w chacie czarownika. Jej skrzynia jest jedynym meblem w wiosce. Dolina Baliem, Papua Zachodnia

– Na czym polegają te rytuały? – dopytujemy.

– Na przekraczaniu przez mężczyzn granicy pomiędzy tym, co widzialne, i tym, co niewidzialne. Ale jak to się odbywa, nie wiem. Nigdy tego nie doświadczyłem. W każdym razie świnie nie lubią takich obrzędów. Bo to wielkie święto. A wielkie święto oznacza wielkie świniobicie.

– Nawet to słowo *wim,* brzmi prawie tak samo jak *wam,* czyli świnia.

– Nie, nie, *wim* to raczej wojna, ale kamień *ganekhe* jest ważniejszy niż wojna. Jest jak mumia pierwszego człowieka. Czasem Dani mówią, że to jego kości.

W pozagrobowym życiu Dani istotna jest świadomość, że duchy przodków nie stają się bóstwami, ale są takimi samymi ludźmi jak przed śmiercią, tyle że teraz są duchami. Widzą wszystko lepiej, niż widzą żyjący, ograniczeni ludzie. Mają też lepsze rozeznanie w niektórych sprawach niż żyjący. Można z nimi rozmawiać, jeśli potrafisz słuchać, będą do ciebie mówić.

Dzisiaj, kiedy siedzę za biurkiem w mieszkaniu na Starym Mieście, z radiem u boku, internetem w komputerze, na którym piszę, mając za oknem hałaśliwy tłum turystów niebojących się już epidemii, to myśl o tym, że rozmawiam z duchami, wydaje mi się osobliwa i trudna do zaakceptowania. Kiedy jednak przed kilkoma laty siedzieliśmy z Romanem Hamerskim w kucki pośród nagich, brązowoskórych, wysokich wojowników Dani, a oni palili papierosy i gadali ze swoimi duchami, gestykulując, przekomarzając się i żartując, czułem się dziwnie ze świadomością, że oni widzą i słyszą coś, czego ja nie potrafię już zobaczyć ani usłyszeć.

Oczywiście ciałopalenie nie jest jedyną metodą pogrzebową w papuaskiej tradycji, bo na tej olbrzymiej wyspie koegzystuje w totalnej izolacji kilkaset różnych kultur, które ze względu na warunki topograficzne nie kontaktują się ze sobą i przez 20 tys. lat rozwijały się osobno. Asmatowie, mistrzowie drewnianej rzeźby totemicznej, jeden z najpopularniejszych ludów Nowej Gwinei, wierzą, że nie istnieje

śmierć z przyczyn naturalnych. Człowieka można zabić w walce albo sprowadzić na niego śmierć za pomocą magii. Aby duch zabitego osiągnął spokój, konieczna jest zemsta. Śmierć tego, który przyniósł śmierć, pozwoli, aby rozpoczęło się nowe życie. Ich nieprawdopodobnie bogate rzeźby służą przypomnieniu imienia i okoliczności śmierci pobratymców domagających się zemsty. Ceremonia żałobna nosi znamiona zarazem bólu i gniewu. Wdowa po wojowniku tarza się w bólu po ziemi, co ma pozwolić duchowi jej męża na uwolnienie, a inni ludzie z czerwoną, żałobną gliną na głowach dźgają ziemię kościanymi nożami. Żałobny lament rozpoczyna się już w czasie, kiedy człowiek nie umarł, ale ludzie widzą, że nie ma dla niego ratunku. Jeszcze pół wieku temu Asmatowie pozostawiali ciała swoich zmarłych na platformach, na których ciała ulegały rozkładowi.

Przodkowi trzeba było wyrzeźbić wówczas *bis* – czyli ceremonialny totem z opowieścią o jego istnieniu.

Czaszki zmarłych zabierano z platform do domów. Obecnie misjonarzom udało się przekonać lud, żeby grzebał ciała w całości.

Pół wieku temu byli jeszcze kanibalami i męska inicjacja wymagała, żeby młody mężczyzna przed rozpoczęciem życia seksualnego wyprawił się wzdłuż rzeki i zabił członka wrogiego plemienia, aby podarować swoim jego ciało albo przynajmniej głowę. Głowa wroga była gotowana w dole do momentu zejścia z niej skóry, wtedy przebijano czaszkę, aby zjeść mózg nieprzyjaciela, co dawało plemieniu siłę i przywracało kosmiczny porządek, bo duch naszego człowieka był pomszczony.

Wojownik, który zdobył głowę wroga, kładł sobie jego czerep pod głowę na czas snu. Kanibalizm zabroniony został przez władze, kiedy Indonezja zawładnęła Papuą Zachodnią, ale Asmatowie przywiązani są do swoich mitów, wedle których są spokrewnieni duchowo z modliszkami, a one przecież zjadają swoich przeciwników.

Korowajowie słyną w świecie ze swoich domów budowanych w koronach drzew powyżej poziomu, na którym mogą poruszać się duchy. Wierzą, że ze świata duchów można powrócić, kiedy starszyzna

plemienia w zaświatach uzna, że ktoś powinien odrodzić się jako dziecko. Korowajowie stosują kanibalizm jako karę wobec mężczyzn używających czarów, być może w przekonaniu, że jeśli ich mięso zostanie zjedzone, to nie będą mogli powrócić do życia. Człowiek umierający z powodu czarów w ostatnim tchnieniu ujawnia imię *kha khua*, a członkowie jego klanu mają obowiązek zemsty. Ciało tego, który użył magii, jest gotowane i zjadane przez cały klan, jego kości zaś zostają ułożone w lesie na ścieżce prowadzącej do wioski, aby ostrzec wszystkich, którzy chcieliby naruszyć jej spokój.

Swoich zmarłych chowają, podobnie jak Asmatowie czy Kombajowie, na wysokich platformach. Na platformach chowają swoich zmarłych ludy ze wschodniej Nowej Gwinei. Ludzie Biami budują je tak, żeby zmarli mogli zobaczyć wierzchołek Mount Albert Edward, na której będą mieszkać jako duchy. Ludzie z klanu Kandep kości palców stopy albo dłoni noszą na szyi jako amulet, dzięki któremu przodkowie zawsze mogą im pomóc.

Pamiętam, szliśmy przez las, który to już dzień, myślałem o pogrzebie w Ugem, z którego wracaliśmy już w kierunku dróg, samochodów, hoteli, zegarków, internetu, restauracji i plastikowych reklamówek w sklepie.

– A wy co robicie ze swoimi zmarłymi? – zapytał mnie znienacka Amus, jeden z naszych tragarzy. Ten, który potrafił mówić po angielsku.

– Słucham? – Zamyśliłem się po polsku. Nie zrozumiałem.

– Co robicie ze swoimi zmarłymi? No wiesz, kiedy umieracie, co się wtedy dzieje?

– No zakopujemy ich na cmentarzu – powiedziałem.

– Na cmentarzu?

– To takie miejsce, gdzie leżą w ziemi ci, którzy umarli.

– Miejsce dla Duchów?

– Nie. Miejsce dla tych, co umarli.

– A gdzie macie swoje Miejsce dla Duchów?

– Nie mamy.

– Nie macie?! I nie boisz się umrzeć, skoro nie ma miejsca, w którym mógłbyś przebywać, kiedy będziesz duchem?

Milczę. Myślałem, że duchy idą do nieba.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Żywi umarli

Z Afryką jest ten sam kłopot, co z Papuą. Nie ma jednej kultury Afryki, tylko są setki osobnych kultur, tradycji, języków, przenikających się oczywiście, ale rozwijających się przez długie stulecia w izolowanych społeczeństwach.

Dzisiaj na kontynencie panują obok siebie chrześcijaństwo i islam, niejednokrotnie walcząc krwawo o terytoria i wpływy. Niszczą przy tym pozostałości rdzennych kultur, kruchych wobec okrutnego świata nowoczesnych idei i światopoglądów, i bezbronnych wobec pokus, dzięki którym nowe technologie informatyczne przeżuwają różnorodność świata, by wypluć jednolitą, miałką papkę facebookowego multi-kulti.

Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie kiedyś film o tym, jak pewnych siebie białych zdobywców próbujących nagiąć kark Afryki bronią dwa lwy – ludojady. Nosił tytuł *Duch i Mrok*. Dwa lwy to za mało, żeby obronić własną duszę przed zachłanną, nienasyconą gębą świata. Ale metafora była udana. Afryka, kiedy jechałem do niej po raz pierwszy, była dla mnie właśnie krainą Ducha. Jeśli istnieje jakiś wspólny mianownik dla wszystkich afrykańskich kultur, to jest nim przywiązanie do swojej ziemi i do przodków, którzy nie znikają w żadnej czyśćcowej czy piekielnej otchłani, ale istnieją dalej w życiu pozagrobowym, bo taka jest kolej rzeczy, że najpierw jesteś dzieckiem, potem dorosłym, starszym, a wreszcie stajesz się duchem.

W tradycyjnej maskaradzie *Egungun* ludu Joruba z Nigerii, praktykowanej w czasie rytuału przejścia lub w chwilach ważnych dla

całej wspólnoty, zmarli przodkowie pojawiają się jako żywi zmarli, aby przemówić do społeczności. Podobny sposób ucieleśnienia obecności żywych zmarłych znają inne nigeryjskie kultury: Ogbomoso, Ibadan czy Ibobu. Żywi zmarli dbają o zachowanie tożsamości i przypominają zwykłym żyjącym o etycznych standardach obowiązujących ludzi. Szaman okutany w wielobarwny kostium pełen symboli otwiera swoje ciało na obecność przodków i tańczy, a wspólnota odczytuje z jego ruchów, jaką cenzurkę przodkowie wystawiają jej z powodu ostatnich wydarzeń – czy są silni czy słabi, czy są godni swoich przodków czy się im sprzeniewierzają. Czy otrzymują od nich błogosławieństwo, czy raczej ostrzeżenie.

Tańczyć może tylko mężczyzna. Kobiety są świadkami, choć to właśnie one przygotowują magiczny kostium. Joruba uważają, że duchowość kobiet jest zbyt potężna, żeby mogły one wejść w bezpośredni kontakt z żywymi zmarłymi.

Rytuały pogrzebowe w tradycji Jorubów czy Igbo skupiają się na dwóch aspektach – grzebaniu ciała i przeistoczeniu duszy. Uroczystości towarzyszą głośny aplauz i laudacje wykrzykiwane w obecności ciała przez różne grupy społeczne, im bardziej znaczącą postacią był zmarły, tym głośniejsze i dłuższe są lamenty. Są one jakby głosem heroldów zapowiadającym przodkom w zaświatach, że dołącza do nich nie byle kto.

Potem składa się ofiarę z białego koguta albo kozy. Trzeba to uczynić poza miastem, na rozstajnych drogach, żeby złe duchy nie widziały, którędy iść. Martwe zwierzę naciera się olejem palmowym.

Szaman – *babalawo* – przygotowuje wodę oczyszczenia, by skropić nią ciało, dom i wszystkich obecnych. To jest sygnał dla duszy, że może opuścić ciało.

Ciało jest myte, nacierane rumem i wonnościami. Kciuki i palce wskazujące są wiązane ze sobą, a głowa, jeśli zmarłym jest mężczyzna – golona. Włosy trzeba zebrać w białe bawełniane płótno i zakopać za domem. Jeśli zmarła kobieta, trzeba pięknie ułożyć jej fryzurę i natrzeć

odsłonięte części ciała wywarem z kory, dzięki któremu skóra nabiera czerwonawego połysku.

Ciało owija się w ceremonialne płótna i układa na macie u drzwi domu.

Dzień przeistoczenia przebiega w ciszy potrzebnej, żeby zmarły spokojnie zajął należne mu miejsce w gronie przodków. W czasie dnia postu nikt z rodziny nie je, nie bierze kąpieli ani nie podnosi głosu.

W trakcie składania ciała do grobu członkowie wspólnoty wzywają przodków, żeby na nich patrzyli i słyszeli ich prośby, podziękowania bądź pozdrowienia. To jest moment, kiedy wszyscy spotykają się w jednym miejscu. Do grobu wlewa się rum, skrapia ciało krwią zabitego koguta czy kozła, wrzuca się kilka muszli kauri i można oddać ciało ziemi.

Aby zerwać ziemskie przywiązania zmarłego, który należy już do innego świata, niszczone są amulety czy religijne precjoza należące do zmarłego, a do jego grobu wkłada się orzechy kola i jedzenie. Ceremonię kończy publiczna uroczystość, gdybyśmy nie byli w Afryce, można byłoby nazwać ją fiestą, w miejscu, które przyciąga ludzi – na przykład na targowisku, przy reprezentacyjnej ulicy czy na głównym placu.

Do najbardziej niezwykłych, oczywiście z naszego, europocentrycznego punktu widzenia, rytuałów należy malgaska *famadihana*. Ta praktyka, znana pośród ludów zamieszkujących centralny płaskowyż Madagaskaru, jest zwana tańcem ze zmarłymi. To myląca nazwa, bo to jest taniec z żywymi, choć rzeczywiście zaczyna się od otwarcia grobu i wyjęcia złożonego w nim przed kilku laty ciała. Z przyczyn sanitarnych rytuał praktykowany jest jedynie w porze suchej i okresowo, w przypadku szerzenia się epidemii, zakazywany przez władze kraju. Wydobyte zwłoki bliskich przewija się w nowy całun z jedwabiu i owija w nowe żałobne maty. Do zawoju wkłada się zmarłemu zdjęcia, pieniądze i alkohol. Stare płótna dzielone są pomiędzy członków rodziny, bo to przynosi szczęście. Ciała są

następnie kołysane w ramionach żywych jak do snu, podrzucane, obnoszone siedem razy dookoła grobowca przy wtórze dość głośnej muzyki, a potem taneczny pochód rusza dookoła wsi, żeby pokazać zmarłemu, co się zmieniło w jego okolicy. W zwyczajach niektórych ludów to wystarcza. Inne zabierają zmarłego do domu na wspólną ucztę. Zjawia się na niej cała rodzina zmarłego. Gospodarz zabija zebu, aby nie zabrakło mięsa, i nikt nie oszczędza na alkoholu. Po uczcie na całunie, zwanym *lamba mena*, wypisuje się na nowo imię zmarłego, tak żeby mu udowodnić, że nie jest i nie będzie zapomniany, po czym odnosi się go do grobu.

Uroczystość powtarza się co pięć do siedmiu lat, w zależności od wskazówek, jakich rodzinie udzieli szaman *mpanandro*. Wskazuje on datę uroczystości i określa, jaki powinien być jej przebieg.

Famadihana należy do najistotniejszych obrzędów w malgaskiej obyczajowości, dlatego że wedle tradycyjnych wierzeń człowiek musi mieć dwa pogrzeby. Pierwszy – kiedy umiera i ze świata żywych przechodzi do świata umarłych, choć tak naprawdę jego nieśmiertelny duch nigdy nie opuszcza rodzinnej wspólnoty. Drugi – kiedy to ze świata zmarłych przechodzi do świata przodków, żeby stać się *rezana* – jednym z nich. *Famadihana* to moment inicjacji, w którym człowiek staje się przodkiem. Przodkowie są kluczowi dla malgaskiej duchowości, bo Andriananananhary, Stworzyciel Świata, jest bogiem jedynym, ale dalekim, nie interesuje się losami ludzi, a ich modlitwy docierają do niego z trudem. Pośrednikami między światem boga a światem ludzi są przodkowie. Oni mają bardzo realny wpływ na losy żywych i często się z nimi kontaktują poprzez sny. Czasami dosłowne, czasem metaforyczne. Przodkowie dbają o to, żeby żywi przestrzegali zasad dobrego życia. Jeśli sprzeniewierzają się tradycji, kłamią, kradną, wyrządzają zło innym ludziom, przodkowie reagują, zsyłając na żywych choroby, nieszczęścia, ból. Znaki interpretuje szaman, nie wiem, czy to właściwie słowo, ale słowo czarownik tchnie mi jakimś dziecinnym podejściem do tego powołania.

U niektórych ludów Madagaskaru pogrzeb to bardzo kosztowna uroczystość, ponieważ zmarły nie może spocząć po prostu w ziemi, ale trzeba mu wybudować pałac. Im bogatszy był za życia, tym pałac musi być większy. Największe budują Antandroy z południa wyspy. Są pieczołowicie dekorowane, na przykład malowidłami ze scenami z życia zmarłego. Kiedy spocznie tam ciało, grobowiec dekorowany jest czaszkami zebu, które należały do bogacza. Bywa, że to setki czaszek, bo w dniu kiedy umierał, trzeba było zabić wszystkie jego krowy. Mięso wykorzystywano na pożegnalną ucztę. Czego nie dało się zjeść – można było rozdać biednym.

Sławniejszy niż *famadihana* jest chyba tylko jeden rytuał o afrykańskim rodowodzie – tworzenie zombi. Zanim sto kilkadziesiąt lat temu trafił do popkultury za pośrednictwem autorów powieści grozy, był fetyszem znanym w religiach Afryki Zachodniej – Togo, Beninu, Ghany i Nigerii. Wierzenia te określamy mianem vodun, choć częściej używamy terminu wudu (voodoo), mimo że ta odmiana zachodnioafrykańskiej religii wiąże się raczej z wyspami Karaibów. Ludzie trafiali na nie pod gnijącymi pokładami statków niewolniczych, porywani z własnych domów jako żywy towar. Zakuci w kajdany, powiązani w pęczki, ci, którzy żyli jeszcze, i ci, którzy umarli, na wąskich pryczach. Wieźli ze sobą przez ocean upokorzenie, strach i wiarę, że Stwórca pochyli nad nimi wzrok i ulituje się nad ich dolą.

Nigdy tego nie uczynił, jest bowiem wyniosły i niedostępny. Wystarcza mu łaskawości na tyle, żeby dać ludziom wybaczenie i odpuszczenie win. Do tego, by kontaktować się ze światem ducha, potrzebni są pośrednicy. W świecie vodun swego ducha ma każda żywa istota, zwierzę, drzewo, ale też rzeka i kamień. No i rodzina, plemię, naród. Kontakt z duchami umożliwiają bóstwa. Dzięki Mawu można rozmawiać z Księżycem, jej bliźniak Lisa jest duchem Słońca, mówiący wszystkimi językami świata Papa Legba potrafi załatwić kontakt ze wszystkimi innymi świętymi, bo jest strażnikiem wrót Ducha. Erzulie zajmuje się miłością, Ogoun – wojną, kowalstwem i pędzeniem

samogonu, a Królowa Matka – chrzcinami, małżeństwami i pogrzebami.

Na Haiti, Kubie, Puerto Rico czy w amerykańskiej Luizjanie wierzenia vodun powoli splatały własne korzenie z chrześcijańskimi opowieściami o świętych w jeden bogaty, mistyczny węzeł voodoo. Na plantacjach Brazylii religia przybrała formę zwaną candomblé.

Byłem w São Paulo w ich niewielkiej świątyni o ścianach pokrytych magicznymi napisami, przejęty możliwością spotkania z kapłanką zdolną do tego, żeby przyjąć w siebie wcielenie ducha, który, choć może mieć wizerunek chrześcijańskiego świętego, jest tak naprawdę wygnańcem z afrykańskiego lądu. Gdzieś na plantacjach trzciny cukrowej zamienił własne imię na nowe, portugalskie, inaczej święte. Afrykańskie duchy przyjęły chrzest. Orisza nazywa się dzisiaj Naszą Panią Niepokalanie Poczętą.

To fascynująca religia, świadkowie przybywają do świątyń w nadziei, że zobaczą nawiedzenie, czy też opętanie, być może nawet jakiś duch wcieli się w nich samych i od tej pory nie będą już turystami z Europy na wycieczce do Brazylii, ale będą mieli własnego opiekuńczego ducha, będą tańczyć w czasie zgromadzeń w transie i na własne oczy zobaczą świat duchów. Nie wszyscy posiadają predyspozycje, żeby duch wszedł w jego ciało, ale nie chciałem zaryzykować. Nie zostałem. Nie potrafię tańczyć.

Niektóre wierzenia związane ze śmiercią są naprawdę fascynujące. Na przykład lalki voodoo. Wyznawcy są przekonani, że umożliwiają one kontakt żywych i zmarłych, dlatego pozostawiane były na cmentarzach. Używano ich także w rytuałach uzdrowień lub rzucania miłosnych zaklęć. Prawdopodobnie pomysł używania ich w czarnej magii, przynoszącej ból albo śmierć poprzez kaleczenie wizerunku, co powoduje analogiczne uszkodzenia ciała człowieka, na którego rzucono czar, to pomysł pisarzy i scenarzystów horrorów. Żeby laleczka mogła zadziałać, powinna być wykonana z wykorzystaniem włosa, krwi lub paznokcia osoby, na którą ktoś chce rzucić urok. Można też

gałgankowej, słomianej czy drewnianej lalce wszyć twarz ze zdjęcia tej osoby. Najsilniejsze są uroki rzucane nie przez kapłana, lecz przez bokora, czyli czarownika. Ale lalkę można wykonać samodzielnie, siła jej działania zależy od stopnia koncentracji tego, który chce rzucić zaklęcie.

Maski obrzędowe i figury przodków z kolekcji Leopolda Janikowskiego, Państwowe Muzeum Etnograficzne Warszawa

Innym zjawiskiem pochodzącym z wierzeń vodun jest stworzenie zombi, czyli żywego trupa, choć ten rytuał jest elementem nie kultu, ale raczej ludowych wierzeń.

W językach zachodniej Afryki *zumbi* czy *nzambu* – słowo oznacza tam fetysz, rzeźbę z drewna, w którą można na przykład wbić gwóźdź, żeby zło z człowieka przeszło na figurę – na Haiti przybrał francuskojęzyczną wersję zombi.

Zombi to żywy trup.

Niektórzy antropologowie uważają, że przeniesienie znaczenia z rzeźb na ludzi mogło być efektem szoku, jakiego doznali przybysze z Afryki, kiedy wypędzono ich na plantacje, na których ujrzeli swoich

pobratymców z wcześniejszych transportów. Mogli pomyśleć, że to żywe trupy…

W mitologii voodoo zombi ma kilka znaczeń. Wedle pierwszej wersji to trup, którego kapłan potrafi ożywić kilka dni po pogrzebie, aby służył ludziom i wyręczał ich w pracy na plantacji. Zombi będzie za nich pracował do momentu, kiedy zje sól. Sól sprawi, że uświadomi sobie prawdę: nie żyje. Wtedy nie będzie chciał dalej pracować i zapragnie wrócić do grobu. Jeśli mu się to nie uda, zostanie niewolnikiem Barona Samedi (czasami ucieleśnionego w wizerunku katolickiego Świętego Marcina de Porrès, czarnoskórego zakonnika z Limy, słynącego z tego, że potrafił rozmawiać ze zwierzętami). Samedi, król umarłych, w charakterystycznym kapeluszu, jeden z bohaterów bondowskiego filmu *Żyj i pozwól umrzeć*, niewoli tych, którzy nie mają duszy. Zombi jej nie mają, więc jeśli nie są w grobie, zostają jego niewolnikami.

Zmarłych, którzy mają dusze, Samedi odprowadza do mitycznej krainy zmarłych (Guinee), która znajduje się, gdzieżby indziej, w ukochanej Afryce.

Zombi to nie tylko ożywiony umarły, bo żywego człowieka też można zamienić w zombi. Trzeba mu podać proszek zombi, który czarownik tworzy mieszając truciznę z wątroby ryb z rodziny rozdymkowatych oraz suszonego i rozdrobnionego bielunia. Nie da się ukryć, że gdyby ktoś przeżył spotkanie z taką trucizną, zmiany w jego mózgu byłyby nieodwracalne, ale pozostała iskierka świadomości wystarcza do tego, żeby mógł pracować fizycznie, zastępując w robocie tego, kto go stworzył.

Trzecim sposobem na uczynienie z człowieka zombi jest kradzież duszy. Czarownik, bokor, potrafi odprawić rytuał, który skutkuje uwięzieniem ludzkiej duszy w zalakowanej butelce. Butelka stanowi silny fetysz przynoszący jej właścicielowi zdrowie i szczęście. Można ją sprzedać za duże pieniądze.

Ciekawe, że opowieść o człowieku, który nie jest ani żywy, ani umarły, ale nie ma duszy, pojawia się tysiące kilometrów dalej,

w wierzeniach południowoafrykańskiego ludu Venda. Nie mogła przywędrować na te odległe sawanny z Afryki Zachodniej, bo nie byłoby możliwe, żeby ktokolwiek przeszedł przez równikowe lasy Kongo. Nie mogła tu przywędrować podawana z ust do ust, bo dzieli te kultury mnóstwo języków, religii, obyczajów i stylów życia.

A jednak Venda znają opowieść o tym, że można z kogoś uczynić nieumarłego, kradnąc mu duszę. Duszę można też po prostu wystraszyć. Może tego dokonać przypadkiem nieświadome niczego niemowlę, bo jest, zanim dojrzeje, bardzo bliskie świata duchów. W języku Venda zombi nazywa się *maduxwane*. Na szczęście ten stan martwoty nie musi być trwały, bo najsilniejsze uzdrowicielki, królowe deszczu, potrafią sprowadzić zagubioną duszę z najdalszych zaświatów.

Na terenie Republiki Południowej Afryki działa co najmniej 200 tys. uzdrowicielek zwanych *inyanga* lub *sangoma*. Niekiedy uzdrowicielami są też mężczyźni. Ponad 60% społeczeństwa korzysta z porad uzdrowicieli, co najlepiej świadczy o tym, że do religii Afrykańczycy z RPA mają stosunek synkretyczny, łącząc tradycje własnych kultur z panującym w kraju protestantyzmem. Południowoafrykańskie kultury są liczne i bardzo różnorodne. W oficjalnym użyciu jest tu aż jedenaście języków urzędowych. Ponieważ śmierć w tych kulturach jest traktowana często jako rytuał przejścia, ceremoniały mogą się od siebie mocno różnić. O rytuałach ludu Xhosa prasa pisała wiele przy okazji pogrzebu Nelsona Mandeli. Nie jest dobrze, jeśli Xhosa umiera z dala od miejsca, w którym się urodził. Potrzebne są rytuały, które sprowadzą jego duszę do ziemi przodków. W dzisiejszych czasach ciało można łatwo przetransportować do rodzinnej wioski. Z duszą nie jest już tak łatwo, bo kiedy opuszcza ciało w obcym miejscu, nie wie, dokąd pójść, nie ma tam bowiem duchów przodków, które mogłyby ją poprowadzić. Są duchy obcych ludzi. Mówią obcymi językami. Stwórca gniewa się, kiedy dusze błądzą po nie swoich miejscach. Rytuał jest potrzebny, aby przebłagać Stwórcę, by pozwolił duchom przodków iść po swojego

człowieka. Rytuał trzeba odprawić w miejscu, w którym zakopano wysuszoną pępowinę zmarłego. *Sangoma* pali właściwe zioła i przemawia do ciała zmarłego, wymieniając wszystkie nazwy, które mógł znać – imiona gór, drzew, kamieni, wsi, ulic. Rzek. Rzeki są ważne dla Afrykańczyka. Kiedy *sangoma* wie, że duch jest blisko, wymienia imiona przodków, żeby mogli się spotkać. Pogrzeb może się odbyć dopiero wtedy, kiedy duch zmarłego jest pośród swoich. Zabija się wtedy wołu, krowę lub kozę za pomocą ceremonialnej włóczni. Trumna wodza nakryta jest skórą lamparta. Trumna króla – skórą lwa. W trumnie znajdują się osobiste rzeczy zmarłego, gdyż panuje przekonanie, że zmarły mógłby chcieć po nie wrócić. Tę wiarę dzielą z Xhosa Zulusi. W zuluskiej tradycji zmarli kontaktują się stale z żywymi za pomocą snów, które zinterpretować może *sangoma*. Ale są też proste sny: jeśli śni się ktoś z przodków i mówi, że jest mu zimno albo że jest głodny, nie ma wątpliwości, że trzeba odprawić właściwy rytuał. Czasami wymaga on ofiary z kozy. Czasami wystarcza wylewanie na grób *zulu beer*. *Zulu beer*, czyli *umqombothi*, dojrzewa w każdej zuluskiej kuchni w glinianym słoju przykrytym czystą szmatką, pod którą buzuje zajzajer z prosa, sorga, kukurydzy i przegotowanej wody. Zulusi uważają, że *zulu beer* budzi duchy przodków i będą one mogły wziąć udział w rytuałach. Jeśli przodkowie śnią się potem zadowoleni i uśmiechnięci, to znaczy że im smakowało.

Pedi czekają z pogrzebem siedem dni, oddając hołd ciału zawiniętemu w krowią skórę. W tym czasie przychodzą w odwiedziny wszyscy ludzie, którzy chcą, żeby zmarły ich zapamiętał, bo tylko tym, których pamięta, będzie mógł załatwić z Bogiem ich sprawy. Nomadowie Khoisan chowali swoich zmarłych owiniętych w zwierzęcą skórę w dole wyłożonym włochatymi liśćmi kocanki. Z twarzą zwróconą na zachód, bo z zachodu zawsze przychodzi śmierć. Członkowie ludu Baka z dżungli Kamerunu, gdy żegnają swojego bliskiego, tańczą dla niego całą noc, żeby wszystkie stworzenia wiedziały, że odchodzi do Przodków. W zglobalizowanym świecie istnieją współczesne obyczaje pogrzebowe wspólne dla całej niemal Afryki. Należą do nich zasłanianie

luster i powierzchni, w których zmarły mógłby zobaczyć własne oblicze. Niektórzy nawet szyby okienne posypują popiołem w dniu pogrzebu. Posłanie zmarłego jest usuwane z domostwa. W niektórych miejscach zmarłego wynosi się z domu nie przez drzwi, ale poprzez otwór wybity specjalnie w tym celu w ścianie. Wynosi się go zawsze nogami do przodu, żeby widział przed sobą drogę na cmentarz, a nie tę, którą mógłby powrócić do siebie. Kondukt porusza się zygzakiem, myli specjalnie drogę, zarzuca ścieżkę powrotną gałęziami drzew albo krzewów. Zaciera ślady. W czasie żałoby żadne osobiste rzeczy zmarłego nie są używane. Nikt nie siada w ulubionym fotelu dziadka i nie rusza ulubionej patelni babci. Wybijaniu zmarłemu z głowy pomysłu powrotu do domu sprzyja pochowanie go w trumnie, którą uzna za piękną, wygodną i najfajniejszą w świecie. Cały świat wie, że najfajniejsze są obecnie *abebuu adekai* – fantastyczne trumny z Ghany. W Ghanie każdy stara się mieć trumnę na miarę własnej osobowości. Właściciel lokalnego fast foodu będzie pochowany w trumnie w kształcie kurczaka, muzyk ma trumnę gitarę, marzyciel rakietę kosmiczną, a chłopak, który spędzał całe życie na Tinderze, ma trumnę w kształcie dziewczyny. W tradycji ludu Ga, bo im zawdzięczamy ten pomysł, nie chodziło o żart, ale o hołd oddany przodkom. Pierwotnie trumny figuratywne miały kształty zwierząt totemicznych, opiekunów rodów. Potem pojawiły się trumny związane z zawodem wykonywanym przez zmarłych. A dzisiaj trumny z Ghany to już kod popkulturowy, znak, brand ghański, dzieło sztuki, performance rozpięty pomiędzy życiem a śmiercią. Światowe galerie sztuki zapraszają najwybitniejszych twórców trumien na indywidualne wystawy. Kudjoe Affutu miał swoją w Centrum Pompidou, Eric Adjetey Anang miał pawilon na targach w Mediolanie (Milan Design Week), Paa Joe stał się bohaterem nagradzanego filmu dokumentalnego osnutego wokół pracy nad trumną w kształcie lwa. Eric Kpakpo nie konstruuje dużych trumien, ale ich filigranowe modele. Na rynku sztuki współczesnej jest to dziś gorące nazwisko. Nie tylko umarłym dobra trumna przynosi wieczną sławę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O śpiących królewnach i wędrówkach serc

Masz długie siwe włosy i nie mówisz ludzkim językiem – tłumaczył mi Oscar Muñoz. – Będą myśleli że jesteś z Caleuche.

Nawet nie musiałem wystawiać w górę kciuka. Na dalekim południu Chile kierowca zawsze się zatrzyma, gdy zobaczy kogoś przy Carretera Austral. Było południe i to był dopiero trzeci samochód.

Jechaliśmy na północ, w kierunku Chiloé, wyspy *los brujos* – czarowników.

Brujos porywają niemowlęta, które nie zostały jeszcze ochrzczone, łamią im prawe stopy i wykręcają karki, żeby chodziły tyłem do przodu. I karmią je kocim mlekiem. A kiedy podrosną – mięsem wykradanym ze świeżych grobów. Jeśli matka nie upilnuje synka – może zostać *invunche*, strażnikiem czarnoksięskiej jaskini.

– Moja pilnowała dobrze – śmieje się Oscar. – Naukowcy twierdzą, że wiara w czarowników to efekt wspólnego życia hiszpańskich osadników i Indian Mapucze, do których należała ta ziemia. Dawne przesądy i szamańskie wierzenia wymieszały się z chrześcijaństwem tak, że już nikt nie umie ich oddzielić. Przekonasz się, mówisz językiem, którego nie znają, będą dotykać twoich włosów, żeby sprawdzić, czy są prawdziwe. Jesteś żeglarzem z Caleuche. Dla ludzi z mojej wyspy to nie są przesądy.

Caleuche to okręt widmo, który pływa po obu stronach wody. Załoga nie lubi mroku, więc na pokładzie palą się setki pochodni. Czasami widać je tylko pod wodą. Ci, którzy nie powrócili z morza, pływają nim pomiędzy portami Chiloé i załatwiają sprawy czarowników. *Brujos*

mogą uprawiać czary tylko dwa razy w tygodniu – we wtorki, bo wtedy Bóg stworzył wody, a to sfera we władaniu złych mocy, i w piątki, w dniu śmierci Chrystusa, który jest dniem demonów. Wieczorami na ulicach nie ma wtedy ludzi. Odmawiają modlitwy i wbijają we framugę skrzyżowane dwie długie igły do łatania sieci. Do kominka lub pieca wrzucają otręby, bo czarownicy nie mogą znieść smrodu spalenizny. *Brujos* posyłają po ludzi magiczne kobiety. Taka kobieta, *voladora*, potrafi wypluć wszystkie wnętrzności. Wieszają je na gałęzi i są teraz tak lekkie, że mogą unosić się w powietrzu. Jeśli ktoś znajdzie w lesie serce i płuca kobiety, zakopuje je w odludnym miejscu. *Voladora*, która nie odnajdzie swojej skóry – umiera.

Popłynąłem na Chiloé nie po to, żeby je spotkać, ale żeby zobaczyć tamtejsze cmentarze.

Wyspiarze budują swoim zmarłym drewniane domy, niemal identyczne z tymi, w których mieszkali za życia, choć oczywiście dużo mniejsze. Cmentarze posadowione na stokach wzgórz, z których widać morze, przypominają maleńkie miasteczka. Gdyby przysypał je śnieg i gdyby rozpalić tam świece, wyglądałyby jak dekoracja do reklamy bożonarodzeniowej. Domki stoją na palach, mają ściany pokryte łupkiem, szare kamienne dachówki, firanki w oknach, są ogrodzone płotami, niektóre mają ogródki pełne kwiatów, a dookoła domków stoją przedmioty osobiste, które ich lokatorzy lubili za życia.

Oczywiście cmentarze na Chiloé nie są jedynymi w świecie „wesołymi nekropoliami". O wiele sławniejszy, pewnie dlatego, że łatwo dostępny, jest rumuński Cimitirul Vesel w wiosce Săpânța, której mieszkaniec, artysta malarz Stan Ion Pătraş w 1935 roku zaczął rzeźbić zmarłym sąsiadom osobiste nagrobki, na których malowane, komiksowe płaskorzeźby opowiadały o przygodach, które mieli za życia, i o okolicznościach śmierci. Stan zmarł w połowie lat 70., ale tradycja, którą zapoczątkował, jest kontynuowana, a Wesoły Cmentarz należy do największych atrakcji turystycznych Rumunii. Podobnej sławy doczekał się cmentarz w Sololi nad jeziorem Atitlán w Gwatemali.

Wróćmy jednak do Patagonii, a może nawet jeszcze dalej, na Ziemię Ognistą.

„Koniec świata. Początek wszystkiego". Taki napis wita przybywających do portu w Ushuaia. Jest długi na kilkanaście metrów, wymalowany na obudowanej kamieniami skarpie, na której domy – i te stare, drewniane, obite blachą, i te nowe z betonu i szkła – tulą się do siebie jak szczenięta w czasie burzy. A dzień bez sztormu, burzy śnieżnej, albo takiej zwyczajnej z deszczem i huraganem to rzadkość. Tak samo jak dzień bez słońca. Wciąż wieje tu ten sam wiatr, który tak przeraził żeglarzy Magellana, iż woleli raczej opłynąć świat dookoła niż ryzykować czterdziestodniową żeglugę powrotną pośród fiordów dalekiego południa.

Pojechałem tam zobaczyć Kelę – zamarzniętą dziewczynę z ludu Jaganów. Nikt nie mieszkał dalej na południe od nich. Kiedy Karol Darwin zobaczył Indian z Ziemi Ognistej, napisał, że są karłowaci, o brzydkich twarzach, zupełnie nadzy, o tłustej skórze umazanej białą farbą. Napisał, że trudno mu uwierzyć, iż należą do tego samego gatunku, co sir Isaac Newton... Jaganowie mieszkali w szałasach krytych skórami zwierząt, polowali na gwanako, wydry i lwy morskie. Kobiety wskakiwały nago do morza o temperaturze ledwo kilku stopni Celsjusza, żeby gołymi rękami wyławiać z dna olbrzymie czerwone kraby *centollas*.

Thomas Bridges, chrześcijański misjonarz, przed stu laty zdążył jeszcze napisać słownik ich języka. A potem przyszła zagłada, bo biali ludzie chcieli założyć na Tierra del Fuego swoje pastwiska.

Dwadzieścia lat temu ostatnia rodzina Jaganów żyła w Puerto Williams.

Dziś zostały po nich tylko fotografie i maleńkie muzeum. Przepłynąłem Cieśninę Magellana. Muzeum w domu zbudowanym przez swego pradziadka, poszukiwacza złota, prowadzi tu Esteban Rajcevic. Nie zna chorwackiego, ale portret pradziadka wisi na honorowym miejscu.

Rzadko kto tu dociera. Esteban ma czas. Pokazuje mi wszystko po kolei. Schylamy głowy, żeby nie potrącić wiszącego pod sufitem monstrualnego szkieletu lwa morskiego, skręcamy w prawo, mijamy wystawę indiańskich masek z kory i skóry. I stajemy przed szklaną szafą, w której indiańska dziewczyna spoczywa jak Śnieżka w szklanej trumnie.

W 1974 roku pasterze z fiordu Almirantazgo na wyspie Tres Mogotes w południowej części Ziemi Ognistej odkryli mumię zawiniętą w skóry. Trzydziestoletnia dziewczyna zmarła około 1425 roku, wcześniej złamała nogę w kolanie. Naukowcy zbadali ją za pomocą izotopu węgla-14.

– Mówimy o niej Kela – opowiada Esteban. – To jagańskie imię, choć tak naprawdę nie wiadomo, z jakiego plemienia pochodziła. Wciąż jest piękna… – Esteban zniża głos. Milczymy.

Naprawdę wygląda, jakby spała. Śpiąca królewna z Ziemi Ognistej.

Pamiętam ze świata kilka innych, podobnych mumii. Najbardziej utkwiła mi w pamięci *La Bella Addormentata* – Śpiąca Królewna z katakumb w klasztorze Kapucynów w Palermo. Piazza Cappuccini, numer 1. Wydaje się, że po przejściu prawie całego kompleksu katakumb jesteś gotowy na wszystko. Ciało Królewny znajduje się niemal na końcu, w kryształowej trumnie. Dziewczynka śpi. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. W bordowej sukience, z kokardą w kędzierzawych włosach. Ma zamknięte oczy i delikatnie się przez sen uśmiecha.

Nie wolno jej fotografować.

Nie posłuchałem.

Rosalia Lombardo. Gdyby przeżyła jeszcze siedem dni, miałaby 13 grudnia 1920 roku swoje drugie urodziny. Nie przetrwała zapalenia płuc. Jej ojciec, Mario Lombardo, urzędnik wysokiego stopnia, przyniósł ciałko do pracowni, w której Alfredo Salafia zajmował się wypychaniem egzotycznych zwierząt. Sto lat temu w Palermo nikt już nie balsamował zwłok. Salafia początkowo się nie zgodził, bo nie pracował nad ciałami

ludzi, ale nie był w stanie znieść rozpaczy jej ojca. O tym, co uczynił, żeby zachować ciało dziewczynki, wiemy z jego pamiętników. Nie rozciął ciała i nie wyjął z niego wnętrzności, ale przyrządził płyn z formaliny oraz roztworu soli i cynku, którym wypełnił ciało, aby powstrzymać rozkład. Potem wymoczył je w alkoholu i w ten sposób osuszył. Proces wysychania powstrzymał za pomocą roztworu gliceryny. Dzięki temu skóra wydaje się świeża i zdrowa. W skórę wstrzyknął kwas salicylowy, aby powstrzymać rozwój grzybów i bakterii. Roztwór cynku pozwolił nadać jej elastyczność. Jak zapisał w notatkach, użył roztworu składającego się w jednej trzeciej z gliceryny, w jednej trzeciej z roztworu formaliny, w której rozpuścił siarczan cynku i siarczan chloru, oraz w jednej trzeciej z alkoholu i kwasu salicylowego.

Nikomu w historii światowej mumifikacji, ani wcześniej, ani później, nie udało się uzyskać takiego efektu.

Szczątki św. Prospera w kościele św. Tomasza apostoła, Dolcedo, Włochy

Relikwie św. Bazylego Ostrogskiego, monastyr Ostrog, Czarnogóra

Kiedy tylko będziecie we Włoszech, jedźcie do Palermo. Wydaje się, że wystarczy potrząsnąć Rosalię za ramię, a obudzi się, jak ta biblijna dziewczynka, o której Chrystus powiedział, że nie umarła, tylko śpi.

Katakumby w Palermo uchodzą za największy na świecie cmentarz pełen zmumifikowanych ciał. Należą one przede wszystkim do franciszkanów z tutejszego klasztoru.

Kapucyni przybyli do stolicy Sycylii w 1534 roku. Początkowo nie było ich wcale tak wielu. Kiedy któryś umierał, opuszczali zwłoki owinięte w białe płótno na dno celi wykopanej pod ołtarzem w kościele. Pod koniec XVI stulecia, w związku z rozkwitem zgromadzenia, do którego wstępowały teraz rzesze ludzi, konieczna stała się rozbudowa klasztoru. Zaprojektowano go tak, żeby pod piwnicami wybudować katakumby. Przeor postanowił o przeniesieniu zwłok spod ołtarza do tych właśnie pomieszczeń. Wtedy okazało się, że nie ma pod ołtarzem żadnych szkieletów, ale że ciała czterdziestu pięciu zakonników nie uległy rozkładowi. Przeor postanowił, że nie zostaną pochowani w trumnach,

lecz ustawieni pod ścianami katakumb ku przestrodze. Mieli przypominać żyjącym współbraciom, że śmierć czeka każdego człowieka i że od tego, jak postępują na ziemi, zależy to, jakie miejsce znajdą w zaświatach.

Tych czterdziestu pięciu wciąż stoi pod ścianami katakumb. Ale dzisiaj jest tam ponad 8 tys. ciał! W 1599 roku ciało brata Silvestra da Gubbio zostało zabalsamowane po wymoczeniu w occie winnym i usunięciu z niego płynów. Okazało się, że to wystarczy, żeby ułożone w krypcie ciało nie ulegało rozkładowi. Od tej pory do 1670 roku wszyscy zmarli kapucyni byli mumifikowani w ten właśnie sposób.

Tymczasem rozniosła się po świecie sława miejsca, w którym ciała w cudowny sposób (dziś mówi się o wyjątkowym, suchym mikroklimacie kapucyńskiej krypty) nie ulegały rozkładowi i sycylijska szlachta, a potem także bogaci mieszczanie, zapragnęli tutaj właśnie znaleźć miejsce swojego pochówku.

Przez 250 lat chowano w palermskich katakumbach kapłanów, którzy osiągnęli godność prałata, profesorów miejscowego uniwersytetu, dziewice, które nie zdążyły wyjść za mąż (wszystkie zostały pochowane w sukniach ślubnych), bogate sycylijskie rodziny, klany kupieckie i członków władz miasta.

Są poukładani na półkach albo poustawiani pod ścianami. Duchowni z duchownymi, kobiety z kobietami, mężczyźni osobno, a na samym końcu, pod małym ołtarzem trzy lub cztery, nie pamiętam już tego, szklane trumienki dzieci.

To właśnie tam spoczywa Rosalia Lombardo.

Bardziej niezwykłe w całej Italii są tylko dwa ciała w podziemnej krypcie w kaplicy Sansevero w Neapolu, przy Via Francesco de Sanctis pod numerem 19, kilkaset metrów od katedry. To wotum, które mason i alchemik hrabia Raimondo de Sangro wystawił w pokucie za swoje grzechy w miejscu, w którym pewnemu nieszczęśnikowi ukazała się Matka Boska, obiecując, że uniknie kary śmierci. W środku znajduje się jedno z najwybitniejszych dzieł włoskiej sztuki – niezwykła, wykonana

z jednego bloku białego marmuru rzeźba Chrystusa nakrytego całunem. Autorem jest Giuseppe Sammartino. Legenda głosi, że Sammartino wykuł posąg Chrystusa, a de Sangro nakrył go tiulem, który za pomocą alchemicznych receptur zamienił w kamień.

Prawdziwa tajemnica kryje się w podziemnej krypcie. Za grubym, pancernym szkłem można zobaczyć dwie inne prace alchemiczne. Wykonał je Giuseppe Salerno. Hrabia de Sangro uważał oba ciała, „machiny anatomiczne", za ozdobę swojej kolekcji osobliwości. Jedno z nich należy do dziewczyny w ciąży, drugie do chłopaka. Ich żyły i naczynia limfatyczne Salerno zmienił w kamień przy pomocy iniekcji z jakiejś niezidentyfikowanej substancji. Następnie całkowicie pozbawił ciała skóry i mięśni. De Sangro utrzymywał, że „machiny anatomiczne" to dowód na rozwój ludzkiego rozumu, najpoważniejszy w stuleciu krok w kierunku zrozumienia zasad funkcjonowania układu krążenia. Benedetto Croce napisał, że ciała należą do służących hrabiego, których arystokrata ukarał za ich romans. Kiedy stałem przed nimi, strażnik pilnujący, żebym pod żadnym pozorem nie zrobił żadnych zdjęć, powiedział mi, że wlewano im płyn do żył na żywca, bo tylko dzięki temu, że serce wciąż biło, krew mogła roznieść tę metalizującą substancję po całym organizmie. Papież miał zagrozić hrabiemu ekskomuniką za to, co zrobił, ale de Sangro wykupił za pieniądze łaskę ojca świętego i jako wotum pobudował tę cudowną kaplicę.

Pierwotnie zresztą ciała wcale nie były tu eksponowane, bo alchemik miał dla nich miejsce w swoim pałacu, w komnacie, którą nazwał Salą Feniksa, żeby podkreślić, że losem ludzkim nie jest umieranie, ale zmartwychwstanie.

Ciało chłopaka zachowane jest w całości. Dziewczyna ma odcięte stopy. Widoczne są wszystkie żyły i arterie oraz naczynia włosowate oplatające narządy wewnętrzne. Mimo wielu badań, którym wciąż poddaje się oba ciała, naukowcy nie potrafią odpowiedzieć na pytanie, jaka substancja wypełniła naczynia krwionośne obojga nieszczęśników. W czasie badań wykonanych w 2008 roku Lucia Dacome pobrała kilka

fragmentów z różnych miejsc obu ciał. Napisała, że pod warstwą kolorowego wosku znajduje się tam żelazny drut.

Tajemniczych ciał jest we Włoszech mnóstwo. Najbardziej lubię Świętego Prospera z kościoła w Dolcedo w Ligurii. Bywałem tam kilkukrotnie w gościnie u mojego przyjaciela Sławka Stankiewicza. Był zakolegowany z proboszczem z Dolcedo księdzem Tomaszem Jachymczykiem.

W okresie świąt na mszę świętą do Dolcedo zjeżdżają emigranci z całej doliny. Chcą zobaczyć Prospera – świętego, który nie ulega rozkładowi. W XVII wieku sprowadzono ciało z watykańskich katakumb, żeby przyniosło szczęście i powodzenie w interesach miejscowym adwokatom i kupcom.

– To przez jego wstawiennictwo w Ligurii biorą początek wszystkie ważne zmiany we włoskim społeczeństwie – żartuje ksiądz Tomasz.

A może wcale nie żartuje.

Od ponad dwustu lat Święty Prosper mieszka w przeszklonym ołtarzu za zwykłą szybą. Gablota nie jest wcale szczelna.

Niemieccy parafianie robią mu zdjęcia z fleszem. A on nic. Ani drgnie. Ani myśli ulegać rozkładowi. Ciało świętego, jednego z sześciu tego imienia, odkryto w rzymskich kryptach, w których chowano pierwszych chrześcijan. Ciało było nienaruszone. Franciszkanin, ojciec Giobatta, wybłagał ciało u papieża i od 1789 roku święty jest wielką atrakcją Ligurii.

W Polsce też można zobaczyć zmumifikowane ciała. Kilka egipskich znajduje się w muzeach – w Archeologicznym w Krakowie są aż cztery mumie z el-Gamhud w oazie Fajum. Sarkofag z mumią młodej kobiety można zobaczyć w Muzeum Czartoryskich, dwie mumie są w warszawskim Muzeum Narodowym. Jedna jest w Raciborzu. Anselm von Rothschild przywiózł ją z Afryki w prezencie zaręczynowym dla narzeczonej. Jedna jest na Uniwersytecie Wrocławskim. Przed wojną były w tym mieście dwie mumie, ale zanim naukowcy postanowili się nimi zająć – jedna zdążyła już zostać zmielona na proszek na wszelkie

choroby. Ostatnią jest mumia z Lublina odkryta w czasie remontu budynku Zespołu Szkół Ekonomicznych, zamurowana na poddaszu w jednym z filarów wspierających strop. Prawdopodobnie przywiózł ją z Afryki założyciel szkoły przy ulicy Bernardyńskiej, właściciel miejscowego browaru, przedsiębiorca i filantrop August Karol Vetter.

Relikwiarz na czaszkę św. Łukasza, Dubrownik, Chorwacja

Buty księdza Jerzego Popiełuszki, muzeum w parafii św. Stanisława Kostki, Warszawa

Sławną, choć nie egipską, mumią jest przechowywane w klasztorze na Świętym Krzyżu ciało księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. To jeden z bohaterów Trylogii Sienkiewicza, pogromca powstańców Chmielnickiego. Przez ostatnie dziesięciolecia pokutowała rozprzestrzeniona w czasie PRL przez władze pogłoska, że to nie jest ciało Wiśniowieckiego, ale od czasu badań prof. Widackiego w 2007 roku przewodnicy świętokrzyscy nie mają już wątpliwości, że to właśnie książę Jarema spoczywa w krypcie noszącej jego imię. Zwłoki księcia, otrutego prawdopodobnie arszenikiem na polecenie Mikołaja Potockiego, przywiozła na Święty Krzyż wdowa po nim, księżna Gryzelda, i powierzyła je zakonnikom. Ciało ma oderwaną głowę i zwichniętą rękę. Nie było preparowane i nie wykonano mu sekcji zwłok. Jest zmumifikowane w naturalny sposób.

Zachowane w naturalny sposób ciała można zobaczyć w różnych kościelnych i klasztornych kryptach, choćby w Wyszkowie czy krakowskim kościele św. Kazimierza Królewicza. Są tam i żołnierz w napoleońskim mundurze, i dziewczyna w ślubnej sukni.

Mamy też w Polsce kilka słynnych relikwii. W Warszawie w sanktuarium św. Andrzeja Boboli na Mokotowie w szklanej trumnie spoczywa nieulegające rozkładowi, choć niekonserwowane ciało męczennika, zabitego na Kresach w 1657 roku przez Kozaków, których próbował przekonać, żeby porzucili prawosławie dla katolicyzmu. W czasie wojny bolszewickiej ciało Świętego Andrzeja bolszewicy zdobyli w kościele w Połocku i wywieźli do Moskwy, gdzie wzbudziło sensację pośród naukowców. Było eksponowane w Gmachu Higienicznym Wystawy Ludowego Komisariatu Zdrowia w ramach wystawy osobliwości medycznych jako przypadek, którego nauka nie jest w stanie objaśnić. W 1922 roku papież posłał do Moskwy swoich emisariuszy, żeby wykupili zwłoki męczennika. Nie jest znana kwota, którą Watykan zapłacił, ale komuniści pozwolili emisariuszom papieskim wywieźć relikwie z Kraju Rad. We wrześniu 1923 roku amerykańscy jezuici Edmund Walsh i Leonard Gallagher w towarzystwie czekistów odszukali ciało Świętego Andrzeja pośród innych eksponatów i złożyli je w specjalnym relikwiarzu. Pociągiem pojechali do Odessy, stamtąd na pokładzie statku Cziczerin popłynęli do Konstantynopola i na pokładzie kolejnego statku do Włoch. Do Watykanu ciało męczennika wwieziono tryumfalnie 1 listopada 1923 roku. Papież postanowił oddać je Polakom i w 1938 roku relikwie pojechały do Warszawy. Historia jak z filmu.

W kościele franciszkańskim na Nowym Mieście przechowywane są relikwie Świętego Witalisa, niewolnika, a potem przyjaciela w męczeństwie Świętego Agrykoli. Obaj zostali zamęczeni na śmierć na rozkaz cesarza Dioklecjana. Szczątki Witalisa otoczone były kultem już od momentu śmierci. Relikwie podarował franciszkanom w 1754 roku papież Benedykt XIV. Witalis wygląda jak żywy, ale to jedynie

złudzenie, jego ciało oblane jest woskiem ukształtowanym na podobieństwo człowieka. W wosku zatopiona jest dłoń świętego. W czasie powstania warszawskiego kościół był bombardowany, dach runął, ale ściany pozostały nienaruszone i św. Witalis ocalał.

W kościele bernardyńskim na Czerniakowie są czczone szczątki Świętego Bonifacego, męczennika z Tarsu, można je zobaczyć pod ołtarzem. W przeszklonej trumnie spoczywa szkielet młodzieńca, który wyruszył do Tarsu, aby przywieźć swojej ukochanej święte relikwie, ale spotkał śmierć.

W kościele św. Anny przez kilka stuleci spoczywały w ozdobnej trumnie szczątki błogosławionego Ładysława z Gielniowa, patrona Warszawy, autora najsławniejszego chyba ze wszystkich warszawskich cudów. Oto w czasie nabożeństwa w Wielki Piątek 1505 roku, kiedy głosił homilię w obecności szlachty, dworzan i mieszczan, kaznodzieja wpadł w ekstazę, miał na oczach wszystkich unieść się nad ambonę i zawisnąć kilka metrów nad ziemią, mówiąc w uniesieniu, a potem runąć na ziemię. W każdym razie do śmierci, która nastąpiła miesiąc później, już nie odzyskał przytomności.

Trumnę Ładysława z Gielniowa ukradli z ołtarza 10 sierpnia 1959 roku nieznani sprawcy. Obecnie jest tam relikwiarz z ramieniem błogosławionego patrona Warszawy.

Oczywiście nie tylko święci mają swoje relikwiarze. Na przykład w kościele Kapucynów na Miodowej w Warszawie spoczywają w królewskiej urnie szczątki Augusta II, a tuż obok w innej urnie zabalsamowane serce króla Jana III Sobieskiego, fundatora tej świątyni. Po śmierci król pochowany był krótko w kapucyńskich kryptach, a po przeniesieniu zwłok na Wawel serce pozostało w stolicy. W 2018 roku przeprowadzono konserwację urny. Nosiła ona ślady uszkodzeń, ktoś próbował ją rozbić i prawdopodobnie w czasie II wojny światowej serce króla zostało naruszone.

W kaplicy Zamku Królewskiego spoczywa serce Tadeusza Kościuszki. Sprowadzone ze Szwajcarii po sześciu latach negocjacji i osobistej

interwencji marszałka Piłsudskiego, przejechało w osobnym wagonie przez pół Europy, a z Dworca Głównego w asyście kompanii honorowej 36 Pułku Piechoty okryte sztandarem pojechało na Zamek w prezydenckim powozie. W 1939 roku z płonącego Zamku wyniósł je kustosz Kazimierz Brokl. Przechowywane w katedrze, u karmelitów, w Muzeum Narodowym, w pałacu Łazienkowskim, powróciło do Zamku dopiero po jego odbudowie.

Jeszcze trudniejszą drogę miało do pokonania serce Fryderyka Chopina. Kompozytor, owładnięty lękiem przed obudzeniem się w zakopanej trumnie, poprosił o sekcję i wyjęcie serca. Dokonał tego doktor Cruveilhier, anatomopatolog, jeden z najlepszych ówcześnie francuskich lekarzy. Ustalił, że Chopin nie zmarł raczej na gruźlicę. Doktor wyciął serce, spreparował je, zszył, zalał alkoholem i zapieczętował w kryształowym słoju, który otrzymała Ludwika, siostra Chopina. Postawiła je na półce w wynajmowanym paryskim mieszkaniu, a potem przywiozła do Warszawy w słoju, dla którego zamówiła specjalną podwójną, wyścielaną skrzynię, dzięki czemu mogła je bezpiecznie przewieźć. Od pani Stirling Ludwika pożyczyła na tę podróż 5 tys., bo musiała przewieźć też fortepian Chopina. Do śmierci Ludwiki fortepian i serce stały w jej mieszkaniu na Podwalu, a w 1855 roku Izabela Chopin zabrała rzeczy do swojego mieszkania w kamienicy Zamoyskich na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światu. Serce stało na komodzie osiem lat do dnia, w którym zamachowcy rzucili bombę z okna tego budynku pod koła dorożki wiozącej Fiodora Berga do Pałacu Namiestnikowskiego. Namiestnik przeżył, ale Rosjanie zdemolowali kamienicę, wyrzucając na bruk wszystko, co wydało im się cenne. Między innymi fortepian. Cyprian Norwid napisał o tym słynny wiersz. Serce ocalało, ale Izabela nie chciała ryzykować jego utraty. Prosiła proboszcza z kościoła Świętego Krzyża, żeby wziął je na przechowanie. Ksiądz wzbraniał się, bo była to sprawa polityczna, ale wreszcie, kiedy Izabela sama była już bliska śmierci, duchowni przyjęli serce pod swój dach. Było to w roku 1880. Serce jest tam do dziś,

wmurowane w jeden z filarów po lewej stronie, jeśli patrzeć w kierunku ołtarza.

Na granicy światów świeckiego i religijnego spoczywają szczątki Teresy Izabeli Morsztynówny, zmarłej w 1698 roku osiemnastolatki uważanej przez niektórych mieszkańców Sandomierza za świętą. Wszystkie inne zwłoki złożone w krypcie uległy normalnemu procesowi rozpadu, ale jej ciało wciąż jest nietknięte. Przeniesiona do osobnego pomieszczenia doświadcza oznak kultu, ludzie modlą się przy jej trumnie, choć nie jest świętą. Wystarcza im jej niezwykłość.

To na dowód, że w Polsce też mamy własną Śpiącą Królewnę.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Ameryki Południowej, żeby wspomnieć o osobliwym zwyczaju Inków pozostawiających mumie dzieci na szczytach najwyższych andyjskich wulkanów. Najsławniejszą z nich jest Lodowa Dziewczyna, *Dama de Ampato*. W 1995 roku Johan Reinhard i Miguel Zárate w czasie wyprawy na sześciotysięczny szczyt Ampato, z którego chcieli sfotografować wybuch sąsiedniego wulkanu Sabancaya, znaleźli zawinięte w wełniany pled zamarznięte ciało młodej dziewczyny. Pięknie ubrana, z barwnym pióropuszem we włosach, wyglądała, jakby nie żyła od kilku dni. Znieśli ją z góry, sądząc, że jest ofiarą niedawnych mrozów. W czasie badania zwłok okazało się, że zginęła około roku 1450. Prasa nadała jej imię Juanita. Wkrótce odnaleziono inne mumie dzieci, a wraz z nimi zabawki i przeróżne rytualne przedmioty, które miały im pomóc w wędrówce w zaświaty.

Dzieci były składane w ofierze. W 1999 roku Reinhard znalazł pod szczytem wulkanu Llullaillaco kolejne trzy ciała. Dziewczynka – *La Doncella* – wyglądała jak pogrążona we śnie.

Potem Reinhard stwierdził, że nie on pierwszy natknął się na dziecięce ofiary. W 1954 roku na szczycie Cerro El Plomo odnaleziono ciało chłopca, a jeszcze wcześniej, bo w 1890 roku w Pacajes znaleziono mumię dziewczynki. Była eksponatem na Uniwersytecie w Michigan. Damę z Ampato spotkał ten sam los – trafiała na uczelnie, pokazywano ją na obwoźnej wystawie w Japonii w 1999 roku, była eksponatem na

wystawie National Geographic Society, gdzie poddano jej ciało konserwacji.

Badacze twierdzą, że dzieci przeznaczone na ofiarę za pomyślność i żeby zapobiec klęskom, wędrowały z całego imperium do Cuzco, czasami tysiące kilometrów w jedną stronę, gdzie dokonywano ich oględzin. Musiały być idealne, bez żadnej skazy na ciele. Wtedy wędrowały z powrotem w góry, gdzie wprowadzano je na szczyt, pojono alkoholem i roztworem koki, a następnie zabijano uderzeniem w głowę. Rytualna ofiara nazywa się *capacocha*.

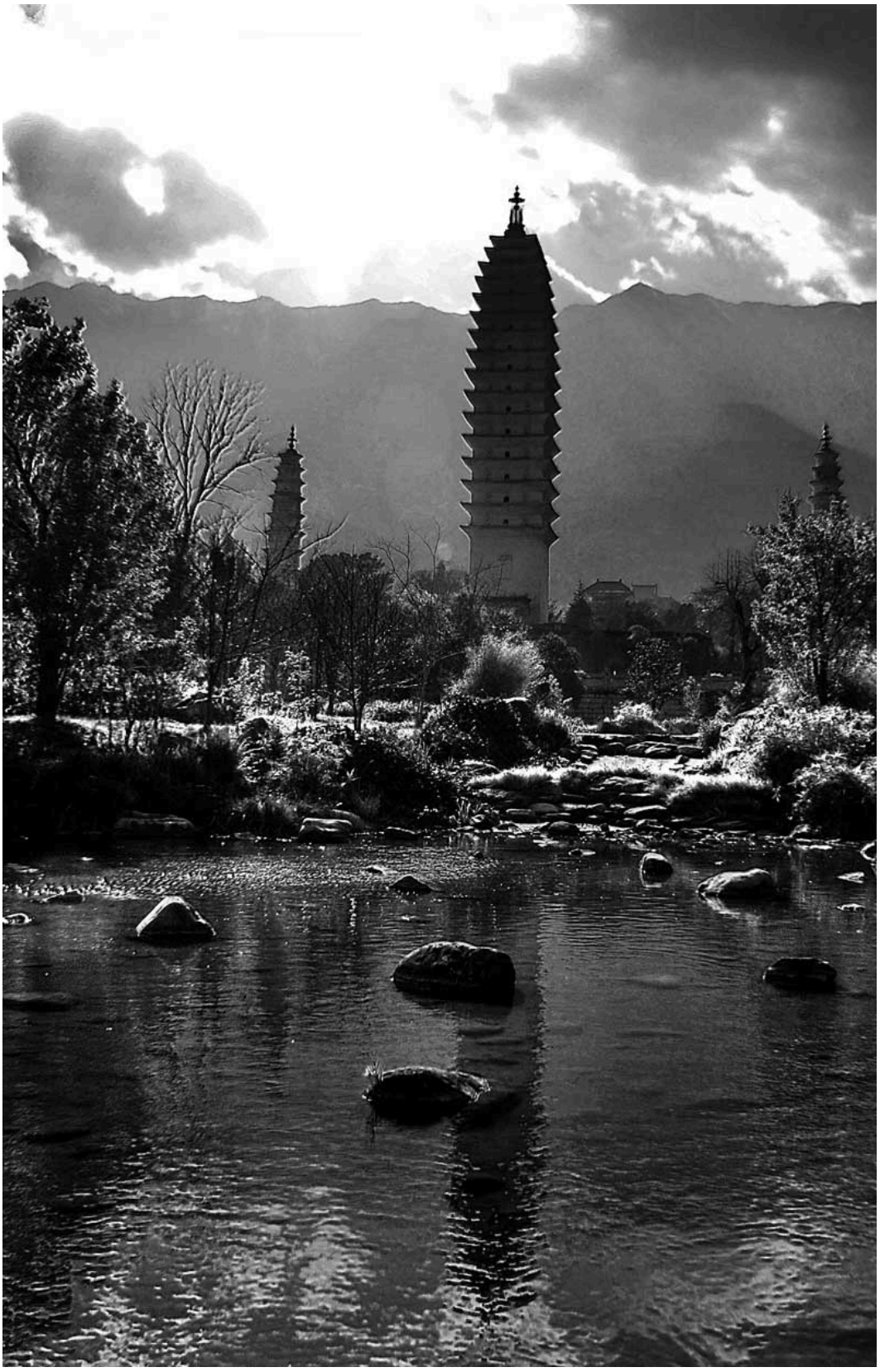

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dlaczego czwórka przynosi pecha

Wyobraź sobie, że nie masz dostępu do internetu. Nie działa twój GPS, nie możesz sprawdzić na żadnej mapie, ani gdzie jesteś, ani dokąd idziesz. Papierowa mapa w przewodniku nie przydaje się w najmniejszym stopniu, bo przecież nie da się odczytać nazwy ulicy z tablic na skrzyżowaniach. Usiłujesz zapytać o drogę innych ludzi, ale kiedy tylko próbujesz popatrzeć im w oczy, oni spuszczają wzrok i rozstępują się przed tobą niczym Morze Czerwone przed ludem Izraela. Wyobraź sobie, że nie masz Facebooka ani żadnego komunikatora. Nie możesz skontaktować się z nikim z tych, którym ufasz. Wyobraź sobie, że jesteś w miejscu, w którym nikt nie zna twojego języka, a ty nie znasz języka, którym posługują się mieszkańcy. Nie potrafisz odczytać żadnego znaku. Żadnej litery. Nie wiesz, co to za dom, co za ulica, nie wiesz, czy to, co zjesz, jest wege, czy może jednak z mięsem psa albo węża.

Wyobraź sobie, że jesteś tam w pojedynkę. W kompletnej samotności.

Tak właśnie jest na chińskiej prowincji.

Jesteś niewidzialny.

Jakbyś nie istniał.

Wcześniej znałem kilkoro Chińczyków, bo to przecież naród podróżników i poszukiwaczy przygód. Ale wtedy było łatwiej, bo kto podróżuje, mówi po angielsku. Z Danem Vangiem przejechaliśmy kiedyś Altiplano, z Wing z Hongkongu dzieliłem namiot w czasie wyprawy przez selwę na wierzchołek Roraimy na granicy Gujany,

Brazylii i Wenezueli. Z Miee w gruzińskiej Swanetii szliśmy z gór do Mestii przemoknięci po burzy, ślizgając się w błocie i potykając na kamieniach.

Przy drodze znajdował się zapomniany cmentarzyk. Kilka grobów z gwiazdami wyciętymi byle jak z blachy i przyspawanymi do prętów zbrojeniowych.

Nagrobki komunistów.

– Zaczekajcie. – Zrzuciłem plecak, żeby wygrzebać z niego aparat. Modliłem się w duchu, żeby nie zamókł i chciał w ogóle działać. Włączyłem go, a on zamrugał ekranem. Uff. Wycelowałem obiektyw w nagrobek.

– Stój – powiedziała Miee.

Pstryknąłem.

– Co się stało?

– Nie wolno robić zdjęć grobowcom – oznajmiła.

– Dlaczego?

– Bo to przynosi pecha. My, Chińczycy, nigdy nie fotografujemy grobów.

– A nam to zupełnie nie przeszkadza.

– Nie rozumiesz, z czym masz do czynienia. Mogę ci to wybaczyć, ale to, że nie rozumiesz, nie chroni cię przed skutkami – oświadczyła. – I nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Wedle popularnych wierzeń, których korzenie sięgają przynajmniej dynastii Song, panującej na przełomie pierwszego tysiąclecia, po śmierci dusza zmarłego dzieli się, bo jak wszystko ma dwoistą naturę statycznego, materialnego *yin* i aktywnego, duchowego *yang*. Po śmierci człowieka *po*, groźniejsza część duszy określona pierwiastkiem *yin*, zostaje związana z ciałem i grobem, a *hun*, to, co lepsze w człowieku, określone pierwiastkiem *yang*, łączy się z tabliczką poświęconą przodkom, którą można mieć w domu albo w rodzinnym grobowcu. Tabliczka jest jednocześnie uosobieniem i zamknięciem dla *hun*

przodka. Pali się przed nią pieniądze dla duchów, zostawia wonne trociczki i ofiary z pokarmów – ryżu, owoców, ciastek czy filiżanki herbaty. Dusze zmarłych muszą być ciągle karmione, to pozwala im istnieć i nie ściąga na żyjących nieszczęść, jakie mogłyby spowodować.

Ta ostatnia uwaga odnosi się do Głodnych Duchów, które trzeba nakarmić obficie, szczególnie w czasie ich święta.

Czerwone zazwyczaj tabliczki (czasami są to po prostu kartoniki) z wypisanymi na nich złotymi znakami imionami zmarłych można zobaczyć w świątyniach Chińczyków na całym świecie. Czasami całe sale w świątyniach poświęcone są wyłącznie przechowywaniu dziesiątek tysięcy tabliczek zmarłych przodków.

Jest jednak dla nich miejsce także w prywatnych mieszkaniach.

Znajdziemy w chińskich domach nie tylko tabliczki z imionami przodków, ale i na przykład niektórych bóstw. Przed drzwiami te z imionami Shen Tu i Yu Lei – strażników wrót i drzwi, w kuchni tabliczkę Zhang Langa, bóstwa, które dba, żeby jedzenie było zawsze świeże i zdrowe, a gdzieś wysoko wisieć może tabliczka z imieniem Nefrytowego Cesarza.

Popularne wierzenia określane są w Chinach mianem religii ludowej, która w tym olbrzymim, mocno zróżnicowanym społeczeństwie koegzystuje z wielkimi religiami i prądami filozoficznymi – buddyzmem, taoizmem, konfucjanizmem, chrześcijaństwem, islamem… Czasami tym popularnym wierzeniom jest z religiami po drodze, czasami trochę nie, ale i tak odciskają swoje piętno na obyczajach, sądach i przesądach ludności Państwa Środka.

Chińscy buddyści i taoiści uważają, że po śmierci ich dusza wędruje do miejsca zwanego *Diyu*. To słowo można byłoby przetłumaczyć jako czyściec, bo dusze nie przebywają tam na zawsze (jak w chrześcijańskim piekle), ale tylko do czasu, kiedy, pracując nad sobą, osiągną stan, który pozwoli im się odrodzić w postaci wyższego wcielenia. *Diyu* jest rodzajem labiryntu pełnego przeróżnych przestrzeni, w których przebywają dusze w zależności od tego, na jakim

etapie rozwoju bytowały ostatnio na ziemi i jak się tam zachowywały. W zależności od tradycji istnieje od trzech do piętnastu kręgów piekielnych. W najgłębszym siedzą dusze ludzi kompletnie zdemoralizowanych – morderców, gwałcicieli, nawet złodziei świętokradców. Ten krąg *Diyu* jest tak odległy od wyjścia, że duszom być może nigdy nie uda się odcierpieć i powrócić do życia w lepszym wcieleniu. Wracają tylko raz w roku, w czasie pełni piętnastego dnia siódmego miesiąca chińskiego roku.

Ten miesiąc poświęcony jest Duszom Zmarłych. Dzień i noc pełni księżyca to Dzień Głodnych Duchów, kiedy nie tylko powracają na ziemię dusze przodków, żeby spotkać się z żyjącymi i przyjąć ich dary, lecz także wyłażą na powierzchnię przerażające monstra z najgłębszej czeluści piekieł. Trzeba mieć dla nich posiłek, miejsce przy stole, fałszywe cenne przedmioty przygotowane z papier mâché na wypadek, gdyby chciały coś ukraść, a także sporą kwotę w pieniądzach dla duchów.

Chińczycy uważają, że na tamtym świecie duchy mają własną walutę. Żeby odeszły, muszą dostać maleńką latarenkę, która oświetli im drogę, i, w niektórych rejonach, papierową łódź, bo niektórzy wierzą, że *Diyu* otoczone jest wodą.

Wyznawcy konfucjanizmu, który zaleca, żeby nie skupiać się na przyszłym życiu, bo nie wiadomo, czy ono istnieje, ale na tym, aby w doczesnym być przyzwoitym i mądrym człowiekiem, również kultywują związek ze swoimi przodkami. Uważają oni, że zasada posłuszeństwa i szacunku dzieci wobec rodziców, zalecana przez Konfucjusza, rozciąga się poprzez czas, i przygotowują swoim przodkom dary ofiarne w postaci jedzenia i pieniędzy dla duchów.

Pieniądze dla duchów to moja ulubiona pamiątka z podróży. W sumie niedrogie, ładne, tajemnicze i bezsprzecznie egzotyczne.

Nie palę ich moim przodkom, ale mogę je rozdać znajomym. Ich dzieci zawsze są zachwycone.

Pieniądze dla duchów to poważna gałąź chińskiej poligrafii. Występują w kilku rodzajach. Najładniejsze są pozłacane, duże, kwadratowe *Jiujin*, które pali się jako ofiarę dla Nefrytowego Cesarza, dla duchów wybitnych postaci chińskiej kultury i polityki, dla duchów żołnierzy i duchów tych, których kochaliśmy najbardziej. *Kanjin* też są duże, kwadratowe i pięknie zdobione, ale już mniejszej wagi, pali się je na ofiarę dla duchów wyższego rzędu. Duchom przodków własnej rodziny wystarczają mniej dekoracyjne, ozdobione srebrem a nie złotem – *Xiaoyin*. Zwyczajnym, obcym duchom pali się pieniądze przypominające wyglądem zwykłe banknoty. Są też specjalne pieniądze – *Jingyi*, na których namalowane są wszelkiego rodzaju sprzęty, które mogą okazać się potrzebne duszom na tamtym świecie. Można kupić takie z rysunkami ubrań, butów, ale i samochodów, komputerów czy telefonów komórkowych.

Istnieją także zwyczajne pieniądze dla duchów – papierowe, pozbawione płatków srebra czy złota, wyglądające tak, jakby udawały normalne, obiegowe banknoty jakiegoś nieistniejącego państwa. Czasami są naprawdę ładne.

Nie można za nie niczego kupić, ale wkładane są zmarłym do trumny i palone w kadziach ofiarnych w świątyniach, dzięki czemu trafiają na tamten świat i przodkowie mogą sobie za nie kupić wszystko, czego im tam, w *Diyu*, potrzeba. Można je kupić w kantorkach świątynnych. Występują w różnych nominałach, od zwyczajnych za dziesięć juanów po ekstremalnie wysokie milionowe kwoty. Niektóre pieniądze dla duchów przypominają euro albo amerykańskie dolary – mają na awersie portret władcy niebios – Nefrytowego Cesarza, na rewersie rysunek z napisem „Bank of Hell" i podpis Yanluo Wanga – boga sędziego, który decyduje, w którym kręgu piekła dusza będzie oczekiwać na kolejne wcielenie i w jakiej skórze w nim wystąpi.

Nigdy nie pali się prawdziwych banknotów, bo to przynosi pecha.

Zwyczaj palenia pieniędzy dla duchów liczy sobie prawie 2 tys. lat i jest tak samo stary jak same banknoty, oficjalnie wprowadzone do

użycia po raz pierwszy w czasach dynastii Song.

Ale zwyczaj dbania o to, żeby przodkowie na tamtym świecie nie byli nędzarzami, jest znacznie starszy. Już w pochówkach z dynastii Yin (Shang), liczących sobie ponad 3 tys. lat, archeologowie odnajdują muszle oceanicznych porcelanek (kauri), które pełniły wówczas funkcję pieniądza. Być może miała to być zapłata dla Yanluo Wanga za dobre miejsce w zaświatach. W grobach z późniejszych okresów znajdowano monety we wszystkich stadiach ich istnienia – od płatków złota w kształcie muszli, poprzez prostokątne kawałki metalu z wybitą na nich literą, po pierwsze monety *ban liang*. W tym czasie, około drugiego stulecia przed naszą erą, prawdopodobnie aby zapobiec okradaniu grobów, Chińczycy zaczęli wkładać do nich nie prawdziwe monety, ale ich gliniane podobizny. Początkowo badacze sądzili, że to zwyczaj biednych ludzi, ale sznury glinianych *ban liang* zaczęto znajdować też w książęcych grobach. Znajdowano również w grobach monety, które nie miały rewersu, lecz tylko awers z napisem „spoczywaj w spokoju". Kładziono je zmarłemu w usta. Dziś uchodzą one za bardzo silny talizman, choć ogromna większość z tych, które można kupić u handlarzy starymi monetami, to oczywiście podróbki. Kto posiadałby taką monetę, naruszyłby bardzo poważne tabu i byłby przeklęty. Chińczycy są zbyt przesądni, handlarze monetami również nie wezmą do ręki niczego, co mógł mieć w ustach zmarły.

Niektórzy wolą nawet, żeby ich bliscy umierali nie w domu, ale w szpitalach i hospicjach. „China Morning Post" pisze, że tylko 4% mieszkańców Hongkongu umiera w domach, w otoczeniu bliskich. Trwają dyskusje nad takimi zmianami w prawie, żeby starzy ludzie mogli zawrzeć w swojej ostatniej woli stosowny zapis, jeśli nie chcą umrzeć w szpitalu. Dotychczas obowiązujące przepisy w przypadku zgonu starej osoby w domu wymagają od bliskich powiadomienia policji, która musi ustalić przyczynę śmierci.

Pamiętam, jakim to było dla mnie szokiem, kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że Chińczycy nie umierają we własnych łóżkach. Byliśmy

wtedy w podróży po południowo-wschodniej Azji i po górach i bagnach Borneo oraz błotnistej dżungli Półwyspu Malajskiego. Singapur wydawał nam się rajem na ziemi, najbardziej cywilizowanym miastem planety. Czystą, bezpieczną, doskonale urządzoną oświeconą dyktaturą. Mieszkaliśmy w hoteliku sąsiadującym z willą twórcy tego państwa. Lee Kuan Yew nie chciał cieni w swoim ogrodzie i na jego uliczce nie można było postawić drapaczy chmur. Rankiem, kiedy szliśmy zwiedzać jego miasto, emerytowany dyktator pijał herbatę za zarośniętym parkanem, a nam wydawało się, że pomiędzy liśćmi miga nam jego biały strój. Nie mogliśmy się przyglądać, bo ochroniarze nie byli zadowoleni, jeśli ktoś zatrzymywał się na dłużej.

Pewnego dnia wyszliśmy ku świątyni. Widzieliśmy z dołu jej czerwone, spadziste dachy. Przed bramą z lwami znajdowały się dwie sadzawki. Po jednej stronie pływały monstrualne karpie, po drugiej olbrzymie żółwie. Weszliśmy. Na dziedzińcu była świątynia, za nią ogród pełen starych ludzi i ich opiekunów. Zorientowaliśmy się, że to nie jest klasztor, ale oni byli szybsi, pojawił się elegancki pan w białym uniformie i wcale nie zamierzał nas wypraszać, ale przeciwnie – postanowił wszystko nam opowiedzieć. Wyjaśnił nam, że Spokojny Dom na Świetlistym Wzgórzu jest miejscem, do którego ludzie przyjeżdżają umierać. Jest tam wszystko, co trzeba, łącznie ze szpitalem geriatrycznym, krematorium i kolumbarium, w którym za odpowiednią zapłatę urna może być przechowywana całą wieczność. Są sale ceremonialne, do których możesz przyjść, żeby spotkać się z duchami przodków i spełnić obowiązki ofiarne.

Wszystko było tak doskonale urządzone, a jednak robiło mi się coraz smutniej.

– My, Chińczycy, uważamy, że umieranie w domu przynosi pecha pozostałym mieszkańcom. Umieranie w Świetlistym Domu jest lepsze dla wszystkich, a naszym pensjonariuszom zapewnia godne i szczęśliwe odejście. Tu wszystko jest doskonałe. Zgodne z feng shui i naukami Cheng Yi.

Mistrz Cheng Yi był filozofem, nauczycielem cesarzy z dynastii Song. Pozostawił po sobie księgi, w których wyjaśnia, że grobowca nie można pobudować w brzydkim miejscu, ale w bogatym w zdrową roślinność i z pięknym widokiem, bo wówczas przodkowie będą uszczęśliwieni. W czasie poszukiwania miejsca na grobowiec trzeba przestrzegać pięciu zasad: w pobliżu nie może być drogi, rowu, murów miejskich, studni ani skarpy.

Świetliste Wzgórze spełniało wszystkie te warunki. Było idealne.

Lee Kuan Yew miał państwowy pogrzeb z wszelkimi honorami, nad jego otwartą trumną córka wspominała, jak uczył ją jeździć na rowerku, a wybitni politycy – jak kierował państwem. Potem na prywatnej uroczystości w krematorium Mandai spalono trumnę, a prochy wymieszano z prochami jego zmarłej wcześniej żony. Spoczęli w tamtejszym kolumbarium.

Ceremoniał pogrzebowy ma dla Chińczyków fundamentalne znaczenie, ponieważ wedle popularnych wierzeń, jeśli nie będzie przeprowadzony ze szczególną starannością, zmarły nie zechce odejść w zaświaty, ale może pozostać na naszym świecie w roli złego ducha.

Tradycyjnie pierwszym obyczajem żałobnym jest *shǒu líng* – czuwanie bliskich przy umierającym w czasie jego ostatniej drogi. Bliscy odwiedzają człowieka przed jego śmiercią, żeby okazać mu szacunek i przywiązanie. Najbliżsi czuwają przy nim na zmianę – tak, żeby w ostatecznym momencie nie był sam.

Wtedy przystraja się białym kolorem, na przykład szarfą, drzwi domu zmarłego lub drzwi jego pokoju. W niektórych regionach Chin umieszcza się obok drzwi dzwoneczek lub gong na stoliczku. Po lewej stronie, jeśli zmarł mężczyzna, a po prawej, jeśli kobieta. Istnieje przesąd, wedle którego nie można, nawet przypadkiem, zobaczyć trumny odbijającej się w lustrze lub metalowym przedmiocie, są więc one wynoszone z pomieszczenia, w którym ma się znajdować trumna.

Posążki bóstw nakrywa się czerwonymi narzutami.

Najbliższa rodzina zakłada białe stroje, bo dla Chińczyków biel jest kolorem żałoby. Dzieci ubierają się na biało na znak, że cierpią najbardziej. Zięć ma kremowy garnitur, bo jest jednak człowiekiem spoza więzów krwi. Wnuki zakładają strój niebieski, a prawnuki jasnoniebieski.

Dalsza rodzina ubiera się na czarno, zielono lub niebiesko. Czerwony i żółty są w okresie żałoby zakazane. Dalszym krewnym i znajomym zmarłego wysyła się *fùwén* – nekrolog z informacją o dacie pogrzebu, która może być dość odległa, bo musi być przede wszystkim zgodna ze wskazaniem numerologii. Chińczycy przywiązują dużą wagę do tego typu szczegółów.

Kto się spóźni na uroczystość, podchodzi do trumny na kolanach.

Przed złożeniem do trumny ciało zmarłego należy umyć wilgotnym ręcznikiem i ubrać, a jeśli zmarła kobieta – umalować jej twarz. Nie można użyć w ostatnim stroju czerwonego koloru. W trumnie twarz nakrywa się żółtym płótnem, a resztę ciała niebieskim.

Trumna wystawiona jest w pokoju, jeśli człowiek zmarł w domu, albo przed domem, jeśli zmarł w szpitalu, lub też, co jest obecnie powszechne, w sali żałobnej przystrojonej *chengyu* – metaforycznymi powiedzeniami, które można zapisać za pomocą czterech ideogramów. *Chengyu* pełnią w chińskiej kulturze funkcję podobną do tej, jaką haiku wnosi do japońskiej obyczajowości. Oczywiście *chengyu* powinny tego dnia być związane z przemijaniem i nadzieją na odrodzenie.

W tak udekorowanej sali odbywa się rytualne pożegnanie zmarłego przez jego bliskich, ale z zachowaniem zasady, że hołd oddają mu tylko ludzie młodsi od niego.

Jeżeli zmarło dziecko, rodzice nie mogą się pożegnać, bo starszy człowiek nie powinien okazywać szacunku młodszemu od siebie. Według zasad modlitwę lub żałobny tekst wypowiada ktoś młodszy od zmarłego, a zatem dziecko chowane jest w całkowitym milczeniu.

Jeszcze w ubiegłym wieku istniał obyczaj, według którego młodsi nie mogli strzyc włosów przez czterdzieści dziewięć dni po zamknięciu

trumny z ciałem bliskiej osoby. Do dzisiaj w chwili zamknięcia wieka trumny przełamuje się na pół grzebień zmarłego. Połowę rodzina zachowa pośród pamiątek, połowa trafi do trumny.

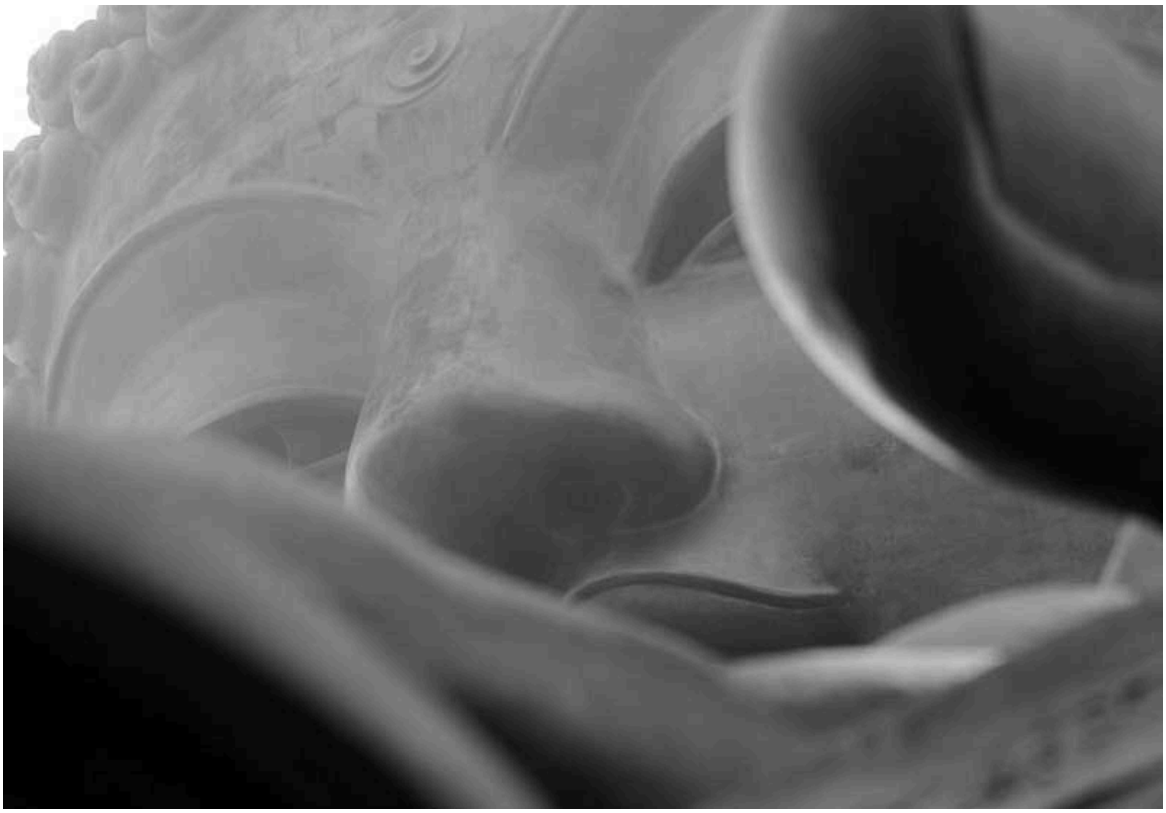

Tian Tan Budda, wyspa Lantau, Hongkong

Nawet niewierzącym nie zaszkodzi, aby w ceremonii uczestniczyli buddyjski lub taoistyczny mnich, czy nawet obaj. W innym przypadku można odczytać fragmenty konfucjańskich ksiąg. Na przykład tę mądrość, że „życie, podobnie jak śmierć, ma swoje uwarunkowania: bogactwo i honory zależne są od woli niebios".

Uroczystości żałobne mogą trwać kilka dni, im bardziej zamożny był zmarły, tym dłużej. Ponieważ wedle popularnych wierzeń zmarły musi odcierpieć karę, zanim jego dusza wejdzie do krainy umarłych, mnisi tao lub buddyjscy odprawiają za nią modlitwy, czasami z towarzyszeniem fletu i bębenka. Przed drzwiami do sali z trumną siedzą strażnicy i grają w którąś z popularnych gier. To pamiątka po

czasach cesarskich pogrzebów, które ciągnęły się tygodniami. Strażnicy nie mogli zasnąć, bo to byłby zły znak.

Obok trumny stoi skrzynka na ofiary. Uczestnicy pogrzebu zostawiają tam prawdziwe pieniądze na pokrycie kosztów uroczystości.

Prawdziwe juany dla żywych, fałszywe dolary dla duchów.

Zwyczaj darowywania zmarłym pieniędzy przetrwał tysiące lat, podobnie jak wkładanie im do trumien modeli luksusowych przedmiotów, ale inne obyczaje utraciły swoje znaczenie i zostały zapomniane. Nikt nie potrafi dzisiaj ocenić, czym są magiczne przedmioty z grobowców z czasów dynastii Tang, choć bez wątpienia mają magiczne znaczenie i musiały pomagać w nawiązywaniu kontaktu pomiędzy tym a tamtym światem. Władcy z dynastii Shang zabierali w zaświaty służących oraz zwierzęta. W grobowcu Fu Hao w Yinxu odnaleziono ciała szesnastu ludzkich ofiar, kobiet, mężczyzn i dzieci, a także sześciu psów. Pogrzebani mieli ze sobą całe mnóstwo przedmiotów z brązu, klejnoty, sznury monet oraz zapas wina.

Ludzkie ofiary znikają z grobowców chińskich władców w okresie panowania dynastii Han, kiedy to zmarłym zaczynają wystarczać ich gliniane figurki, najpierw pewnie kosztowne, maleńkie dzieła sztuki, by za dynastii Song stać się masowo produkowanymi grzebalnymi lalkami.

Najbardziej znanym orszakiem towarzyszącym władcy na tamten świat jest Armia Terakotowa Qin Shi Huanga, Pierwszego Cesarza Chin, pochowana wraz nim w jego grobowcu w Shaanxi w 210 roku przed naszą erą. To 8 tys. żołnierzy i jeźdźców, ich dowódcy, 130 rydwanów zaprzęgniętych w 520 koni i 150 koni kawaleryjskich. Wszystkie figury są naturalnej wielkości, wykonane z drobiazgową starannością. Są tam żołnierze, łucznicy, kusznicy, są oficerowie, kilku generałów, ale też lekarze, urzędnicy i służący. A nawet akrobaci i muzycy, żeby cesarz, kiedy już zwycięży w bitwie o tamten świat, miał odrobinę rozrywki. Nie ma kobiet. Albo starożytni sądzili, że armia zdobędzie branki w niebie, albo archeologowie odkryją je pewnego dnia, bo przecież cały kompleks nie został jeszcze przebadany.

Może pewnego dnia odkopią kolejny sektor, a wtedy zobaczą tysiące innych wielobarwnych figur, z których w ciągu kilku minut po tym, jak zetkną się z powietrzem, zejdzie niebieska i czerwona farba.

Notable z czasów dynastii Shang musieli wierzyć w życie pozagrobowe, bo jest prawdopodobne, że próbowali zachować nienaruszone zwłoki swoich bliskich. W grobowcu pani Sun Siniangzi odkrytym w Jiangyin odnaleziono zmumifikowane ciało żony wysoko postawionego urzędnika. Trumna obsypana wapnem i węglem została zapieczętowana w grobie za pomocą wapna, żółtej gliny, piasku i kleju ryżowego. Podobnie zalakowany był grób małżonki pana Wu Chou odkryty w De'an. Mumia, owinięta w jedwab, zachowała się w nieprawdopodobnie dobrym stanie, bo trumnę zalała i zakonserwowała woda. Kobieta miała wciąż miękką skórę. Istnieją jeszcze starsze zmumifikowane zwłoki, z okresu walczących królestw. Ciało kobiety odnalezione w podwójnym sarkofagu w grobowcu Guo-Jia Gang jest najstarszą mumią odnalezioną w Azji Wschodniej i liczy sobie przynajmniej 2,3 tys. lat. Ciało wystawione jest w muzeum w Jingmen.

Zawsze mam pewien problem z ciałami dawnych władców, bohaterów, królowych i księżniczek, które można oglądać w muzeach wywleczone z ich trumien albo urn, odarte z godności, bezbronne i smutne. Z jednej strony obserwowanie ludzkich szczątków budzi mój niesmak, bo przecież żyli, kochali, marzyli o czymś i o coś walczyli, wierzyli, że po śmierci będą żyć dalej w zaświatach, bo mieli ze sobą gliniane monety albo broń, albo święte obrazki czy figurki, a teraz nic z tego nie pozostało i zamiast siedmiu sklepień niebieskich mają tylko numer muzealny, odciśniętą gdzieś w mało widocznym miejscu muzealną sygnaturę i kawał szyby nad oczodołami. No i opis. W dobrych muzeach przynajmniej w kilku językach. Z drugiej strony nieodmiennie przyciągają moją ciekawość. Zwłaszcza mumie, bo zdaje się, jakby miały tylko zamknięte oczy.

Przed rewolucją kulturalną właściwie tylko chińscy buddyści poddawali ciała swoich bliskich kremacji, pozostali uważali, że ciało

powinno spocząć w pobliżu swoich przodków, i starali się pochować zmarłego w jego rodzinnej ziemi. Po rewolucji kremacja stała się powszechna. Przed pogrzebem specjalista od feng shui wskazywał najlepsze miejsce i czas do pochowania zwłok.

Istnieje jeszcze kilka ciekawych przesądów związanych ze śmiercią.

Jeśli komuś śni się śnieg albo wyrwane zęby, jest to znak, że któreś z jego rodziców wkrótce umrze.

Nie wolno też obcinać nikomu paznokci po zachodzie słońca, bo to może sprowokować wizytę duchów. Obcięte paznokcie należy natychmiast zniszczyć albo ukryć w nikomu nieznanym miejscu, bo mogą posłużyć do tego, żeby na kogoś sprowadzić śmierć.

Psy są stworzeniami, które widzą duchy. Kiedy je widzą – wyją. Jeśli wyją bez przerwy, to znak, że zbliża się czyjaś śmierć.

Panuje też przekonanie, że jeśli natrzeć własne oczy wydzieliną z psich oczu, można samemu zobaczyć duchy, ale mogą to uczynić jedynie ludzie o bardzo odważnym sercu, każdy inny, kto natrze oczy psią wydzieliną, umrze z powodu szoku, jakim jest spotkanie z duchem.

Co innego smok, który jest częstym motywem w chińskiej sztuce i architekturze. Zazwyczaj ma łapy o czterech pazurach, pięciopalczaste smoki są symbolem zastrzeżonym dla cesarza, więc zwykli ludzie mają smoki czteropalczaste, choć czwórka to zły omen, nie lubią go w Chinach, nie ma w hotelach pokoju numer cztery, a przy promenadzie Bund w Szanghaju nie ma budynku o numerze cztery. Słowo „cztery”, czyli *sì*, brzmi podobnie jak śmierć, a nikt nie chciałby mieszkać w jednym pokoju ze śmiercią. Tylko smok jest silniejszy niż śmierć i nawet jeśli ma cztery palce, to i tak ją zwycięży.

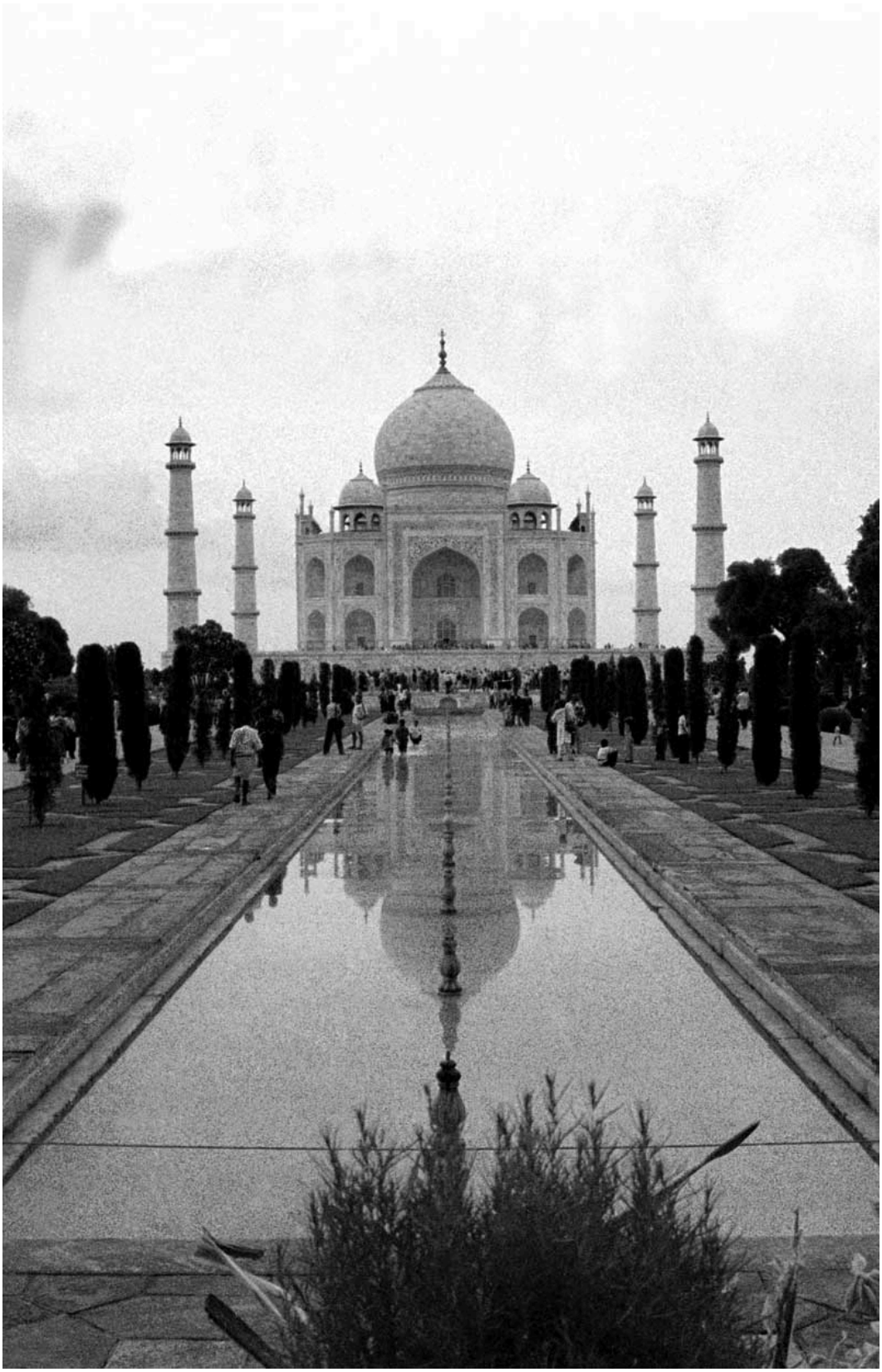

ROZDZIAŁ DWUNASTY

O najpiękniejszym grobowcu świata i o Mieście Śmierci

Była sobie kiedyś dziewczyna. Nazywała się Mumtaz Mahal i wcale nie marzyła o tym, żeby urodzić czternaścioro dzieci największemu władcy, jakiego świat znał pięć wieków temu. On nazywał się Szahdżahan i był wnukiem Akbara – niepiśmiennego cesarza, który stworzył imperium tak potężne, że do dziś ani ludzkość, ani okrutna przyroda nie potrafią nawet drasnąć murów miast, które zbudował. Szahdżahan nosił tytuł Króla Wszechświata i mógł mieć wszystkie kobiety Azji. Ale tylko jedną kochał naprawdę.

Akbar, praprawnuk Czyngis-chana, wnuk Babera, zdobywcy Indii, miał czternaście lat, kiedy zasiadł na tronie i uwolnił od podatków radżów Indii, a oni w zamian przysłali mu wojowników, których poprowadził przez pustynię, aby po tygodniu marszu zdobyli Gudźarat. Miał ponad 300 żon i 10 razy tyle konkubin, ale nie miał szczęścia, bo jego pierwsza żona, ta, która zobowiązana jest dać życie następcy tronu, nie umiała urodzić syna. Czekał na to kilka lat, a potem udał się do pustelni Fatehpur w środku pustyni, aby suficki myśliciel Selim Ćisti pobłogosławił łono jego żony.

– Będziesz miał syna – obiecał Selim.

– Będziesz miał nieśmiertelną sławę – obiecał Akbar.

– Nie możesz mi dać tego, co od ciebie nie zależy – uśmiechnął się Selim – tak jak nie możesz sprawić, żeby pustynia, którą widzisz, stała się kwitnącym ogrodem.

– Jeśli mogę mieć syna – odparł cesarz – mogę wszystko.

Kiedy spełniło się błogosławieństwo Selima, Akbar wybudował swoją stolicę na wzgórzu nad pustelnią mędrca. Olbrzymie miasto nazwał Fatehpur Sikri (sikri znaczy „dzięki"). Kobiety, które chcą mieć syna, pielgrzymują do dziś Wielkiego Meczetu w Fatehpur, żeby dotknąć pokrytego kobiercami grobowca Selima.

Akbar nigdy nie nauczył się czytać, ale jego syn, Dżahangir, władca Agry, został wybitnym uczonym i astronomem. Wnuk Akbara, Churram, nie wychodził poza mury pałacu, ale matka zbudowała mu za murami targowisko pełne kramów, na których córki najznamienitszych możnowładców udawały przekupki. Książę wybierał sobie spośród nich nałożnice. Ardżumand Banu Begum udawała córkę jubilera.

– Ile za ten diament? – zapytał książę, ale nie patrzył na kawałek szlifowanego szkła, lecz na jej kibić.

– Nie stać cię, panie – odparła z udawaną złością, ale było za późno, bo zakochał się i odtąd nie chciał już dziewczyn z haremu. Cztery lata później, w 1612 roku, wzięli ślub. On przyjął imię Szahdżahan, czyli Król Świata, ona Mumtaz Mahal, czyli Wybranka Pałacu. Urodziła mu czternaścioro dzieci. Niektóre w pałacach, inne na polach bitew, jak to ostatnie. Medycy nie umieli jej pomóc, kiedy dostała krwotoku.

– Niknęła w oczach. Szahdżahan wygnał wszystkich i zamknął się z nią w namiocie – opowiada mój hinduski przewodnik – właśnie wtedy, przy łożu śmierci, obiecał jej wybudować pomnik wart ich miłości. Wyszedł z namiotu dopiero po tygodniu, kiedy w środku nie dało się już wytrzymać. Wojsko go nie poznało. Wszedł tam przecież wysoki, kruczowłosy i śniady. Wyszedł przygarbiony, niski i całkiem siwy. Połowa jego duszy umarła razem z nią...

Od tego dnia przez dwa lata na jego dworze nikt nie mógł się śmiać, śpiewać ani tańczyć. Potem Szahdżahan postanowił uczcić pamięć żony przez wzniesienie najwspanialszej budowli wszech czasów – Tadż Mahal.

Możesz w to nie wierzyć, ale tylko do chwili, kiedy ją zobaczysz.

Dwadzieścia tysięcy robotników przez siedemnaście lat wznosiło grobowiec ukochanej Władcy Świata. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie było tu władcy tak potężnego. Nie było architektów, rzeźbiarzy i artystów tak biegłych w swojej sztuce. Brama Tadż Mahal jest symbolem bramy raju. Ściany pokryto inskrypcjami z marmuru i szlachetnych kamieni. Wersety Koranu ułożone są w taki sposób, że litery umieszczone wyżej są większe niż te na dole; architekci złamali zasady perspektywy, aby patrzącemu z dołu napis wydawał się idealnie równy.

Za bramą rozumiesz, że meczety są dwa, bo idealna symetria jest zasadą tej budowli. Jeden stoi więc tak, że mihrab wskazuje Mekkę, ale drugi jest tylko udawany. Od bramy do mauzoleum trzeba pokonać 275 metrów pośród ogrodów i sadzawek.

Turecki mistrz Ustad Isa kierował tym projektem. Legendy głoszą, że pomagał mu Geronimo Veroneo z Italii. Stworzyli je europejscy podróżnicy, którzy nie potrafili uwierzyć, że taki cud architektury mógł powstać bez udziału europejskiej cywilizacji. Marmurową kopułę o wysokości siedemdziesięciu sześciu metrów zaprojektował Isa Muhammad Effendi na bazie ośmiokątnej podstawy, która tworzy wnętrze mauzoleum. Od wejścia oddzielają je marmurowe parawany o delikatnej ażurowej fakturze. Na podłodze pokrytej mozaiką z dziewięćdziesięciu dziewięciu imion Allacha ułożonych z kolorowych kamieni szlachetnych spoczywają grobowce Mumtaz Mahal i Szahdżahana. Jego trumnę ustawiono tu kilkadziesiąt lat później, burząc doskonałą symetryczną harmonię ziemskiego raju.

Zachowały się też inskrypcje z imionami przynajmniej 600 budowniczych. Choć tyle należało im się od życia. Po zakończeniu prac cesarz kazał odciąć rzeźbiarzom po dłoni, a budowniczym po ramieniu, żeby już nigdy w historii świata nikt nie wybudował nic równie pięknego.

Tadż Mahal nad brzegiem Jamuny jest jak samotna łza na policzku wieczności – napisał o tym doskonałym grobowcu indyjski noblista

Rabindranath Tagore.

Oczywiście cywilizacja Mogołów nie była ani pierwsza, ani najważniejsza na obszarze pomiędzy oceanem a Himalajami. Indie to nie jest kraj, to wszechświat. Pomiędzy kaszmirskimi wioskami u podnóża Kanczendzongi i wybrzeżem Kerali kulturowa odległość jest większa niż między Wikingami i nomadami z arabskich pustyń. Pierwsze cywilizacje w dolinie Indusu rozwijały się już przynajmniej 30 tys. lat przed naszą erą. Opowieść o zwyczajach związanych ze śmiercią na tym obszarze wypełniłaby niejeden tom. W dodatku mamy na temat indyjskich wierzeń mnóstwo nietrafnych stereotypów. Przekonałem się o tym, kiedy przeprowadzałem przed laty wywiad z Anitą Agnihotri, noszącą szlacheckie, bramińskie nazwisko jednego z najbardziej szanowanych rodów subkontynentu. Agnihotri znaczy święty ogień. Powiedziała mi, że kompletnie nie rozumiem tego, co wyznawcy hinduizmu myślą o Bogu. Bo to wcale nie jest tak, że mają tysiące bogów. Bóg jest jeden, ale ma różne role. Zupełnie jak człowiek. Kiedy jest w pracy, jest dyrektorem, kiedy prowadzi samochód – kierowcą, kiedy odbiera dziecko ze szkoły – ojcem, a kiedy podlewa ogórki w szklarni – ogrodnikiem. Z Bogiem jest podobnie: kiedy stwarza, kiedy podtrzymuje trwanie wszechświata i wszystkich istot, jest Wisznu, a kiedy przynosi zagładę niezbędną do odrodzenia, jest Śiwą.

W różnych ujęciach hinduizm uważany jest za religię panteistyczną, politeistyczną, nawet za ateistyczną. Wyjaśnienie Anity jest mi bliskie i tak właśnie widzę ten olbrzymi, niepojęty, wielobarwny i egzotyczny świat.

W Indiach wszystko było zupełnie inne od tego, co znałem. A jednak tak bliskie. Skoro *agni* to ogień, a *bhaga* to Bóg, to nawet na językowej płaszczyźnie istnieje między nami, Słowianami i Hindusami, jakaś przedwieczna więź. Może mają rację, że wszyscy tkwimy w sansarze – niekończącym się kole wcieleń, dzięki któremu dusza odradza się w coraz doskonalszej postaci, żeby w końcu zjednoczyć się z najwyższym absolutem – Brahmanem? Dusza może to osiągnąć przez

jedną z trzech dróg – drogę mądrości i samodoskonalenia ducha, drogę miłości i współczucia oraz drogę poświęcenia, czyli działania dla dobra innych istot.

Niektóre sprawy w hinduskiej obyczajowości są trudne do zrozumienia. Z jednej strony każda istota (nie tylko zresztą ożywiona) jest przejawem Boga, a więc jest równa wszystkim innym istotom, i są ludzie, którzy zamiatają ziemię pod stopami, żeby nie skrzywdzić nawet mrówki, z drugiej jednak strony system kastowy jest bardzo trwały i restrykcyjny, kilkanaście procent społeczeństwa należy z urodzenia do najniższej, niedotykalnej kasty dalitów, zwanych przez Gandhiego Haridżanami (Ludźmi Boga), skazanych na życie na marginesie świata, nieposiadających żadnych praw i powszechnie pogardzanych nędzarzy na wysypiskach…

Śmierć pojawia się w fundamentalnej dla hinduizmu i najstarszej księdze znanej ludzkości – Rygwedzie. W 2007 roku ten tekst z XV wieku p.n.e. wpisano na Międzynarodową Listę Pamięci Świata UNESCO. W Hymnie 127 o niebycie, początku istnienia czytamy, że ani śmierć nie istniała wówczas, ani nieśmiertelność, między dniem a nocą nie było rozłamu, lecz oto żądza powstała, stając się myśli pierwszym wysiewem.

Dziwnie blisko chrześcijańskiego mitu o drzewie poznania złego i dobrego, prawda? Myślenie ludzkie przynosi naszemu gatunkowi śmierć. Hinduizm dał również początek wiązaniu oddechu z duszą. Oddychanie – *an* – jest równoznaczne ze zdolnością do życia. Dusza – *atman* – jest jego esencją. Aby w kole sansary dusza mogła osiągać kolejne wcielenia, musi czynić dobro, bo ma nad nią władzę *karman* – bezwzględna zasada moralna, wedle której od czynów w tym wcieleniu zależy jakość i długość życia w kolejnym. Według wyznawców hinduizmu nie ma możliwości odkupienia czy przebaczenia grzechów – złe czyny obciążą przyszłe wcielenie. Dobre będą krokiem ku wyzwoleniu. Wyzwolenie – czyli *moksza*, zakończenie kręgu wcieleń – dostępne jest dla tych, którzy osiągnęli idealną świętość, a to wymaga

ogromnej i czasochłonnej pracy nad sobą w toku niezliczonych wcieleń. Ci, którzy rodzą się nędzarzami, mają jeszcze wiele do przerobienia, ale ci, którzy przychodzą na świat w szlacheckich, bramińskich rodach opływających w dostatek, są już dosyć blisko celu. Chyba że się przeciwstawią *karmanowi* i będą musieli iść od początku.

Jest też droga na skróty. Trzeba udać się do Miasta Umarłych, umrzeć w tym świętym miejscu i zadbać o to, aby skremowane prochy trafiły do Gangesu. Waranasi, zwane też Benares, starożytne Kashi, zbudowane jest w miejscu, w którym w mitycznych czasach Śiwa ułożył swój trójząb, i tutaj słowa wypowiadane przez ludzi trafiają prosto do ucha Boga.

Przed wiekami, w czasach Mahabharaty, księżniczka Draupadi Pandava, pokonawszy swoich kuzynów, przybyła tu, aby w czasie rytualnej kąpieli obmyć się ze wszystkich win, łącznie z grzechem bratobójstwa, i tak się zaczęło. Ludzie wierzą, że jeśli dotrą tu i wykąpią się w Gangesie, szepcąc Bogu do ucha o własnych winach, to ich następne wcielenie będzie lepsze pomimo zła, które wyrządzili. Inni mają dość pieniędzy, żeby tutaj doczekać *mokszy*. Niektórzy chcą tu umrzeć w nadziei, że ktoś i tak zaniesie ich ciało na stos. Ale to nie musi się udać.

Umrzeć nie jest trudno, nawet nędzarzom. Ale żeby przeżyć *mokszę* w Mieście Umarłych, trzeba zadbać o spopielenie ciała. Stosy ciałopalne płoną na ghatach – szerokich schodach nad świętą rzeką – właściwie cały czas, samozwańczy przewodnicy powiedzą ci, że od tysięcy lat, od chwili kiedy Brahma zbudował schody, żeby przyjąć na nich Śiwę. Ale żeby dostąpić zaszczytu spalenia ciała w tak świętym miejscu, trzeba kupić sobie odpowiednią ilość drewna. Ciało ludzkie płonie około trzech godzin. W tym czasie spala się 350 kilogramów drzewa żelaznego – to żywiczny gatunek, odporny na wilgoć. Pobożny Hindus nie może sam spalić zwłok, od takich prac są niedotykalni, dalitowie, a oni za swoją pracę pobierają wynagrodzenie odpowiednie do kasty proszącego o spalenie członka rodziny.

To dobrze zorganizowany interes. W Waranasi są hotele dla umierających. Oczekujący na śmierć mieszkają tam od kilku dni, jeśli rodzina przywiezie ich w ostatniej chwili, do kilku, a nawet kilkunastu lat. To powracający temat w reportażach podróżniczych.

Niektóre z tych hoteli są drogie, ale można w nich mieszkać latami, jeśli rodzina dobrze za to płaci. Inne są pozbawione jakichkolwiek wygód i można się tam zatrzymać na okres nie dłuższy niż dwa tygodnie.

Nie da się ukryć – trzeba umrzeć, żeby przeżyć *mokszę*.

Potem czterej ludzie położą ciało na marach i poniosą je pomiędzy sklepikami, restauracjami pełnymi turystów, którzy przyjechali fotografować dymy z ciałopalnych stosów, kąpiele w Gangesie i wieczorną ceremonię puszczania świateł na wodę, żebraków, dzieciaków śmierdzących dymem, bo tam wszystko śmierdzi dymem, pośród wychudłych psów i krów, którym wszystko wolno.

Będą się modlić cicho i szybko, bo przecież zaraz pójdą po kolejne ciało.

Inni ludzie ułożą zwłoki na stosie. Obłożą je drewnem i będą pilnować, żeby się równo paliło. Kilku samozwańczych strażników spróbuje wyłudzić opłatę od przybyszów z zagranicy, którzy nie mogą ominąć okazji do zdjęć. Ktoś spróbuje ci powróżyć. Po chwili inni czterej rozmodleni tragarze przyniosą innego człowieka, który dotarł do kresu swojej drogi.

Na porządny stos trzeba uzbierać równowartość około siedemdziesięciu dolarów. W latach 80. wystarczało czterdzieści.

Pochówkami w Waranasi zajmuje się kasta Domów. Należą do niedotykalnych, ale żałobny biznes przynosi im bardzo poważne dochody. Najsłynniejszym przedsiębiorcą żałobnym w mieście był Jagdish Chaudhary, zwany księciem Domów. Był prawdziwym hinduskim celebrytą, występował w mediach i udzielał wywiadów zagranicznym korespondentom. Kiedy zmarł w sierpniu 2020 roku, premier Indii Narendra Modi wyraził osobiste ubolewanie

w emocjonalnym wpisie na Twitterze, nazywając Jagdisha spadkobiercą i ucieleśnieniem tradycji Kashi.

Najbiedniejsi, dalitowie, których nie stać na własny stos, próbują na niego zarobić, przesiewając prochy spalonych na ghatach Manikarnika i Hariszczandra w poszukiwaniu złotych zębów lub fragmentów biżuterii. Jeśli uzbierają dość, żeby kupić te 350 kilogramów drewna, będą mogli umrzeći oni. Jeśli nie, kupią tyle drewna, na ile będzie ich stać, a wtedy nie spłoną całkowicie i do rzeki wpadną ich kości i czaszki. Każdego roku do Gangesu wrzucanych jest 100 tys. ciał w różnym stadium zniszczenia. Najbiedniejsi topią w rzece ciała obciążone kamieniami.

Każdego roku na potrzeby kremacyjnego rytuału wycina się w Himalajach 60 mln drzew. Są w Waranasi krematoria elektryczne, ale ludzie wolą tradycyjną metodę.

Niektórzy mogą osiągnąć *mokszę* bez rytualnego spalenia – dzieci do lat dwóch nie potrzebują oczyszczenia, bo ich dusze są czyste. Można je oddać rzece zawinięte w płótno i obciążone kamieniem. Ludzi ugryzionych przez kobrę, trędowatych czy zmarłych na ospę i oczywiście świętych mężów można pochować w ziemi w pozycji wertykalnej, owiniętych płótnem i obsypanych solą.

W innych przypadkach konieczny jest stos. Hindusi uważają, że ogień pozwoli na oczyszczenie duszy, a także odpędzi złe duchy i demony. Jedną z modlitw odmawianych nad stosem jest prośba do boga Agni o to, żeby pochłonął ciało dokładnie i pozwolił duszy na dobrą podróż do świata duchów. Ogień jest też związany z ofiarą, dlatego druga to modlitwa do boga Puszana o to, aby przyjął ofiarę i zaprowadził duszę we właściwe miejsce w zaświatach.

Obyczaj nakazuje, aby nie zwlekać z kremacją. Najlepiej, jeśli nastąpi w ciągu dwunastu godzin od chwili śmierci, najpóźniej do zmroku następnego dnia, jeśli ktoś umarł wieczorem lub w nocy.

Kiedy umierający czuje, że nadchodzi śmierć, zaczyna recytować jedną, jedyną sylabę – *om*, bo to słowo kierujące umysł ku Brahmanowi,

czyli Bogu, i jeśli ktoś umrze z nim na ustach, ma szansę na osiągnięcie *mokszy*.

Bliscy zdejmują go z łóżka i układają na macie lub na podłodze – Hindus nie powinien umierać w łóżku, zawieszony w powietrzu pomiędzy ziemią i niebem, bo mógłby powrócić w postaci złego ducha, ale powinien umierać na ziemi, najlepiej skropionej odrobiną wody ze świętych rzek – Gangesu lub Jamuny – i posypanej odrobiną jęczmienia, sezamu i wysuszonego krowiego łajna.

Któryś z bliskich doświadczonych w tym rytuale decyduje o chwili, kiedy umierający zostaje z maty przeniesiony na gołą ziemię. Hindus powinien umierać twarzą na wschód i z ogoloną głową. W usta wlewa mu się odrobinę wody z Gangesu i wkłada liść bazylii, rośliny uważanej za emanację bogini Tulsi, wcielenia Lakszmi, małżonki Wisznu. Panuje przekonanie, że skremowany z liściem bazylii w ustach może trafić przed oblicze Boga i dostąpić *mokszy*.

Czoło smaruje się glinką; jeśli kobieta umiera przed swoim mężem, uważane to jest za szczęśliwy omen i smaruje się jej czoło glinką czerwoną.

Najstarszy syn recytuje modlitwy, w których rozwiązuje przysięgi złożone przez umierającego, dopełnia jego pokut i recytuje fragmenty z Rygwedy, bo ważne jest, żeby ostatnie słowo, które wypowiada zmarły, i ostatnie słowa, które słyszy, były poświęcone Bogu. Powinien umierać w pokoju. Jeśli umiera w złości, może trafić do piekła.

Nie czeka się na członków rodziny, którzy nie zdążą przyjechać, aby się pożegnać. Decydują być może względy praktyczne – ciało zmarłego powinno być obłożone lodem. Klimat subkontynentu nie pozwala na długie przechowywanie ciała.

Jeśli to nie jest śmierć w Waranasi, ogień trzeba zabrać z domu zmarłego i nieść przed jego ciałem do stosu tak, aby nic ich nie dzieliło.

W przeszłości kobiety nie mogły być obecne podczas kremacji, bo mogłyby się rozpłakać, a to uznawane jest za zły omen. Ten zakaz nie dotyczył kobiet z kasty bramińskiej.

Hindusi nie okazują nazbyt wylewnie żalu po zmarłym, wedle ich wierzeń ktoś, kto się narodził, nie może umrzeć, ale odrodzi się w innym wcieleniu i będzie to wcielenie najpewniej w okolicznościach lepszych od tego, w którym go znali.

Hinduistyczny panteon. Detal z bramy świątyni Śri Mariamman, Singapur

Dziecko u stóp schodów, Fatehpur Sikri, Indie

Przygotowaniem zwłok do kremacji zajmują się kobiety. Myją je, a następnie owijają w płótno wraz z biżuterią należącą do zmarłego. Mężatki są ubierane w swoje suknie ślubne. Owdowiałych owija się w białe płótno, świętych mężów w czerwone. Potem ciało układa się na marach. W zależności od kasty mogą być wykonane z rzadkiego i kosztownego drewna albo zwyczajnie z bambusa.

Wiele kastowych zwyczajów związanych z oczyszczaniem ciała i nacieraniem go masłem ghee zanikło w obecnych czasach, ale Hindusi pilnują, aby nikt, kto nie jest Hindusem, nie dotykał ciała, dlatego obcokrajowcy zatrudnieni w szpitalach geriatrycznych albo służbie zdrowia i narażeni na potencjalny kontakt ze zwłokami pracują w grubych rękawicach.

Kobiety zajmują się przygotowaniem zwłok do ceremonii, ale zbieranie drewna, układanie stosu i zebranie prochów to zajęcie mężczyzn.

Jeśli to możliwe, ciało zostaje przed ułożeniem na stosie zanurzone w Gangesie lub Jamunie. Bogate rody używają do rozpalenia stosu drzewa sandałowego, w Kerali używa się drewna mango.

Stos mężczyzny rozpala się od głowy, a stos kobiety od jej stóp. W niektórych regionach kobietę układa się twarzą w stronę stosu, a mężczyznę twarzą w stronę nieba.

Biedacy rozpalają stos, używając suszu z krowiego łajna.

W niektórych regionach przed rozpaleniem stosu wdowa wchodzi na niego, żeby pożegnać męża w rytuale sati. Niektórzy oprowadzają dookoła stosu zwierzę, ale ofiar jak w czasach pradawnych już się na nim nie układa.

Układa się za to najbardziej osobiste rzeczy zmarłego.

Kiedy najstarszy syn rozpali stos, kapłan recytuje modlitwę *Ram nam sit hair*, czyli Bóg jest prawdą. Jeśli w rodzinie zmarłego nie ma synów, zapalenie stosu przypada w udziale któremuś z krewnych.

Stos płonie około trzech godzin. W tym czasie ciało powinno się spopielić, a czaszka pęknąć od gorąca, uwalniając duszę. Jeśli czaszka jest cała, trzeba ją po ostygnięciu rozbić. W ciągu trzech dni popioły powinny znaleźć się w rzece. Bogaci dbają, żeby to był Ganges. Biedni – żeby było dość wody, aby pochłonąć kości.

Zanim dusza dostąpi nowego wcielenia, musi przebywać w zaświatach. W ciągu pierwszych dziesięciu dni bliscy zmarłego muszą pościć, nie wolno im się czesać, strzyc, malować paznokci, zakładać biżuterii, czytać książek, uprawiać seksu i gotować jedzenia. Jeśli żałoba nie jest przestrzegana, dusza może powrócić jako zły duch. To okres oczyszczenia. Dwunastego dnia odbywają się specjalne modlitwy i przyjęcie z okazji nowego wcielenia.

Istnieje rytuał układania kulek z mąki, cukru, miodu, mleka, płatków, masła i sezamu w dołku wykopanym ku czci Wisznu. Pierwsza kulka na nową głowę, druga na kark i ramiona, trzecia na serce i tak układa się ich dziesięć na ofiarę za nowe wcielenie. Po modlitwie kulki wrzuca się do rzeki.

Czternastego dnia najstarszy syn goli sobie głowę, a włosy wrzuca do rzeki. Od tego momentu to on jest głową rodziny.

Rodzina wyprawia ucztę dla braminów i ubogich, nawet krowom dają wtedy świeżą trawę. Wówczas posążek domowego bóstwa, usunięty z domu na czas umierania, może powrócić na swoje miejsce.

Jeśli wszystkie rytuały są dopełnione, zmarły, który osiągnął *mokszę*, łączy się z Bogiem, a ten, który ma przed sobą kolejną ścieżkę, trafia do zaświatów, gdzie spotyka duchy przodków i oczekuje na nowe wcielenie. Jeśli był złym człowiekiem, trafia do Królestwa Jamy, za rzeką krwi, i poddany jest sądowi. Jeśli nieomylny Jama skaże go na cierpienie w pustkowiu *naraka*, jego nowe wcielenie będzie trudne, bo może odrodzić się jako pies albo robak.

Jama nie jest jedynym bóstwem wiązanym ze śmiercią w hinduskiej mitologii. Kali jest nawet bardziej popularna jako bogini śmierci i zniszczenia, Durga, ta, która odcięła głowę swojemu mężowi Śiwie i tańczyła z nią w dłoni na jego martwym ciele, przedstawiana jest jako czarna kobieta o ośmiu ramionach uzbrojonych w noże i miecze, niekiedy z kłami i czerwonym językiem, nosi wieńce z ludzkich czaszek.

Nowoczesne mieszkanki Indii widzą w Boskiej Matce Stworzycielce Wszechświata swoją patronkę – Kali nigdy nie zabija kobiet, jej siła skierowana jest przeciwko męskim bóstwom i demonom, których pycha i żądza pchają do zadawania kobietom bólu.

W minionych stuleciach w całych Indiach składano Kali ofiary z ludzi. No i raczej nie z mężczyzn, ale z dziewic, najlepiej takich, które dobrowolnie poświęcały się, aby osiągnąć zjednoczenie z krwawą boginią. Oczywiście trudno o takie poświęcenie, więc aby bogini była zadowolona, powstawały gangi trudniące się porywaniem ofiar. Najsłynniejszy w dziejach Indii jest gang Buhrama, który osobiście pozbawił życia blisko 1000 ofiar.

Szacuje się, że thugowie, wyznawcy Kali, w XIX wieku składali jej rok w rok w ofierze około 40 tys. ludzi. Obecnie jest to zakazane, więc

w świątyniach Kali składa się ofiary ze zwierząt lub dyń albo podcina gardła ludzkim kukłom.

Ale Kali domaga się prawdziwych ofiar. W 2006 roku „The Guardian" opisał historię Sumitry Bushan, która kazała swoim dorosłym synom porwać, oskórować i zabić przed posążkiem Kali trzyletniego Aakasha Singha. Jeśli przejrzeć w internecie wydania „The Times of India" z jednego roku, znajdziemy kilkadziesiąt podobnych doniesień. Sivarami Reddy, jego siostra Kamalamma i jej koleżanka Satya Lakshmamma zostali złożeni w ofierze w Tirupati, we wrześniu mężczyzna z wioski Basauda koło Singrauli odciął głowę swojej żonie, żeby ją złożyć w ofierze, w czerwcu policja w dystrykcie Gonda stanu Uttar Pradesh aresztowała 60-latka za odcięcie głowy kobiecie i złożenie jej w świątyni Kali.

Trudno się dziwić, że Kali trafiła do popkultury. Krwawy rytuał oglądamy oczyma Indiany Jonesa w filmie *Indiana Jones i Świątynia Zagłady*.

Równie silnie działający na wyobraźnię był rytuał sati. Odprawiany do dzisiaj w symboliczny sposób, kiedy to wdowa wspina się na stos ofiarny swojego zmarłego męża, aby go pożegnać. Ale w hinduskiej tradycji sati nie zawsze przebiegało bezboleśnie. Sati to inny przejaw Kali, żony Śiwy. Jej ojciec Daksza nie chciał się zgodzić na małżeństwo dziewczyny z „tym brudnym ascetą", a kiedy ona mimo to oddała się Śiwie, nie wpuścił go do pałacu w dniu święta Wisznu. Wtedy Sati rozpaliła stos i rzuciła się nań, żeby spłonąć z miłości. Wówczas Śiwa stworzył Kali, żeby ją pomścić, a ciało Sati zabrał w święte góry, gdzie odrodziła się jako śliczna Parwati.

W indyjskiej tradycji wdowy skazywano na skrajną ascezę, która miała je przygotować do małżeństwa w zaświatach – nie wolno im było spać na łóżku, jeść więcej niż raz dziennie, posiadać biżuterii ani niczego ponad jedną białą szatę. Jeśli wdowa była jeszcze dzieckiem, musiała poślubić brata swojego zmarłego męża, nawet jeśli on miał już żonę.

Rytuał sati rozsławiła w świecie powieść Juliusza Verne'a *W 80 dni dookoła świata*.

> Gdyby jej nie spalono, nie uwierzycie, w jak okropny sposób obchodziliby się z nią krewni: obcięto by jej włosy, dano zaledwie garść ryżu jako strawę, odpychano by ją od siebie. Byłaby uważana za istotę nieczystą i umarłaby gdzieś w kącie jak nędzny pies. Dlatego obawa przed tak strasznym losem znacznie silniej niż miłość lub fanatyzm religijny skłania do ofiary te nieszczęsne istoty

– mówi panu Foggowi pan Cromarty, a potem obaj dowiadują się, że ofiara nie jest dobrowolna, ratują Aoudę, młodziutką wdowę po radży Bundelkundu, i uciekają na słoniu.

Życie to jednak nie bajka i, jak donosi prasa, w Indiach wciąż zdarzają się przypadki zmuszania kobiet do rytualnego sati. Tim Sullivan na łamach „Los Angeles Times" pisze, że w kraju, w którym co roku przybywa 300 tys. inżynierów, 700 mln ludzi nie posiada w domu toalety; że indyjskie uniwersytety należą do światowej czołówki, ale 40% ludzi nie potrafi czytać ani pisać; że jeździ tam więcej luksusowych ferrari niż gdziekolwiek indziej, ale tylko 6% ludzi na wsi posiada telefon. Około 10 mln dziewczynek nigdy się nie rodzi, bo ich matki wybierają aborcję, oczekując na synów. Młodych kobiet palonych żywcem na stosach ich mężów mogą być, zdaniem dziennikarza, nawet setki.

Wolę to oblicze Indii, od którego zaczęliśmy. Tadż Mahal i miłość silniejsza niż śmierć. Szahdżahan spadkobiercą uczynił młodszego syna, Aurangzeba, koronował go na cesarza i dał mu imię Alamgir – Zdobywca Świata. Resztę życia postanowił poświęcić na budowę drugiego Tadżu. Czarnego. Miał być jego własnym grobowcem. Alamgir przeraził się kosztami tej fanaberii, wtrącił ojca do więzienia w Czerwonym Forcie w Agrze. Z okna swojej komnaty Szahdżahan mógł co wieczór patrzeć, jak słońce zachodzi nad grobowcem jego ukochanej małżonki. W tym pokoiku czekał na śmierć aż osiem lat.

Pół wieku potem imperium Alamgira się rozpadło.

Kiedyś na olbrzymiej bramie Wielkiego Meczetu w Fatehpur Sikri Akbar nakazał wyryć słowa Jezusa, którego muzułmanie uznają za

proroka: „Życie to tylko most pomiędzy tym a tamtym światem. Głupcem jest, kto buduje na moście”.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

O duchach i cmentarzach naszego plemienia

Kiedy siedziałem z ludźmi Dani w kucki wokół ognia, a oni rozmawiali z duchami swoich przodków, gestykulując przy tym, przekomarzając się, podśmiewając i wywracając oczyma, byłem pewien, że wiedzą, widzą i słyszą więcej niż ja.

Oczywiście nie przyznałbym się do tego kolegom z pracy. W naszej kulturze wykształconych, bogatych, pewnych siebie, niewierzących w żadne świętości oprócz praw człowieka ludzi z wielkich miast Europy wiara w duchy może ujść na sucho jeszcze tylko dzieciom.

Ale spędziłem w drodze wiele lat. Spotkałem zbyt wielu ludzi myślących zupełnie inaczej niż my, żeby ocalić w sobie pychę przekonania, iż lepiej od innych wiem, jak funkcjonują i człowiek, i świat. Nauczyłem się też, że człowiek otwarty na świat pod wpływem różnych okoliczności może swoje przekonania zmienić. Tylko ludzie, którzy zasklepiają się w swoich przekonaniach, boją się poglądów innych niż ich własne. Kim byliby w swoich oczach, gdyby okazało się, że tkwili w błędzie? Nie należy potępiać nikogo za taki lęk, ale dobrze jest umieć wysłuchać wszystkich.

Kiedyś w Durbanie chciałem kupić maskę.

– Jesteś pewien, że poradzisz sobie z duchem, który w niej mieszka? – zapytał mnie handlarz, który z moich pięćdziesięciu dolarów zrobiłby na pewno dobry użytek.

– No pewnie. – Wzruszyłem ramionami.

– Kup inną, zobacz, ta jest ładna, tylko dziesięć dolarów i żadnych kłopotów, nie mieszka w niej żadna siła. Nie bierz tamtej, mieszka w niej duch Chokwe. Po co ci duch ludu, którego języka nawet nie znasz? Jak będziesz z nim rozmawiać? Kup tę, to maska Zulusów, nowa, ale bezpieczna.

Od tamtej pory zawsze pytam. I kiedy ktoś opowiada mi o duchach, nigdy się z tego nie śmieję. A kiedy dużo podróżujesz po Polsce i umiesz słuchać, zdarza ci się usłyszeć historie, których nie da się wyjaśnić.

Kiedyś, zanim władze Gdańska oddały Wyspę Spichrzów deweloperom, miałem tam swoje ulubione miejsce. Klub Zejman to była dobra przystań dla podróżników. Gospodarz Andrzej Dębiec opowiedział mi o tym, jak w czasie obozu naukowego w Dębkach studenci etnologii usłyszeli od rybaka Augusta Greta opowieść o zatopionym statku, o który ludzie już 200 lat drą sieci i który można czasem zobaczyć, bo woda wokół niego staje się nagle doskonale przejrzysta. Statek wiózł drogocenny dar od chińskiego cesarza dla angielskiego króla Jerzego III. Rybak, który odwoził pijanego kapitana na pokład, ukradł skarb i podpalił statek, żeby zatrzeć ślady. Od tamtej pory nikt rybaka ani jego synów nie widział, ale duchy trzydziestu siedmiu ludzi nie mają spokoju.

Studenci wzięli gadanie starego Kaszuba za bujdy, ale ich profesor namówił kolegów ze statku badawczego Kaszubski Brzeg, żeby zanurkowali w ujściu Piaśnicy. Nurek Michał Woźniewski po dwudziestu minutach wypłynął z dzwonem okrętowym. Napis na nim głosił: „General Carleton". Okręt był zakonserwowany jak żaden inny, bo kiedy tonął, rozlały się beczki z dziegciem. Pod wodą na sznurach wisiały kalesony i kurtki marynarzy, w maselnicy było masło, a w sakiewkach chłopców po dwie gwinee. Były nawet butle wina. Te pełne trafiły do Muzeum Morskiego. Ale pusta, obtłuczona, stała na szynkwasie w Zejmanie. Był tam także międzypokład z Carletona. Kiedy przyłożyło się do niego ucho, słychać było sztorm i odgłos stukania o deski pokładu chodaków chłopców z załogi. Kiedy odnaleziono we

wraku czaszkę kapitana Willa Hustlera, Andrzej Dębiec poczuł, że musi pojechać do Whitby, że jest to winien tym chłopakom i ich rodzinom, zwłaszcza że z praprawnukiem kapitana zdążył się już korespondencyjnie zaprzyjaźnić. Miał im zawieźć deskę z pokładu. Wszystko było gotowe. W Anglii czekali członkowie rodzin, burmistrz, przygotowane zostały przemówienia, a jemu nie pozwolili wziąć tej relikwii na pokład samolotu. Przestraszyli się, że to zły omen.

Ale kiedy historia stała się głośna, okazało się, że w Berlinie pamiętają, jak 200 lat temu przyjechał tam nikomu nieznany bogaty człowiek z Pomorza i zainwestował w rzeźnie. Opowiadali o nim, że kiedyś był rybakiem.

Spałem tam, w Zejmanie, całkiem sam. No i nie wytrzymałem. Przyłożyłem nocą ucho do pokładu, a on naprawdę skrzypiał, jakby ktoś po nim szedł.

Opowiedziałem o tym kiedyś w Banicy, w Beskidach, u Joli i Tomka Nowaków. A oni mi na to, że nie takie rzeczy w górach się dzieją.

Wiem, włóczyłem się po schroniskach i słyszałem niejedną opowieść. Ale ta była jakaś bardziej. Dowiedziałem się, że rok w rok na Wszystkich Świętych Nowakowie noszą świece na zapomniany mały banicki cmentarz założony w 1915 roku, kiedy w pięciomiesięcznej bitwie Prusom i Austrii udało się pokonać Rosję. Leżą tam pospołu Rosjanie, Niemcy, Austriacy, Węgrzy, Czesi i Polacy. Zawsze noszą, ale przed dziesięcioma laty wrócili późno, deszcz lał jak z cebra, wiatr wył niczym opętany. Brrr… Zostali w domu. A nocą Jędrek miał sen. Zobaczył koło cmentarza światełko.

– Idę w górę przez pole – opowiada – patrzę, a na ławeczce przed cmentarzem siedzi dwóch wiarusów i pali papierosy. Podchodzę bliżej. „Pochwalony”, mówi jeden. „A ładnie to tak?” Ten drugi kiwa głową. „Tyle lat obok siebie mieszkamy, a świeczki nam nie zapalicie?”

Rankiem opowiedział sen rodzicom. I choć padało jeszcze bardziej, założyli kapoty, bo lało, jakby się niebo rozpruło na zawsze, i poszli na

cmentarz. Zapalili świece. A one w tej ulewie nie gasły jeszcze przez dwa dni.

Lubię tę opowieść, bo jest w niej echo tego przekonania, że dusze zmarłych wciąż przychodzą do miejsca swojego pochówku. Słowami „[wierzę] w ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny, amen" kończy się jedna z najważniejszych chrześcijańskich modlitw. Zapalamy dzisiaj na grobach bliskich znicze na znak pamięci, ale ogień palono kiedyś przede wszystkim po to, żeby duchy mogły się w nim ogrzać.

W przedchrześcijańskiej kulturze Słowian śmierć nie była końcem życia, ale przejściem do Nawi, królestwa Welesa – wielkich zielonych, szczęśliwych łąk. Aby do nich dotrzeć, trzeba było przepłynąć Martwe Wody i minąć Żmija, strażnika zaświatów. W niektórych przekazach pojawiają się inne zaświaty – Wyraj, do którego duchy wędrują po Drodze Mlecznej, ale w słowiańskiej mitologii nie było nieba ani piekła, dusze były po prostu częściami wszechświata.

O pochówkach wiemy z jednej strony niewiele – bo nie posiadamy pisanych źródeł, ale z drugiej strony całkiem sporo dzięki archeologii. Wiemy, że dominującym obrzędem pogrzebowym było w prehistorycznych czasach ciałopalenie, ale zdarzały się i pogrzeby szkieletowe, na przykład w kurhanie kultury trzcinieckiej z epoki brązu w Szczotkowicach. Ludy kultury łużyckiej paliły ciała swoich zmarłych i umieszczały prochy w ceramicznych urnach zakopywanych blisko siebie na cmentarzyskach. Zakopywano tam także ozdoby, broń i biżuterię. Kultura pomorska wykształciła urny zamykane wiekiem przypominającym ludzką twarz. Urny umieszczane były po kilka w drewnianych skrzyniach, do których wkładano zmarłym jedzenie i broń.

Dusze złych ludzi nie szły do Nawi ani do Wyraju, ale pozostawały na ziemi jako Złe: strzygi, demony czy upiory. Musiały pokutować na ziemi, zanim Żmij wpuszczał je w zaświaty. Dusza człowieka, który nie doświadczył rytuału pogrzebowego, także była skazana na pozostanie nieumarłą – wampirem.

Rytuały musiały być zatem potraktowane z należytą powagą. Aleksander Brückner pisze, że rozpoczynała je Pusta Noc, kiedy to bliscy czuwali przy ciele zmarłego aż do świtu, śpiewając pieśni, które miały być wyrazem żalu, ale i nadziei, że duch zmarłego opuści świat i nie będzie nawiedzał nikogo w postaci upiora. Ciało wynoszono przez otwór w ścianie albo przez okno w przeświadczeniu, że jeśli zwłoki wyniesie się drzwiami, duch nie będzie chciał opuścić domu. Urządzano potem tryznę – rodzaj stypy połączonej z zawodami, zabawą, tańcem, śpiewem i przywoływaniem duchów przodków. W tym czasie duch zmarłego najadał się i przestawał bać drogi w zaświaty, bo odchodzić miał wraz z duchami przodków. W czasie tryzny wychwalało się też czyny zmarłego, żeby inne duchy mogły o nich usłyszeć.

Potem ciało było palone. Pozwalało to duszy odlecieć do nieba, a żywym mieć pewność, że nie powróci jako upiór.

Jeśli nie można było rozpalić stosu, chowano człowieka, przebiwszy mu pierś kołkiem albo umieściwszy pomiędzy nogami czaszkę oddzieloną od tułowia. Kiedy archeolodzy odnaleźli taki grób na terenie Sanoka, miasto zbudowało na wampirach swoją turystyczną markę.

Pozostał nam po słowiańskich czasach rytuał dziadów, czyli obcowania żywych i umarłych powracających do miejsc, w których kiedyś żyli. Dziady obchodzono kilka razy w roku. Miały też różne nazwy – zaduszki, pomniki czy radecznica. Rozpalano wtedy na cmentarzach ognie, żeby dusze mogły trafić do świata, i karmiono je kaszą, kutią, chlebem i wódką poprzez rozsypanie jedzenia na grobach i wylanie na nie napoju. Obyczaj przetrwał po dziś dzień w postaci strzepywania na podłogę ostatniej kropli z kieliszka.

Za pośredników w kontaktach ze zmarłymi uchodzili żebracy – dziadowie, dostawali oni jedzenie przeznaczone dla dusz, a w zamian za to modlili się o przychylność przodków wobec tych, którzy życie mieli jeszcze przed sobą.

Tego dnia nie wolno było szyć ani cerować, aby przypadkiem nie przyszyć duszy do ubrania, nie wolno było wylewać wody, żeby nie

przestraszyć duszy, nie wolno było sprzątać ze stołu, aby duchy mogły się najeść, nie wolno było wykonywać nagłych ruchów, bo to też mogło wystraszyć ducha.

W epoce chrześcijańskiej powoli, ale nieubłaganie zmieniała się obyczajowość naszych przodków – funkcje inicjacyjne przejęły chrzest i Eucharystia, sakramentalne małżeństwo zastąpiło przysięgę w świętym gaju, a Nawie i Wyraj – niebo i piekło. Ale wciąż silna jest w nas potrzeba bliskości z przodkami i ciągle odbywają się przecież dziady.

Raz jeden, przed laty byłem na Litwie pierwszego listopada i widziałem ludzi, którzy przynoszą jedzenie i picie swoim bliskim zmarłym oraz palą stosy na rozstajnych drogach, żeby zmylić złe duchy.

Cmentarze pełniły w społecznościach słowiańskich funkcję kulturotwórczą, bo ludzie przestawali być koczownikami i stawiali swoje domy wokół miejsc pochówku. I tam się toczyło obrzędowe życie.

W chrześcijańskich wspólnotach przez długie stulecia panowało przeświadczenie, że aby zmartwychwstać, trzeba być pochowanym w świętej ziemi. Dlatego średniowieczne kościoły mają krypty, dlatego koło kościołów stoją ossuaria, a cmentarze znajdują się dookoła świątyni.

Ziemia cmentarna jest święta, dlatego że została konsekrowana przez biskupa, a tym samym wyjęta spod władztwa ziemskiego, i podlega zwierzchności niebios. Konsekracje praktykowane są już od V wieku i w średniowieczu miały znaczenie kodeksowe, to znaczy ziemia cmentarna wyjęta była z podległości lennej. Nie należała ani do pana, ani do księcia, ani do króla. Za naruszenie cmentarza groziła kara ekskomuniki i siedmiu lat pokuty, w tym trzy lata ścisłego postu o chlebie i wodzie. Statut diecezji wrocławskiej z 1410 roku oddaje rozgrzeszenie w przypadku naruszenia świętości grobów lub cmentarza do wyłącznej dyspozycji biskupa.

Ziemia cmentarna była przez długie wieki azylem dla ściganych przez prawo, statuty Kazimierza Wielkiego próbują wyłączyć

z cmentarnego azylu podpalaczy, a statut Mikołaja Trąby morderców, którzy zabili kogoś… w kościele lub na cmentarzu.

Męczennik trzymający swoją odciętą głowę. Detal obrazu w katedrze sandomierskiej

Śmierć św. Antoniego. Detal z Sanktuarium w Radecznicy

Na cmentarzu nie wolno było pochować grzeszników ekskomunikowanych, nie wolno było sprzedawać cmentarnej ziemi, zbierać tam owoców ani handlować miodem, jeśli pszczoły zbierały nektar na cmentarzu. Jeżeli coś takiego miało miejsce, nakładano na cmentarz interdykt i był on wyłączony z użytkowania do czasu ponownej konsekracji.

Jeśli interdykt nałożono z powodu pochówku kogoś, kto umarł w grzechu ciężkim, na przykład samobójcy, trzeba było przenieść zwłoki w inne, niepoświęcone miejsce.

Biskupi, opaci, książęta, królowie i rycerze z rodów, które ufundowały kościoły, mogli być pochowani we wnętrzu kościoła. To wyjątkowy i rzadki przywilej. Od XV wieku nie trzeba było budować

całego kościoła, pochowani we wnętrzu mogli być także fundatorzy ołtarzy w kaplicach bocznych.

Papieże (na przykład Paweł V) wydawali kilkakrotnie zakaz chowania kogokolwiek w prezbiterium. Paweł V zadecydował, że na cmentarzu musi stanąć wysoki krzyż, zmarłych należy chować głową w kierunku ołtarza, duchowni, świeccy i dzieci muszą mieć osobne kwatery, a za murem należy przygotować kwaterę dla tych, którzy nie zasłużyli na katolicki pogrzeb. Zaliczano do nich ludzi nieuczestniczących w mszach świątecznych, złodziei, którzy nie okazali skruchy, aktorki grające w nieprzystojnych sztukach, ludzi bluźniących przeciw Bogu, szydzących z osób duchownych, lichwiarzy, skazanych na śmierć, umierających w grzechu bez okazania żalu, wróżki i autorów bezbożnych książek.

Po wielkich epidemiach w XVIII wieku najpierw Francja, a potem Prusy i Austria zadecydowały, że należy cmentarze wyprowadzić poza granice ścisłych centrów miast, bo w trudnych czasach stanowiły one źródło epidemii. Wtedy to rozpoczął się proces, o którym Philippe Ariès napisał, że przesunął śmierć ze sfery duchowo-cielesnej w sferę biurokratyczno-księgową, bo stała się domeną nie kapłanów, lecz urzędników.

To był początek odzierania śmierci ze sfery sacrum.

Kościół utracił monopol w pogrzebowym biznesie, nie należy zapominać przecież o tym, że w ślad za trumnami szły ofiary na pogrzeby, utrzymanie cmentarzy i modlitwy. Od początku XIX wieku wpływają one także do władz świeckich. Na ziemiach polskich nakaz wyprowadzenia cmentarzy z miast wydał Napoleon Bonaparte. Co prawda pierwszy był cesarz Józef II, który 22 stycznia 1784 roku wydał dekret o zniesieniu cmentarzy kościelnych i budowaniu gminnych poza granicami miast, ale dekret wszedł w życie dopiero pięćdziesiąt lat później.

W każdym razie kondukty pogrzebowe przestały chodzić pod oknami mieszkańców miast, wystawienie otwartych trumien z często

odwiedzanych kościołów przeniosło się do odległych cmentarnych kaplic, nekrologi ze słupów ogłoszeniowych trafiły do gazet, ale stawały się raczej laudacjami ku pamięci gwiazd polityki, ekranu czy sportu niż zawiadomieniami o pogrzebach zwyczajnych ludzi.

Jeszcze 100 lat temu, jak świadczy uroczo naiwna miejscami praca Anieli Piszowej *Kult zmarłych u różnych narodów*, obrządek żałobny na ziemiach polskich był bogaty i różnorodny. Czytamy, że w okolicach Kalisza przetrwał starosłowiański zwyczaj przygotowywania umierającemu jeszcze za życia „śmiertelnej koszuli", zwanej żgłem. Żgło musi być szyte z nowego płótna, nicią bez węzła, bo ile węzłów miałaby nić, tyle grzechów byłoby zmarłemu zatrzymanych. Czytamy, że na Podlasiu bliscy śpiewają dzień i noc nad ciałem zmarłego, od chwili ubrania go po zgonie, aż do odprowadzenia zwłok do pierwszego krzyża na drodze, aby zły nie miał do nieboszczyka przystępu. Mazowszanie mieli wierzyć, że jeśli umrze ktoś, kto nie chodził do kościoła, to dusza jego musi odprawić po śmierci trzydniową pielgrzymkę po kościołach i dopiero wtedy rusza do czyśćca. W Tomaszowie w pierwszą noc dusza siedzi w kościele św. Barbary, drugą u św. Tekli, a trzecią u św. Katarzyny. Na Ukrainie nie wolno było nieść zmarłego przez wodę, bo przestałby padać deszcz i nastała susza. Dlatego w wielu miejscowościach przeciętych przez rzekę urządza się cmentarze na obu jej brzegach. Aby duchy zmarłych nie zagnieździły się w domu, do którego wprowadzała się młoda para, zostawiała ona na pierwszą noc, a czasem i dłużej, chleb i sól na progu. We wsi sandomierskiej po śmierci, ale zanim jeszcze przybywał ksiądz, najstarszy w społeczności wygłaszał nad zwłokami „przeprosiny pośmiertne", wymieniając z imienia każdego z członków rodziny, a potem z sąsiadów i prosząc ich o darowanie win. Mazurzy zaś obawiali się, że dusza, jeśli nie włoży się ciała do ciasnej trumny, będzie prześladować obecnych na pogrzebie.

Na wszystkich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej rozpowszechniony był obyczaj wkładania w splecione dłonie zmarłego gromnicy, żeby

oświetliła mu drogę w zaświaty.

Współczesna kultura próbuje zaprzeczać śmierci, wypychając ją poza nawias zainteresowania zwyczajnych ludzi, wpychając powtórnie w sferę tabu, albo po prostu nieadekwatności. Z jednej strony nie wypada w towarzystwie rozmawiać o śmierci. Z drugiej strony wciąż fascynuje nas ona na płaszczyźnie opowieści – w książce, serialu, w wiadomościach, o ile można ją ze sfery normalnego przeżywania przenieść w obszar sensacji – wybuchu magazynów w Bejrucie, tragedii na ścianie K2 czy jakiejś katastrofy lotniczej.

Nie zawsze tak było. W sarmackiej, barokowej obyczajowości Rzeczypospolitej pogrzeb szlachecki czy magnacki był kilkudniowym, parateatralnym widowiskiem, bardziej okazałym nawet niż ślub. W *ars moriendi*, czyli sztuce umierania, taki pogrzeb – *pompa funebris* – zajmował miejsce może nie najważniejsze dla odchodzącego, bo on przede wszystkim powinien był pogodzić się ze Stwórcą, przyjąć ostatnie namaszczenie i iść w zaświaty z nadzieją na to, że pobyt w czyśćcu nie będzie nadmiernie uciążliwy, ale dla tych, którzy pozostawali na naszym padole łez, był metafizyczną podróżą do nieba. W takim samym stopniu, w jakim dla człowieka średniowiecza cmentarz był świętą ziemią przyszłego świata zakotwiczoną w codzienności, jak barokowy kościół pełen złota i błękitu był odbiciem nieba, tak i pogrzeb sarmacki był szansą, żeby rzucić okiem na przepych zaświatów. Dekoracje w kościołach przewyższały to, co można było zobaczyć w teatrze lub operze. Najistotniejszym elementem były rozbudowane drzewa genealogiczne prezentujące wszelkie heraldyczne związki zmarłego, panoplia, jeśli był hetmanem lub rycerzem, skomplikowane, często niezrozumiałe dla gawiedzi symbole, w jakich kochała się kultura baroku, z umieszczonym w samym centrum dekoracji portretem trumiennym, który miał podkreślić rolę zmarłego w *theatrum mundi*. Do tego trzeba dorzucić oprawę słowno-muzyczną, przede wszystkim panegiryczną homilię i mowy żałobne chwalące

cnoty i zasługi zmarłego. Jeśli był rycerzem lub politykiem, to raczej zasługi, a jeśli białogłową, to oczywiście głównie cnoty.

Sam pogrzeb wyreżyserowany był niczym antyczny dramat, w kulminacyjnym momencie do kościoła przy wtórze werbli wjeżdżał konno archimimus – aktor ucharakteryzowany na zmarłego, najlepiej w zbroi towarzysza pancernego, kruszył kopię o katafalk, wyjmował z zanadrza pieczęcie herbowe, łamał je, a na końcu łamał jeszcze i rycerską szablę, po czym spadał z konia na znak, że życie skończone.

Widzowie, bo chyba tak należy nazwać zgromadzonych na uroczystościach żałobnych, mieli być więc świadkami nie pogrzebu, ale – w jakiś rytualny sposób – samej śmierci bohatera.

Po zakończeniu obrzędów, wciąż religijnych, bo z udziałem biskupa, który kierował całością, ale będących jednak bardziej, jak byśmy to powiedzieli dzisiaj, eventem artystycznym niż nabożeństwem, następowało wyprowadzenie zwłok. Kiedy na cmentarz rodowy wieziono ze Lwowa trumnę hetmana wielkiego koronnego Adama Sieniawskiego, to poprzedzało ją piętnaście chorągwi husarskich i kilka oddziałów artylerii. Wyjazd tego konduktu z miasta do Brzeżan trwał dziesięć godzin, a działa na murach miejskich nie przestawały grzmieć ani na chwilę. Poszło na tę imprezę więcej prochu niż w czasie niejednego oblężenia, ale Rzeczpospolita Obojga Narodów była wówczas najzamożniejszym bodaj państwem Starego Kontynentu, a kto bogatemu zabroni.

Równie okazały był kondukt wojewody krakowskiego Jerzego Lubomirskiego, ale oprócz wojska szli w nim mieszczanie, szły wszystkie miejskie cechy ze swoimi sztandarami, 400 zakonników, wszyscy rajcy i urzędnicy, wszystkie konie wojewody prowadzone przez koniuszych i prywatna, włoska orkiestra. Po wszystkim sypano groszem na ulice, żeby żebracy mogli otrzymać swoje pieniądze jako dar od zmarłego, a dla pospólstwa urządzono na rynku wielką ucztę.

Ale i to nie był najwspanialszy z pogrzebów, bo uroczystości żałobne kanclerzyny litewskiej Anny Radziwiłłowej trwały okrągły rok, a jej ciało

w przeszklonej trumnie wystawione było na hołdy publiczne przez, jak wspominają kronikarze, sześć miesięcy.

I nie kończyło się na tym, co można było usłyszeć, bo goście żałobni składali na ręce rodziny napisane przez nich panegiryki ku czci zmarłego. A po pogrzebie wynajęci pisarze, czasami poważni poeci, pisali jeszcze diariusze żałobne z opisaniem samego pogrzebu. Najlepiej, jeśli pisali je wierszem.

Nikt się w tamtych czasach śmierci nie wstydził.

Te okazałe pogrzeby miały rzymski rodowód, wbrew pozorom wcale nie chrześcijański, bo ta tradycja nakierowana była jednak na rytuały pozwalające zmarłemu osiągnąć szczęśliwość w przyszłym świecie, ale antyczny. Po odkryciu Pompejów i rozkwicie kultury renesansowej, przy niezwykłej popularności antycznych tradycji teatralne, tryumfalne marsze cesarzy tak przypadły Sarmatom do serca, że postanowili iść do nieba jak Trajan do Rzymu. Co ciekawe, archimimus i portret trumienny to wyjątkowe przejawy kultury żałobnej, nie znajdujemy ich w obyczajowości innych narodów. Można chyba powiedzieć, że to polski wkład do dziejów światowej sztuki.

Portrety trumienne znajdujemy w innych, pozaeuropejskich, kulturach, choćby w starożytnym Egipcie, ale te nasze stanowią w historii sztuki zjawisko całkiem odrębne. Malowane na blasze, w kształcie, jaki miała trumna, przybijane były w jej głowie, tak żeby umożliwić zmarłemu „obecność" na uroczystościach. Uzupełnieniem było epitafium przybijane w nogach trumny oraz tarcze herbowe po bokach. Pierwszym portretem trumiennym był ten, który w 1586 roku przybito do trumny króla Stefana Batorego. Skromny, o średnicy dziesięciu centymetrów, oddawał wizerunek bez upiększeń, co miało stać się zasadą malarstwa trumiennego. Ludzie mieli być do siebie jak najbardziej podobni.

W miarę rozwoju tej mody portrety stawały się coraz większe, by osiągnąć wkrótce siedemdziesiąt centymetrów średnicy, i… coraz gorszej jakości. Na początku sztukę tę uprawiali jedynie artyści

malarze, ale po kilkudziesięciu latach popyt był już tak poważny, że malował nieboszczyków każdy, kto potrafił trzymać pędzel i posiadł technikę zagruntowania blachy sokiem z cebuli. Inaczej farba nie chciała się trzymać.

Wartościowe kolekcje portretów trumiennych posiadają filie Muzeum Narodowego w Poznaniu i Warszawie. Największy zbiór ma Muzeum w Międzyrzeczu.

Oglądanie takich portretów to niezwykle ciekawe doświadczenie. W końcu spogląda się w oczy umarłym. Spośród wszystkich, które przetrwały do naszych czasów, najbardziej niezwykły jest, zdaje się, portret trumienny Józefata Szaniawskiego. Wisiał kiedyś w zamku w Sobkowie w ziemi kieleckiej i słynął z tego, że jest nawiedzony. Opowiadał mi o jego historii kasztelan sobkowskiej fortalicji Andrzej Borkowski, któremu portret, zawieszony w sali biesiadnej zamku, przysparzał czasami problemów. Każdy o niego pytał, to oczywiste, ale nie wszyscy patrzyli na portret z szacunkiem. Niektórzy wystawiali go na pokuszenie. Zaczęło się od imprezy integracyjnej dla dyrektorów banków. Jeden nie wierzył w duchy i głośno zakpił z Józefata w żywe oczy. Po kolacji wszyscy wstali, ale kpiarz nie mógł się ruszyć. Doznał porażenia nerwów, sparaliżowało go i trzeba było wezwać karetkę. Menadżer spędził w szpitalu trzy miesiące, a potem wrócił, zamknął się sam na sam z portretem i gadał z nim jak z człowiekiem.

– Już się ze spraw, których nie pojmuję, śmiać nie będę – powiedział kasztelanowi.

W Sobkowie odbywają się częstokroć klasyczne koncerty. Kiedyś przyjechała piękna gitarzystka. Zagrała. Dostała owacje, schowała instrument do futerału. W czasie przyjęcia jej ojciec rzucił serwetką w twarz Józefatowi.

– Widzicie! – zatryumfował. – Nic się nie wydarzyło.

Po kolacji dziewczyna sięga do futerału, żeby jeszcze raz zagrać. Podnosi wieko. A instrument w drzazgach, choć przecież futerał stał cały czas spokojnie na oczach ludzi i nikt się do niego nie zbliżał.

Andrzej musiał jej szukać noclegu w innym hotelu, i to nie bliżej niż w Kielcach.

Sprawa stała się głośna i przyjechała telewizja z panem, który podawał się za egzorcystę. Nawet się nie przywitał, tylko szparko ruszył do najstarszej części zamku, właśnie tam, gdzie wisiał portret.

– Kręcimy – szepnęła pani reporterka i kamera poszła w ruch.

– No... jest tu – mruknął zadowolony egzorcysta – ale nie chce się nam pokazać.

– To zapalę światło – zaoferował się Andrzej.

Nacisnął kontakt. Korki strzeliły w całym obiekcie.

– Masz to? – wyszeptała pani reporter.

– Mam – uspokoił ją operator.

Andrzej podszedł do tablicy i wcisnął korki. Żarówki ledwo się tliły. Jakby coś tłumiło ich moc.

Średniowieczna szlachta dbała o to, żeby ich ciała spoczywały w poświęconej ziemi, najlepiej jak najbliżej ołtarza. Nagrobek w prezbiterium kościoła św Marcina, Jawor

Reporterka dała za wygraną, ale operator ustawił cyfrówkę na statywie, wybrał długi czas. Zostawili aparat i poszli na kawę do zamkowej restauracji. Po kwadransie operator przybiegł, zgrał zdjęcia do laptopa. Obraz wyszedł wyraźnie, jak żyletką wycięty. Gruba złocona rama, mundur, peruka nawet, ale twarz Józefata kompletnie rozmazana. Jakby się wiercił na portrecie.

Następnego dnia Andrzej poszedł do proboszcza.

– Niech ksiądz weźmie portret do kaplicy, gdzie jest jego sarkofag – poprosił.

– A idź pan, kasztelanie – żachnął się ksiądz. – Przecież ja dobrze wiem, co się z tym portretem dzieje.

Ale od słowa do słowa ustalili, że portret powinien jednak być tam, gdzie należy. I następnego dnia zawisnął w kaplicy. Do zamku Andrzej zamówił wierną kopię, ale już nie na blasze, tylko zwyczajną, na płótnie.

Od tej pory duch Józefata nikomu się nie ukazał.

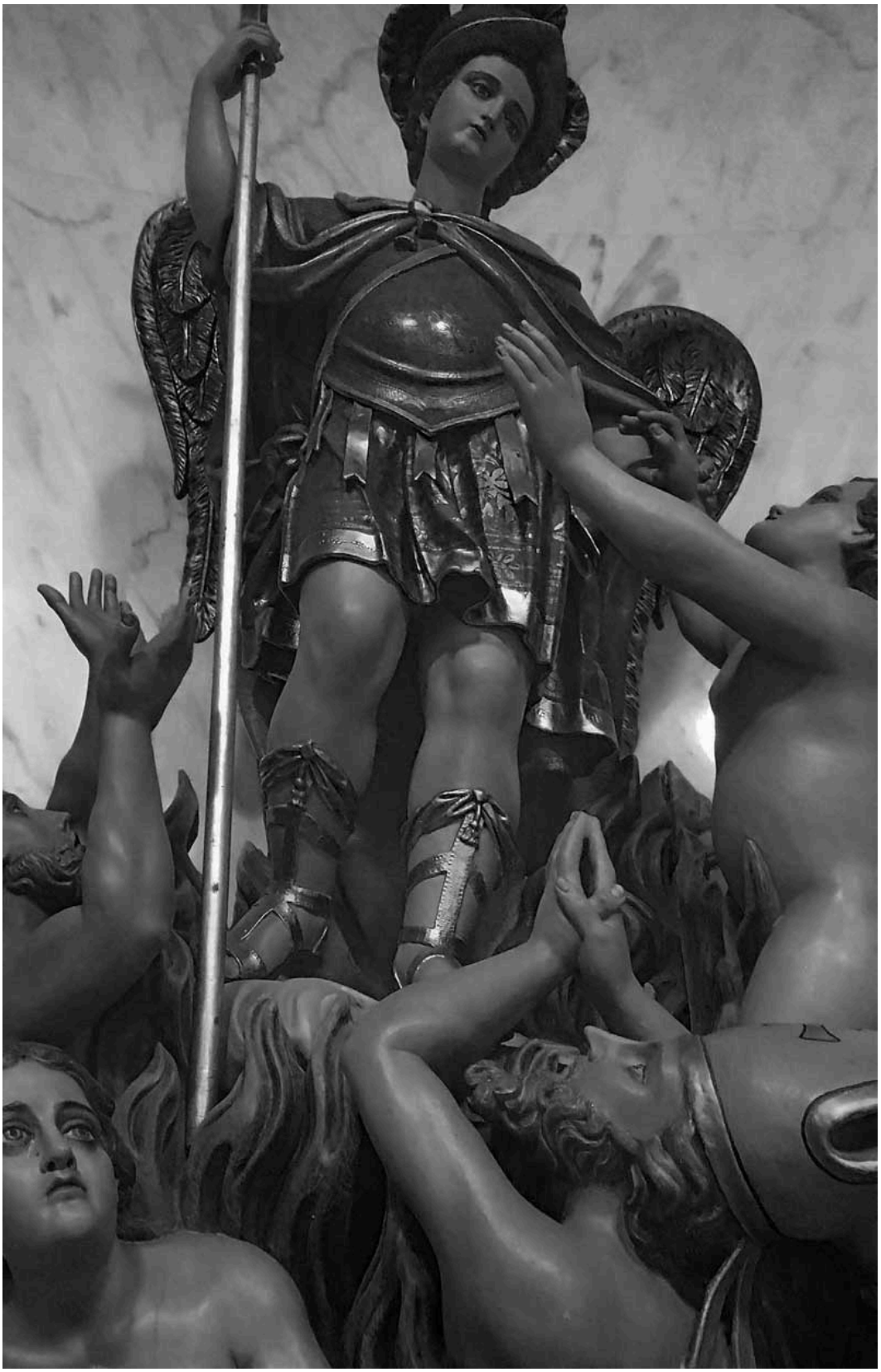

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

O dobrej śmierci

Przez długie stulecia panowało wywodzące się jeszcze ze średniowiecza przekonanie, że przyszłe życie, to wieczne, jest ważniejsze od ziemskiego. Religia i kultura w ogóle podkreślały konieczność myślenia o śmierci, ludzi otaczały wizerunki rzeźbionych w kamieniu i drewnie kościotrupów, a wykształcone elity wprawiały się w *ars moriendi* – sztuce umierania. Z tamtych czasów pochodzi przekonanie, że po sposobie, w jaki człowiek żegna się z życiem, można ocenić, czy był dobrym człowiekiem, czy złym. Dobrzy ludzie umierali lekko, najlepiej we śnie. Źli ludzie ginęli w mękach, od choroby, ognia, pioruna albo dlatego, że ktoś ich zabił strzałą, mieczem lub złym, wiedźmim urokiem. To romantyczne myślenie zderzało się w dziejach europejskiej kultury z racjonalnym, renesansowym *carpe diem*, które nacisk kładło na korzystanie z uciech życia, póki mamy do nich dostęp. Jednocześnie to racjonalne podejście rozprawiało się z zabobonami – zanikała wiara w moc modlitwy o dobrą śmierć, potem od XVIII wieku Kościół katolicki upowszechniał swoją naukę o czyśćcu i uwalniał grzeszników, którzy nie byli zbrodniarzami, od lęku przed piekłem, ale w zamian, pod wpływem Reformacji, odbierał ludziom przekonanie o magicznej mocy godziny śmierci *hora mortis* – Kościół odstępował od nauki, że o zbawieniu decyduje nawrócenie w godzinę śmierci, i głosił, że trzeba się o niebo starać w toku całego życia. Dyskusje między protestantami i katolikami o kształt zaświatów, odpusty, czyściec i sakramenty powodowały, że poziom lęku przed śmiercią malał, aby w XIX wieku doprowadzić do romantycznej wizji śmierci, która jest wybawieniem i niesie nadzieję tym, którzy kochali się za życia, ale nie

mogli się ze sobą połączyć, bo on był zwykłym nauczycielem, który ruszał na wojnę, a ona panną z bogatego domu. Wiek XX przyniósł z jednej strony przeróżne psychozy wywołane lękiem przed śmiercią, a z drugiej wypchnięcie jej poza kulturowy mainstream. Odebraliśmy śmierci jej, jak to mówi Tołstoj, uroczyste oblicze.

W XXI wieku wydaje się, że o sztuce dobrej śmierci całkiem już zapomnieliśmy, zajęci używaniem życia, odchudzaniem się, odmładzaniem, randkowaniem na Tinderze, ćwiczeniem na siłowniach, depilowaniem się i opalaniem w solariach. Nie ma czasu na myślenie, a co tu gadać o myśleniu o śmierci. Wypędziliśmy ją z domów i zamknęliśmy w szpitalach, a tam nie ma już rytuałów, modlitw, nawet czarów, bo i one byłyby lepsze od procedur medycznych zmierzających do tego, żeby orzec zgon.

Nie śmierć, ale zgon.

Następuje on po cichutku. Ot, maszyneria popiskuje, a na EKG zamiast gór i dolin pojawia się jednolita płaska linia.

Dobra śmierć to śmierć, która nie burzy spokoju innych pacjentów. Śmierć za kotarą. Zła śmierć to śmierć kogoś, kto płacze, woła księdza, bo mu się nagle przypomniało, że są takie sprawy, których nie można załatwić za żadne pieniądze, albo płacze, albo wymiotuje ze strachu.

Zła śmierć to śmierć, którą trzeba przewieźć do izolatki.

Dostojeństwo śmierci należy się jeszcze bohaterom i żołnierzom. A już najbardziej celebrytom. Kiedy w szpitalu umiera ktoś nam bliski, nie przypinamy już nawet czarnej wstążki do poły płaszcza, ale kiedy w dalekiej Ameryce umiera jakiś koszykarz albo piosenkarka, wklejamy im na Facebooku miliony zapłakanych emotikonów albo GIF-ów ze zniczami. Oraz, oczywiście, linki do ulubionych piosenek.

Czynimy tak, bo lęk przed śmiercią zamieniliśmy dziś na lęk przed nieobecnością w mediach społecznościowych, pośród tych wszystkich fajnych, radosnych, beztroskich ludzi sukcesu musimy przecież być najfajniejsi, najlepiej ubrani, najszczuplejsi, najbardziej wypoczęci na najlepszych wakacjach.

Brak sukcesu w internecie jest dla nas rodzajem śmierci społecznej – nastolatki potrafią targnąć się na realne życie z powodu wykluczenia ich przez grupę w cyfrowym świecie.

Nawet pochówek w ziemi zamieniliśmy na dyskretny, elegancki zabieg kremacji, a trumnę na urnę – gadżet, który można ustawić na kominku. W skrajnych przypadkach popioły po zmarłym można poddać obróbce wysokiej temperatury i ciśnienia i skrystalizować je do postaci kamienia, który oprawiony w pierścionku przypomina kryształ. Diament Pamięci z prochów przodka. Są i w Polsce przedsiębiorstwa, które trudnią się takim biznesem.

Czasem trudno zrozumieć niektóre sprawy. Tomasz Tomaszewski, najlepszy polski fotograf wszech czasów, członek amerykańskiej redakcji National Geographic, człowiek, który był wszędzie, fotografował głównego kapłana voodoo, ludzi polujących z małych łodzi na wieloryby, łowców głów, słynnych gangsterów, autor uznanych za kamienie milowe reportaży o ostatnich polskich Żydach i Cyganach na całym świecie (nauczył się języka romani, żeby go zaakceptowali i mógł wykonać takie zadanie), uczył mnie prostej prawdy, że najważniejsza opowieść, jaką mamy obowiązek zrealizować, nie może dotyczyć jakichś odległych, egzotycznych spraw, ale tych naszych, domowych, bo tylko my potrafimy zrozumieć całą ich głębię, złożoność, tylko my możemy podejść dostatecznie blisko.

Zaproponował mi wspólną pracę i było to nie na Antarktydzie, ale w Tatrach. Spędziliśmy tam dwa lata, żeby opowiedzieć o tym, co trwałe w góralskiej kulturze. I tam, w ponadstuletnim drewnianym domu Jana Modrzewskiego na Kurucowym Wierchu, nauczyliśmy się, co to jest dobra śmierć.

– Wiecie, jaka jest dobra śmierć? – zapytał kiedyś gospodarz.

Nie wiedzieliśmy.

– Taka, że zakładasz ubranie (tak się mówi o góralskim stroju), idziesz do kościoła, jesz obiad z rodziną, a potem mówisz, że już czas, wstajesz od stołu, idziesz do łóżka i umierasz – opowiedział.

– I zdarza się tak?

– Zdarza. Tak umarł na dniach mój przyjaciel Staszek. Ten dom, w którym jesteśmy, uszczelniał wełnionką.

Wtedy przypomniałem sobie, że go poznałem przed kilkoma laty, kiedy żyło dwóch jeszcze na całym Skalnym Podhalu majstrów, co potrafili drewniane chałupy uszczelniać warkoczami splecionymi z długich, specjalnie zheblowanych drewnianych wiórów.

Pamiętam, siedzieliśmy przy tym wielkim stole u Janka i gadaliśmy o tym, co warto robić w życiu, a czego nie warto. Powiedział, że warto z ludźmi u gazdy w sieni posiedzieć, pokurzyć fajke, pogodoć. A nie ino gnoć do przodu. Bo dokąd?

Górale cenią prostą i dobrą śmierć. I wierzą, że kto ma dobre życie, to i śmierć będzie miał jednako dobrą.

Francuski historyk Michel Vovelle w wydanej po polsku książce *Śmierć w cywilizacji Zachodu* odkrywa, czym była „dobra śmierć" w rozumieniu średniowiecznego Europejczyka: musiały jej towarzyszyć właściwie rytuały, nie pojawiała się zdradziecko, ale poprzedzana była znakami, które pozwalały człowiekowi odczytać, jak długo jeszcze będzie żył, i odpowiednio się przygotować. No i przychodziła do człowieka, kiedy był on we własnym łóżku, otoczony rodziną i przyjaciółmi.

Kilkanaście lat temu pojechałem do Ciśca porozmawiać o dobrej śmierci z Janem Talikiem, twórcą słynącego szeroko prywatnego muzeum Ocalenie. Nie chodziło o rozmowę o jakiejkolwiek, abstrakcyjnej śmierci, ale o śmierci jego ojca.

Kiedy Jan Talik przyszedł na świat, jego ojciec miał pięćdziesiąt lat. Matka – czterdzieści osiem. Cisiec był drewnianą, parterową wsią, tak niską, że „świnia przez okno dzień dobry mogła powiedzieć". Pośrodku chałupy była sień. Po lewej stronie mieszkali ludzie, a po prawej bydło.

Jan Talik senior zmarł osiem miesięcy po narodzinach syna. Nie ze starości i nie z choroby, bo mocny był. Góral z krwi i kości. Po ulewnym

deszczu spadł z legarów mostu, który budował. Wpadł do rzeki. No i się potłukł. Sakramencko.

– Do doktora my górole nie chuodzili. Ni mielimy drobnyk – opowiadał Talik pół żartem, pół serio. – No to jedno baba z drugom babom doradziły nasej mamie, coby zaparziła łowsa, zyta i kwacki, i coby przikłodała na to potłucone miyjsce, to nie bydzie bolej. Nale to była gupota. Bo to potłucone podesło krwiom, a kie zacynili parzyj jesce, to siy wdoła gangryna. Dzisiok by powiedziej, ze „ropiało". W tamtyk casak godali, ze „gniło". I trzeba się było tacie pakować... Ojciec zawołał bliskich i kazał se zrobić śmiertelnom pościel.

Synowie spojrzeli po sobie. A potem chwycili ciężki drewniany stół, co stał w rogu pod świętymi obrazami jak w każdym góralskim domu. Dźwigali go i myśleli, że razem już tutaj nie usiądą.

Ułożyli na podłodze łokocek, czyli wymłócony snopek siana. Rozścielili go po podłodze i przykryli płatem lnianego płótna własnej roboty. Nie żadnym kupnym prześcieradłem. I ułożyli zagłówek ze ślubnego pierza.

W tamtym świecie wszystko miało bowiem swoje miejsce niewzruszone. Narodziny to były narodziny, ślub to ślub, a umieranie to umieranie. I na wszystko góral był przygotowany. I musiał mieć swoje pierze. Cała wieś schodziła się na darcie pierza. Ludzi było wtedy w chałupie jak na weselu. Siedzieli pod ścianami, gadali, czasem i muzyka grała. A oni te grzbietki z piórek zrywali i rzucali na podłogę dwa dni albo i dłużej. Kiedy już wszystko wyskubali, zbierali grzbietki i robili z nich pierzyny i zagłówki – kłoncoki. Taki kłoncok każdy góral musiał mieć, jak przyjdzie śmierć.

Nie było wtedy składów z trumnami. Byli stolarze.

Szedł człowiek, stolarza wołał. Ten przychodził, klękał, modlitwę odmówił, z umierającym pogadał, jaka ta trumna ma być, miarę brał i wracał do siebie trumnę sposobić. Zanim wyheblował, pomalował i przyozdobił, mijały dwa dni. Przez ten czas wszyscy sąsiedzi i znajomi

z bliska i z daleka przychodzili, klękali na podłodze i żegnali się z umierającym.

A nad nim, nad jego śmiertelną pościelą zawsze jest wiosna, więc u powały wieszało mu się kwiaty i zielone gałęzie. Albo prawdziwe, albo z bibuły, jeśli umierać przyszło zimą.

Ojciec sam sobie trumnę zamówił, a kiedy była gotowa, wsparł się na ramieniu siostry i z łóżka pokuśtykał na miejsce umierania.

– Ułozył siy jak nojlepij i upytoł matke, coby mu doła to nojmłodse dziycie, cyli mie... Łośmiomiesiyncnego Jaśka. Jak mi godali: płakoł. Rzewnie płakoł, bo wiedzioł, ze łostawio dwanoście dziecek bez zodnego łoparcio. I mie do siebie przciskoł. I płakoł... Kieby kcioł wypłakaj swoji fsyćki nadziyje, fsyćki radości, ktore razym powinni przezywaj... Fsyćki wartości, ktoryk kcioł syna naucyj, pryndko, w jednyj tej kwili...

A potem zamknął oczy. Na zawsze.

A kiedy góral umiera, stolarz przywozi trumnę. Układa się w niej człowieka na podwyższeniu na ten ostatni czas. A śmiertelną pościel zabiera w całości. I płachtę, i kłoncok, i siano. I składa to na brzegu Soły. No i się to pali. Ludzie schodzą się ciekawi popatrzeć, jako ten dym idzie.

– Prosto, znacy siy dusycka posła do niebicka, cyli tez krziwo siy płomiyń i dym układo. Znacy się dusycka idziy do cyśćca i bydzie potrzebowaj wsparcio. Znaczy siy modlitwy.

A kiedy się już spali wszystko, zmiata się popiół na wodę. Woda zabiera wszystko, co człowiek złego i co dobrego uczynił w życiu. I niesie to hen. Do morza.

Dobra śmierć zawiera w sobie pewien scenariusz. I ona wie, co ma robić, i ksiądz, i ten, co umiera, bo wie, jakie sprawy po kolei trzeba wypełnić, i czyni tak, jak przez całe wieki wypełniali te obowiązki jego przodkowie.

We współczesnym świecie, który pozbawił nas religii, tożsamości i umieranie zamienił na „odchodzenie", każdy musi się zmierzyć ze śmiercią tak, jakby był pierwszym i jedynym na świecie człowiekiem, którego to spotyka. Najpierw próbuje się wadzić z Bogiem – przekupić go albo zaprzeczyć jego istnieniu, potem traci role społeczne, które go dotąd konstytuowały, utwierdzały w świecie, uzasadniały jego pozycję szefa, współpracownika, kogoś posiadającego odpowiedzialność za jakąś część świata, wreszcie przekonuje się, że rola ojca czy matki nie wystarcza do tego, żeby znalazł spokój, bo rodzinne więzi nie są już tak silne, żeby jego dzieci trwały u wezgłowia umierającego, zamożnego, wykształconego, z wielkiego miasta.

Krzyż nagrobny ponad Triorą zwaną przez Włochów miasteczkiem czarownic

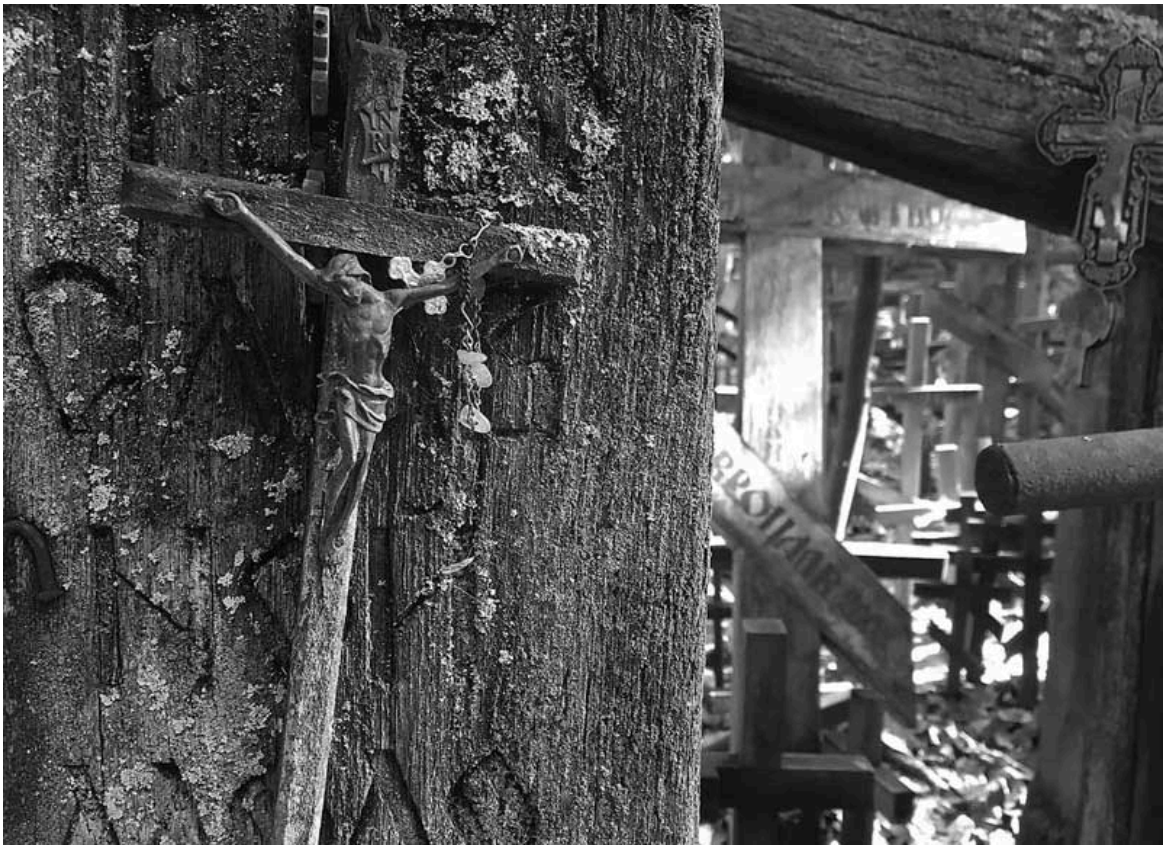

Góra Garbarka, święte miejsce prawosławia, krzyże zostawia się tu na pamiątkę modlitwy wysłuchanej albo tej, która jeszcze czeka na swoją kolej

Kiedy przekonuje się, że jest sam, popada w depresję, a wówczas współczesna medycyna przychodzi mu z pomocą i daje do łykania prochy, dzięki którym będzie mógł o umieraniu znowu zapomnieć.

Dobra śmierć nie dotyczy jedynie umierającego. Rytuał umierania i następujący po nim ceremoniał pogrzebowy pozwalał zmierzyć się z żałobą tym, którzy pozostali. Dziś zastępujemy rytuały terapią, która pozwala nam przejść przez fazy szoku i zaprzeczenia, gniewu, regresywnej dezorganizacji osobowości, wreszcie konstruktywnej przebudowy własnego stosunku do samego siebie i świata.

W taki sam sposób terapeuci przekonują ludzi po rozpadzie związków, że lepiej im będzie, jeśli samodzielnie i odpowiedzialnie, niezależnie od innych, zbudują swój nowy świat, w którym będą bezpieczni, a dzięki temu – szczęśliwi.

Zdaje się, że ludzie, dla których zakorzeniona we własnej tożsamości tradycja, no i wiara, nie są echami przeszłości, mają ze śmiercią jednak łatwiejsze spotkanie.

Górale nigdy nie udawali, że śmierć jest dla nich postacią z filmów dla dorosłych, kościotrupem halloweenowym albo jakąś figurą jarmarczną, która może spotkać każdego, ale przecież nie nas. Nikt tam siebie nie oszukuje, że jakby co, można by ją przecież pudrować za pomocą suplementów diety czy jakichś operacji. Albo nawet przekupić.

Być może pomagał im swoimi filozoficznymi, ale mówionymi gwarą kazaniami ich człowiek u Boga – ksiądz Józef Tischner. Mówił im tak: „w zasadzie, jak się tak głębiej podrąży, to śmierć okazuje się wymysłem diabła. Nie Pan Bóg stworzył śmierć, nie Pan Bóg ją wymyślił, lecz diabeł, by zepsuć dzieło stworzenia. Mówi o śmierci Księga Genesis, że przychodzi na świat jako kara za grzech pierworodny. Lecz kara nie jest zemstą. Jest zasadnicza różnica między zemstą a karą. Różnica jest taka, że gdzie zemsta, tam nie ma nadziei. A gdzie kara, tam jest jakaś nadzieja na uwolnienie od kary, nadzieja na wyzwolenie". A potem dodawał, że Chrystus, jak piszą Ewangelie, spotykał pogrzeb trzy razy. I za każdym razem reagował, bo miał słowa życia. I na koniec przytaczał opowieść opowiedzianą mu przez jednego z przyjaciół, który jako dzieciak czternastoletni trafił do partyzantki. Dowódca mówił im, że nie są tam, żeby przeżyć. Polska jest po to, żeby przeżyć, a oni mają być gotowi na to, że zginą. I ci chłopcy zostali w partyzantce, bo w tych słowach zawierała się najgłębsza prawda o losie człowieka. Zawsze, nawet w łóżku, umiera się za innych.

W góralskim świecie sprawy mają swoje miejsce w naturalnym porządku rzeczy, więc i Śmierć ma własne, odwieczne miejsce. W nogach łóżka. I choć nikt się nie prosi, żeby przyszła, to i nikt nie próbuje jej przeganiać. Śmierć zawsze była w górach obecna. Podobnie jak śnieg. Jak wiatr. I jak muzyka, bo, tak jak dusza człowiecza, muzyka jest nieśmiertelna. Przestajemy ją słyszeć, kiedy palce odrywają się od klawiszy albo kiedy smyk odrywa się od strun, ale przecież nie znika.

Kiedyś w Bukowinie rozmawialiśmy o śmierci z panem Sólką.

– Dlaczego jednych ludzi Pan Bóg bierze do siebie szybko, a innym każe żyć bez końca? – zapytał.

– Trudne pytanie.

– Dobryk biere pryndko, bo nie kce, coby się popsuli – powiedział – a złyk biere na końcu, trzymie ik na świycie, póki by siy nie nawrocili.

Jeśli się nie nawrócą, zawsze może im pomóc odpust. To pojęcie, nad którego sensem, jako dzieciak wychowany w katolickim kraju, nie zastanawiałem się zbytnio, dopóki w jakiejś podróży nie wdałem się w dyskusję z kimś, kto zapytał mnie o to, czym jest ten tajemniczy *indulgence*. Jako dziesięciolatek byłem pewien, że na całym świecie w pierwsze piątki miesiąca trzeba odbyć nabożeństwo, dostać od księdza podpis i zachować tę kartkę, żeby na tamtym świecie pokazać ją Świętemu Piotrowi, a on za to zwolni nas z odbywania kary.

Myślałem nawet, że im bardziej nudzę się na mszy, tym lepiej, bo dzięki temu grzechy mogą być odrobinę cięższe niż grzechy rozmodlonych koleżanek.

Tak. Niewiele wiedziałem wówczas o grzechu. I o odpuście też, choć uczyli nas w szkole, że z powodu odpustów rozpadła się wspólnota chrześcijan. Pan Luter sprzeciwił się sprzedaży odpustów za pieniądze lub papiery wartościowe i dlatego Niemcy zostali luteranami, a Wilhelm Tell musiał trafić w jabłko na głowie swego syna, bo w Europie wybuchły krwawe i wyniszczające religijne wojny między katolikami i protestantami.

Odpust to darowanie kary za grzechy, za które odkupił katolików Chrystus. Przebaczenie boskie nie obejmuje wedle katechizmu Kościoła katolickiego darowania kar. Dusza, żeby odbyć wyrok, musi przebywać w czyśćcu. Czyściec, jako miejsce, w którym dusza odbywa karę za grzechy aż do momentu, gdy stanie się święta, wprowadził do nauki Kościoła sobór florencki w 1438 roku po prawie 250 latach studiów i badań. Koncept narodził się z zapisów Księgi Machabejskiej, w której pojawia się idea odpuszczenia grzechów po śmierci. W Liście do

Koryntian jest zdanie o tym, że Bóg wypróbuje dusze zmarłych ogniem, no i przede wszystkim w przypowieści Chrystusa o zmarłym bogaczu, który prosi Abrahama, żeby posłał Łazarza do świata żywych, aby powiedział jego braciom o istnieniu tego miejsca cierpienia, a wtedy oni się nawrócą i pójdą od razu do nieba.

– Jeśli Mojżesza i proroków nie słuchają, to choćby ktoś z umarłych powstał – odpowiada Abraham – nie dadzą się przekonać.

I nie posyła Łazarza. Takich miejsc sugerujących istnienie czyśćca jest w Biblii więcej, ale słowo „czyściec" tam nie pada.

Jeśli w trakcie śmierci umierający był w stanie łaski (wyspowiadany i przyjął Eucharystię), jego dusza idzie do nieba. Jeśli był zbrodniarzem – do piekła. Ale jeśli grzechy nie były najcięższe – trafia do czyśćca i można go stamtąd wykupić za pomocą odpustu.

Na wyobrażenia czyśćca wielki wpływ wywarł opis Dantego, a także wizja Świętej Faustyny.

Prawosławni uważają doktrynę czyśćcową za herezję, bo Bóg nie mógłby być źródłem cierpienia, a Zmartwychwstały wyważył wrota piekieł i zabrał stamtąd sprawiedliwych. Wciąż ich stamtąd zabiera, dlatego prawosławni modlą się za swoich zmarłych.

Protestanci mieli z czyśćcem pewien kłopot, ale ostatecznie oni też zdecydowali się zaliczyć tę naukę do herezji. Uważają za rozstrzygające słowa Chrystusa z Ewangelii św. Mateusza: „Powie król tym po swojej prawicy: Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, odziedziczcie Królestwo, przygotowane dla was od założenia świata. I powie tym po lewicy: Idźcie precz ode mnie, przeklęci, w ogień wieczny, zgotowany diabłu i jego aniołom". Protestanci uważają, że istnieją jedynie niebo i piekło.

Trzecia droga jest tylko dla katolików.

Nauka o odpuście dojrzewała długo. Jakieś pięć, może sześć stuleci. Synod w Epaone w 517 roku zajął się skróceniem kar dla apostatów, którzy chcieli wrócić do Kościoła. Potem pojawiały się przypadki darowania pokuty w zamian za odprawienie pielgrzymki lub nadania ziemskie dla Kościoła. Papież Aleksander II w 1063 roku udzielił

odpustu wojownikom, którzy ruszyli odbić Ziemię Świętą z rąk muzułmanów. W 1095 podobnego odpustu udzielił krzyżowcom Urban II. W 1300 roku papież ogłosił, że odpust uzyskają wszyscy, którzy tego roku dotrą do Rzymu, i rozpoczęła się moda na pielgrzymowanie. A potem worek się rozwiązał i sprawa odpustów weszła do katolickiej obyczajowości na stałe, dając powody do rozłamów – najpierw doktrynę tę podważał Jan Hus, potem Marcin Luter. Watykan nie podzielił wątpliwości protestantów i papieże potwierdzili w bullach naukę o odpustach. Na mocy „władzy kluczy" (Zbawiciel dał Piotrowi klucze Królestwa Niebieskiego i obietnicę, że co zwiąże na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiąże na ziemi, będzie rozwiązane w niebie) papież określił warunki, na których można uzyskać odpust.

Można go uzyskać dla siebie, ale można też zapracować na uwolnienie od kary kogoś, kto zmarł nawet dawno temu.

Warunki nie są zbyt wygórowane – na przykład nawiedzenie cmentarza w dniu Wszystkich Świętych, spowiedź, Eucharystia i modlitwa za zmarłych. Najtrudniejszym warunkiem jest decyzja o tym, żeby zerwać z grzechem, co dla nałogowych graczy, wysoko funkcjonujących alkoholików, chłopaków ze skłonnością do zakochiwania się albo do ściągania z internetu filmów z nielegalnych źródeł może stanowić próg nie do przeskoczenia.

Wtedy trzeba będzie iść w ogień mąk czyśćcowych w nadziei, że miłosierdzie Boga jest większe niż jego poczucie sprawiedliwości.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Strefa tabu

Gdy umiera wojownik Namba, przyjaciele składają go na rok do ziemi. Potem wygrzebują z ziemi czaszkę i lepią mu z gliny nowe ciało – *rambaramp*. Malują je na czerwono i nakładają na glinianego penisa uplecioną z liści osłonę. Taką samą, jaką nosił za życia. Żeby znowu mógł żyć pośród swoich.

Jeden z tych golemów stoi za szybą w Muzeum Narodowym Vanuatu w Port Vila. Robię mu zdjęcie z pokorą, z jaką uczyniłbym to żywemu człowiekowi. *Rambaramp* jest w pewnym sensie żywy, nie tylko ludzie Namba tak uważają, lecz także kilka innych pacyficznych kultur. Wierzą, że dusza człowieka – nie wiem, czy to precyzyjne określenie, bo dusza jest pojęciem z mojego, judeochrześcijańskiego Zachodu – nie umiera. Potrzebuje nowego ciała i modlitwy. Big Man – jak tu się nazywa szamana – odprawia odpowiednie rytuały i dusza od tej pory zamieszka w swojej kukle.

Żeby *rambaramp* mógł pozostać w muzeum, Rada Starszych Vanuatu (nie jest to rząd, ale zgromadzenie wodzów plemion dbające o przestrzeganie tradycji i odpowiedzialne za odprawianie magicznych rytuałów) musiała zezwolić, aby Big Man odczynił uroki za przekroczenie tabu. *Rambaramp* jest znakiem nieśmiertelności. Wojownik jest z jednej strony żywy, bo dzięki temu, że ma nowe, choć inne, ciało, może kontaktować się z innymi członkami plemienia. Ale z drugiej – ma wstęp w zaświaty i może rozmawiać z duchami przodków. Jest nieśmiertelny.

Rambaramp jest przywilejem wodzów i wybitnych wojowników, nie każdy człowiek Namba będzie miał swoją kukłę. Nigdy żadnej nie otrzymała kobieta. Kukła wykonana jest z gliny, drewna, trzciny, traw, pomalowana tak, żeby każdy należący do plemienia człowiek od razu mógł poznać, z kim ma do czynienia. Stworzenie takiej figury to trudny rytuał przeistoczenia i zawsze wiąże się z bardzo silnym tabu.

Wojownik posiada świńskie kły. To dla ludzi z archipelagu Vanuatu najcenniejszy dar. Kiedy przybyła tu przed laty królowa angielska, dostała w prezencie dwa kły świeżo wyrwane ze świńskiej czaszki.

Kły można wymienić na to, co ważne. Na przykład żonę.

Tuż pod gablotą z wojownikiem Namba jedyny licencjonowany przewodnik w Port Vila, Eddie Hinge, unosi oburącz płytką, ale szeroką drewnianą szufladę pełną piasku drobnego jak cukier puder i żółtego niczym cytryna. Potrząsa nią, aż powierzchnia stanie się całkiem gładka. Układa ją na ziemi, pochyla grzbiet i kawałkiem patyczka zaczyna kreślić niezwykły wzór.

– Był kiedyś stary wielki człowiek, jeden z tych, o których pamięć trwa jeszcze długo po tym, jak ich ciała oddamy ziemi – opowiada Eddie głosem miękkim i jednostajnym, nie odrywając ręki od piaskowego rysunku – bo znaczenie pośród ludu posiada ten, czyje imię jest znane. Ten człowiek słynął z dobroci. A kiedy umierał, poprosił: „Spalcie moje ciało, a prochy zbierzcie starannie i posiejcie w ziemi. To, co wyrośnie, będzie nosić moje imię". I uczynili, jak im powiedział. A to, co wyrosło, nazwali *yam*.

Yam, czyli pochrzyn, to grube, wydłużone jadalne bulwy o smaku ziemniaków pastewnych. Są podstawą tutejszej kuchni.

Hinge prostuje plecy, aby obcokrajowcy mogli lepiej sfilmować skomplikowany wzór na piasku. Setki linii utkanych w opowieść o starym człowieku. Za każdym razem, kiedy Eddie opowiada tę historię, ten przedziwny, magiczny wzór, dzięki któremu pamięta wszystkie słowa, jest dokładnie taki sam.

Rysowanie na piasku to narodowa sztuka Vanuatu. Została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Ludzkości UNESCO.

Ludzie z Zachodu nie rozumieli, czym jest *rambaramp*. W czasach kolonialnej ekspansji Europejczyków rabowano te figury, aby mogły zamieszkać w muzeach i prywatnych kolekcjach bogatych ludzi. Do figury z muzeum w Port Vila wciąż ktoś przychodzi, by pogadać w jej języku. Inne, rozsiane po świecie, muszą być cholernie samotne.

Vanuatu to piękna kraina. Uboga, ale w rankingach szczęścia na świecie zawsze plasująca się wysoko, porośnięta lasem, jaśniejąca nocą wulkanami i opalizującą fluorescencją oceanu. Na całym archipelagu osiemdziesięciu trzech wysp są właściwie tylko dwa miasta. Pachnąca francuskim ciastem, winem i krewetkami stolica Port Vila, w malowniczej zatoce wyspy Éfaté, odciętej od oceanu luksusową wysepką Iririki, przed którą cumują jachty i wycieczkowe wodnopłaty. I oleiste, gorące Luganville na wyspie Espiritu Santo, gdzie po dziś dzień domy buduje się z wiotkich płatów blachy falistej, którą Amerykanie przywlekli w 1942 roku, by stworzyć jedną z największych baz lotniczych południowego Pacyfiku. W miastach, zbudowanych przed wiekiem przez francuskich i angielskich plantatorów, są telewizory, komputery, telefony satelitarne i kawa z prawdziwego włoskiego ekspresu. Na odległych wyspach cywilizacja ogranicza się do coca-coli w czerwonych puszkach. Czasami nawet z lodówki, jeśli można podłączyć ją do generatora. Dziś dominuje tu chrześcijaństwo, ale 10% ludności praktykuje religie przodków, a pamięć o własnych korzeniach jest dla mieszkańców tego zakątka niezwykle ważna. Alben Reuben, wódz Małych Namba, powiedział dziennikarzom „Daily Post", że w jego wioskach pogrzeb jest chrześcijański, ale łączy się go z pradawnymi rytuałami, bo kiedy trzeba okazać szacunek przodkom, religie nie stoją przecież w sprzeczności, a tylko kilku najstarszych Małych Namba pamięta, jak należy opłakiwać zmarłych, i nie wolno pozwolić, aby ich własna tradycja zaginęła.

Na wyspie Maéwo, wąskiej, długiej, znanej z najwyższego wodospadu w archipelagu, mieszka ponad 3,5 tys. ludzi. Kiedy któryś z nich umiera, palą go na stosie, a prochy wysypują w ziemi ogrodzonej bambusowym parkanem i obsadzają pnączami, które w kilkanaście dni oplatają konstrukcję zielonym uściskiem. W czasie ciałopalenia lamentuje się głośno i długo, a potem zaczyna się żałoba, która trwa 100 dni. W tym czasie nikt z najbliższych się nie myje, nie czesze ani nie obcina włosów. Kobiety raz w tygodniu gotują *laplap* z warzywnej pasty zawiniętej w liście bananowca, czasami zmieszanej z mięsem nietoperza, wtedy bliscy zbierają się na ucztę i picie kavy, halucynogennego napoju ze świeżych korzeni pieprzu metystynowego, który wolno pić tylko mężczyznom.

Po stu dniach żałoba kończy się całonocnymi tańcami. Nazywają tę noc *bungee* – pożegnaniem.

Bungee to najsłynniejsze słowo spośród wszystkich języków Vanuatu. Kiedyś wszyscy mówili jednym językiem, bo wszyscy pochodzą od ludu Lapita, nomadów południowego Pacyfiku, którzy zasiedlili Vanuatu kilka stuleci przed naszą erą, aby potem rozwijać się w izolacji i zapomnieć wspólnej mowy. W czasie II wojny światowej, kiedy stacjonowali tu Amerykanie, wymyślili krajowcom nowy język – bislama pozwala porozumiewać się mieszkańcom archipelagu we wspólnej mowie. W języku ludu Sa z wyspy Pentecost nie było słowa *bungee*, w ich mowie skok z platformy z lianą u nogi nazywa się *gol*. W bislama – *nanggol*, ale dziwnym trafem rytualne skoki, które też mają związek ze śmiercią, świat postanowił nazwać tak, jak wyspiarze z Maéwo nazywają ostatnie pożegnanie.

Nanggol to rytuał, który ma przywołać obfitość plonów. Legenda mówi, że przed wiekami pewien myśliwy chciał posiąść dziewczynę, ona zaś nie była mu przychylna i uciekała, a kiedy nie było już innej drogi, wspięła się na drzewo, mężczyzna za nią, więc przywiązała sobie lianę do stopy i skoczyła na ziemię. Liana zamortyzowała jej upadek. On też skoczył, ale umarł. Kobiety zaczęły wówczas skakać, aby oddać jej

hołd. To nie spodobało się mężczyznom, bo nie przystoi wojownikom zgoda na to, żeby kobiety robiły coś, czego sami nie potrafią, i czarownicy obłożyli skoki kobiet tabu. Stały się one rytuałem męskiej inicjacji i częścią modlitwy o dobre plony. Historię tę opisał w 1970 roku Kal Müller, który spędził wśród Sa siedem miesięcy i sam skoczył z lianą u nogi z platformy do *nanggol* zbudowanej w kształcie człowieka. Skacze się z platformy symbolizującej fallusa.

Jego artykuł w „National Geographic" dał początek jednemu z ulubionych sportów ekstremalnych końca XX wieku.

W archipelagu pamięć o ludzie Lapita była wciąż żywa, choć naukowcy opowieści te wkładali między bajki. Najpopularniejsza była opowieść o pogrzebie króla Roi Maty. Roi Mata był najpotężniejszym z wodzów wszystkich ludów archipelagu. Kiedy wzywał ich na spotkania, odkładali broń i zasiadali w kręgu, pijąc kavę i słuchając opowieści o tym, jak kiedyś wszyscy byli jednym ludem. Czasami Roi Mata był zmuszony do wojny, bo młodzi wodzowie uważali, że jego potęga jest tylko bajką.

Kiedy przybył na wyspę Éfaté na spotkanie klanów, jego brat otruł go, żeby przejąć władzę. Wedle innej wersji brat strzelił wodzowi w plecy zatrutą strzałką.

Kiedy francuscy naukowcy badający zwyczaje ludów Vanuatu usłyszeli te opowieści, brali je za legendy, ciekawe i barwne, bo przecież był tam motyw przejścia suchą stopą przez morze na małą wyspę, gdzie pochowano króla na płaskiej ziemi, z której wyrosły białe drzewa. I było to w czasach, kiedy ludzie jeszcze mówili jednym językiem, bo języki pomieszały się po śmierci Roi Maty. Nikomu wówczas nie przychodziło do głowy, że takie opowieści może przechować ludzka pamięć i gryzmolenie patykiem po piasku. Zastanawiające było tylko to, że na różnych wyspach, nawet bardzo od siebie odległych, pojawiała się ta sama opowieść. O tym, że duch króla był tak silny, że nikt inny już nigdy nie mógł dostać imienia Roi Mata. Że ludzie nowego władcy tak się bali jego zemsty, że pochowali go na osobnej wyspie, obłożonej

najsilniejszym tabu, którego nie może złamać ani żywy, ani umarły. I że dziesięć żon Roi Maty chciało iść razem z nim do Suchego Miejsca, do którego idzie się po śmierci. Tak samo jak wodzowie jego wojsk i ci, którzy go kochali.

Tyle szczegółów? A co, jeśli tkwi w tej opowieści ziarno prawdy? – pomyślał w 1967 roku francuski archeolog José Garanger. Brakowało mu jednego elementu – informacji, gdzie jest ta wyspa. Vanuatu to potężny archipelag. Pięć lat później usłyszał opowieść o wyspie żółwi. Pływają tam składać jaja i nikt nie może ich podbierać, bo wyspę chroni straszliwe tabu. Była to Érétoka, zwana od niezwykłego kształtu Wyspą Kapelusza. Popłynął tam, wspiął się na brzeg i sto metrów od plaży znalazł zagajnik białych drzew, do którego wstępu chroniły dwa kamienne obeliski postawione na sztorc. Odnalazł tam grób Roi Maty, a także groby czterdziestu sześciu innych osób, które pochowano wraz z władcą.

Badanie węglem wskazało, że zostali pochowani między 1270 a 1300 rokiem naszej ery. Przetrwali w opowieści pisanej na piasku 700 lat. Wszyscy w osobnych grobach. Mężczyźni i kobiety. Kilku mężczyzn miało spłaszczone czaszki, co praktykowało kilka ludów z północnych wysp. Wszyscy zostali pochowani żywcem. Mężczyznom było zapewne łatwiej, bo byli pod wpływem kavy, a to w dużych ilościach halucynogenny narkotyk. Ale kobietom nie wolno było pić kavy. W grobie Roi Mata leżał z kobietą, która go obejmowała. W muzeum narodowym w Port Vila jest dokumentacja znaleziska. Dwóch splecionych ze sobą szkieletów nie będę w stanie nigdy zapomnieć.

Cmentarzysko otoczone było wkopanymi w ziemię świńskimi kłami i drugim kręgiem – z bezcennych białych muszli.

Ale dziś krąg tabu jest rozwarty i na Wyspę Kapelusza pływają wycieczki, gdybyście kiedyś byli w pobliżu – naprawdę warto.

W wierzeniach z wyspy Tanna śmierć jest zjawiskiem życiodajnym, dającym początek istnieniu nie tylko ludzi, lecz także świata w ogóle. Opowiedział mi tę historię David Hosea, syn Davida Naukai, wódz ludu

Kraisur, właściciel ziemi, którą utworzył i wciąż powiększa jeden z najbardziej aktywnych wulkanów świata – Mount Yasur. David ma twarz Indianina, choć jest Melanezyjczykiem. Może to przez westernowy kapelusz, który zwykł nosić? Może przez spojrzenie czarnych oczu, w którym jest spokój i pewność siebie?

– To jest moja ziemia – mówi. – Ziemia moich ojców. Słucha mnie. I ludzie mnie słuchają. Kiedy przypłynęli misjonarze, nikt nie chciał ich słuchać, dopóki mój dziadek nie uznał, że mówią prawdę, że imię Stwórcy Tahara brzmi niemal jak Jahwe, a imię jego syna, Yasur, zupełnie jak Jezus...

Od tej pory lud Kraisur dawał się ochrzcić, choć wciąż wierzy, że duchy zmarłych wędrują do wnętrza wulkanu. Tam, gdzie kiedyś rozpoczęło się życie.

– Nasi ojcowie wierzyli, że Tanna jest środkiem wszechświata. Że powstała z wulkanu i zamieszkiwały ją wówczas wszystkie stworzenia. – David jest wodzem i szamanem, czyli kleberem. Potrafi przywołać deszcz i powstrzymać wiatr. I jest strażnikiem opowieści. – Wszyscy nie mogli mieszkać razem, więc bóg Tahara uczynił wulkan w środku świata, brał w ręce kawałki lawy i rzucał je po świecie i tak powstały wszystkie inne lądy. Wtedy nauczył ludzi budować łodzie. Na każdą zabrali ze sobą zwierzęta i każda popłynęła w inną stronę świata. Na Tannie pozostali tylko ludzie o ciemnej skórze, ptaki, jaszczurki i świnie. Budowali domy z patyków i kryli je trzcinowym dachem, który sam impregnował się od palonego w środku ognia. Czcili wulkan i duchy przodków. Wodzem był wtedy Matiktiki, który nauczył ludzi, jak uprawiać korzenie kava i taro, jak hodować świnie i jak ugotować *yam*.

Siedzimy pod słomianym dachem domu Davida. Deszcz szumi niczym wodospad, a strugi wody żłobią w brunatnym tufie małe kaniony.

– Wiesz, nikomu nie opowiadałem tej historii – uśmiecha się sędziwy wódz, który chwilę przedtem pytał, czym się różni islam od

chrześcijaństwa i kto właściwie wygrał wojnę w Wietnamie. – Opowieści naszego ludu nie są spisane na papierze, wódz musi znać je na pamięć, tak jak imiona i sprawy wszystkich swoich ludzi. Kiedyś Yasur, syn Matiktikiego, ojciec Kraisura wypił tak dużo kavy, że zmienił się w czarną świnię i pożarł cały *laplap*, który ugotowały jego żony. Gdy kobiety wróciły, nie poznały go. Chwyciły bambusową tyczkę do przechowywania wody i przebiły czarną świnię. W tym momencie rozwarła się ziemia. Yasur i jego żony wpadli do wnętrza ziemi. Wulkan wybuchnął. Dusza Yasura wróciła do środka ziemi. Od tamtej pory dusze naszych przodków mieszkają w wulkanie. Matiktiki każdej nocy woła swojego syna. Jeśli obudzisz się, możesz usłyszeć jak szepce: „Yasurze! Yasurze!"... Tak to się stało. Zostało po Yasurze czterech chłopców, cztery plemiona... Najstarszy, Kraisur, był moim prapradziadkiem. Dlatego to ja decyduję o tym, jak wykorzystać ziemię Yasura. Cała nasza kultura wywodzi się z tej opowieści. Nasz święty ptak, czyli czapla. Pióropusz toka, który wolno nosić tylko wodzom. Szukanie żon w lesie. Świętowanie połowów. Wspólne posiłki. Nawet zabijanie świni. W czasie ubiegłorocznej ceremonii Toka zabiliśmy ich dwieście...

Toka, święto płodności, odbywa się raz na kilka lat, mężczyźni odprawiają ceremonię picia kavy, wchodzą w trans, tańczą, a potem łączą się z kobietami. Wierzenia mieszkańców Tanny są dzisiaj konglomeratem chrześcijańsko-tradycyjnym. Pogrzeb ma więc chrześcijański ryt, ale zwłoki chowane są w ziemi uświęconej od wieków rytuałem kavy, a dusze, które idą w głąb wulkanu, idą tam nie na spalenie, ale na wieczną szczęśliwość, bo synowie wulkanu nie giną przecież w ogniu, lecz żyją w płomieniu wiecznym i niezniszczalnym.

Na Pacyfiku jest około 25 tys. wysp zamieszkałych przez ludzi bardzo różnych kultur. Vanuatu pozostaje w kręgu kultury melanezyjskiej, podobnie jak inne wyspy, które odwiedziliśmy w długiej podróży z Romanem Hamerskim – Fidżi czy Nowa Kaledonia.

Otoczona wspaniałą rafą koralową, położona na wschód od Australii Nowa Kaledonia to wyspa wojowniczych Kanaków, którzy nie raz i nie dwa dawali w skórę Francuzom, oraz Kaldoszy – potomków francuskich najeźdźców. Dziś współżyją pokojowo pod gwiaździstym sztandarem Unii Europejskiej, dzięki czemu podróż na południowy Pacyfik jest łatwiejsza, niż sądzicie. Mają tam francuskie banki, bagietki, croissanty, strajki i chrześcijaństwo.

Z pradawnych obyczajów potomków ludu Lapita pozostało niewiele i dzisiaj naukowcy próbują ocalić od zapomnienia takie zjawiska jak totemy na dachach okrągłych kanackich domów zwane po francusku *flèche faîtière*. Mieszkały w nich dusze przodków. Totemy miały trzy poziomy – na pierwszym stała ludzka figura z dużą twarzą o wypukłych oczach, na niej przypominająca nieco parasol muszla – na znak tego, że głos przodków jest dobrze słyszalny. Na muszli spiczaste ostrze zagradzające drogę złym duchom. Totemy potężnych wodzów były bardzo wysokie i ozdobne. Czasami na totemie wisi więcej muszli – oznaczają one, że wódz stoczył zwycięskie bitwy w obronie swoich ludzi.

Totem taki znajduje się na fladze Kanaków, pojawia się na mityngach środowisk dążących do uzyskania niepodległości Nowej Kaledonii.

Kiedy wódz umierał, totem z dachu jego domu rodzina zabierała z widoku publicznego. Można byłoby go używać dalej, ale byłby to wyraz braku szacunku dla zmarłego. Totemy najwybitniejszych wodzów stawiane są na ich grobach.

Na terenie Nowej Kaledonii archeologowie odkryli kilkadziesiąt grobów ludu Lapita; zmarłych pochowano najczęściej w pozycji embrionalnej, na boku bez wyposażenia lub ozdób, ale jeśli były wykonane z drewna czy trzciny, nie mogły przetrwać. Znaleziono pochówki, w których szkielet pozbawiony był głowy, ale nie da się na tej podstawie wysnuć żadnych jednoznacznych wniosków, bo nie można wykluczyć uszkodzenia z powodu erozji podłoża. Na wyspie Maré odkryto tajemniczy pochówek w jaskini, chroniony kamiennym

kopcem, pod którym ułożona była czaszka. U stóp szkieletu mężczyzny leżała inna czaszka – czteroletniego dziecka. Nie wiadomo, czy było złożone w ofierze.

Zdarzało się, że Kanakowie z wyspy Lifou i Grande Terre chowali mumie swoich zmarłych w trudno dostępnych klifach południowo-wschodniego wybrzeża. Naukowcy dotarli do nich dzięki legendom, według których ludziom pochowanym w tym rejonie rosną włosy, a ich skóra jest zawsze miękka. Badacze opisali kilkanaście takich stanowisk. Ciała ułożone w pozycji embrionalnej były ciasno spętane i wepchnięte do trzcinowych koszy. Ciała były mumifikowane w procesie suszenia nad ogniem lub suszone w słońcu. Nie noszą śladu usuwania mózgu jak w przypadku mumifikacji w innych kulturach. Zachowane są w dobrym stanie, choć kosze, w których je przyniesiono na wybrzeże i opuszczono do jaskiń, rozpadły się w pył.

Umieszczenie ciał w niedostępnych krasowych urwiskach bez użycia sprzętu wspinaczkowego musiało wymagać od pradawnych wspinaczy nie lada umiejętności i odwagi. Uważali widać, że warto podjąć wysiłek, dzięki któremu mumie będą każdego ranka witać wschód słońca nad oceanem.

Wschodnią granicę Melanezji stanowi wspaniały, pełen pysznej zieleni i pogodnych ludzi archipelag Fidżi. Nie zapomnę nigdy tych zielonych wzgórz, podróży kolejką do przewozu trzciny, tropikalnej ulewy, w której w czerwonym błocie dzieci tańczyły radosne jak latawce, olbrzymich żółwi w płytkiej wodzie i tego, jak popłynęliśmy strzelać pod wodą do ryb z łuku szprychami do rowerów. To były dziwne zielone ryby, z których, jeśli je wyssać, wydobywała się ciecz, która smakowała niczym słodka woda.

Melanezyjski archipelag Fidżi przez długi czas żył własnym życiem z dala od wszelkich ideologii i kultur, które właściwie nie zdawały sobie sprawy z jego istnienia, choć rzucali tu kotwicę Tasman, a potem Cook. Dopiero na początku XIX wieku Brytyjczycy odkryli Fidżi niejako na nowo. Rdzenną kulturę tępili w imię szerzenia nowoczesności, która

nakazywała im wytępić ze świata barbarzyńskich, krwawych kanibali. Londyńskie gazety pisały o wojowniczym watażce ratu Udre Udre, który zjadł ciała 872 ludzi i na pamiątkę każdego z nich ułożył ceremonialny kamień. Udre Udre figuruje nawet w księdze rekordów Guinnessa. O wojownikach z Fidżi pisano, że są nieokrzesanymi dzikusami zjadającymi ciała swoich wrogów celem okazania im najwyższej pogardy oraz oczywiście dlatego, że ludzkie mięso wydaje się im najsmaczniejsze.

W anglosaskiej literaturze Fidżi zyskało miano Wysp Kanibali.

Wyspiarze długi czas opierali się Anglikom, a potem także Amerykanom, wypowiedzieli wojnę chrześcijanom i nawet stworzyli własne zjednoczone królestwo, które jednak nie przetrwało długo, bo na skutek wojny secesyjnej ceny bawełny poszły w świecie w górę, tak że Anglicy postanowili założyć na Fidżi swoje plantacje.

Miejscowi woleli zginąć, niż na nich pracować, ale Anglia miała swoje sposoby. Przywieziono na Fidżi dziesiątki tysięcy niewolników schwytanych w Indiach. Kiedy zakończyła się epoka kolonializmu, okazało się, że Hindusów przetrwało więcej niż ludu Fidżi. Przysparza to do dzisiaj temu krajowi nie lada kłopotów.

Dziś jego mieszkańcy to w większości metodyści lub wierni innych chrześcijańskich wyznań. Ponad 30% wyznaje hinduizm. W siłę w całym regionie Pacyfiku rośnie powoli islam. Z antycznych obyczajów pozostało niewiele, ale to wciąż silnie zhierarchizowane, kastowe społeczeństwo, w którym aranżuje się małżeństwa i przekazuje majątek oraz władzę na zasadzie primogenitury.

Dziś, nawet jeśli zaprzyjaźnisz się z kimś z Fidżi, nie będzie chciał opowiadać o dawnych wierzeniach. O rugby, o wojnach, w których biorą udział w ramach ONZ – tak, ale nie o ludożercach.

– Ha, ha, ha, no tak, podobno na każdej kości, którą znajdą tu archeologowie, są ślady ludzkich zębów – obrócą to w żart.

Przewodnik do grobu Udre Udre opowie ci o tym, że był Hannibalem Lecterem XIX wieku.

Ale dlaczego wierzyli, że trzeba spożywać ludzkie ciało? Nie wiem. Może to jakiś rodzaj wstydu, może wciąż przestrzegają tabu?

Wielebny Thomas Williams, naukowiec, pisarz, który przybył na archipelag w połowie XIX wieku, obserwował rytuały żałobne trudniejsze do zaakceptowania dla chrześcijanina niż kanibalizm. Oto wyspiarze składali kobiety w ofierze w czasie pogrzebu jakiegoś wybitnego władcy. Nie tylko wdowa musiała odejść w zaświaty razem z mężem, lecz także jego kochanki – *watina lalai*. Zdarzało się, że jakaś *marama*, czyli szlachetnie urodzona dama, poświęcała się w ofierze dla wodza z własnej woli.

Kobiety nie mogły zadowolić ducha władcy. W ofierze składano jego giermka, służącego oraz – jeśli wciąż żyła – matkę. Wierzono, że matka może być potrzebna w zaświatach.

Kobiety były duszone, układane tak, żeby ich ciała wyścieliły grób, po czym na ich zwłokach układano zmarłego i tak oddawano jego ciało ziemi.

Misjonarze uczynili wszystko, co w ludzkiej, a może i boskiej, mocy, żeby ten obyczaj zastąpić bardziej cywilizowanym z ich punktu widzenia rytuałem odcinania palców i wkładania ich do grobu zmarłego, ale zrozumieć tego rytuału nie potrafili.

Tymczasem z przekazów wynika, że wódz był w kulturze ludów Fidżi świętym, otoczonym tabu już za życia. Ani wtedy, ani po jego śmierci nikomu nie wolno było dotykać jego zwłok. Mogli tego dokonać tylko czterej wybrani ludzie, których zadaniem było przeniesienie ciała do grobu.

Choroba w języku Fidżi to *tauvi mate*, a śmierć to *mate*. Językoznawca powiedziałby, że lepiej było w dawnych czasach nie chorować. Pogrzeb – *su mate* – oznaczał zgromadzenie bliskich, którzy żegnają zmarłego.

W okresie żałoby ważne były czwarty, dziesiąty i setny dzień po pogrzebie, bo wiązały się z nimi określone tabu. Dzisiaj, choć mieszkańcy są chrześcijanami, wciąż respektują w czasie żałoby te wyjątkowe dni. Nie wolno na przykład przez 100 dni jeść potrawy, jaką

zmarły spożył na swój ostatni posiłek. Ten obyczaj nazywa się *luva benu*. Inne tabu dotyczyło połowów ryb. Nie powinno ich być w morzu więcej niż w czasie, kiedy żył zmarły, bo jego duch miałby się czym żywić. Rybacy muszą dwoić się i troić, żeby połowy były w czasie żałoby wyższe niż w zwykłym okresie. Duch musiał jeść tylko to, co włożono mu do grobu.

Buota po przeniesieniu ciała zmarłego byli nieczyści, nie wolno było ich dotykać i nie mogli mieszkać w obrębie wsi. Nawet w morzu musieli kąpać się w innej części plaży niż pozostali ludzie. Tabu ich otaczające także trwało 100 dni.

Żałoba liczona jest od wieczora poprzedzającego pogrzeb – w wigilię odbywa się *gauna ni reguregu*, rytualne oddanie czci zmarłemu przez najbliższą rodzinę.

Pogrzeb rozpoczynają płacz, granie na muszlach i bicie w bębny. Ta tradycja przetrwała do dzisiaj, podobnie jak obdarowywanie rodziny zmarłego. Zaczyna się od podarowania *sevusevu*, czyli korzeni kavy, potem *reguregu*, czyli podarunku żałobnego (mata, tkanina na ubranie, kassawa, taro, mięso). Wszystko będzie przecież potrzebne, żeby ugościć przybyłych. Ostatni przybywają ci, którzy poniosą trumnę – *weka ni mate*. Otrzymują od rodziny zęby wielorybów na znak, że zostali wybrani do tego ceremoniału.

Ząb wieloryba jest w fidżyjskim obyczaju najcenniejszym darem z możliwych.

W czasie ceremonii obdarowywania niektórzy przynoszą mięso świń, a inni mięso ryb. Będą w czasie stypy siedzieli osobno, bo w fidżyjskiej tradycji ludzie morza nie dzielą przestrzeni z ludźmi ziemi.

Każdy z żałobnych dni wiąże się z innymi ceremoniałami, dzięki którym w zaświatach, czy też – jak wierzono, zanim przybyli misjonarze – na wyspie umarłych, zmarłemu będzie się żyło dobrze.

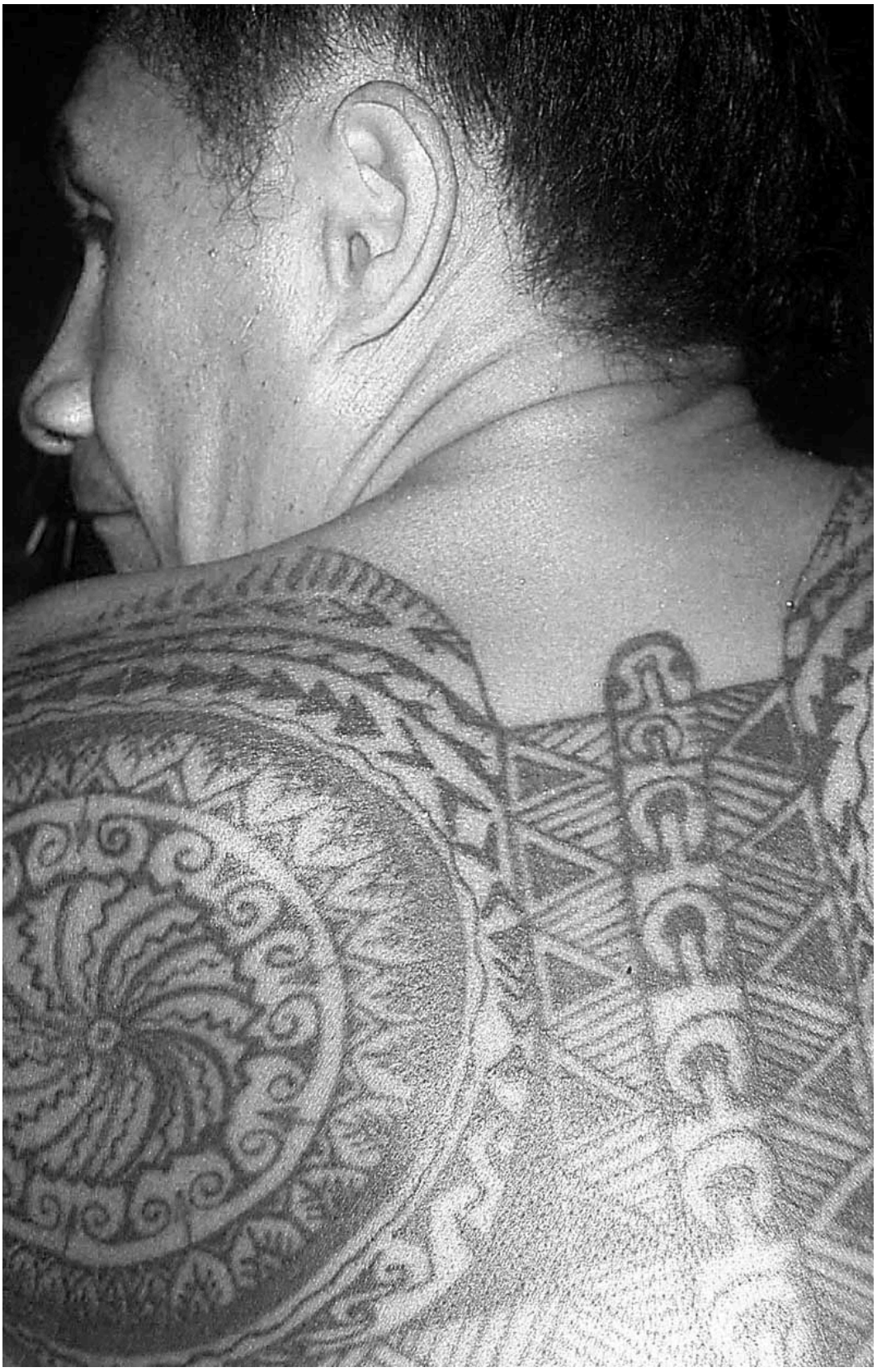

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tatuaż z duchem

Od wschodu Melanezja graniczy, jeśli w ogóle tak można powiedzieć, patrząc na bezkres oceanu, z Polinezją, czyli krainą zamieszkałą przez lud zupełnie inny – jasnoskóry, czarnowłosy, piękny. I w dodatku kochający tatuaże. Kobiety polinezyjskie wydały się żeglarzom najpiękniejsze na świecie. Kiedy po kilku tygodniach na Tahiti kapitan William Bligh nakazał załodze okrętu Bounty płynąć dalej, wytrzymali trzy tygodnie, a potem pod wodzą Fletchera Christiana podnieśli bunt, zostawili kapitana i jego kolegów na środku oceanu w żałośnie małej szalupie i pożeglowali po swoje kobiety, żeby wraz z nimi ukryć się gdzieś na Pacyfiku. Znaleźli bezludną wyspę Pitcairn, wylądowali na plaży, spalili okręt i tam ich, po czasie, dopadła brytyjska, a może boska sprawiedliwość, bo zanim ekspedycja karna zdołała po wielu latach odnaleźć zbiegów, pozabijali się sami i został tylko jeden – John Adams. Prócz niego dziewięć kobiet i dzieci, które urodziły się po żeglarzach Bounty. Adams zdążył już nauczyć wyspiarzy Ewangelii z książki, którą zabrał z pokładu, i ochrzcił ich w rycie adwentystów. Wielka Brytania udzieliła mu amnestii. Dziś stolica Pitcairn nazywa się Adamstown, większość mieszkańców to potomkowie dziewczyn z Tahiti i buntowników z Bounty, a i sam spalony wrak, jak się okazuje, ocalał. W 1957 roku odnalazł go pisarz i fotograf Luis Marden.

Nie dotarłem nigdy na Pitcairn. Ale widziałem, jak na czarnej tahitańskiej plaży przy pełni księżyca i w blasku ognisk tańczą

najpiękniejsze kobiety świata i kiedy na nie patrzyłem, zdawało mi się, że rozumiem żeglarzy Christiana.

Oczywiście nie były to dziewczyny z miejscowej szkoły, tylko trzymające dietę zawodowe tancerki z grupy folklorystycznej dającej pokazy dla turystów.

Przeciętne dziewczyny z Tahiti, Mo'orea czy Bora Bora nie są już takie ładne. Lubią chipsy i fast foody, a to zupełnie, zupełnie im nie służy.

Ale nie o miłości miała być ta opowieść, tylko o śmierci.

Naukowcy uważają, że Polinezyjczycy pochodzą od żeglarzy, którzy wyruszyli na ocean 3,5 tys. lat temu z Tajwanu. Choć mieszkają dziś na olbrzymim obszarze od Wyspy Wielkanocnej, przez Polinezję, aż do Nowej Zelandii i Hawajów, zachowali podobieństwa językowe i przedchrześcijańskie wierzenia. Wiemy o nich więcej niż o religii ludów z Fidżi.

Najczęściej określa się je mianem manaizmu, od słowa *mana*, czyli ponadnaturalna siła przenikająca i łącząca całe istnienie, żywe i nieożywione. Może być ona dobra lub zła. Może obdarować człowieka siłą, ale może go też opętać i przynieść szkodę. Po raz pierwszy słowo pojawiło się na uniwersyteckich salonach w rozumieniu niepohamowanej siły, która sprawia, że kamień czy drzewo przybiera nienaturalny i niesamowity kształt. *Mana* nie przemawia, nie przejawia się w sposób bezpośredni, lecz aby mogła się ujawnić, potrzebuje przeniknąć człowieka lub zwierzę. *Mana* daje siłę, zdrowie, charyzmę, mądrość, zdolność posiadania wiedzy. *Mana* można posiąść, ale też, jeśli nie szanuje się zasad i nie przestrzega reguł, można ją utracić albo być jej podstępnie pozbawionym.

Aby uniknąć takiej sytuacji, trzeba było przestrzegać wielu tabu. Zwłaszcza cenny był ten, kto posiadał zdolność jasnowidzenia albo uzdrawiania, albo na przykład doznawał objawień i mógł rozmawiać z duchami przodków lub bogami – wódz czy kapłan. O nienaruszalność jego *mana* musiała dbać i troszczyć się cała społeczność. Gdyby na

przykład ktoś postawił swoją stopę na ziemi, na którą padał akurat cień wodza lub kapłana – musiał w niektórych społecznościach umrzeć, bo dopuścił się złamania ważnego tabu.

Dzisiaj, mimo że mieszkańcy Bora Bora czy Huahine są chrześcijanami albo niewierzącymi w nic obywatelami Unii Europejskiej, nie przestępują przez czyjeś nogi, nie dotykają czubka głowy innej osoby, a już na pewno nie staną w taki sposób, żeby ich cień był dłuższy niż cień kogoś, kto przewyższa ich rangą w społeczeństwie.

Kobiety mają wielką *mana*, dzięki czemu mogą dawać życie. *Mana* ciężarnej kobiety jest tak silna, że nie wolno jej było pływać łodzią, bo *mana* łodzi nie byłaby w stanie udźwignąć *mana* kobiety.

Mana mężczyzny nie jest aż tak silna i trzeba ją wzmacniać poprzez rytuały obejmujące także pożycie seksualne. Wojownik, którego *mana* jest silna, przeżyje w boju starcie, nawet jeśli wrogów będzie więcej.

Kiedy człowiek umiera, *mana*, która go wypełniała, nie znika. I nawet dzisiaj, kiedy na wielu polinezyjskich wyspach życie toczy się w nowoczesnym, zachodnim rytmie, wiara w to nieznikanie jest wciąż bardzo silna. *Mana* zmarłego, czy też może jego dusza, odwiedza bliskich. A kiedy jakaś para ludzi była ze sobą związana całe życie, więź po śmierci jednego z nich nie wygasa i to, które żyje, rozmawia z tym, które umarło, jakby nic się nie zmieniło. Popularny przesąd głosi, że kiedy zginie lub umrze jedno z kochanków, drugie może być przeciągnięte jego śladem na tamten świat, bo oboje są ze sobą silnie związani.

Aby osłabić więź, trzeba pozbyć się rzeczy należących do zmarłego, takich jak ubrania, książki, płyty, biżuteria, telefon, klucze. One też przecież są nasycone *mana*. Najlepiej je spalić. Na niektórych wyspach, nawet na Nowej Zelandii, odprawia się rytuał deptania domu czy mieszkania wraz z odmawianiem formuły, wedle której teraz ta przestrzeń nie należy już do zmarłego. Trzeba też pozamykać jego sprawy zawodowe, oddać długi, ściągnąć wierzytelności, odpowiedzieć

na maile, zlikwidować energię, którą pozostawił w wirtualnej chmurze. Życie z duchami wcale nie jest łatwiejsze w czasach internetu.

Ale trzeba widzieć pozytywy, a *mana* rozciągająca się ponad granicą życia i śmierci zapewnia przecież opiekę bliskich zmarłych wobec tych, których pozostawili. Radę, wsparcie, obecność, punkt odniesienia. W niektórych wspólnotach ma to znaczenie jedynie symboliczne, ale w innych, na przykład w tradycji hawajskiej, także totemiczne – istniały rytuały, aby zmarłego przetransferować w zwierzę, które rodzina uznaje za swojego opiekuna.

W hawajskiej tradycji ciało zmarłego obmywa się wodą oceanu, bo ona jest wodą przebaczenia, na pamiątkę tego, że bóg Kāne otoczył ziemię oceanem, który posolił, żeby zapewnić mu świeżość i czystość. Rytuał oczyszczenia w oceanicznej wodzie Hawajczyk przechodzi nie tylko po śmierci. Podobnemu obrzędowi poddają się kobiety po urodzeniu dziecka. Jeśli mieszkają zbyt daleko, żeby zanurzyć się w morzu, używają słonej wody. W czasie obmywania powtarzane są słowa *Ka wui kapu a Kāne*, które mają odpędzić złe duchy i złe myśli. Zmarłemu umieszcza się w pępku odrobinę soli, żeby chronić go przed złem. Ciało okłada się liśćmi kordyliny. Wkłada się je też do ust i nosa zmarłego. To pamiątka po czasach przedchrześcijańskich, kiedy to nagie ciało okładano liśćmi, zawijano w spódniczkę *malo* i tkaninę *pulu*, a potem składano na stosie ciałopalnym. Ciało układano na drewnianym podeście i nakrywano liśćmi bananowca. W dawnych czasach leżało tak kilka dni, a rodzina co pewien czas przykładała do piersi dłoń lub ucho, żeby upewnić się co do śmierci. Antropologowie piszą, że stosowano też inne sposoby, by przekonać się o śmierci – nakłuwanie języka, wybicie zęba. Aby powstrzymać ducha przed powrotem do żywych, golono połowę włosów zmarłego albo wykonywano mu tatuaż, żeby duch nie mógł rozpoznać ciała.

Ciało wynoszono z domu do spalenia w czółnie, czasami trzeba było odciąć dziób, żeby zwłoki mogły być rozciągnięte na całą długość, lub

też w sieci, w którą zawijano je wraz z rzeczami osobistymi. Te również musiały ulec spopieleniu.

Na niektórych wyspach zalepiano oczy i uszy zmarłego mułem, żeby nie wiedział, co się będzie działo z ciałem, a po wyniesieniu trumny czy płóciennego zawoju ze zwłokami okrążano kilka razy dom, żeby zmarły stracił orientację.

Jeśli zwłoki okazywały się zbyt ciężkie, żeby mogło je nieść sześciu mężczyzn, oznaczało to, że zmarły chce, aby niósł go ktoś inny, wtedy miejsce niosącego zajmował inny członek rodziny, aż do momentu, kiedy ciało stawało się lekkie.

Kondukt żałobny skrapiany był słoną wodą w celu oczyszczenia. Zdarzało się, że szedł po liściach kordyliny, która odpędza złe duchy.

W czasie pogrzebów wodzów po dwunastu godzinach od zapalenia stosu rozgrzebywano go, aby wydobyć kości, które składane były przez kapłanów w jaskini otoczonej sekretnym tabu. Reszta popiołów zebrana do naczynia z tykwy była zakopywana w ziemi.

Należało bardzo starannie wybrać jaskinię. Tabu nie wystarczało, więc była to zazwyczaj pieczara dostępna jedynie od góry, do której na linie opuszczano tragarza kości. Kiedy zdeponował swój ładunek, skrapiał własną krwią wejście do niej, aby zagrodzić wejście złym duchom, a potem przywiązywał się do liny i zaczynał wspinać. Kiedy był blisko krawędzi klifu, inni kapłani przecinali linę, a wtedy niosący kości spadał do oceanu albo na kamienie poniżej i zabierał ze sobą sekret ukrycia zwłok wodza czy kapłana.

Ten rytuał był zdaniem amerykańskich etnolożek Laury C. Green i Marthy Warren Beckwith, badających obyczaje Hawajczyków, podyktowany przeświadczeniem, że kości wodza mogą kogoś uczynić wodzem. Uważano bowiem, że kości tego, kto był dobrym rybakiem, przynoszą szczęście, jeśli wyrzeźbić z nich hak na ryby. Wódz nie chciał, żeby ktoś używał jego kości do zdobycia władzy.

Zdarzało się, że jaskinia miała swojego strażnika – *kahu* – dbającego o odprawienie rytuałów strzegących kości wodza. *Kahu* mógł przekazać

swoją misję komuś z rodziny lub, jeśli uznał, że nikt nie jest jej godzien, zabrać swój sekret do własnego grobu.

Polinezyjczycy dbali tradycyjnie, aby przed rozpaleniem stosu minął przynajmniej jeden wieczór, ponieważ duch umarłego powinien odejść wraz z zachodzącym słońcem, które pokaże mu drogę do Hawaiki (’Avaiki, Savai’i) – krainy przodków, skąd pochodzą wszystkie dusze i do której powracają – albo do podziemnego Lua-o-Milu, krainy umarłych rządzonej przez boga Milu.

Ze względu na bogactwo polinezyjskiej mitologii Hawaiki bywa wyspą na zachodnim oceanie, czasami jest to wyspa podziemna, na której życie nie jest tak wspaniałe jak w naszym świecie, wedle innych legend w Hawaiki panuje bóg Tangaroa i przebywanie z nim w pełni wynagradza wszelkie inne niedostatki. Istnieje też opowieść o tym, że dusze w Hawaiki muszą przejść do końca rytuał oczyszczenia kości, zajmuje się tym bóg ’Oro, zeskrobując resztki mięsa ostrą muszlą i zjadając je, co sprawia, że dusza może wreszcie odnaleźć spokój.

Odnaleźć spokój to bardzo trudne zadanie.

W mitologii mieszkańców Wysp Cooka jest jeszcze jedna kraina umarłych – Pō, zarządzana przez krwiożerczą boginię Miru. Karmi ona dusze skolopendrami, każe im wdychać opary wulkanicznej siarki, gotuje je we wrzątku i pożera, a one nie mogą umrzeć, bo są przecież duchami. Muszą cierpieć za wszystko złe, co uczynili za życia, żeby dopiero wówczas zasłużyć na spokój. Miru jest podstępna. Niektóre duchy posyła na ziemię w postaci kusicieli, żeby zwodziły ludzi albo sprowadzały na nich choroby. Kusi tych, których potem będzie torturować.

Zdecydowanie lepiej, jeśli dusza zamiast do Pō odnajdzie drogę do Hawaiki.

W niektórych polinezyjskich kulturach mężczyźni tatuowali sobie na skórze mapę, dzięki której duch mógł trafić do krainy umarłych, odwiedziwszy najpierw opisaną spiralnie drogę poprzez krainę ludzi do pępka świata, gdzie zaczynała się droga do Hawaiki.

Tatuaże zawierają kilka elementów związanych z symboliką śmierci. Fale oceanu oznaczają miejsce, z którego pochodzą Polinezyjczycy, i miejsce ostateczne – to, ku któremu zmierzają. Czasami falom towarzyszy żółw, który jest przewodnikiem dusz w ostatniej drodze. Tiki, cała postać lub twarz, to symbol przodków, którzy umarli, ale nie odeszli, bo wciąż, dzięki *mana*, można liczyć na ich pomoc i wsparcie. Oczy Tikiego oraz jego język to symbol opieki przodków, pozwalają widzieć duchowe elementy, których żyjący nie mógłby samodzielnie zobaczyć.

Nie wszystkie duchy potrafią odnaleźć drogę. Wszystko przez klątwę boga Kanaloa, który skazał duszę na to, żeby stała się *lapu*, wędrownym duchem, pożeraczem ciem, o ciele z mgły i oddechu z zachodniego wiatru. *Lapu* nie umieją odnaleźć spokoju i stają się złymi duchami. Hawajczycy zamykają nocami okna, żeby nie mieć z nimi do czynienia.

Lapu pojawia się wtedy, kiedy rytuał pogrzebowy nie został odprawiony we właściwy sposób albo kiedy ktoś naruszy spokój kości, albo, co wcale nie jest rzadkie, ktoś próbuje nieumiejętnie nawiązać kontakt ze zmarłym i naruszy równowagę *mana*. Wtedy duch nie może powrócić do swojej krainy i zostaje uwięziony pomiędzy światami.

Sferę śmierci otacza wiele różnych tabu. Dzieciom nie wolno kopać dołków przed wejściem do domu, bo to sprowadza śmierć. Nie wolno im całować obcych, bo to przynosi chorobę. Nie wolno odcinać nikomu potajemnie pukla włosów, bo to sprowadzi na niego śmierć. Nie wolno palcem wskazywać tęczy ani gwiazd, ani Drogi Mlecznej, bo to zakłóca spokój mieszkających tam bogów i duchów. Nie wolno pomylić słów religijnych pieśni. Nie wolno, nawet przypadkiem, nadepnąć na jajo jaszczurki, trzeba zabić pająka spadającego z sufitu, bo jeśli nie, zabierze on ze sobą do świata umarłych któregoś z domowników. Nie wolno oczywiście łamać tabu związanego z własnością przedmiotów należących do ważniejszych w hierarchii społecznej – na przykład ceremonialnego wachlarza *kāhili*. Nie wolno dotykać zwłok ani krwi menstruacyjnej. Żeby uniknąć śmierci, trzeba przejść rytuał

oczyszczenia. Najważniejsze, że w świecie polinezyjskich wierzeń duchy, choć wiążą się z nimi różne tabu, nie są niczym nienaturalnym. W rzeczywistości nasyconej *mana* nie trzeba się niczego bać, bo wszystko jest naturalne, a więc nie jest ani wrogie, ani złe. Po prostu jest. Duchy istnieją, współżyją z nami i jeśli zachowujemy rytuały, będą nam raczej sprzyjać. No, chyba że jesteśmy na Wyspach Cooka i spotkamy ducha kusiciela. Spotkaliśmy kiedyś w naszej podróży miss Wysp Cooka i muszę powiedzieć, że nie była w moim typie, nosiła kapelusz jak angielska królowa, uginała się pod ciężarem biżuterii i była wyższa od pana premiera Samoa, który zgotował jej huczne powitanie w centrum miasta. To było bardzo miłe przyjęcie. Piliśmy nawet szampana, choć nie byliśmy zaproszeni, nikt nie potrafił nam chyba powiedzieć, że trzeba mieć zaproszenia. Samoańska *fa'a Sāmoa* – czyli droga Samoa (rozumiana jako styl życia) wymaga, aby w czasie pogrzebu wymieniać kosztowne podarunki. Przybywający na ceremonię przynoszą pieniądze i kosztowne maty, a rodzina zmarłego, aby się odwdzięczyć, musi przygotować równie cenny dar. W przypadku okazałych ceremonii ta praktyka potrafi poważnie nadwyrężyć rodzinny budżet.

Maty są niezwykle cenne. Te najcenniejsze mają własne imiona, zupełnie jak miecze w średniowiecznej Europie.

Kolejność, w jakiej przybyli wymieniają dary z członkami rodziny, jest ściśle określona i nigdy nie wolno jej złamać.

Współczesna maska ceremonialna z motywem oceanu, Mo'orea, Polinezja Francuska

Grób dziewicy, jedyny oszczędzony przez lawę, dziś miejsce otoczone mistycyzmem, Sale'aula, Samoa

Samoańczycy są dzisiaj w przeważającej większości chrześcijanami różnych denominacji i nowoczesne betonowe bryły kościołów protestanckich i katolickich dominują w krajobrazie maleńkich wsi, ale w obyczajach żałobnych przetrwało kilka tradycji z czasów przedchrześcijańskich. Zanim odbędzie się pogrzeb, wieść o śmierci niesie w świat *tūlafale*, opowiadacz, w czasach, zanim wraz z misjonarzami przybyło pismo, fundamentalna postać dla kultury *fa'a Sāmoa*. To człowiek, nie całkiem wódz i nie do końca szaman, który przechowywał pamięć o przodkach i historii całego ludu. Musiał też zapamiętać i opowiedzieć życie zmarłego. Nieopowiedziane życie nie było ważne. Dziś także, zanim kapłan czy diakon odprawi nabożeństwo, *tūlafale* idzie do członków rodziny z opowieścią o śmierci. Przewodniczy on też uroczystej uczcie *saofa'i*, w czasie której bliscy gotują posiłek tradycyjnie w ziemi na rozgrzanych w ogniu kamieniach i spożywają

go, snując opowieści o zmarłym i, co nie mniej ważne, podejmując decyzje o tym, co począć z jego majątkiem.

Tradycyjny samoański pogrzeb kończył się spopieleniem zwłok, inaczej duch zmarłego nawiedzałby rodzinę.

Dzisiaj kremacja nie jest obowiązkowa, wielu Samoańczyków chowanych jest w trumnach.

Droga do świątyni wyłożona jest świeżymi liśćmi palmy kokosowej.

W czasie nabożeństwa śpiewa się żałobną *moomooga*, a trumna jest otwarta, żeby każdy mógł zobaczyć ciało. Jest ubrane w żałobny strój.

Samoańczycy uważają, że przodkowie powinni leżeć w ziemi, którą znają, nie zawsze więc chowają swoich zmarłych na cmentarzu. Zdarza się często, że czynią to na podwórkach własnych domów. Kiedyś wysypywali w tym miejscu popioły, dzisiaj przed wejściem do domu widzimy krzyże i ławeczki. Ludzie często siadują tam, żeby porozmawiać z duchami. Dobra śmierć powinna wydarzyć się w domu. Uznawane jest to za wolę Boga. Śmierć poza domem jest uważana za nieszczęście.

Wodzowie (zdarzało się także w nowożytnych czasach, że i wybitni księża) chowani są w *loa* na głównym placu wsi – *malae*. Słowo *loa* pochodzi od *va'aloa*. To nazwa łodzi duchów, którą w tradycyjnych, przedchrześcijańskich wierzeniach dusza wodza pokonywała ocean w drodze na tamten świat.

Najsłynniejszym samoańskim grobem jest Grób Dziewicy w Sale'aula na wyspie Savai'i, większej, ale mniej zurbanizowanej niż Upolu.

Trzeba popłynąć promem i wynająć auto, żeby dotrzeć do tej wsi na samym brzegu morza i do ruin kościoła zalanego lawą po wybuchu wulkanu Mount Matavanu na początku XX stulecia. Lawa zalała wszystko na wysokość półtora metra i zastygła w jednolitą, grubą, czarną warstwę asfaltu, w której jak wyspa tkwiły ściany i wieża kościoła. Na przykościelnym cmentarzu pochowana była nastoletnia córka wodza, zmarła kilka lat wcześniej na gruźlicę. Wokół jej grobu lawa rozpłynęła się w niewyjaśniony sposób, pozostawiając krater

nietkniętej ziemi o promieniu półtora metra od grobu dziewczynki. Wciąż rosną tam kwiaty, a miejsce stało się tak słynne, że z Apii, stolicy Samoa, organizowane są do niego wyprawy. Nie będziecie żałować. Kościół zalany lawą jest spektakularnym obiektem do zdjęć, a atencja, z jaką Samoańczycy opowiadają o Dziewicy, jest po prostu wzruszająca.

Nie można zapominać o tym, że największą bodaj populacją polinezyjską są Maorysi – wojownicy z Nowej Zelandii, którzy zatańczą dla was *haka* i opowiedzą o swoich wierzeniach, jeśli tylko uda wam się dotrzeć do wspaniałego Rotorua – krainy wulkanicznych jezior, siarkowych kałuż i gejzerów, które wybuchają o określonych porach po tym, jak właściciel odwiertu wrzuci im w gardziel porcję mydlin.

Maorysi to ludzie piękni i dumni. Ich opowieści wypełniłyby całą tę książkę, na szczęście ograniczymy się do tych, które dotykają w jakiś sposób tematyki śmierci.

Ceremonia żałobna nazywa się *tuku* lub *tangihanga* i w różnych częściach Nowej Zelandii może mieć oczywiście nieco różny przebieg, ale zazwyczaj ciało zmarłego ubiera się w tradycyjny strój, a jego włosy naciera oliwą i przystraja piórami oraz kwiatami. Nie jest dobrze, żeby człowiek był sam pomiędzy chwilą śmierci a pogrzebem, więc ciało przenosi się do *marae*, aby wspólnota mogła przy nim czuwać.

W tradycyjnym, dawnym obrzędzie *tangihanga* ciało zmarłego malowano ochrą i wiązano tak, żeby kolana dotykały brody, a ramiona obejmowały nogi. W takiej pozycji oczekiwał w *marae* na ostatnie pożegnanie.

Haka. Wojenny taniec Maorysów wykonywany jest także w czasie uroczystości żałobnych, Rotorua, Nowa Zelandia

Marae to tradycyjne, charakterystyczne dla całej Polinezji, miejsce spotkań całej społeczności. Kiedyś było to otoczone kamiennymi rzeźbami miejsce na brzegach mórz, do dziś można zobaczyć takie choćby na Polinezji Francuskiej, ale w wersji maoryskiej to centralna budowla osady ozdobiona wysokim dachem i strzeżona przez bardzo pieczołowicie zdobione figury Tikiego z oczyma z muszli i wywalonymi językami. Przed wejściem do *marae* odbywa się ceremonialne powitanie – *karanga*. Wspólnota – *whānau pani* – trwa na nocnym czuwaniu, wspominając zmarłego i jego czyny. Dzielą w tym czasie posiłek. Rankiem ciało zostaje wyniesione na miejsce pochówku, czasem do ziemi, innym razem do krematorium. Grzebanie jest obecnie powszechniejsze, uważa się, że pozwala to duchowi powrócić do Papatūānuku, czyli Matki Ziemi. Nie wszyscy biorą udział w pogrzebie, ponieważ kilka osób musi dokonać rytuału oczyszczenia *marae* po tym,

jak leżały tam zwłoki. Po pogrzebie rodzina i wspólnota schodzą się do *marae* na wspólną ucztę. Rytuał oczyszczenia i błogosławieństwa trzeba odprawić także w domu zmarłego.

Maorysi, jak wszyscy Polinezyjczycy, nie obawiają się śmierci, bo wedle ich przekonań nadprzyrodzone życie było wcześniejsze niż to skończone, które dane jest nam na ziemi. Nie jesteśmy wieczni, ponieważ w czasie walki Światła i Ciemności Māui pozwolił, żeby śmierć pojawiła się na ziemi, choć tylko na chwilę, ale Hine, Królowa Świtu, chciała być panią podziemi i przekonała go, że Życie i Śmierć muszą być nierozerwalne tak jak Światło i Mrok. Hine nie jest panią śmierci. Jest nią Whiro, męskie bóstwo, którego widzialnym przejawem jest mały, zielony, cętkowany nowozelandzki gekon – zwiastun śmierci.

Dobra śmierć po maorysku oznacza, że umiera się pod gołym niebem, żeby nie widzieć czterech ścian, ale przepych i piękno świata. Dlatego umierającemu budowało się platformę poza granicami wioski, tymczasową konstrukcję na palach, która popadała w ruinę, kiedy wykonała już swoje zadanie. Jeśli umierał wódz, budowano mu podwyższenie na głównym placu, żeby mógł udzielić tym, którzy pozostają przy życiu, cennych rad, a także ogłosić swoją ostatnią wolę. Na platformy wynoszono ludzi chorych. Nie byli oni leczeni, jako że choroba musiała być wedle tradycyjnych wierzeń zgodna z wolą bogów, więc nie wymagała ludzkiej ingerencji. Jeśli człowiek wyzdrowiał, wracał po prostu do domu.

Elsdon Best, badający zwyczaje Maorysów w latach 30. ubiegłego stulecia, zapisał, że ostatni posiłek umierającego był tak istotny, iż jeden z członków rodziny zmieniał imię na pamiątkę tego, co jadł na przykład ojciec.

Po pogrzebie, któremu towarzyszyły okazjonalne śpiewy zawierające wezwania do duchów męskich przodków, żeby przybyli przyjąć rolę przewodników, ciało grzebane było w ziemi na kilka lat aż do *hahunga tūpāpaku*, rytualnej ekshumacji, po której kości oczyszczano i umieszczano w jaskini, lub też – w miejscach, w których nie było jaskiń

– na nadrzewnej platformie. Najłatwiej było szczepom zamieszkującym wybrzeże oceanu – one pozostawiały swoich zmarłych na wydmach i piach pochłaniał ich samoczynnie.

Podobnie jak inne ludy Polinezji, Maorysi wierzyli w magiczną moc kości, więc zdarzały się akty profanacji w celu zdobycia ich na narzędzia. Kości wybitnych wodzów umieszczane były w rzeźbionych na kształt człowieka ozdobnych trumnach.

Aby trafić do świata umarłych, śmierć wcale nie jest konieczna, bo Maorysi wierzą, że może ich tam przenieść ich *wairua* – wolna dusza zdolna w czasie snu do pokonania czasu i przestrzeni. To intrygujący koncept, bo jeśli ktoś stale myśli o drugiej osobie, jego *wairua* spotyka się z jej *wairua* i obie dusze pozostają w kontakcie, mimo że ludzie wcale się wówczas nie widzą. Nie potrafią jednak o sobie nie myśleć.

Wairua opuszcza ciało po trzech dniach i wędruje do świata umarłych. Czasami jednak powraca do bliskich, aby ukazać im się w postaci motyla, ćmy albo małego ptaka. Ten, którego odwiedza *wairua*, wie, że to nie jest zwyczajna ćma. Musi sprawić, żeby jego *wairua* odczytała wiadomość, którą przyniósł jej posłaniec z tamtego świata.

Nieważne, że dzisiaj Maorysi często są chrześcijanami albo przestali wierzyć w Boga. W *wairua* nikt wierzyć nie przestanie, bo jak można przestać wierzyć w samego siebie?

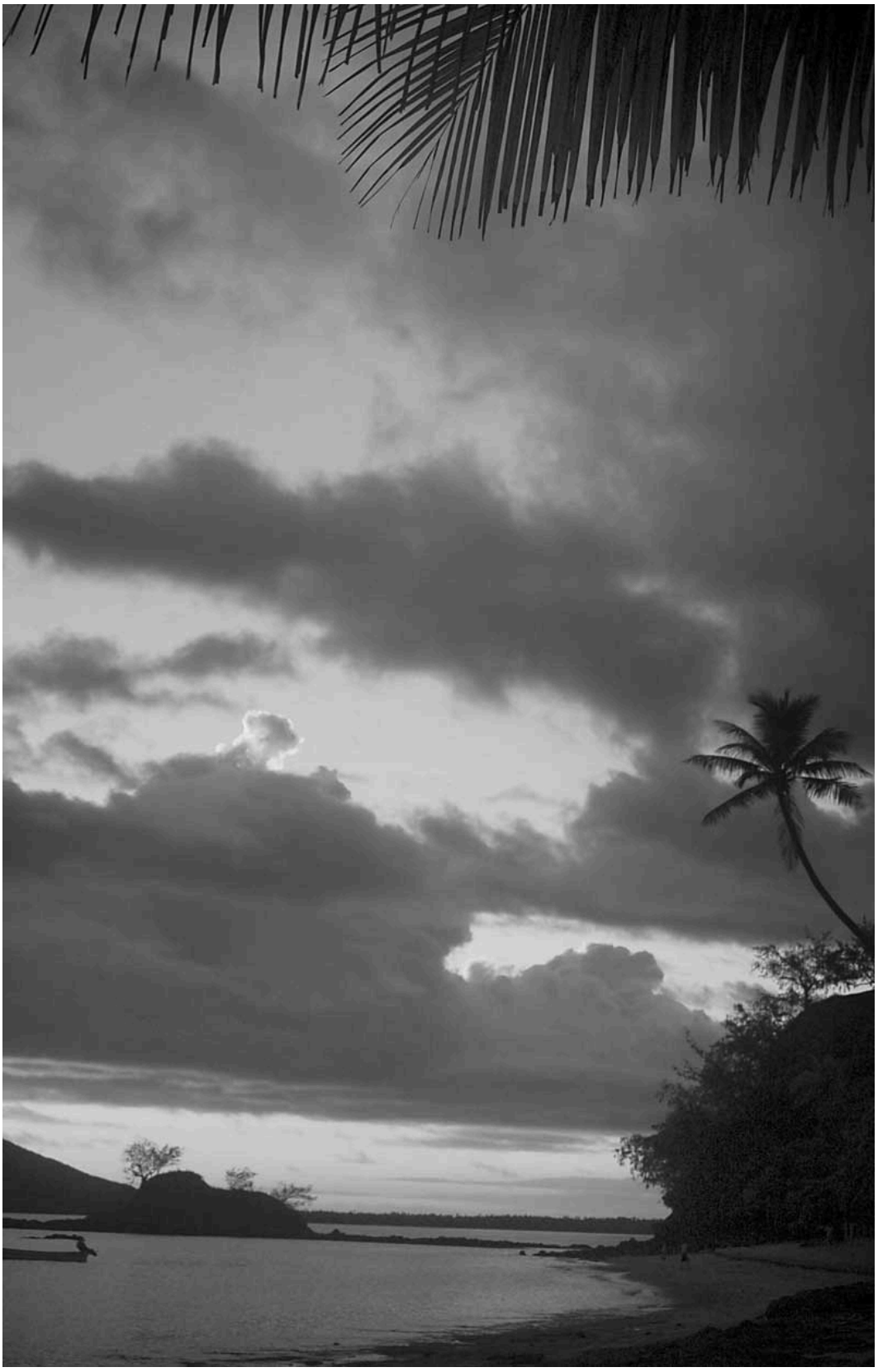

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czaszki pod pachą i wiszące trumny

Nigdy dotąd nie udało mi się zobaczyć Mikronezji i wszystko, co wiem o tych wyspach, pochodzi z książek i opowieści. Kiedyś, w zwyczajnym samolocie rejsowym podczas lotu z Fidżi na Samoa, próbowałem uporać się z datownikiem w moim telefonie komórkowym, a sąsiad z fotela obok nie mógł się nadziwić, że gdzieś w świecie produkują jeszcze telefony, które nie potrafią automatycznie przerzucić się o jeden dzień do przodu lub wstecz. Kapitan powiedział, że lot potrwa dwie godziny.

Pokazałem mojemu sąsiadowi antyczny telefon komórkowy bez ekranu dotykowego, a on opowiedział mi o swoim kraju – Wyspach Marshalla. To bardzo ciekawe państwo. Mają 1200 wysp i wysepek na Pacyfiku w dwóch archipelagach tworzących łańcuchy: Ratak Chain (wschodzącego słońca) i Ralik Chain (zachodzącego słońca). Ludzie mieszkają tam już ponad 2 tys. lat, 500 lat temu przybył tam pewien Hiszpan i opisał swoją podróż w listach, a 200 lat po nim pewien Anglik, kapitan John Marshall, dlatego wyspy mają w nazwie Marszałka, choć dostały ją na pamiątkę po kapitanie.

Taki żart.

Zaśmiałem się oczywiście.

Potem wyspy miały historię raczej smutną, bo stały się przedmiotem wojen między Anglikami, Niemcami, Japończykami i Amerykanami. Wojna się skończyła, ale Amerykanie nie wyjechali, tylko urządzili sobie poligon atomowy w dwóch atolach archipelagu Ralik Chain. Jednej nazwy nie zapamiętałem, ale druga brzmiała znajomo – Bikini.

– Wielu naszych ludzi do dzisiaj choruje z powodu chorób popromiennych i żeby ich uleczyć, trzeba wciąż negocjować z Amerykanami kwestie odszkodowań – powiedział mój sąsiad, po czym wręczył mi wizytówkę. Okazał się ministrem spraw zagranicznych Wysp Marshalla. Pomyślałem, że to musi być cudowny kraj niezwykłych, skromnych i otwartych ludzi. Nie lecieliśmy przecież nawet w klasie biznes.

Na Wyspach Marshalla liczą się dwie sprawy – rodzina i własność ziemi. Ziemi jest niewiele, zwykle dosyć piaszczystej, rodzin też nie ma za dużo, bo w sumie to tylko 50 tys. ludzi, którzy jeszcze 100 lat temu chodzili topless w spódniczkach z trawy i tkanin z kory. Potrafią nawigować wedle gwiazd i sporządzić mapy szlaków żeglugowych z patyczków i węzełków. W sprawach majątkowych panuje tam matriarchat, bo po matce dziedziczy się ziemię, ale wodzami byli zawsze mężczyźni. W czasach przedchrześcijańskich mieli rangę bogów i mogli mieć tyle żon, ile zapragnęli.

Na Wyspach Marshalla mają poważny problem z cmentarzami. Tam, gdzie lądu jest naprawdę niewiele, zmarli muszą dzielić miejsce z żywymi. Każda rodzina posiada własne miejsce grzebalne, a ponieważ dzisiaj są chrześcijanami, bahaitami, świadkami Jehowy i muzułmanami, budują swoim zmarłym groby na plażach pośród palm, tuż na brzegu turkusowego oceanu. Nie zawsze wychodzi to zwłokom na dobre, bo obecnie podnosi się poziom oceanów i woda podmywa plażowe cmentarze, odsłaniając kości. Czasami cmentarze sąsiadują z wysypiskami śmieci, co szokuje podróżników. Ale wyspy te stworzone zostały do tego, żeby jedynymi trwałymi odpadami były tutaj drewno palmowe oraz kopra. Nie ma miejsca na spalarnie, przedsiębiorstwa utylizacji czy złomowiska. Jest za to internet i moda na plastikowe rzeczy.

Do ostatniego tchnienia być z bliskimi i zakończyć z nimi wszelkie spory to warunek dobrej śmierci. Zła śmierć to śmierć w młodym wieku,

w wyniku choroby, wypadku lub na skutek przekleństwa. Dobra powinna mieć miejsce w domu.

W ceremoniale żałobnym najważniejsze jest *ilomej*, czyli czuwanie, trwa tydzień i jest okazją do tego, żeby każdy członek rodu oddał zmarłemu hołd, oraz do wspólnego ucztowania. Aby ciało wytrzymało kilka dni, stosuje się praktyki balsamacyjne. Po tygodniu odbywa się pogrzeb w ziemi, bo tabu wyspiarskie nie pozwala na kremację. Miejsce na grób wskazuje *irooj*, czyli wódz, bo w całym państwie nie ma ani jednego publicznego cmentarza. Trzy dni po pogrzebie rodzina zbiera się wokół grobu na *eorak* – ceremonię obłożenia grobu białymi kamieniami lub kawałkami białego koralowca (o kamienie naprawdę nie jest łatwo na wyspach koralowych) na znak przerwania wszelkich więzów rodzinnych, dzięki czemu dusza może spokojnie odejść.

W tradycyjnych wierzeniach wyspiarzy występowały duchy. Dobre, na przykład Wulleb, Lejman, czy Lajbuineamuen, służyły ludziom pomocą, ale złe – takie jak Anjilik – przynosiły choroby i śmierć, a także mogły ukraść duszę zmarłego, jeśli rytuały były odprawione niedbale. W czasach przedchrześcijańskich nie chowano zmarłych w ziemi, ale owiniętych w ceremonialne maty po rytuale pożegnania wyprawiano w ocean w łodzi żaglowej spuszczonej na wodę od zawietrznej. Zmarły dostawał na tę podróż ryby i trochę słodkiej wody, tak aby nie musiał powracać i mógł dotrzeć do Wyspy Umarłych – Eorerok.

Jeśli zły duch ukradł duszę, łódź zawracała i duch nękał rodzinę. *Eorak* miał być granicą, której dusza nie mogła przekroczyć z powrotem. Jeśli granica z białych kamieni nie była szczelna albo rytuał został źle odprawiony – rodzinę nękały choroby i nieszczęścia. No i strach, bo ducha można przecież zobaczyć.

Najłatwiej zobaczyć go w chwili śmierci, bo wydostaje się z ciała z ostatnim oddechem i pozostaje obok wraz z rodziną, żeby uczestniczyć z pożegnaniu. Jeśli był za życia kochany, rozumiany i otoczony szacunkiem – po śmierci odpłaci żyjącym w ten sam sposób.

Pogrzeb wodza był szczególny, ponieważ nie odpływał on do Eorerok, ale grzebany był w swojej ziemi, owinięty w ceremonialne maty, po dziesięciodniowym rytuale pożegnania. Na miejsce pochówku niesiony był w procesji, która musiała omijać trawniki i ogrody warzywne, idąc z dala od drzew czy palm, ponieważ wszystko, na co padł cień ciała zmarłego, musiało uschnąć. Przetrwały legendy mówiące, że wódz powinien zabrać ze sobą do grobu kogoś z rodziny i że składano duchom żywą ofiarę, ale nie ma pewności co do tych przekazów, bo choć woda zabiera plaże i odsłania cmentarze, podwójnego grobu dotąd nie odnaleziono.

Wyspy Marshalla to tylko niewielka część Mikronezji. Na ponad 2 tys. wysp i koralowych atoli mieszkają ludy spokrewnione z Melanezyjczykami i Filipińczykami. Tworzyły one własne kultury w małych, izolowanych społecznościach, są więc zróżnicowane i z naszego punktu widzenia niezwykle egzotyczne. Wiem o nich zbyt mało, żeby rozwikłać sens ich zagadkowych obyczajów, więc ograniczymy tę opowieść do przedstawienia kilku wyjątkowych historii. Trzeba pamiętać, że wyspiarze są dzisiaj przeważnie chrześcijanami, ludźmi wykształconymi i światłymi, którzy niejednokrotnie rytuały z własnej przeszłości traktują niczym my zabobon z naszej słowiańskiej historii. Niemniej jednak cenią swoją tożsamość i odrębność. Cenią to, co w ich kulturze było tak niezwykłe, zanim Europejczycy uparli się, żeby zunifikować świat.

Jednym z tych wyjątkowych ludów są mieszkańcy Karolinów, którzy we własnym języku nazywają samych siebie Remathau, czyli Ludźmi Morza Głębokiego. Ciemnoskórzy kuzyni Melanezyjczyków mają za sobą przynajmniej 3 tys. lat historii, najpierw szczęśliwej, a od spotkania z kulturą Europy – bolesnej i trudnej. Przetrwało ich dziś zaledwie około 9 tys. Wedle ich przekonań mężczyzna jest związany z morzem, a kobieta z ziemią. Do niego należą czynności związane z rybołówstwem, do niej należy własność ziemi i wszystko, co toczy się na lądzie. Ląd jest obszarem ducha, a ocean miejscem ciała. Po śmierci

ciało wracało więc do oceanu owinięte w matę z pandanu. Kobiety, wysłanniczki ziemi, przenosiły ciało na krawędź rafy, a stamtąd zabierała je fala przyboju.

Ląd jest miejscem, w którym przebywają duchy, i tam można z nimi rozmawiać.

Istnieje też wyspa umarłych – to Mañagaha, na której pochowani są wybitni wodzowie. Zdarzało się, że rodzina przechowywała w domu czaszkę kogoś wyjątkowo mądrego, bo dzięki niej duch przodka łatwiej komunikuje się z żywymi. W kulturze ludów Karolinów szacunek, zupełnie inaczej niż w europejskiej kulturze, należy się nie temu, kto posiada więcej pieniędzy, ale temu, kto posiada więcej wiedzy.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że świat musiał wypchnąć ich w najdalsze rejony Pacyfiku w myśl zasady, że gorszy pieniądz wypiera lepszy...

Spokrewnieni z mieszkańcami Karolinów Chuukańczycy słyną ze swojego rytualnego wojennego tańca. Legenda głosi, że walki z kijem nauczyły ich duchy przodków.

Ludzie Czamorro z Marianów i Guam mieli chyba więcej szczęścia niż ludy Karolinów, jest ich dzisiaj ponad 150 tys., ale przeważająca większość to Metysi, bo Hiszpanie mordowali mężczyzn, przekonując kobiety, żeby rodziły potomków chrześcijańskim najeźdźcom. Mimo to zdołali ocalić swój język i legendy.

Kamienna rzeźba ludów Pacyfiku, Tahiti, Polinezja Francuska

Zwierzęta przybierają w mitach Mikronezji rolę przewodników dusz. Żółw, gdzieś na południowym Pacyfiku

Wedle jednej z nich wszechświat powstał z ciała zmarłego boga Puntana, który przed śmiercią powiedział swojej siostrze bliźniaczce, jak ma postąpić z jego ciałem. Fu'uña z oczu brata uczyniła słońce i księżyc, z jego brwi tęczę, a z kawałków ciała wyspy archipelagu. Z głowy Puntana powstała wyspa Guam, na której Fu'uña umarła, zmieniając się w skałę. Skała pękła, a wtedy z jej środka wyszli ludzie. Skała przetrwała do dziś, nazywa się Laso de Fua i stoi na brzegu wyspy Guam nieopodal wsi Umatac.

Kiedy ludzie wyszli ze skały, wyspa Guam była doskonale okrągła. Ludziom wiodło się dobrze i byli szczęśliwi, ale któregoś dnia monstrualna ryba przypłynęła z zachodu i zaczęła zjadać wyspę. Odprawiono rytuały, żeby zasięgnąć rady duchów. Przodkowie powiedzieli ludziom, że albo ryba zje wyspę do reszty, albo też każdego

roku będzie musiała dostać ofiarę z ludzi. Kiedy austriacki kapitan Christoph Carl Fernberger w czasie swojej dwuletniej podróży dookoła świata dotarł na Guam, był świadkiem takiej ofiary. Poza tym każdy na Guam powie wam, że to prawda, przecież wystarczy spojrzeć na mapę, żeby zobaczyć, że wyspa z obu stron nadgryziona jest jak ogryzek.

Kiedy umierał członek ludu Czamorro, bliscy zbierali się, żeby odprawić dziewięciodniowy rytuał pożegnania zwany tu *bela*. W czasach przedchrześcijańskich obejmował okres czuwania ze zmarłym w oczekiwaniu na śmierć oraz czas niezbędny, żeby każdy, kto chce się pożegnać, mógł przyjść nawet z najdalszych zakątków Guam. Kiedy Czamorro się ochrzcili, *bela* zmieniła się w nowennę różańcową i śpiewy w intencji zmarłego. *Bela* nie jest smutnym obyczajem, przypomina raczej radosne świętowanie Meksykanów. Śpiewem zarządza *techa*, czyli pieśniarz, i choć dzisiaj pieśni są kościelne, to sam rytuał przetrwał z czasów, kiedy śpiewało się dla duchów przodków wokół ukwieconego ciała zmarłego, który właśnie ruszał w zaświaty.

Sesja śpiewania rozpoczyna się co cztery godziny od rana do wieczornej uczty.

Współczesnym elementem są zdjęcia zmarłego ułożone wokół trumny. Każdej nocy po różańcu i śpiewach odbywa się uczta. Ponieważ jest na niej tłum ludzi, każdy przynosi ze sobą jedzenie, które ustawia się na wspólnym stole i każdy je to, co zechce.

Kiedyś pogrzeb następował dopiero dziesiątego dnia, ale w czasach Instagrama, Tindera, pracy w korporacjach i wiecznych deadline'ów ludzie coraz rzadziej mają czas na dziewięciodniowe pożegnanie ze zmarłym, więc *bela* kurczy się nawet do jednego dnia, ciało nie jest już wystawione w domu, ale czeka w kaplicy, a główną częścią obrzędów jest *responso* – katolicka modlitwa za zmarłych na hiszpańską modłę. Po pogrzebie odbywa się zawsze stypa, a potem przez dziewięć kolejnych wieczorów modlitwę odmawia rodzina zmarłego.

Sam pogrzeb jest w obrządku katolickim, choć okoliczności w niczym nie przypominają listopadowego, zlanego deszczem ponurego

wiktoriańskiego cmentarza rodem z horroru, bo do dyspozycji mamy rozpaloną słońcem plażę nad oceanem w cieniu palm.

Niejakie pojęcie o tym, jak obrzędy Czamorro wyglądały w dawnych czasach, dał nam w swoich zapiskach ojciec Diego de San Vitores, który miał zadatki na etnologa i notował w swoim kajecie wszystko. Nawet imiona dawnych bogów przetrwały dzięki niemu. Pisał, że jeśli ktoś zmarł śmiercią gwałtowną – co było nieomylnym znakiem, iż nie był dobrym człowiekiem – szedł do podziemnego piekła zwanego Sasalåguan, gdzie nad jego duchem znęcały się demony. Jeśli kto zaś zmarł jak należy w otoczeniu rodziny, szedł do raju, który był pod wodami oceanu. W tamtych czasach pod głową zmarłego kładziono kosz z trzciny. W chwili śmierci duch wchodził do kosza, a rodzina zmarłego obnosiła go po wszystkich domach klanu, żeby duch mógł sobie wybrać domostwo, które będzie nawiedzał, kiedy przyjdzie mu ochota, aby powrócić z zaświatów i porozmawiać z żywymi.

Ciało zmarłego było dekorowane kwiatami i muszlami morskich stworzeń, a podwórze domu wyścielane liśćmi palmy.

Zmarły chowany był w ziemi. Czamorro wierzyli, że od jakości śpiewu w rytuale *bela* zależy nie tylko pokazanie, jak kto był szanowany za życia, lecz także z jaką pompą pojawi się pośród duchów w świecie wieczności.

Czamorro mieli specyficzny stosunek do kości zmarłych. Służyły one do wykonywania narzędzi i broni – grotów strzał czy sztyletów. Jezuita Peter Coomans obserwował w 1670 roku, jak po pogrzebie rozgrzebano ziemię wokół ciała od pasa w dół, tak aby odsłonić nogi, a kiedy zgniły ścięgna, ludzie odcięli trupowi golenie i oczyścili kości, żeby zrobić z nich groty strzał. Ciało, którego przeróbkę na groty obserwował ojciec Coomans, należało do wroga. Czamorro dbali o to, żeby nikt nie ukradł im ciał ich bliskich, stąd zdaniem jezuity obyczaj chowania zmarłych jak najbliżej domu.

Kości zmarłych były także wykorzystywane przez *makåna* – uzdrowicieli. Rozmawiali oni dzięki czaszkom swoich poprzedników

z ich duchami w zaświatach, żeby zasięgnąć porady na temat leczenia. Hiszpanie, którzy nie pojmowali tego rytuału, byli przekonani, że mają do czynienia z jakimś satanistycznym kultem, i uzdrowiciele byli przez najeźdźców pozbawiani życia.

Tymczasem, jak uważają współcześni antropologowie, *makåna* próbował uzdrowić duszę chorego w myśl tej samej zasady, którą Juwenalis zapisał słowami „w zdrowym ciele zdrowy duch": przekonywał duchy, żeby leczyły duszę, a wtedy on mógł się zająć ciałem chorego.

Zaledwie 500 osób liczy sobie lud z atolu Kapingamarangi, najbardziej na południowy wschód wysuniętego przyczółku Mikronezji, oddalonego od wszystkich ludzkich siedzib, zatopionego w oceanie skrawka lądu uczepionego koralowych skał. W sumie, jeśli zliczyć wszystkie trzydzieści pięć wysepek, jest tego nieco ponad hektar. Mimo to w czasie wojny bombardowały je amerykańskie samoloty, żeby unicestwić stacjonującą tu z powodu słodkiej wody japońską flotę.

Naukowcy nie są zgodni co do tego, czy mieszkańcy atolu są Mikronezyjczykami, czy może dotarli w to miejsce z odległej Polinezji. Ponieważ statek rzadko dociera na ich wyspy, uchodzą wśród podróżników za ten lud, do którego na całej planecie dotrzeć jest najtrudniej. Trudniej nawet niż do nomadów z dalekowschodniej, arktycznej Syberii.

Około 2 tys. mieszkańców Pohnpei, jednego z czterech Zjednoczonych Stanów Mikronezji przyznaje się do pochodzenia z Kapingamarangi. Wypłynęli kiedyś w tę liczącą 500 mil morskich podróż do szkoły i już do swoich wiosek nie powrócą.

Zanim tutejsi ludzie poznali chrześcijaństwo, czcili pierwszego przodka – nazywał się Uta-matua i, jak mówi legenda, przypłynął z wyspy Tamana, ale naukowcy nie są pewni, czy chodzi o jedną z Wysp Gilberta, ponieważ w opowieści o Uta-matua ważne jest istnienie w całym oceanie zaledwie trzech wysp, a rzeczony archipelag liczy ich szesnaście, poza tym tubylcy posiadają, zdaniem antropologów, cechy

polinezyjskie, a nie austronezyjskie. Badania nie są jednak rozstrzygające. Uta-matua i jego żona Roua przypłynęli z zachodu i znaleźli ląd, na którym mogli zasadzić taro i urządzić świat dla swoich dzieci, które nauczyli techniki połowu elagat (*Elagatis bipinnulata*) – ta ryba, zwana po angielsku *rainbow runner*, jest bardzo trudnym przeciwnikiem, ale mieszkańcy Kapingamarangi posiadają techniki połowowe tak skuteczne, że naukowcy wybierają się na atol specjalnie, żeby je badać.

Skąpe wyniki badań antropologicznych podkreślają, że to bardzo szczęśliwa wspólnota, wolna od depresji i lęków, w przedchrześcijańskich czasach poligamiczna i poliandryczna z jedynym zakazem dotyczącym obyczajów seksualnych – rodzice i dzieci nie mogli tworzyć związków. W czasach przedchrześcijańskich wierzono, że dzieci rodzą się w efekcie kontaktów kobiet z duchami przodków. Duchy zamieszkiwały ocean poza zewnętrznym atolem. Duchy kobiet na południu, duchy mężczyzn na północy. Jedynie duch Uta-matui mieszkał wraz z nimi na ziemi.

Duch Rouy, jego żony, mieszka w oceanie.

Obecnie, ponieważ są ochrzczeni, rozwodzą się, żeby zawierać kolejne małżeństwa. Rozwodzi się co trzecie małżeństwo.

Dziś wszyscy noszą koszule, ale w wyspiarskiej tradycji chłopiec dostawał swoje pierwsze ubranie, rodzaj spódnicy na biodra, w dniu, kiedy schwytał swoją pierwszą latającą rybę – między siódmym a ósmym rokiem życia.

Wyspiarze wierzą, że śmierć jest naturalnym elementem życia. Obawiają się jedynie nagłej śmierci, zawsze powodowanej przez rozgniewane duchy, dlatego dzieci uczyły się, jak rozpoznawać obecność duchów i jak unikać wzbudzania w nich złości. Najważniejsze było unikanie gniewu, bo to właśnie gniew sprowadza złe duchy spoza zewnętrznego atolu.

Pogrzeb celebrował kapłan, który wyśpiewywał właściwe słowa pozwalające duchowi opuścić ciało na zawsze. To dość trudny moment

w nowym, chrześcijańskim rycie na atolu, ponieważ chrześcijanie wierzą w zmartwychwstanie ciał, więc zmiana religii nie przyszła miejscowym łatwo, bo duchy to duchy i wiadomo, gdzie ich miejsce. Powracać mogły jedynie duchy kobiet, które zmarły przy porodzie. One nie odpływały za granicę atolu, ale wędrowały w głąb oceanu, aby połączyć się z pramatką. Roua błogosławiła je, a wtedy mogły powrócić na świat jako wieloryby, więc wyspiarze nigdy na wieloryby nie polowali.

Boleśnie zetknięcie z zewnętrznym światem przeżyli ludzie Nauru. To po Monako i Watykanie trzecie na liście najmniejszych państw świata, położone na niewielkiej, liczącej 21,2 km kw. wyspie na Pacyfiku, tuż obok równika. Przez 3 tys. lat 12 rodzin żyło w spokoju przerywanym od czasu do czasu klanowymi walkami, gromadząc w czasie pory deszczowej wodę pitną na czas suszy, kiedy jedyny słodkowodny zbiornik – jezioro Buada Lagoon – niemal wysychał. Potem nadciągnęli Europejczycy, Australijczycy, wojna i korporacje kopalniane, które doszczętnie zrujnowały ich wyspę. Biali ludzie mieli apetyt na pieniądze, na fosforytach zarabiało się doskonale, a te na Nauru leżały wprost na ziemi.

Żeby zdobyć ziemię, trzeba było podsycać klanowe waśnie i w końcu biali dostarczyli Nauru broń palną. W wojnie domowej między klanami wyginęła ponad połowa krajowców. Pod koniec XIX wieku żyło ich jedynie ośmiuset.

Lud Nauru, dzisiaj chrześcijański, czcił przez tysiące lat Pierwszych Ludzi, Tabuarika i jego żonę Eijebong, przybyłych, jak chcą legendy, z Kiribati. Kiedy umarli, zamienili się w skały stojące po obu stronach płaskowyżu Topside. Wyspiarze nigdy nie budowali tam domów, bo Topside było miejscem duchów przodków. Skały zostały wysadzone, gdy budowano kopalnie.

Kiedy wyspa zyskała niepodległość, wydobycie fosforytów przyniosło wreszcie bogactwo jej mieszkańcom. Czterdzieści lat temu Nauru należało do najbogatszych państw świata. Ale dzisiaj złoża są

wyczerpane, kraj należy do najbiedniejszych i jest kompletnie zdewastowany. Słodką wodę trzeba importować z Australii i nie wiadomo, co począć z przywiezionymi do pracy w kopalniach ludźmi z ubogich rejonów Azji – Pakistanu, Indii, Sri Lanki czy Afganistanu. Po zakończeniu wydobycia ci ludzie pozostawieni sami sobie na gołej, zdewastowanej ziemi bez wody i środków do życia stali się dla świata wyrzutem sumienia. Australia próbuje ich wykarmić, a czasami przewozi po kilkuset na własne terytorium.

Zdewastowana Nauru jest obrazem upadku, do jakiego prowadzi pozbawienie ludzi prawa do ich własnego świata. Z dawnych obyczajów tutejszej kultury pozostały ledwie skrawki w pamięci ostatnich ludzi, którzy jeszcze cokolwiek pamiętają. Na przykład mit o stworzeniu świata przez olbrzymiego pająka Aerop-Enapa uwięzionego w muszli gigantycznego małża. Kiedy ją rozerwał przy pomocy fosforyzujących robaków, zabił małża słoną wodą, następnie z dolnej skorupy uczynił ziemię, z górnej niebo, a potem z kamieni stworzył ludzi, żeby mogli czcić słońce, ocean i Drogę Mleczną, którą zrobił z fosforyzujących robaków.

Do czasu przybycia europejskich żeglarzy mieszkańcy Nauru byli przekonani, że istnieją tylko oni, duchy przodków i duch wyspy – Buitani – oraz dwanaście rodów na wysepce stworzonej ze skorupy ślimaka.

Odkąd zostali chrześcijanami, chowali swoich zmarłych we własnej ziemi. Prawo cmentarne z 1922 roku gwarantowało utworzenie pięciu cmentarzy na terenie wyspy, ale szybko zostały one zapełnione, a wtedy zaczęły się pochówki w przydomowych ogrodach. Ta praktyka prowadzi niejednokrotnie do skażenia zbiorników wody, a ponieważ woda jest na wyspie najcenniejsza, Komitet Pogrzebowy próbuje nakłonić ludzi do odstąpienia od tej praktyki i propaguje kremację. Na Nauru nie ma krematorium, ciała pali się więc na stosie na ziemi należącej do rodziny zmarłego.

Rozpalanie stosów nocą jest niedozwolone. Niedozwolone jest też palenie zwłok na nie swojej ziemi.

Na wschód od Nauru leży Kiribati. Nie było tam fosforytów i ludzie mogli być biedni, ale szczęśliwi. Kiribati to jedyne państwo świata leżące na wszystkich czterech półkulach Ziemi, wokół punktu, w którym równik przecina południk 180 stopni. To trzydzieści dwa atole i jedna wyspa, zwana przez miejscowych Oceanem, a przez przybyszów – Banaba.

Opisy obrządków grzebalnych mieszkańców Kiribati zawdzięczamy misjonarzom. Oto ciało zmarłego powinno było pozostawać w jego domu przez trzy do dwunastu dni, tak by wszyscy mogli w tym czasie oddawać zmarłemu hołd. Aby stłumić zapach, palono wokół zwłok wonne liście, wkładano im do ust i nosa kwiaty; kwiaty rozsypywano też wokół ciała, które nacierano mlekiem kokosowym i olejem z palmy. To nie powstrzymywało procesu rozkładu.

Gnijące fragmenty zeskrobywano skorupą orzecha kokosowego i zakopywano w ziemi. Po dwunastu dniach pozostałości ciała zakopywano wreszcie w ziemi nieopodal domu. Po siedmiu miesiącach rodzina wykopywała czaszkę zmarłego. Czaszka była zabierana do domu, czyszczona, nacierana olejem i ustawiana na półce, ołtarzu boga Nakaa. Przed czaszką składało się ofiary z tytoniu i jedzenia.

Wdowa albo dzieci zmarłego zabierali ją ze sobą, kiedy udawali się na wizyty rodzinne lub choćby na targ. Jeżeli z czaszki wyłamywały się zęby, można było uczynić z nich magiczny naszyjnik o dużej mocy ochronnej. Duchy obcych trzymały się od właściciela takiego naszyjnika z daleka.

Naszyjnik pomagał także wojownikom. Wojny na Kiribati były zupełnie inne niż w całej reszcie świata, ponieważ zamiast wysyłać na siebie armie, zwaśnione plemiona posyłały wojownika na rytualny pojedynek. Kiribati wykształciło własny system sztuki walki – *teraka*. Legenda mówi, że duchy wykradły Kiribatyjczykom sekret tej walki i zaniosły go na wschód, by nauczyć go ludzi z dalekich wysp. Tyle że

duchy wszystko mówią na opak i zamiast *teraka* na dalekich wyspach ludzie zwą teraz ten system walki karate.

W Muzeum Narodowym można zobaczyć egzemplarze naszyjników wykonane z dwustu i więcej zębów przodków. Zęby wojowników i ich czaszki były niezwykle cenne. Zresztą nie tylko wojowników, ale w ogóle dobrych ludzi. Jeśli zmarły był dobrym rybakiem, z jego kości wykonywano haki na ryby i od tej pory pomagał w połowach, bo duchy przodków nie były przywiązane do swoich kości, czuły wręcz satysfakcję, kiedy mogły pomóc swoim ludziom zza grobu. Dzisiaj mieszkańcy Kiribati są chrześcijanami, wierzą w zmartwychwstanie ciała i obcowanie świętych, ale nie myślą o tym, że dusze ich zmarłych są w jakimś abstrakcyjnym niebie lub czyśćcu, bo wszyscy wiedzą, że ziemia umarłych zaczyna się na północnym cyplu Wyspy Gilberta, a jej bramy pilnuje nie Święty Piotr, lecz Nakaa.

Naszyjników z zębów jednak już nie noszą.

Powiedzieliśmy, że Mikronezyjczycy są spokrewnieni z Filipińczykami, dlatego wspomnimy o kilku obyczajach z tego archipelagu. Dzisiaj na Filipinach panuje chrześcijaństwo, w kilku rejonach dominuje islam, a religie przodków kultywuje jedynie 1,5% mieszkańców tego olbrzymiego kraju, ale kilka niezwykłych obyczajów żałobnych przetrwało do dziś.

Górale Itneg z wyspy Luzon wierzą w duchy, z których najwyższy jest Kadaklan, stwórca wszechświata, mieszkaniec nieba. Wierzą też w życie po śmierci w krainie Maglawa. Kiedy zmarły będzie wędrował do Maglawa, musi być czysty, żeby przepuścił go strażnik Apadel, dlatego ciało zmarłego sadzane jest na tronie zwanym *sangadel*, a następnie myte w przeświadczeniu, że wymyta będzie też dusza. Zmarły jest potem ubierany w swoje najlepsze ubrania, dekorowany biżuterią i uczestniczy w uczcie na jego cześć. Oczywiście ma wtedy w ustach zapalonego papierosa, bo Itnegowie lubią palić za życia i po śmierci.

Dziś Filipiny słyną z obchodów Wielkiej Nocy. Figura ukrzyżowanego, XVII wiek, Portugalia

Dżungla ma swoje tajemnice, kto wie jakie mieszkają w niej duchy? Gdzieś w południowo-wschodniej Azji

Aby duchy przodków łaskawie przyjęły zmarłego do swego grona, rodzina składa ofiarę ze świń i kurcząt. Ich mięso jest wspólnie zjadane. Biesiadnicy wypijają też nieco alkoholowego napoju *basi*, ulewając odrobinę dla duchów. W dniu pogrzebu jeden z zebranych mężczyzn otrzymuje dwieście razów kijem, ale nie biją go mocno, bo to tylko rytualna kara za złe czyny zmarłego. Ciekawy obrzęd, jeśli spojrzeć na niego z punktu widzenia współodpowiedzialności ludzi za siebie nawzajem. Kiedy nastąpi koniec batożenia, można zmarłego zakopać obok jego domu. To zapewni mu spokój, bo rodzina będzie go bronić, gdyby złe duchy chciały mu wyrządzić jakąś krzywdę.

Sąsiedzi Itnegów, mieszkańcy prowincji Benguet, również sadzają swoich zmarłych na rytualnych tronach z bambusa i oni także częstują zmarłych papierosami, ale zawiązują im też przepaską oczy, bo zmarli mają ten przywilej, że nie muszą już widzieć cierpienia na naszym świecie. Wokół ciała pali się ogień, żeby duch mógł odnaleźć drogę do

lepszego świata. Trwa to osiem dni, w czasie których ciało się psuje, ale czuwającym zdaje się to nie przeszkadzać. Ósmego dnia starsi opowiadają historię życia zmarłego i wtedy ciało razem z bambusowym tronem zostaje spalone.

Ludzie Ilongot, również z gór Luzonu, chowają swoich zmarłych w pozycji siedzącej ze związanymi nogami, żeby ich duchy nie musiały włóczyć się potem po świecie. Ich dalecy, wojowniczy sąsiedzi Apayao, którzy w czasach przedchrześcijańskich byli łowcami głów, wkładają do trumny ciało owinięte w żałobną matę *ikamen* i wyposażają zmarłego w jedzenie oraz naczynie z wodą, żeby nie zmęczył się w drodze na tamten świat, a także dają mu broń i tarczę, na wypadek gdyby spotkał tam coś, co nie będzie przyjazne. W świecie łowców głów mogło się zdarzyć, że jakieś rozgniewane duchy będą próbowały zakłócić ostatnią drogę. Apayao uważali, że jeśli kobieta urodziła bliźnięta, to mają one wspólną duszę i będą się nawzajem osłabiać, dlatego słabszemu z dzieci pozwalali umrzeć – matka karmiła tylko jedno. Za podobnie silny uważali związek matki i dziecka. Jeśli kobieta zmarła w czasie porodu, niemowlę chowano wspólnie z nią w jednym grobie. Trumny Apayao nie miały kształtu, jaki znamy z własnego świata – były to po prostu wydrążone pnie drzew.

Najsłynniejszy chyba filipiński obyczaj pogrzebowy to wiszące trumny. W każdym folderze reklamującym wyprawy na ten archipelag znajdziecie fotografię z kilkudziesięcioma trumnami różnego kształtu, czasami ozdobionymi malunkami, zwieszającymi się na grubych lianach z wysokiej, pionowej skały. To cmentarz ludu Igorot. Oczywiście oni także są góralami z wyspy Luzon. Ich kraina – Sagada – leży zaledwie trzysta kilometrów na północ od Manili i być może to właśnie przyniosło Igorotom światową sławę. Wieszanie trumien na skale ma dwa powody. Praktyczny – w porze deszczowej trumna zakopana w ziemi gnije szybko i ciało ulega rozkładowi, a Igoroci chcą swoje zachować jak najdłużej. No i kiedy wiszą na skałach, zmarli są bliżej nieba. Trzeci powód dzisiaj już nie jest istotny, ale zanim nadeszło

chrześcijaństwo, powszechne było wykradanie czaszek zmarłych przez młodych wojowników z sąsiednich dolin, bo tak jak Apayao, ludy Kalinga i Bontoc były łowcami głów i do rytuału inicjacji potrzebne były młodym czaszki wrogów.

Czaszkę zmarłego łatwiej zdobyć niż czaszkę wojownika.

Igoroci, tak jak Itnegowie, przed pogrzebem urządzają przyjęcia ku czci zmarłych, w czasie których czcigodne ciało jest obecne, siedzi na żałobnym krześle, pali papierosy i obserwuje kilkudniową ucztę. Jest w tym czasie podwędzane dymem, żeby trzymać z dala owady. Ciało jest następnie krępowane. W dawnych czasach zawsze w pozycji embrionalnej, obecnie na leżąco. Węzły są bardzo naciągane, bo ubrudzenie rąk płynami z ciała zmarłego uchodzi za dobry omen – wraz z nimi na poplamionego przechodzą zdolności i umiejętności zmarłego. Następnie ciało jest owijane matą, wkładane do trumny i… od kilku dziesięcioleci najczęściej chowane w ziemi, bo Igoroci są chrześcijanami, a władze kościelne i urzędnicy administracji niechętnie patrzą na wieszanie trumien na widoku. Ludzie z młodszych pokoleń przeważnie nie chowają już zmarłych na skałach, ponieważ w dniu Wszystkich Świętych chcą iść na groby, żeby porozmawiać z duchami przodków tak samo jak my.

Ale niektórzy uważają, że tylko tradycyjny pogrzeb się liczy, i w niemałym trudzie wciągają trumnę na górę, aby opuścić ją na linach na skalną ścianę i tam przytwierdzić do klifu. Nowe trumny można łatwo odróżnić od starszych, wiekowych. Nowe mają niemal po dwa metry długości, tyle, ile trzeba, żeby pochować człowieka owiniętego w matę w pozycji leżącej.

W dawnych wiekach skrępowane ciało było bite kijami tak, aby połamać zmarłemu kości i wcisnąć go do małej, metrowej trumienki.

We współczesnej, chrześcijańskiej tradycji filipińskiej utarło się przekonanie, że trumna musi być wykonana idealnie na wymiar, bo jeśli nie jest dość starannie wymierzona, to znaczy, że w tej rodzinie umrze ktoś inny.

Złym omenem jest też zasypianie w trakcie czuwania przy trumnie; nawet jeśli czuwanie trwa kilka dni i nocy, wartownicy nie mogą zasnąć. Grają wtedy, podobnie jak Chińczycy, w karty lub madżong. Kto zaśnie, mógłby się już nie obudzić. Są i inne przesądy: na przykład nie powinno się kichnąć w czasie czuwania przy zmarłym, bo to sprawi, że kichający może umrzeć jako następna osoba. Nie powinno się też sprzątać ani ścierać kurzu, bo to powoduje kichanie, a kichanie – wiadomo.

Trumnę z kościoła albo z kaplicy trzeba nieść głową naprzód, żeby duch zmarłego nie powracał. A kiedy rzuca się odrobinę ziemi na trumnę, to jeśli między zmarłym a uczestnikiem pogrzebu istniał jakiś spór, ten drugi spluwa w garść rzucanej ziemi na znak, że uraza zostaje pogrzebana wraz ze zmarłym. No a po pogrzebie lepiej z cmentarza wracać okrężną drogą, żeby jakiegoś zła nie przywlec ze sobą do domu.

Ilokanie w momencie wyprowadzania zwłok z domu zabijają ofiarnego kurczaka w drzwiach domu, wierząc, że jeśli duchy chcą zabrać jeszcze kogoś z tego domu, to zadowolą się życiem ptaka. Jeśli po odcięciu głowy kurczak wzbije się, skoczy lub pobiegnie, to znak, że duch zmarłego jest gotów do drogi w zaświaty. Jeśli jednak kurczak zwali się od razu na ziemię, to oznacza, że duch nie chce odejść, bo jakieś jego sprawy pozostają niezałatwione.

Krew kurczaka trzeba zebrać do naczynka. Jeszcze się przyda.

Kiedy zaczyna się czuwanie, Ilokanie zapalają ogień u wejścia do domu zmarłego, po tej stronie, z której ruszy kondukt żałobny. Ogień – *atong* – musi płonąć przez cały okres do pogrzebu, żeby zmylić złe duchy, a dobrym i żywym wskazać, że trwa czuwanie. Jedzenie, które otrzymują w tym czasie goście, jest specjalnie przygotowane dla żywych i dla duchów. Jedzenie dla duchów układa się na pękniętych naczyniach. Podaje się zielone banany saba i mięso kury, jeśli zmarła kobieta, lub koguta, jeśli to był mężczyzna. Mięso jest duszone nad ogniem. Kawałki wrzuca się do ognia, żeby duchy przodków przybyły zwabione zapachem. W przededniu pogrzebu zabijana jest świnia. Kawałki jej

serca, wątroby, żołądka, płuc i flaków zostawia się w ogniu i układa na stłuczonym naczyniu w zacienionej części kuchni.

Bliscy zmarłego w czasie czuwania nie myją się, w przekonaniu, że mogliby zachorować. Kąpią się dopiero po pogrzebie, w rzece lub wannie. Do wanny wrzucają monety, żeby odwrócić uwagę złych duchów.

Kiedy trumna opuszcza dom, wszystkie okna muszą być zamknięte, a po przekroczeniu progu trzeba ją obrócić kilka razy w prawo i raz w lewo, żeby duch nie odnalazł drogi. Wylewa się też na drogę krew ofiarnego kurczaka. Jeśli zmarły był wdowcem, potrzebna jest krew z dwóch kurczaków – dla niego i dla pierwszej żony.

Po pogrzebie, kiedy ludzie schodzą się na ucztę z kleistego ryżu i mięsa, kobiety dokonują rytuału *atang*. Na łożu zmarłego trzeba ułożyć świeże białe nakrycie, następnie w górnej części czarne prostokątne płótno, na którym najstarsza z krewnych usypuje z ryżu kształt krzyża. Na krzyżu układa pięć surowych jaj. Potem pięć kolejnych kobiet układa swoje dary: pierwsza rozlewa *basi* – wino z trzciny cukrowej, druga papierosy, trzecia orzechy betelu, czwarta liście betelu, piąta rozlewa wodę, a wtedy najstarsza ustawia na tym wszystkim zapaloną świecę. Całość wraz z czarnym płótnem palona jest w ogniu, a popioły starannie zebrane.

Kiedy wieczorem rodzina będzie szła nad rzekę, żeby dokonać rytualnego umycia włosów, użyją do tego popiołów na znak, że akceptują śmierć bliskiego i że są gotowi na to, co nadejdzie. Resztę popiołów zakopią przy brzegu.

Lud Sulod po sześciu miesiącach wydobywa kości przodków, myje je, owija w czarne płótno i składa pod okapem domu. Bagobo rzeźbią trumny w kształcie krokodyli, wierząc, że te gady ochronią zmarłych przed złymi duchami. Morscy Cyganie Badżawowie dają swoim zmarłym w ostatnią drogę lusterko, bo dzięki temu dusze ich bliskich będą mogły odnaleźć drogę do nieba. Dawni mieszkańcy wyspy Palawan chowali swoich zmarłych w ceramicznych dzbanach

w kształcie ludzkiej postaci płynącej na łodzi. Postacie miały malowane wiosła, żeby sobie poradzić na burzliwych wodach innego świata. Lud T'boli z Mindanao wierzy, że śmierć następuje dopiero wtedy, gdy duch przestanie nawiedzać ciało, a to trwa nawet kilka miesięcy. Ciało spoczywa w trumnie w kształcie łodzi i jest wciąż odwiedzane przez bliskich. Po minimum pięciu miesiącach trumna jest palona, a jeśli z wnętrza wydobywa się płyn, jest zbierany jako przydatny do dalszych rytuałów, bo jest znakiem dobrej śmierci oznaczającej przecież szczęście. Różnorodność obyczajów żałobnych, które znajdujemy na wyspach Filipin, jest niewyobrażalna. Na ponad 7 tys. wysp ludzie mówią niemal 12 językami. Każdy język to inna kultura, inne obyczaje, wierzenia, wartości. Nie sposób zgłębić zagadnienia w jednak podróżniczej opowieści, bo opisy wypełniłyby tę książkę w całości. Na zakończenie tego rozdziału wspomnijmy więc jeszcze tylko o trzech sprawach. Pierwsza jest w naszej, ekologicznej, epoce w jakiś sposób wzruszająca: Tagalogowie, druga pod względem populacji grupa rdzennej ludności Filipin, chowali swoich zmarłych w wydrążonych pniach drzew. Kiedy ktoś zapadał na trudną do pokonania chorobę albo słabł z powodu wieku, wybierał drzewo, a bliscy budowali mu obok niego chatkę, w której umierał, aby potem spocząć w pozycji wertykalnej w wydrążonej w drzewie dziupli.

Druga sprawa to powszechna na całym archipelagu wiara w przewodników dusz, którzy przeprowadzają zmarłych na tamten świat. Noszą różne imiona w opowieściach różnych ludów, ale ich obecność jest uznawana powszechnie, znani są nawet wśród filipińskich chrześcijan. Manduyapit jest przewoźnikiem dusz przez rzekę lub nawet przez morze. Podobną rolę odgrywa Badadum, chociaż on przewozi też z zaświatów nowe dusze, żeby mogły się narodzić. Mebuyan, kobieta o tysiącu piersi, opiekuje się w zaświatach duszami dzieci, kąpie je i karmi własną piersią. Są jeszcze trzej bracia opiekujący się duszą. Mają oni w różnych kulturach różne imiona, ale zawsze najmłodszy opiekuje się duszą przed jej narodzeniem, starszy pilnuje, żeby dusza urodziła się w zdrowym dziecku, a najstarszy rozmawia

z nią jeszcze przed narodzeniem o tym, kim chciałaby być za życia i jaką śmiercią umrzeć. W innych rejonach starszy brat opiekuje się ciężarną matką, a trzeci brat rozmawia z noworodkiem w czasie jego pierwszej nocy na ziemi, kiedy pamięta on jeszcze język zaświatów. Dziecko musi wtedy podjąć wszystkie decyzje dotyczące swojej przyszłości i śmierci. Jeśli ktoś wejdzie nagle i przerwie tę rozmowę, trzeci barat dusi dziecko i nie będzie ono miało szansy życia.

Tajemnicza głowa, przypominająca olmecką, na buddyjskim reliefie w zupełnie innej części świata, Borobudur, Jawa

Czy to przypadek, czy ślad przewodnika duszy? Dżungla Kinabatangan, Borneo

Ostatnia filipińska opowieść będzie o zmartwychwstaniu. Powiedzieliśmy, że niemal 80% mieszkańców archipelagu to chrześcijanie. Najważniejszym chrześcijańskim świętem jest Wielkanoc, a sposób, w jaki jest obchodzona, przyciąga do San Pedro Cutud, San Fernando, Paombong, Cebu City czy Carcar podróżników, turystów i fotografów z całego świata z siłą porównywalną chyba tylko do karnawału w Rio de Janeiro.

W Wielki Piątek ludzie idą boso po rozpalonych do białości ulicach i biczują się do krwi, żeby przebłagać za grzechy albo umartwić ciało w nadziei na ich wybaczenie, albo też żeby wypełnić zobowiązanie powzięte w chwili modlitwy. Ktoś ślubuje, że zrobi to, aby podziękować Bogu za wyleczenie bliskiego z raka. Ktoś inny – bo jego syn czy córka dostali się na studia. Niektórzy mają na głowach korony cierniowe, a inni niosą na ramionach krzyże, na których dadzą się powiesić tak jak Chrystus, w nadziei, że kiedyś tak samo jak on zmartwychwstaną.

Konferencja Biskupów Katolickich Filipin wydała przed kilkoma laty oświadczenie, że śmierć Chrystusa na krzyżu była aktem jednorazowym i wystarczającym do zbawienia świata, a powtarzanie jej nie jest potrzebne, ale nie przekonuje to ludzi, którzy dają się powiesić, i to kilka razy.

Kościół uznaje okaleczanie ciała z powodów innych niż zalecenia medyczne za grzech. Ale żaden z biczowników ani krzyżowanych nie chce tego słuchać.

Przedstawienia wielkanocne są popularne na całym świecie, w Polsce najsłynniejsze chyba Misterium Męki Pańskiej odbywa się w Kalwarii Zebrzydowskiej, lecz to, co oglądamy w San Pedro, to nie jest po prostu teatr. I to nie są żarty, ale ludzie dają sobie przebić dłonie i stopy za pomocą ośmiocentymetrowych gwoździ. Tyle że ich stopy mają oparcie, więc te kilka minut przeżyją. Jak stary jest obyczaj biczowania się w Wielki Piątek, nie wiadomo, ale pierwszym, który dał się ukrzyżować, był Arsenio Añosa. W 1961 roku postanowił dać się przybić do krzyża i czynił to jeszcze piętnaście razy, twierdząc, że dzięki temu rytuałowi posiadł zdolność uzdrawiania innych.

Nie da się stwierdzić, ile w tym prawdy, ale obyczaj szybko się rozpowszechnił.

W 1977 roku ukrzyżować dała się pierwsza kobieta, nastolatka Lucy Reyes. Twierdziła, że to Santo Niño, uważana za świętą figurka Dzieciątka Jezus z wyspy Cebu, kazało jej tego dokonać. Za jej przykładem poszło do dziś kilkanaście kobiet. Lucy Reyes też chciała zdobyć zdolność uzdrawiania. Dla większości krzyżowanych motywacją jest doświadczenie osobistego spotkania z Bogiem poprzez ból i naśladowanie Chrystusa. Takie motywacje deklarują Ramíl Lázaro, Angelito Manansala czy Jonny Manansala. Buboy Dionisio twierdzi, że co roku śni mu się Matka Boska podająca mu trzy wielkie gwoździe, którymi ma być przybity. Rolando Ocampo dał się ukrzyżować z wdzięczności za uratowanie życia swojej żony, która miała ciężki połóg. W 2009 roku w Kapitangan dał się przybić do krzyża John

Safran, australijski celebryta prowadzący telewizyjny show *John Safran vs God* poświęcony zagadnieniom, które nie mieszczą się w racjonalnym, materialistycznym oglądzie świata. Dał się na przykład przekląć i poddał się na wizji egzorcyzmom. Zdobył nagrodę dla najlepszego komediowego programu tv.

Najsłynniejszym ukrzyżowanym jest Ruben Enaje, cieśla z San Pedro Cutud. Dał się ukrzyżować trzydzieści trzy razy. Za pierwszym razem zrobił to, żeby podziękować za cud. Spadł z rusztowania, które budował na wysokości trzeciego piętra, i nic mu się nie stało. Nawet się nie zadrapał. Uznał, że jest coś winien Bogu. Kiedy okazało się, że ten fotogeniczny, przystojny mężczyzna potrafi opowiadać o swojej misji, stał się ulubieńcem dziennikarzy. Wtedy odkrył, że ukrzyżowanie może stać się narzędziem propagandowym. W 2016 roku modlił się za ofiary zamachów terrorystycznych w Brukseli, a w 2017 roku powiedział dziennikarzom agencji Reutera, że modli się za narkomanów, bo co prawda uzależnieni marnują swoje życie, ale ludzie powinni się za nich modlić, skoro czynią zło. W tym czasie prezydent Duterte rozpętał na Filipinach kampanię nienawiści wobec narkomanów i zaczęło dochodzić do samosądów. Zginęło kilka tysięcy ludzi. Prezydent, antyklerykał i krytyk Kościoła, odpowiedział, że jeśli w książce *Altar of Secrets: Sex, Politics, and Money in the Philippine Catholic Church*, którą właśnie czyta, jest słowo nieprawdy, to sam da się przybić do krzyża w Bulacan w najbliższy Wielki Piątek. Wielkanoc nadeszła, ale nie spróbował.

W miejscu, w którym wedle tradycji chrześcijańskiej zmartwychwstał Chrystus – w Jerozolimie na wzgórzu zwanym Golgotą – zbierali się od 33 roku wyznawcy Chrystusa, więc Rzymianie zbudowali tam świątynię Jupitera, żeby uniemożliwić obcym dostęp do tego miejsca. Kiedy Flavia Helena, matka cesarza Konstantyna, wyprawiła się do Jerozolimy w 326 roku i odnalazła tam krzyż oraz jego *titulus* z napisem *Iesus Nasarenus Rex Iudæorum*, jej syn, cesarz, sfinansował budowę świątyni. Przetrwała

prawie 700 lat. Kiedy Omar, wódz Arabów, zdobył miasto, kapłani zaprosili go do wspólnej modlitwy. Odmówił.

– Gdybym to uczynił, moi towarzysze uznaliby wasze święte miejsce za meczet – rozłożył ręce – i gdzie wy wówczas moglibyście się modlić?

Kora drzewa czy jednak oczy Basajauna, ducha olbrzyma z baskijskich lasów? Górna Nawarra, Hiszpania

Trzy i pół wieku potem kalif Al-Hakim zwany Szalonym zburzył przybytek, a papież wezwał Europę do krucjaty. Zdobywcy odbudowali świątynię, ale jej fasada wygląda bardziej na warownię niż na kościół – krzyżowcy najlepiej znali się na twierdzach.

Kalwaria znajduje się zaraz na prawo od głównego wejścia. Trzeba wspiąć się na pięterko stromymi schodkami. Nie ma już śladu skały, na której stał krzyż. Jest ikonostas greckokatolickiej kaplicy. Przed

dziesięcioma wiekami spoczęli pod tą skałą przywódcy krucjaty: król Baldwin i Gotfryd z Bouillon.

Tuż obok schodów z Kalwarii rzesze pielgrzymów klękają przed wielkim jak stół, wypolerowanym marmurowym blatem. To Kamień Namaszczenia. Niektórzy wierzą, że złożono tu ciało Chrystusa zdjęte z krzyża. Nie ma pewności, czy nie znalazł się w bazylice dopiero po pożarze z 1808 roku, ale przecież to wiara czyni go tym, czym jest.

Na lewo od tego miejsca pod wysokim sklepieniem wybudowano kaplicę na grobie, który Józef z Arymatei odstąpił Chrystusowi. Trzy czwarte należą do ortodoksów, jedna czwarta do Koptów. Trzeba stanąć w kolejce, zupełnie jak do kina. Chyba że przyjdzie się tu o świcie. Kiedy brodaty mnich dopiero wlewa olej do lamp oliwnych. Kiedy nie ma tu jeszcze tysięcy pielgrzymów i wycieczek. Kiedy słychać hymny. Po grecku, starocerkiewnemu, po łacinie i w staroegipskim języku Koptów. Kiedy do skały grobu można wejść samemu. Bez ochroniarzy. W czasie Wielkanocy wspólna komisja Żydów, Ormian i prawosławnych dokonuje kontroli Grobu Pańskiego. Sprawdzają, czy nie ma tam niczego, co mogłoby posłużyć do zapalenia świec – zapałek, zapalniczki, jakiegoś elektronicznego gadżetu. I niczego tam nie ma. Potem do wnętrza wchodzi w pojedynkę prawosławny patriarcha Jerozolimy. Trzyma w ręce cztery pęki po 33 świece. Świece zapalają się całkiem same. Od tego samego światła, które towarzyszyło pojawieniu się anioła w dniu zmartwychwstania.

Prawosławie uznaje Cud Świętego Ognia za dowód zmartwychwstania i najważniejszy ze wszystkich cudów świata.

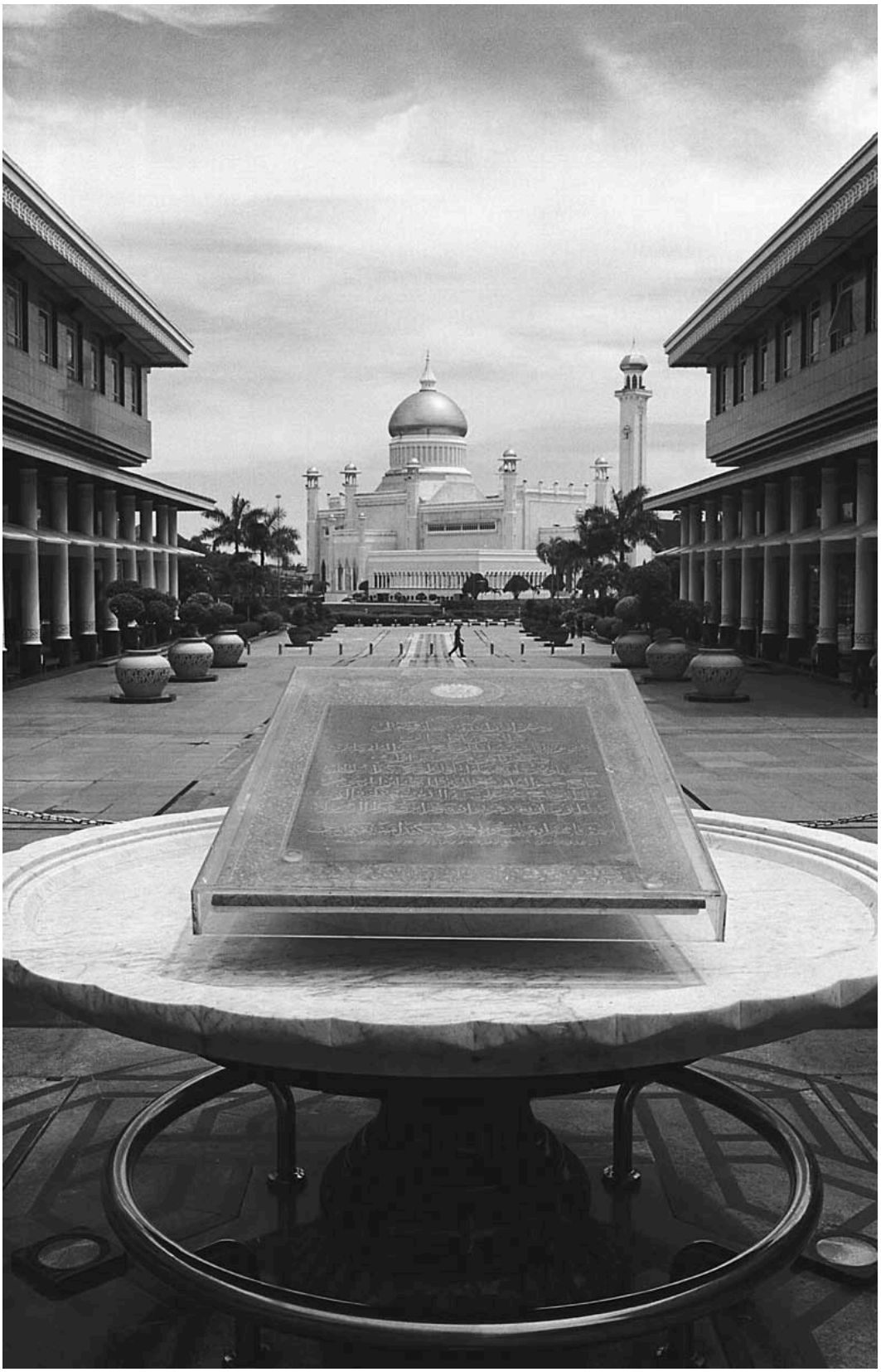

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W stronę Mekki

Wystarczy półgodzinny spacer, żeby z bazyliki dojść do Ściany Płaczu i wyżej, na wierzchołek Skały. Wiedzie do niej dziesięć bram. Brama Złota, ta od strony cmentarzysk, jest zamurowana, ale wszystkie inne są otwarte. Mimo to tylko muzułmanie mogą zobaczyć Skałę. Żydzi nie będą próbować. Przed wejściem na Wzgórze Świątynne wita ich ostrzeżenie podpisane przez rabinów: „Miejsce, do którego zmierzasz, jest tak święte, że człowiekowi nie wolno tam przebywać". Więc nie ustawiają się w kolejce do Bramy Al Maghariba – to przez nią wspinam się na górę, bo tylko ona dostępna jest dla tych, którzy nie są muzułmanami.

Najświętsze miejsce, Święte Świętych – Skała. To z niej Bóg ulepił Adama i Ewę, na niej Abraham miał złożyć w ofierze swego syna Izaaka, jak opowiadają Żydzi, czy też, jak twierdzą muzułmanie, jego starszego brata Ismaila (zresztą wedle innej tradycji miał go próbować składać w ofierze raczej w Mekce niż tutaj). To na niej zostały ślady Al-Buraka, konia Mahometa, odbite w niej w chwili, kiedy Prorok w 621 roku udawał się w swoją nocną podróż, gdy Archanioł Gabriel wyjaśnił mu sens ludzkiego życia i losy duszy ludzkiej wędrującej przed oblicze Stwórcy po śmierci.

W Skale znajduje się Studnia Dusz, miejsce, w którym zdaniem pobożnych Żydów miała swoje schronienie Arka Przymierza, a zdaniem muzułmanów – miejsce, z którego wychodzić będą ludzie po zmartwychwstaniu w dniu ostatecznym.

Jednym słowem, pomyślałem, że trzeba tam być.

Najpierw kontrola, czy nie wnoszę jakichś niebezpiecznych przedmiotów, a potem zadaszony drewniany podest na prawo od Ściany Płaczu wyprowadza mnie na dziedziniec przed meczetem Al-Aksa. Na lewo od niego Schody Umarłych, którymi będą schodzić w dniu ostatecznym, prowadzą do Kopuły na Skale – najsławniejszego budynku Jerozolimy. Obie świątynie wewnątrz mogą odwiedzić tylko muzułmanie.

– Chyba że masz zgodę muftiego Muhammada Husseina – tłumaczą palestyńscy policjanci.

Mufti ma swoją rezydencję na prawo od bramy Al-Ghawanima. Nie chcą mnie wpuścić, ale jestem uparty. Mufti nie chce mnie przyjąć, ale jestem cierpliwy. Wracam jutro. Wracam pojutrze. Widzi mnie. Wreszcie pyta, w jakiej sprawie.

– A... w sprawie wejścia do meczetu Skały. – Uśmiecha się i odsyła mnie do doktora Yousefa Al Natshiego. – Jeśli doktor pozwoli ci wejść, wejdziesz.

Posyła ze mną strażnika. Idziemy. Na dworze upał. Doktor ma biuro w siedzibie Autonomii Palestyńskiej przy Al-Quattanin. Biuro pełne książek. Po arabsku i angielsku. *Treasures of the Middle East, Fluent English* i *Stalin – Analysis of Facts* stoją obok siebie pośród dziesiątek tomów o Jerozolimie.

– Nie wpuszczamy obcych do naszych świątyń, dlatego że Palestyńczycy nie mogą tu przybyć. Nawet ci z Betlejem, choć to pięć minuty jazdy. Nie mogą przyjechać, bo we własnym kraju nie są wolni. Izrael zamknął nas w gettach – tłumaczy Natshi i dodaje: – jak Izrael mógł to uczynić po tym, co sam przeszedł w czasie wojny?

– Ale skoro nikomu nie wolno wejść do Świątyni Skały, skąd świat ma wiedzieć dlaczego?

– Mówisz „świątynia", dokładnie jak Izraelczyk. Ale to nie jest Świątynia. To meczet. Meczet Skały.

Stropiłem się.

A potem doktor zapytał o Boga. Długo rozmawialiśmy. W końcu powiedziałem, że Bóg jest jeden. Jak Jerozolima. Ale można tu przyjechać z Tel Awiwu albo z Betlejem. Drogi są różne, ale w końcu spotykamy się w tym samym miejscu.

– Okej – uśmiechnął się – możesz wejść.

I podpisał pozwolenie.

– Skała nakryta jest plandeką, bo trwa właśnie renowacja zabytkowych mozaik – wyjaśnia Abdullah, policjant, któremu mufti polecił rolę mojego strażnika i przewodnika.

Meczet Skały, Qubbat al-Sakhra, jest symbolem miasta. Złotą kopułę widać z każdego wzgórza. Na każdej pocztówce. Ale to właściwie tylko kopia oryginału. Rozprzedano go za długi kalifatu, obecny złoty dach to podarunek szejków z Zatoki.

– W tym miejscu Abraham o mało co nie zabił Ismaila – Abdullah unosi fragment plandeki – a tu widać ślady Mahometa. Do tego miejsca doszedł, a potem Dżibril wziął go do nieba.

W skale jest wydrążona jaskinia. Kilkanaście schodów. To tam stała Arka Przymierza. Muzułmanie ufają, że ze Studni Dusz wychodzić będą zmarli na sąd ostateczny. Teraz modlą się tu kobiety. Jest brązowo, pusto, czerwone modlitewne dywany. Najświętsze miejsce monoteistycznych religii. Nie czuję nic. Nie przenika mnie żadna moc, żadna siła.

Nocna podróż Mahometa, która zaczęła się od tej skały, opisana jest w siedemnastej surze Koranu i stanowi jeden z najważniejszych fragmentów tej księgi, bo Prorok słyszy w niej wykład porównywalny z Dziesięciorgiem Przykazań oraz wiele innych wskazań co do tego, jak powinien żyć muzułmanin, jeśli chce trafić do nieba, a nie w wieczny ogień, Gehennę, którą Bóg przygotował dla ludzi złych i dla niewiernych. Właśnie wtedy Prorok otrzymał pouczenie o tym, że muzułmanie powinni modlić się pięć razy dziennie, aby się odróżnić od synów Izraela. Wtedy też usłyszał o tym, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Najpierw jest długie oczekiwanie, bo wszystko rozstrzygnie się

dopiero w Dniu Zmartwychwstania. Każda dusza ma przywiązany do szyi swój los, a w dniu ostatecznym Bóg wyciągnie księgę, z której każdy będzie musiał odczytać swój los, jako wystawiony mu rachunek. Ten, kto idzie drogą prostą, idzie nią dla siebie samego, a ten, kto błądzi, błądzi na szkodę sobie samemu. Żadna dusza niosąca swój ciężar nie poniesie ciężaru innej duszy.

Nie ma ani słowa o adwokatach czy obrońcach. Ale Bóg podkreśla, że nie karał nigdy nikogo, zanim nie posłał mu ostrzeżenia i że jest łaskawy dla tych, co się nawracają. Kto był prawy w życiu, będzie prawy w życiu ostatecznym. Będzie czytać swoją księgę i nie zostanie mu wyrządzona niesprawiedliwość, nawet na grubość łupinki daktyla. A kto był ślepy, będzie ślepy jeszcze bardziej. Jemu już nic nie pomoże.

Zajrzyjmy najpierw w niebiosa. Muzułmanie mówią, że istnieje ich siedem. Wedle współczesnych interpretacji pierwszym niebem jest to, które widzimy nocą nad głową, ale ponad nim może znajdować się jeszcze sześć kolejnych wszechświatów, które być może będą kiedyś odkryte przez naukowców. Wedle tej starszej, metaforycznej, interpretacji w każdym niebie przebywają inni ludzie. W pierwszym niebie, pełnym wody, Prorok napotkał Adama i Ewę oraz aniołów niższych chórów anielskich. W drugim niebie, tym z masy perłowej, przebywali Jan Chrzciciel oraz Isa, czyli prorok Jezus. W trzecim, żelaznym, widział Józefa i Azraela, anioła zagłady. W czwartym, z białego złota, mieszkają Idris, Enoch i Anioł Łez Kasfiyā. W piątym, srebrnym, panem jest Aaron, a strażnikiem jest Maalik, strażnik dusz umęczonych w piekle. Oczywiście Maalik przebywa w piątym niebie po pracy. Szóste niebo, mieszkanie Mojżesza, jest całe ze złota. A siódme, zbudowane z boskiego blasku, to rezydencja Abrahama, który siedzi tam w cieniu świętego drzewa Sidraẗ al-Muntahā.

O tym, jak wygląda piekło, mówi szósty wers sześćdziesiątej szóstej sury Koranu. Ten oznaczony jako 66,6 – a to nie może być przypadek. Będzie tam straszny ogień. Strawą tego ognia będą ludzie i kamienie,

wokół niego będą stać aniołowie, ogromni, straszni, którzy nie buntują się przeciw rozkazowi Boga, lecz wypełniają to, co jest im nakazane.

Strażnikiem piekła jest Azrael, Malaikat Maut, Anioł Śmierci, ten, który ma pieczę nad ludźmi. Będzie on widział, jak grzesznicy skłaniają głowy przed Bogiem i wołają, że wszystko już zobaczyli i usłyszeli, więc mogą zawrócić, aby mogli czynić dobro, bo są przecież przekonani o prawdzie. A wtedy powie im, że gdyby tak miało być, to każda dusza dostałaby drogę prostą, ale prawdziwe jest słowo Pana, że napełni Gehennę dżinami i ludźmi.

W piekle grzeszni nie będą więc sami. Dżiny to trzeci, obok aniołów stworzonych ze światła i ludzi stworzonych z gliny, rodzaj stworzenia, które Bóg powołał do życia. Dżiny są zrodzone z ognia. Zdaniem badaczy islamu są one echem przedmuzułmańskich kultur ludów pustyni, które w VII wieku zaczęły przyjmować islam. Są dobre, przyjazne ludziom dżiny, ale są i złe – ghule i ifrity. One trafią do Gehenny. Jednym z dżinów jest Iblis, szatan, który próbował skusić Proroka, recytując mu fałszywe wersety Koranu o tym, jakoby Allah nie był jedynym Bogiem, jakoby istniały jeszcze Al-Lat, Al-Uzza i Manat – główne boginie w mitach Arabów, zanim przyjęli oni islam. Figurują w Koranie jako te, które są niczym więcej jak tylko czczym imieniem.

Dwie ostatnie sury Koranu to modlitwy o ochronę przed złymi dżinami i nieszczęściem, jakie mogą sprowadzić. Dżiny bowiem, w odróżnieniu od ludzi i aniołów, mają wolną wolę i mogą starać się o swoje zbawienie.

Złe dżiny mogą opętać ludzi i doprowadzić do ich śmierci i potępienia. Opętanie nie jest dla wyznawców islamu, zresztą podobnie jak dla chrześcijan, opowieścią z gatunku fantasy czy horroru, ponieważ sam Prorok i jego towarzysze wyrzucali złe duchy z ludzi, podobnie czynił też Chrystus.

W nowoczesnym islamie egzorcyzmy nie są popularne, traktowane są, podobnie jak w chrześcijaństwie, raczej jako tradycja z czasów przeszłych. Ale w niektórych tradycyjnych społecznościach panuje

przekonanie, że zły duch może opętać człowieka, który para się magią czy wzywa złego ducha, albo po prostu dżin jest złośliwy i sprawia mu przyjemność maltretowanie człowieka. Egzorcyzmy polegają na recytowaniu ostatnich dwóch sur Koranu i okadzaniu opętanego. Pije on też wodę z naczynia z namalowanym tekstem ostatnich dwóch sur: „W Imię Boga Miłosiernego i Litościwego, mów: Szukam schronienia u Pana jutrzenki przed złem tego, co On stworzył, przed złem ciemności, kiedy się szerzy, przed złem tych, którzy dmuchają na węzły, i przed złem człowieka zawistnego, w chwili kiedy żywi zawiść!".

Przed złem tego, co On stworzył.

Istnienie zła nie jest więc efektem ludzkiego nieposłuszeństwa, ale woli Boga. Tak samo jest ze śmiercią. Nie jest ona dla muzułmanów wydarzeniem szczególnie tragicznym, ponieważ jest wynikiem woli Allaha, a nie grzechu człowieka. Nie jest też, jak dla chrześcijan, przedmiotem targów z Bogiem (jeśli przeżyję, pójdę na pielgrzymkę albo ufunduję witraż, albo już nigdy nie będę pił czy cudzołożył). Dla wyznawców Proroka śmierć nie jest karą ani nagrodą. Nie ma z nią dyskusji i nie należy okazywać zbyt wylewnej rozpaczy, bo wolę Allaha należy szanować.

„Bóg prowadzi w zabłądzenie, kogo chce, i On prowadzi drogą prostą, kogo chce". Bóg decyduje o ludzkim losie. Ten fragment z siedemdziesiątej czwartej sury jest czasami powodem dociekań, dlaczego muzułmanie, w odróżnieniu od chrześcijan i żydów, nie kierują się wolną wolą. Sami wyznawcy Allaha uważają, że mają wybór. Mogą podążać drogą islamu – *hidaya*, wypełniając przykazania, przebywając w miejscach, gdzie gromadzą się ludzie pobożni, i czytając Koran, albo pozwolić sobie na błądzenie (*dalala*), żyjąc jak ludzie Zachodu między dyskoteką, Tinderem i Netflixem.

W myśli judaistycznej i chrześcijańskiej Bóg daje człowiekowi wolną wolę i od indywidualnych wyborów i postępowania każdego z ludzi zależy ich pośmiertny los – potępienie albo zbawienie. Wraz z wolnością wyboru Bóg obarcza człowieka odpowiedzialnością.

W islamie Bóg decyduje o tym, co jest dobre i złe, tak samo jak decyduje o tym, czy człowiek żyje, czy umiera. Człowiek może być tylko wierny albo niewierny, bo każde dobro, które spotyka człowieka, pochodzi od Boga. A każde zło, które go dosięga, pochodzi od niego samego.

Jeśli człowiek nie wypełnia woli Boga, nie ma już właściwie jak zmazać swego grzechu. Zwłaszcza jeśli został on popełniony przeciwko Bogu. Taki grzech – *dhanb* – jest niewybaczalny i po śmierci skazuje człowieka na potępienie. Niewybaczalne jest oszukiwanie, że się wierzy, niewybaczalna jest wiara w innych bogów albo niedostrzeganie oczywistych znaków boskiej obecności. Koran jest takim znakiem. Jest słowem Boga i nie wolno z niego drwić ani mu urągać, ani nie okazywać mu należnej czci. Nie wolno parać się magią, zabijać, zabierać rzeczy należących do sierot, pożyczać na procent, uciekać z pola bitwy i kłamać w sprawie czystości kobiet. No i nie ma, jak w chrześcijaństwie, szansy na przebaczenie poprzez wyznanie grzechów, ale jest droga zadośćuczynienia, oczywiście nie za grzechy ciężkie, tylko za pozostałe. Kto popełnia grzech przeciw Bogu, wedle interpretacji niektórych szkół islamu staje się kafirem, czyli niewiernym. Kto popełnia grzech ciężki albo zwyczajny, podlega prawu szariatu i można go ukarać za życia. Po śmierci Bóg wymierzy mu tę samą karę.

Niezależnie od tego, czy zmarły był człowiekiem grzesznym, czy też prawdziwie świętym, jego pogrzeb powinien nastąpić najdalej w ciągu doby od zgonu, ponieważ dłuższe pozostawanie duszy na ziemi utrudni jej odnalezienie drogi do raju. Skoro śmierć następuje z woli Boga, muzułmanie nie praktykują sekcji zwłok i dociekanie przyczyny zgonu ma miejsce jedynie w przypadku spraw tak ewidentnych jak zabójstwo. Przewożenie zwłok do innego miasta niż to, w którym nastąpił zgon, jest rzadkością i jedynie królowie i prezydenci państw, jeśli umrą na obczyźnie, mogą liczyć na to, że ich ciało trafi do rodzinnego grobowca.

Zwykłych muzułmanów czeka nie mauzoleum, ale pochówek ciała owiniętego w płótno wprost w ziemi i skromny nagrobek w postaci dwóch obelisków – wyższy u wezgłowia, niższy w nogach – oraz cienkiej

kamiennej płyty pomiędzy nimi. Jest na niej nazwisko zmarłego, ale czasami nie ma nawet dat jego narodzin i śmierci. Na obeliskach zawiązuje się białe wstęgi.

Grób skierowany jest oczywiście w stronę Mekki.

W krajach Zachodu muzułmanie często nie mogą z przyczyn obostrzeń sanitarnych chować swoich bliskich owiniętych jedynie w płótno, więc stosują trumny. Nigdy nie palą zwłok.

Nie przywiązują wielkiej wagi do grobów. Nie odwiedzają też zbyt często swoich cmentarzy zwanych mizarami.

Zupełnie inaczej rzecz ma się z mauzoleami oraz grobowcami świętych mężów – marabutów, które są celami pielgrzymek. Kiedy wspinałem się na wierzchołek Dżabal Tubkal w Atlasie, mijałem po drodze, wysoko w górach wychłostanych wiatrem i śniegiem, takie miejsca. Ludzie z całej północnej Afryki przybywają, żeby posiedzieć na ławeczce przed grobowcem. Drzwi są zawsze zamknięte, ale przez maleńkie okienko można zajrzeć do wnętrza i zobaczyć, że stoi tam jedynie gliniany nagrobek pomalowany na biało.

Najwybitniejsi mężowie stanu albo ludzie za życia otoczeni aurą świętości będą pochowani w mauzoleach, niejednokrotnie są to budowle o wybitnych walorach estetycznych. Mauzoleum Muhammada V w Rabacie to jeden z najdoskonalszych przykładów sztuki architektonicznej i zdobniczej w całej północno-zachodniej Afryce. Mauzoleum Burgiby widnieje na co dziesiątej tunezyjskiej widokówce. Meczet Husajna z kairskiego Starego Miasta uchodzi w muzułmańskiej tradycji za mauzoleum, w którym pochowana jest czaszka Husajna ibn Alego, choć nie wszyscy wierni podzielają tę opinię. Niektórzy sądzą, że czaszka Husajna, wraz z całą resztą jego świętego ciała, pochowana jest w mauzoleum w Karbali. Wspaniałe islamskie mauzolea odwiedzałem w Brunei czy Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Sercem pakistańskiego Karaczi jest Mauzoleum Narodowe z prochami Wielkiego Przywódcy, ojca założyciela pakistańskiej państwowości Muhammada Ali Jinnaha. W Iranie swoje mauzolea mieli zarówno

szach Reza Pahlawi, jak i ten, który przyczynił się do jego upadku – ajatollah Chomeini. Przed dwoma laty operator koparki porządkujący teren wokół meczetu Szah Abdul Azim, gdzie miał powstać nowoczesny kompleks Szahr-e-Raj, wykopał przypadkiem całun szacha Pahlawiego. Rząd Iranu potwierdził to wydarzenie, co wywołało wielkie poruszenie pośród irańskiej emigracji.

Wyznawcy islamu są, o czym często zapominamy, podzieleni między sobą zupełnie jak chrześcijanie, którzy jeszcze w XVII wieku toczyli między sobą niezwykle krwawe wojny religijne na terenie niemal całej Europy. Zniszczenie mauzoleum Pahlawiego to niejedyny taki przypadek, w 2012 roku dżihadyści spalili w Timbuktu grobowiec filozofa, świętego męża sunnitów Sidiego Amara. Był wpisany na listę światowego dziedzictwa. Talibowie uznali, że ludzie przychodzący się modlić na grobie Sidiego Amara popełniają grzech, bo prawdziwy muzułmanin modli się jedynie do Boga. I że żaden mąż nie może być święty.

Zdarza się, że swoje mauzolea mają także terroryści. Trzeba pamiętać, że jeśli ktoś zdaniem jednych jest terrorystą, to w opinii drugich może być bojownikiem o wolność. Jasir Arafat, z izraelskiego punktu widzenia bezsprzecznie terrorysta, który jako bohater narodowy stał się przywódcą Palestyny, swoje mauzoleum ma w Ramallah. Nie zapewniło mu ono wiecznego spokoju, bo kilka lat po śmierci pojawiły się podejrzenia, że jego śmierć nie była naturalna, ale mógł zostać otruty polonem.

W 2012 roku dokonano, wbrew muzułmańskiej tradycji, ekshumacji i zbadano pozostałości ciała. Agencja Al-Dżazira ogłosiła że prawdopodobnie Arafat naprawdę został otruty.

Nie musieli dodawać, że głównym podejrzanym był Izrael.

W głośnej książce *Droga do raju* izraelska dziennikarka Anat Berko przeprowadziła wywiady z zamachowcami samobójcami, którzy uniknęli śmierci, ale wylądowali w więzieniach, oraz z rodzinami tych, którzy zginęli w imię Allaha. Próbowała dociec, jak to możliwe, że

religijne przekonania potrafią skłonić ludzi do tego, żeby wysadzili się w miejscu publicznym, zabijając lub raniąc cywilów. Berko nie ocenia. Po prostu zadaje pytania i słucha. Abu Hilal, były terrorysta, który odszedł od radykalnego ugrupowania, wyjaśnia, że jeśli ktoś był za życia dobrym człowiekiem, w raju będzie miał większy grób. A kto wybierał zło, będzie bity przez aniołów. Gdy ktoś idzie do piekła, będzie pokryty ropiejącymi wrzodami, a drzewa z palącymi kolcami będą mu rozrywały wnętrzności. W niebie zaś czekają dobre rzeczy: owoce, pałace i dziewice. W raju są też rzeki płynące winem, miodem i jogurtem. Mężczyzna zamachowiec otrzyma w nagrodę siedemdziesiąt dwie dziewice, ale dziewczyna zamachowiec nie dostanie w nagrodę siedemdziesięciu dwóch prawiczków, bo w chwili, kiedy się wysadzi, części jej ciała zostaną rozerwane i inni ludzie zobaczą to, co mogą zobaczyć jedynie kobiety. Ale nawet jeśli była brzydka, w raju stanie się piękną hurysą, będzie miała białą skórę z przeświturającymi naczyniami krwionośnymi i czarne oczy. Nie będzie też musiała chodzić do toalety ani miesiączkować. Będzie przeczysta. Berko pisze, że kobiety w raju są zawsze dziewicami, bo po każdym stosunku ich błona dziewicza odrasta.

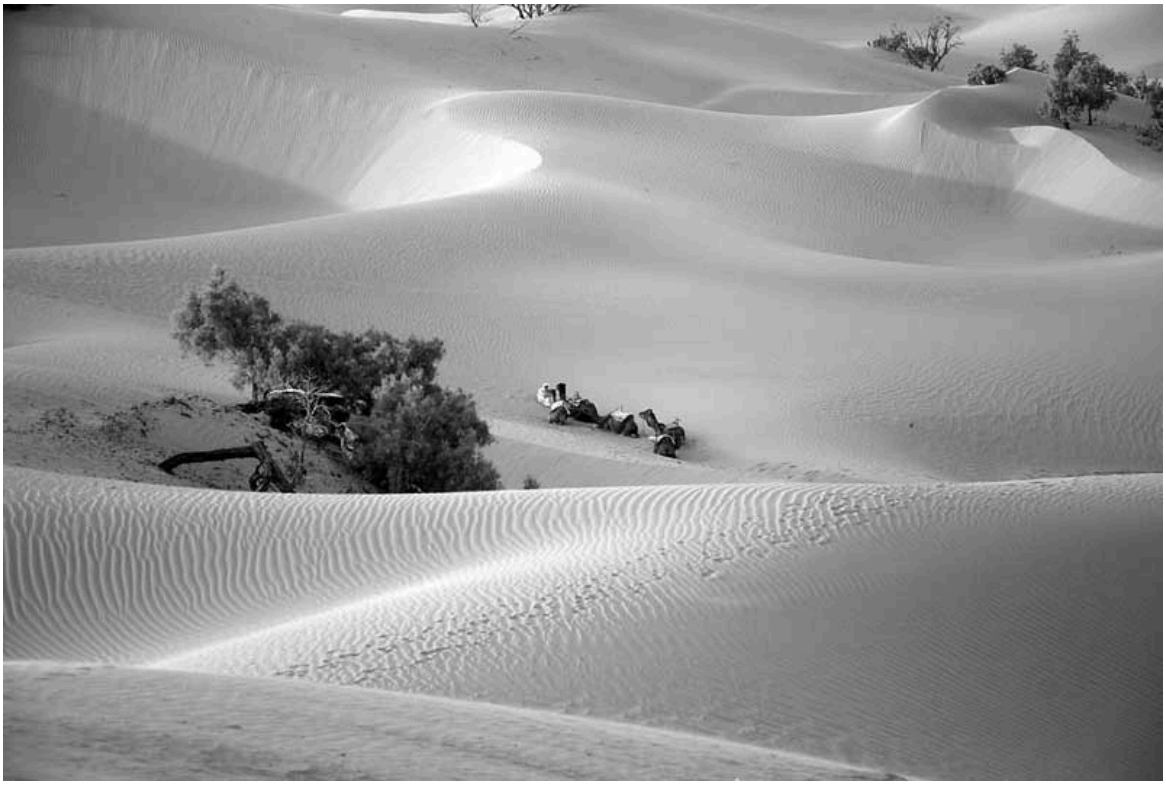

W wierzeniach muzułmanów obok ludzi i aniołów istnieją także dżiny – duchy pustyni, Erg Chigaga, Maroko

Studnia Dusz we wnętrzu Skały. Kiedyś stała na niej Arka Przymierza, a dziś góruje nad nią Złota Kopuła, Jerozolima, Izrael

Fundamentaliści nauczają, że ten, kto zostaje szahidem, jest oczyszczony ze wszystkich grzechów. Jeśli kobieta współżyje przed ślubem, albo nawet kolaboruje z wrogiem, albo robi makijaż, albo ubiera się jak kobiety Zachodu, ale wysadzi się jako żołnierz w świętej wojnie, to zostaje oczyszczona. Każdą hańbę można zmazać w ten sposób.

W raju jest wszystko, czego brakuje ludziom w codziennym życiu: miłość, woda, mnóstwo czasu na przyjemności, powszechny szacunek. Nie trzeba czekać w kolejkach ani przechodzić upokarzających weryfikacji w punktach kontrolnych między Zachodnim Brzegiem a Izraelem, żeby pojechać do Jerozolimy. Nikt nie choruje i nikt się nie męczy. Nie ma pustyni, są gaje oliwne.

Jechałem do Ramallah arabskim autobusem, bo te są tańsze niż izraelskie, a Palestyńczycy chętniej niż Izraelczycy rozmawiają z obcymi

w takich sytuacjach. Siedziałem obok starszego pana. Miał osiemdziesiąt lat i pamiętał czasy, kiedy nie było jeszcze tego ogrodu, w którym Żydzi sadzą drzewka dla Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

– Oni nie są stąd, to nie jest ich ziemia – powiedział.

– Jak to, przecież te drzewka to najwspanialszy sposób uczczenia pamięci o najdzielniejszych ludziach – powiedziałem. – Jestem z tego dumny, bo najwięcej jest tam drzew dla ludzi z mojego plemienia.

– Wybaczam ci, bo ty też tego nie rozumiesz. Tam przecież rosły drzewa oliwne, które miały po kilka tysięcy lat. Nikt, kto jest z pustyni, nie wycina oliwnych drzew. Przecież tak właśnie wygląda raj. Woda, spokój i cień oliwnych drzew.

Aby trafić do raju, muzułmanin musi przestrzegać pięciu przykazań, czy też, jak to się tłumaczy na polski, pięciu filarów islamu. Pierwszym jest *szahada*, czyli wyznanie wiary, że Allah jest jedynym Bogiem. Drugim *salat*, modlitwa, którą należy pięć razy dziennie o określonych porach odmówić z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. Dla muzułmanów czas jest w sprawach modlitwy wartością istotniejszą niż przestrzeń. Klękają tam, gdzie się znajdują w chwili, kiedy nadchodzi pora modlitwy. Nie muszą iść na nabożeństwo do świątyni jak chrześcijanie. Trzecim filarem jest *zakat* – jałmużna oddawana biedniejszym od siebie, czwartym – post w czasie ramadanu, a piątym – *hadżdż*, czyli pielgrzymka do Mekki.

Pielgrzymka ma także niejaki związek ze śmiercią, więc przyjrzymy jej się bliżej. Właściwie nie chodzi o to, żeby dotrzeć do Mekki, ale do Al-Kaby – tajemniczej budowli, która stanowi centrum islamskiej obyczajowości. Kiedy ludzie już dotrą do Mekki, modlą się z twarzą zwróconą do Al-Kaby, bo to ona jest w samym środku wszechświata. To wokół Al-Kaby zbudowany jest wielki meczet w Mekce i to wokół niej każdy pielgrzym musi odbyć wędrówkę, okrążając ją siedem razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Al-Kaba wspomniana jest w Koranie, który nazywa ją Domem Świętym.

„Oczyśćcie Mój Dom dla odprawiających okrążenia, dla tych, którzy pozostają w medytacji, i dla tych, którzy się pochylają i wybijają pokłony" – mówi święta Księga.

Kiedy pielgrzym będzie szedł dookoła Al-Kaby, spróbuje przesuwać się spiralnie ku samej budowli, aby przez ułamek sekundy dotknąć dłonią kamienia wmurowanego w jej ścianę. Tradycja muzułmańska stanowi, że kamień, hadżar, wmurowany w południowo-wschodni narożnik świątyni, został zrzucony z nieba, w czasie kiedy na ziemi żyli jedynie Adam i Ewa. Bóg zrzucił go, żeby w miejscu, w którym upadnie, Adam zbudował pierwszy ołtarz dla oddawania czci Bogu. Czarny kamień jest największą relikwią islamu. Żaden niewierny nie może go dotknąć, ani nawet zobaczyć. W czasach, kiedy posiadał go Adam, kamień był śnieżnobiały, ale Bóg sprawił, że każdy, kto dotknął jego powierzchni, stawał się oczyszczony, a jego grzechy były zapomniane. Dlatego dzisiaj jest niemal całkowicie czarny.

Ołtarz Adama został zniszczony w czasie potopu, ale Abraham odnalazł go w tym samym miejscu i wraz z synami wybudował Al-Kabę. W czasach przedmuzułmańskich Al-Kaba była wypełniona posążkami bóstw, w które wierzyli Arabowie. Prorok Mahomet rozbił je wszystkie, kiedy przybył do Mekki, i to był początek islamu.

Dziś Al-Kaba otwierana jest tylko dwa razy do roku, żeby najwybitniejsi muzułmanie mogli ją rytualnie posprzątać. W środku wyłożona jest marmurem. Wiszą tam fragmenty Koranu. Klucze do jej wrót od czasów Mahometa przechowuje ta sama rodzina – Bani Shaiba. Sam Czarny Kamień uległ rozbiciu w 683 roku w czasie oblężenia przez Umajjadów. Są dwie wersje – wedle jednej miał być wystrzelony z katapulty, żeby powstrzymać najeźdźców, wedle drugiej po podpaleniu Al-Kaby pękł na trzy części, symbolizując rozpad islamu na tradycje sunnickie, szyickie i sufickie. Był potem kradziony, oddawany, a kiedy powódź zwaliła budowlę, rozpadł się na więcej kawałków.

Nikt nigdy nie zbadał, czym jest. Może meteorytem, a może anielską skałą, którą przyniósł na ziemię Dżibril. Mija 1500 lat, odkąd na świecie

pojawił się islam, i nie wiadomo ile od czasów Adama, a kamień wciąż wysysa z ludzi grzech, czyniąc ich bielszymi niż śnieg i gotowymi do zamieszkania w raju.

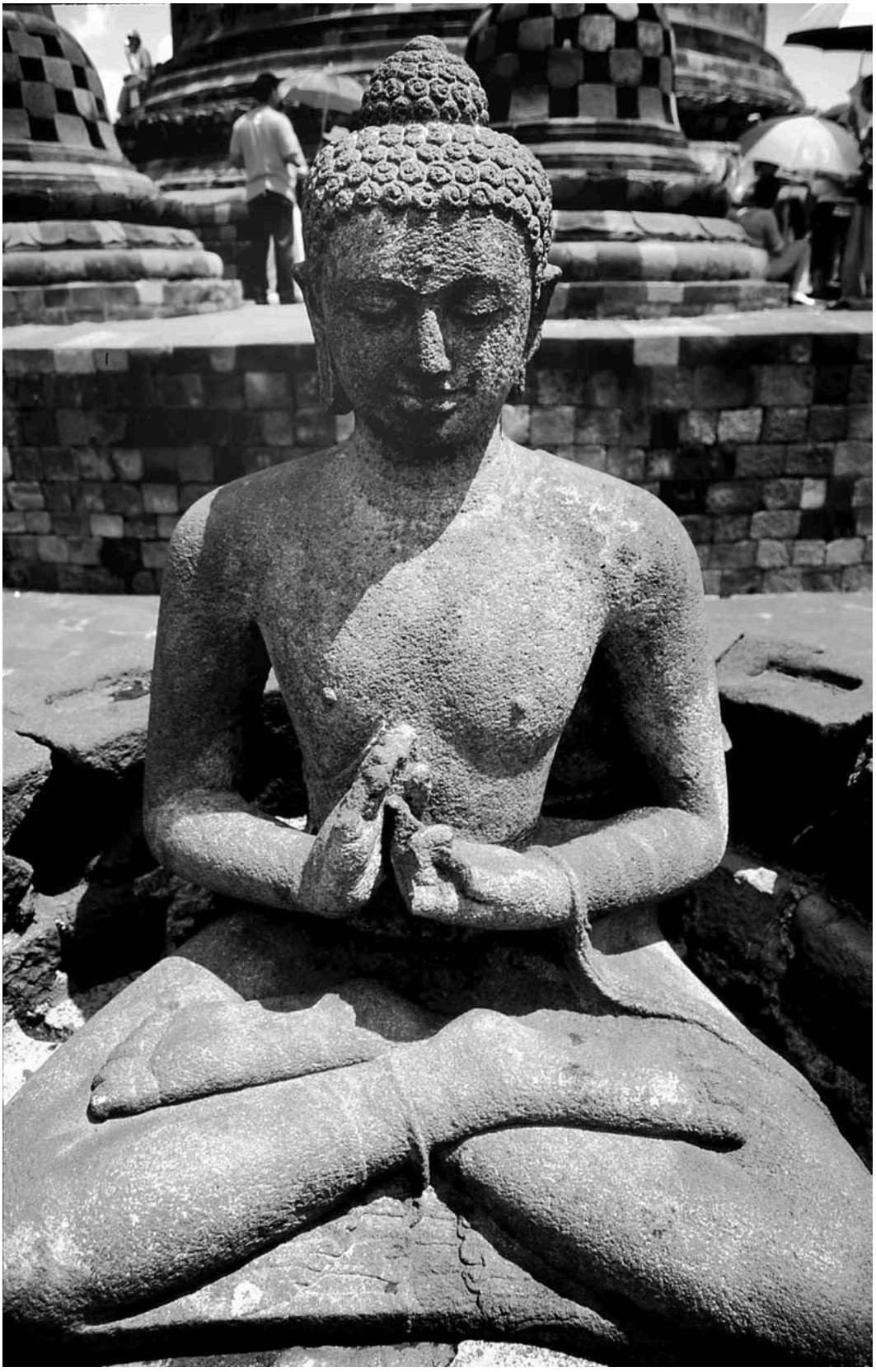

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Rozdziobią ich kruki, wrony

Nie byłem w Iranie, ale zdarzyło mi się podróżować z Irańczykami i okazali się wspaniałymi kompanami podróży, choć do dzisiaj nie wiem, czy naprawdę byli rodzeństwem, czy też parą kochanków pilnie wystrzegających się stawania przed obiektywem nazbyt blisko siebie, bo w epoce Facebooka i Instagrama nie mamy już żadnej władzy nad naszym wizerunkiem. Byli muzułmanami, ale pochodzili z ziemi wyznawców Świętego Ognia.

Nie byłem w Iranie, ale ich ziemia rozciągała się przecież w pradawnych czasach aż do brzegów Morza Kaspijskiego, do terenów, na których wieczny ogień płonie do dziś dnia. Słynna zoroastryjska świątynia Ateszgah u nasady Półwyspu Apszerońskiego kiedyś była odległą tajemnicą, do której jechało się konno cały dzień, a dzisiaj miejski autobus załatwia sprawę w trzy kwadranse z centrum Baku. Dziś to tylko muzeum, a święty płomień spod ziemi wydobywa się dzięki temu, że doprowadzono tam gazociąg, ale przecież przed 1,5 tys. lat płonął tu samoistnie gaz z podziemnych złóż. Wciąż można zobaczyć to zjawisko w Yanar Dag. Płomienie wprost z ziemi. Dokładnie tak, jak opisał je Marco Polo.

Czciciele Ognia, wyznawcy Mądrego Pana Ahury Mazdy, wyznają jedną z najstarszych religii na Ziemi, a radość życia jest jedną z ich obowiązkowych praktyk. Z Persji, dzisiejszego Iranu, wyparł ich po ponad 1600-letniej historii dopiero islam. Pozostało ich dziś niewielu, około 90 tys. między północnym Iranem a zachodnimi Indiami. Nie pozwalają, żeby wygasł ogień, modlą się, żeby Zły Angra Mainju nie

zwyciężył Dobra. Wierzą, że kiedy umierają, ich dusze stają przed sądem Ahury Mazdy dwa razy. Pierwszy sąd odbywa się tuż po śmierci i Bóg osądza wtedy myśli człowieka. Drugi sąd, ostateczny, osądza jego moralność. Po pierwszym sądzie, jeśli wypadnie niepomyślnie, człowiek musi cierpieć męki w ogniu piekielnym, ale nie na wieczność, lecz do chwili, kiedy Bóg uzna, że kara jest wystarczająca do zadośćuczynienia winie. W przypadku drugiego sądu jest podobnie. W końcu wszyscy i tak będą się cieszyć wieczną szczęśliwością w niebie.

Powinnością wierzącego jest ciężka i uczciwa praca, okazywanie szacunku starszym wiekiem, rangą lub lepiej wykształconym, poza tym powinien on być tolerancyjny, chętny do nauki i próbować negocjacji z wrogiem zamiast wojny. Może dlatego nie potrafili przetrwać w świecie, w którym islam walczył z krzyżowcami, a jedni i drudzy pragnęli nawracać każdego siłą?

Wyznawcy zoroastryzmu uważają żywioły za święte. Ponieważ uznają, że nie wolno zabrudzić ognia ani ziemi, nie mogli ciał swoich zmarłych chować w ziemi ani palić na stosie. Budowali więc *dakhma*, czyli wieżę milczenia. Po śmierci ciało było myte w łaźni, owijane w białe płótno i wynoszone przez *nasselara* na szczyt niewysokiej, ale umieszczonej zwykle na wzniesieniu budowli z płaskim dachem i schodami, na które wstęp miał tylko grabarz.

Ciało pozostawiano na wieży milczenia na pożarcie sępom. Konstrukcja wieży uniemożliwiała dostęp do niej innym zwierzętom. Na płaskim, okrągłym dachu były trzy strefy pogrzebowe – zewnętrzny krąg dla mężczyzn, wewnętrzny dla kobiet i ten położony najbliżej otworu w środku wieży – dla dzieci. Całość dziedzińca otoczona wysokim murem zapewniała całemu procesowi niezbędną intymność.

Po kilku dniach od pozostawienia zwłok *nasselar* wspinał się na dach z wiadrem wapna, zrzucał kości do środka wieży i posypywał je wapnem. Ani ogień, ani ziemia nie zostały zanieczyszczone. Dusza mogła spokojnie iść na pierwszy sąd.

Szach Persji zabronił pochówków zwanych tu powietrznymi na początku lat 70. XX wieku, uznawszy je za barbarzyńskie i niehigieniczne. Wyznawcy zoroastryzmu muszą chować zmarłych w ziemi jak muzułmanie. Aby oddzielić ciało od ziemi, która musi pozostać czysta, dół grzebalny jest najpierw wypełniany betonem.

Wieże milczenia wciąż można zobaczyć w miastach Isfahan i Jazd.

Zwyczaj powietrznych pogrzebów znany był nie tylko w Persji, lecz także w Tybecie, części Mongolii i zachodnich Chin. Wyznawcy buddyzmu Diamentowej Drogi – wadżrajany także pozostawiali swoich zmarłych na żer sępom. Taki pochówek nazywa się *dżhator*. Najpierw trzeba zasięgnąć porady astrologicznej co do czasu pogrzebu. Potem mnisi myją ciało, nacierając je przy okazji olejem, którego zapach ma być atrakcyjny dla sępów, bo gdyby nie chciały zjeść ciała, byłoby to uznane za zły omen dla przyszłego wcielenia. Śpiewają przy tym mantry. Następnie wynoszą ciało na odkryte miejsce w górach, wbijają w ziemię słupek, do którego przywiązują zwłoki, a potem nacinają skórę, żeby sępy mogły ją łatwiej porozrywać. Czasami ciało jest nacinane głębiej, żeby ptaki miały jeszcze łatwiejsze zadanie.

W tym czasie sępy zlatują się z okolicy, bywa, że jest ich tak dużo, iż trzeba je odganiać kijami. Kiedy mnich zakończy nacinanie zwłok, odchodzi, a wtedy ptaki pokrywają je całkowicie i w kilka godzin oczyszczają do kości.

Mnich odpowiedzialny za ten rytuał czeka.

Kiedy kości są już objedzone, odgania ptaki, miażdży kości, żeby uwolnić szpik, dosypuje do nich mąki i pozostawia ptakom.

W miejscu, gdzie dokonał się ten rytuał, pozostaje jedynie kamień z wyrytą na nim mantrą współczucia *Om Ma Ni Pe Me Hung*. Modlitwa Awalokiteśwary, tego, który ze współczuciem patrzy na świat. Tego, za którego inkarnację Tybetańczycy uważają jego świątobliwość dalajlamę.

Spotkałem XIV Dalajlamę Tenzina Gjaco w klasztorze Ki, w czasie rytuału kalaczakry. Siedział na Złotym Tronie i mówił swojemu ludowi o współczuciu. I o tym, żeby wyzbyć się gniewu. Przyjechaliśmy tam

z Kibber na dachu autobusu. Musieliśmy co chwila schylać głowy, bo z obu stron drogi z każdego możliwego miejsca zwieszały się linki z modlitewnymi chorągwiami. Zebrani siedzieli na trawie wokół klasztoru, a mnisi na dziedzińcu, wszyscy w jednakowych szafranowych szatach. Jeden z olbrzymiego czajnika nalewał wszystkim czarki herbaty. Wszedłem po schodach, pokazałem ochroniarzom swoją legitymację dziennikarską, przez którą miałem w Indiach mnóstwo wizowych kłopotów, a oni pozwolili mi wejść.

– Czego szukasz? – zapytał Dalajlama z tym swoim łagodnym uśmiechem, a ja zaniemówiłem, bo wydawało mi się, że wszystko mam. Dzisiaj byłbym o wiele mądrzejszy.

Do domu Tybetańczyków wchodzi się boso. Na podwórku zamiatanym każdego poranka bambusową miotełką wiatr toczy drobiny pyłu, układając go we wzory identyczne jak te, które sztorm wyszywa na morzu. Trzeba złożyć ręce i pochylić głowę, kiedy otworzą ci na powitanie grube drewniane drzwi koloru sadzy. Wraz z przybyszem wchodzą do środka pył i wiatr. Kamienny mur postawiony wokół domu nie jest w stanie go powstrzymać. Na podwórzu nie ma psa, obejścia pilnuje olbrzymi kozioł o kręconych, mocnych rogach. W dawnych wiekach, jeśli człowiek był chory, odprawiano rytuał *glud*: choroba przechodziła na kozła. A kiedy to się udało, składano zwierzę w ofierze. Dziś wciąż pali się na zdrowie kozły, ale już raczej ulepione z ciasta. W tybetańskim domu panuje ascetyczny porządek. Buty stoją przed wejściem jedne przy drugich. Stopy stawiasz na matach z bambusa i traw. Nawet zimą są wystarczająco ciepłe.

Hindusi wierzą, że Himalaje należą do Sziwy, który niszczy, bo przecież umrzeć trzeba, żeby zmartwychwstać. I do Durgi, jego małżonki, tej, która zabija demony. Dlatego hindusi przez całe tysiąclecia nie chodzili wyżej niż chmury. To kraina Tybetańczyków. Zanim poznali nauki Buddy, wierzyli w duchy i demony gór.

Niektórzy świadkowie tybetańskich pogrzebów pisali, że to zapewne z powodu ukształtowania terenu. Że trudno wykopać w skale grób albo

zbudować stos ciałopalny, bo przecież na płaskowyżu brakuje drzew i trzeba palić w piecu łajnem jaków suszonym na wietrze. Ale zdaje się, że to niepełna odpowiedź. Dla buddyzmu ciało nie stanowi, jak dla wyznawców trzech wielkich religii monoteistycznych, rekwizytu niezbędnego do zmartwychwstania. Jest tylko jedną z wielu powłok, które nosi dusza w czasie swoich kolejnych wcieleń.

Po 2,5 tys. lat od dnia, kiedy Siddhartha Gautama osiągnął nirwanę i stał się Buddą, jego nauki przybrały wiele form, pierwotny buddyzm therawady dotarł na Sri Lankę, do Tajlandii, Kambodży, Laosu i Birmy, Mahajany do Indii, zen i Nichirena do Japonii. Niektórzy buddyści nie uznają swojego systemu za religię, jako że sam Budda uważany jest za oświeconego, a nie za boga. I nie zbawienie czy zmartwychwstanie jest celem buddyjskiej drogi, ale wyzwolenie się z łańcucha wcieleń. Wyzwolenie się z pożądań, bo to one powodują cierpienie, i osiągnięcie nirwany dzięki podążaniu Ośmioraką Ścieżką słusznego działania. Dusza tkwi w sansarze – kole wcieleń, z którego może się uwolnić dzięki słusznemu postępowaniu zgodnie z prawem karmana – od czynów w obecnym wcieleniu zależy, czy kolejne będzie bliżej wyzwolenia, czy też regresem.

Buddyzm tybetański opisuje proces umierania niezwykle szczegółowo. Dzieje się to w ośmiu etapach, z których pierwszy, zjawisko mirażu, związane z żywiołem ziemi, polega na utracie sił cielesnych i poczuciu zapadania się w podłożu, kiedy to nie można zamknąć już oczu, ale wciąż widzi się zewnętrzny świat, aż do ósmego etapu – zjawiska przejrzystego nieba, kiedy to z niemal kompletnej ciemności dusza wkracza na moment w kluczowe dla buddyzmu doświadczenie Przeczystego Światła, celu istnienia, opisywanego jako wolny od wszelkich myśli stan natury buddy, bezwzględne, wolne od wszystkiego poczucie szczęścia i spełnienia. Nic nie przesłania tego światła, bo nic poza nim samym nie jest jego istotą.

Potem dusza traci tę wizję i opuszcza stan *chonyid bardo*, chyba że osiągnęła stan nirwany i może się w Przeczystym Świetle roztopić.

Można to rozpoznać, jeśli człowiek umiera otoczony tęczową poświatą, a w chwili jego śmierci ciało znika całkowicie, roztapiając się w świetle. Pozostają po nim jedynie włosy i paznokcie.

Jeśli dusza nie osiągnęła nirwany, to w ciągu najbliższych czterdziestu dziewięciu dni pozostaje w stanie *sidpai bardo*, czyli stawania się na nowo w łonie matki lub np. we wnętrzu jaja, jeśli istota ma się odrodzić jako ptak. W tym czasie dusza widzi inne dusze przebywające w stanie bardo. W tym czasie mnisi recytują zmarłemu Tybetańską Księgę Umarłych, żeby rozumiał, co się z nim dzieje, i potrafił odrodzić się we wcieleniu lepszym, niż to, które posiadał poprzednio.

Księgę Umarłych badał szczegółowo Carl Gustaw Jung, odnotowując, że chwila śmierci jest najwspanialsza – dusza się wyzwala, aby odrodzić się fizycznie w czterdzieści dziewięć dni później. W chwili śmierci człowiek staje się częścią umysłu Buddy. Potem dusza poruszona spotkaniem ze stanem światłości musi na nowo nauczyć się doświadczania rzeczywistości i rozróżniania dobra i zła, tego, co cenne i co bezwartościowe. Wtedy wchodzi w stan Sidpa, czyli bardo szukającego odrodzenia, kiedy dusza przyciągana jest do kochających się par, aż w końcu skupia się na jednej, którą wybiera do swego odrodzenia.

Czasami na ciele zmarłego mnich pozostawiał ślad wykonany węglem lub solą. Pieprzyk. Dzięki temu, że pojawiał się w tym samym miejscu na skórze noworodka, buddyści potrafili rozpoznać nowe wcielenie.

O tym, w jakim wcieleniu odrodzi się człowiek, decyduje bilans złych i dobrych uczynków w chwili śmierci. Najważniejszym przykazaniem jest unikanie przemocy wobec ludzi, co niektórzy rozciągają na wszystkie żywe stworzenia. Nie wolno też sięgać po to, co nie zostało podarowane. Nie wolno kłamać i dobrze jest unikać rozwiązłości. Dobrze jest również gromadzić zasługi.

W Kibber, jednej z najwyżej położonych miejscowości w Himalajach, przez całe stulecia nie było wody innej niż ta gromadzona ze śniegu i lodu w kamiennych cysternach lub przywożona z dołu, ze źródeł przy 1000-letnim klasztorze Ki, 11 kilometrów ścieżką w jedną stronę. Czterdzieści lat temu jeden z lamów z Ki szykował się na śmierć.

– Kiedy umrę, spalcie moje ciało i rozsypcie moje prochy w Kibber – poprosił.

Nawet jeśli inni lamowie się dziwili, nie dali tego po sobie poznać, bo to był mądry i dobry człowiek. Spalili go, zebrali do garnka, wyszli pod przełęcz, pod którą kryje się wieś, i wysypali prochy. Kiedy spadły na kamienie, trysnęło źródło.

Dziś stoi na nim stupa obłożona kamieniami modlitewnymi i obwieszona chorągiewkami. Zawsze kiedy rozmawiam z ludźmi, którzy myślą inaczej niż ja, przypomina mi się, że choć nie jestem buddystą i nie muszę wierzyć w ich opowieści, to jednak piłem wodę ze źródła w Kibber.

Poza Tybetem i niektórymi obszarami Mongolii buddyści poddają ciała swoich zmarłych kremacji.

W Japonii najpierw obmywa się usta zmarłego wodą, to jego ostatni łyk wody na ziemi, a potem przygotowuje go do ceremonii pożegnania. W miastach przyjaciele i rodzina przychodzą do domu pogrzebowego, ale na wsiach wciąż praktykuje się pożegnanie w domu. Ciało złożone jest w kremacyjnej trumnie wypełnionej od spodu lodem, aby nie postępował rozkład. Ubrane jest w kimono, ale jego poły założone są odwrotnie, niż robi się to za życia, czyli prawa strona na lewą. Goście przynoszą dary – zwykle pieniądze w specjalnych żałobnych kopertach. Pożegnanie trwa dwa dni. Nocą odbywa się wspominanie zmarłego przy sake. Najbardziej poruszającym japońskim obyczajem żałobnym jest *kotsuage* – po kremacji najbliżsi przenoszą niespopielone kości zmarłego do urny za pomocą specjalnych pałeczek o długich trzonach. Pałeczki powinny być wykonane z dwóch różnych rodzajów drewna na znak rozdzielenia świata żywych i świata umarłych. Jeśli rodzina jest

duża, podają sobie kolejno fragmenty kości, żeby każdy mógł się pożegnać osobiście. Jeśli fragment kości jest zbyt duży, żeby przenieść go za pomocą pary pałeczek, ludzie czynią to wspólnie na znak jedności żyjących i przodków. Dzieci też biorą udział w tym rytuale. Przenoszenie kości czaszki pozwoli im być mądrzejszymi. Kości ramion dadzą młodym ludziom siłę.

Świat duchowy jest Japończykom bardzo bliski; mimo że żyją w ultranowoczesnym świecie, wiekowe rytuały pozwalają im zachować własną tożsamość. Urna z prochami bliskiej osoby zostaje ustawiona w domowym ołtarzu na okres pięćdziesięciu dni, a potem przeniesiona do grobowca. Ponieważ ceny nieruchomości są astronomiczne, dziś w miastach coraz częściej buduje się cmentarne apartamentowce, gdzie miejsce na urnę można wykupić na jednym z niezliczonych pięter, a w ofercie są dodatkowe opcje – na przykład wyświetlanie na ekranach zdjęć zmarłego, kiedy przyjdzie się z odwiedzinami do jego prochów, przynosząc kadzidło, smakołyki i wódkę. Dwie buteleczki. Jedną zostawiamy zmarłemu, drugą pijemy sami.

Japończycy obchodzą własne Święto Zmarłych – to O-bon, zwany Festiwalem Lampionów. Porządkują wtedy groby, lecz istota święta jest inna niż chrześcijańska. Nie chodzi się na groby odwiedzać swoich zmarłych, ale to zmarli przychodzą tego dnia, żeby odwiedzać swoich bliskich w domach, które niegdyś zamieszkiwali.

Resztki kości objedzonych przez sępy, Park Narodowy Krugera, Republika Południowej Afryki

Półki z urnami z prochami przodków w jednej z buddyjskich świątyń, Szanghaj, Chiny.

Japoński obyczaj łączy tradycje buddyjskie oraz shinto, stąd nieco odmienne rytuały obowiązują w Kraju Kwitnącej Wiśni. Buddyjskie tradycje, inne niż w Tybecie, możemy zaobserwować w krajach Azji Południowo-Wschodniej – Laosie, Kambodży, Birmie czy Tajlandii.

W Tajlandii praktykuje się rytuał obmywania wodą. Tradycyjnie obmywano całe ciało, ale zdarza się, że obmywa się symbolicznie tylko dłoń zmarłego. Woda jest symbolem życia. Nie można jej zatrzymać. I nic z niej nie pozostaje, kiedy wysycha. Tajowie praktykują też przed kremacją publiczne pożegnanie, kiedy zmarły wystawiony jest w trumnie w świątyni. Uroczystość ma zdecydowanie radosny charakter, muzyka, która jej towarzyszy, to raczej hałaśliwy pop, a nie marsze żałobne. Wynika to z przekonania o nietrwałości ciała i jego odrębności od umysłu czy ducha szykującego się do kolejnego wcielenia.

O dacie kremacji, jak we wszystkich buddyjskich światach, decyduje astrolog. W przypadku osobistości życia publicznego może się zdarzyć, że data będzie dość odległa od daty zgonu, co pozwoli na przygotowanie bardzo okazałej ceremonii. Kiedy w 2010 roku płonął stos żałobny Chana Kusalo, opata klasztoru Chedi Luang, to czcigodny mnich nie żył już od prawie osiemnastu miesięcy. Najbardziej okazałe są pogrzeby królewskie. Ciała władców wystawia się w specjalnie udekorowanych świątyniach. Umieszczone są w ceremonialnych urnach wbudowanych w potężne, przypominające ołtarze, wielobarwne, kipiące złotem konstrukcje pełne metaforycznych i symbolicznych odniesień.

Ołtarz to pięciokondygnacyjna konstrukcja zbudowana tak, żeby umożliwić płynom powstającym z rozkładu zwłok spływanie do specjalnie przygotowanego, ukrytego zbiornika. Płyny te są spalane w osobnym obrzędzie.

Mnisi przez cały czas obecni są w świątyni, odprawiają niezbędne rytuały. Jeszcze w XIX wieku wszyscy poddani musieli w czasie żałoby chodzić w białych szatach i z ogolonymi głowami, ale dzisiaj wystarcza ogłoszenie żałoby narodowej i opuszczenie flag do połowy masztów.

Kiedy nadejdzie dzień wskazany przez astrologów, buduje się władcom stos pogrzebowy, często bardzo wysoki, skonstruowany na kształt fantastycznych stworzeń. Ciało podróżuje na miejsce spopielenia w pielgrzymce przez ulice Bangkoku we wspaniałym rydwanie pogrzebowym – to rodzaj pojazdu o niezwykle rozbudowanej, nasyconej symboliką konstrukcji bez własnego napędu. W XIX wieku umieszczano na nim urnę, w nowożytnych czasach raczej trumnę, w której wystawiany był czcigodny nieboszczyk.

Rydwan jest ciągnięty przez tłum, czasami nawet setkę starannie wyselekcjonowanych osób. Rydwan Bhumibola Adulyadeja, króla Ramy IX, ciągnęło 216 mężczyzn.

Widziałem te królewskie rydwany pogrzebowe w Muzeum Narodowym w Bangkoku. Ociekające złotem, rzeźbione w fantastyczne stwory, pochodzące bardziej ze świata baśni, opery czy fantastycznego

filmu niż z naszego świata. W krajach Azji Południowo-Wschodniej buddyzm wchłonął wiele z khmerskich obyczajów, więc król uważany jest za bóstwo.

Królewskie szczątki ciągnięte przez ludzką ciżbę podążają w kierunku *merumat* – mieszczącej stos pogrzebowy okazałej budowli, wzorowanej na kształcie góry Meru. To mityczna góra o zboczach ze złota tak stromych, że żaden śmiertelnik nie jest w stanie się na nią wspiąć. Na jej wierzchołku mieszkają bóstwa hinduistyczne i buddowie.

Wedle mitologii stoi w nieskończonej przestrzeni obmywana falami komicznego oceanu, ale niektórzy badacze sytuują ją gdzieś w Pamirze. Może to Tien-szan, którą widziałem kiedyś w czerwonym świetle zachodzącego słońca – wyniosłą, chłodną, obojętną na wszystko, nieskończenie piękną i w jakiś sposób kobiecą?

Pamir – serce centralnej Azji, ziemia pradawnych koczowników, którzy w swojej wojennej kampanii potrafili dotrzeć aż do środkowej Europy, wyjadając spod siodeł swoich koni ich żywe mięso i pokonując wszystkie napotkane armie z tą złożoną z najsłynniejszych rycerzy zachodniego świata włącznie.

Być może Pamir był dla buddystów jakąś mityczną krainą na krawędzi wszechświata, może docierali tu, niosąc swoje posłanie, może nawet udało im się posiać ziarno wiary w wędrówkę dusz w poszukiwaniu stanu wolnego od cierpienia, ale dzisiaj panuje tu niepodzielnie islam. Ale nie jest taki sam jak w Arabii czy krajach Maghrebu. W tradycji koczowniczych ludów Kazachstanu czy Kirgistanu tlą się jeszcze ognie z czasów, zanim Prorok spotkał anioła Gabriela i budowało się przodkom kurhany.

Kiedyś wybrałem się z przewodnikiem na konną wyprawę na pewną tutejszą górę, nieco ponad 4 tys. m n.p.m. Na miejscowe warunki niewiele, ale było tak, jakbym próbował wjechać konno może nie na Zawrat, ale na Świnicę na pewno. Bałem się, choć koń miał specjalne siodło z dwoma bardzo wysokimi łękami i chodził po tych wąskich,

stromych ścieżkach od źrebaka. Konie mają to do siebie, że kiedy się boją, uciekają coraz wyżej. A my musieliśmy też zjechać.

W najbardziej stromych miejscach Tasztanbek zsiadał ze swego konia i mówił do mojego, przytrzymując go za ogon. Jego koń szedł bez lęku. Na przełęczy rozmawialiśmy o Bogu. Nie było między nami równości. Ja, z Zachodu, nieźle oczytany, bywały w stu krajach, nie w *all inclusive*, ale w prawdziwej drodze, i on z maleńkiej kirgiskiej wsi nad zielonym jeziorem pośród olbrzymich gór. On znał Biblię i mógł mnie zapytać o konkretne sprawy. Ja nie znałem Koranu i mogłem tylko słuchać o tym, jaki jest Bóg i jaki nie jest.

Nie śmiał się ze mnie, kiedy odkrył, jak mało wiem. Okazanie szacunku innym to jedna z najważniejszych spraw w obyczajowości tych dzielnych ludzi.

W ich żałobnych rytuałach jest tak samo: najważniejsze jest okazanie szacunku człowiekowi, który żegna się ze światem. Chodzi o to, żeby był pewien, że nie jest sam. Że jest widziany.

Pamiętam, jak w innym miejscu, nad jeziorem Songköl, pośród zielonych bezdrzewnych wzgórz ściętych pierwszym przymrozkiem, piliśmy kumys i zwyczajny, rosyjski samogon i rozmawialiśmy o życiu, wierze, miłości i przeznaczeniu. Mój gospodarz powiedział, że żadne ludzkie życie nie może być uznane za dokonane, dopóki nie będzie opowiedziane. Że oni, kiedyś, dawno temu, nie znali pisma, więc po prostu musieli nauczyć się opowieści na pamięć. Nie można umrzeć, póki nie znajdzie się ktoś, komu opowiesz swoje życie.

Wtedy zrozumiałem, że to moje powołanie. Że to ja jestem tym, który słucha opowieści.

Kiedy umiera człowiek stepu, wzywają mułłę, żeby siedział z nim w tej godzinie i głośno się modlił, bo wtedy człowiekowi łatwiej jest odejść. A kiedy odejdzie, bliscy myją jego ciało i układają je, owinięte w białe płótno, we wnętrzu jurty, oczekując na przybycie wszystkich, którzy zechcą oddać mu cześć. Nigdy nie pozostawia się ciała zmarłego

w samotności. Nie trwa to długo, bo muzułmańska tradycja nakazuje pogrzeb tego samego dnia albo najdalej w ciągu doby.

Po pochowaniu ciała w ziemi ustawia się na nim flagę z proporcem, który informuje o wieku zmarłego. Młody człowiek ma na grobie czerwoną flagę, czarna należy się temu w średnim wieku, a komuś, kto dożył późnej starości – biała. Po pogrzebie, kiedy trwa uczta dla gości, członkowie rodziny strzygą grzywę ulubionego konia zmarłego i obcinają mu ogon.

Kiedyś ogon konia musiałby być pochowany razem ze swoim panem.

Rok po pogrzebie wspólnota schodzi się na większe święto. Odbywają się wtedy zawody konne, zabija się konie na ucztę. Ich kości zostają czasem ułożone na grobie zmarłego.

Zanim nomadowie z bezkresnych stepów środkowej Azji stali się muzułmanami, chowali swoich bohaterów w olbrzymich kurhanach – obłożonych kamieniami grobowcach ziemnych o wysokości do kilku metrów i średnicy dochodzącej nawet do dziewięćdziesięciu. W pobliżu miasta Jesyk, pięćdziesiąt kilometrów od Ałmatów zachowała się nekropolia licząca sobie czterdzieści pięć takich mogił. Najsłynniejsza z nich, grobowiec Złotego Człowieka, choć wielokrotnie ograbiany, i tak dostarczył archeologom dość materiału, żeby odtworzyć kompletną zbroję wojownika sprzed 1,5 tys. lat. Ma ona nagolenniki i wysoki, szpiczasty hełm ze stylizowanymi skrzydłami.

Kurhany są jedynym świadectwem, które pozwala naukowcom odtworzyć styl życia pradawnych nomadów, bo nie znali oni pisma, nie budowali miast ani dróg, ani kamiennych domów i niewiele pozostało materialnych świadectw ich istnienia. Byli niezwykle biegli w obróbce metali, złote figurki zwierząt znajdowane w grobowcach to dowód najwyższego kunsztu. W jednym z nienaruszonych kurhanów odnaleziono zwłoki młodego jeźdźca, pochowane wraz z ciałem starszej kobiety (naukowcy przypuszczają, że to jego matka), która miała towarzyszyć wojownikowi w zaświatach. Wokół ich ciał leżały kości

trzynastu koni – osiodłanych i przystrojonych w drewniane maski z długimi, karbowanymi rogami.

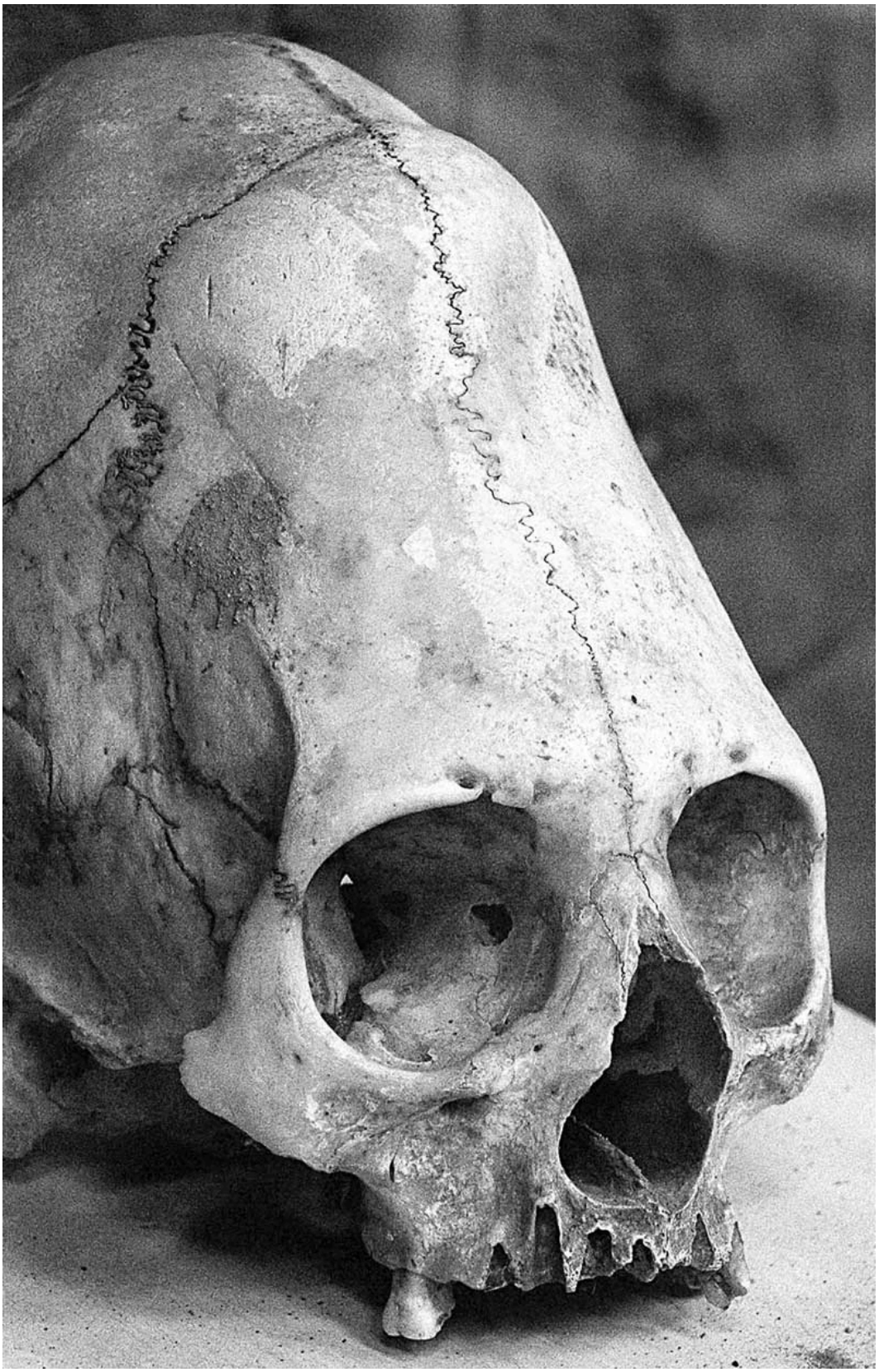

ROZDZIAŁ OSTATNI

Czyli ostatnie słowo

Do Pueblo jadę autostopem, żeby zobaczyć cmentarze Wari. Wojownicy tego ludu zabierali do własnych grobów czaszki swoich wrogów, a wcześniej nosili je przy sobie albo nadziewali na żerdzie w geście tryumfu. Byli próżni. Nie tylko oni, bo już w V i VI wieku naszej ery czaszki wrogów jako własne trofea zabierali z pola bitwy ludzie Nazca. Niewykluczone, że Wari i Nazca czcili tych samych bogów.

– To jak, mister, zobaczyć czaszka? – Pan bileter chce się zaprzyjaźnić, bo jak wynika z wpisów w jego zeszycie, jestem tu dziś jedynym gościem.

– Jaką czaszkę?

– No czaszka. Ludzie przyjeżdżają tu, nie żeby patrzeć ruiny, tylko żeby czaszka. *The other skull* mówią o niej, obca czaszka.

– No dobra, prowadź pan.

Otworzył mi pawilon z ekspozycją glinianych skorup z niesamowitymi rysunkami. Tak. Zaiste, lubili piękne przedmioty. Ale nie zatrzymaliśmy się nawet na chwilę, bo machał na mnie ręką i parł do przodu jak dziecko do waty cukrowej.

– Widzisz pan? Obca Czaszka.

Stała tam pośród kilku innych czaszek. Bez żuchwy. Z górnych zębów ostały się jej tylko czwórki. Ale nie to było ważne. Miała wydłużony, wielki czerep. Nie okrągły jak u zwykłego człowieka. Stożkowaty. Wydłużony ku potylicy. Obcy. Jak z filmu o Indianie Jonesie

i kryształowej czaszce, ale ta nie była z kryształu. Była z kości. Miała ją na karku żywa istota.

Czytałem, że Wari, podobnie jak ludzie kultury Tiwanaku, sadzali swoje niemowlaki w kręgu i patrzyli, który pierwszy stamtąd wypełznie. Ten, czyli najsilniejszy, miał być wodzem. Dostawał inne jedzenie, uczył się innych rzeczy niż pozostałe dzieci. I miał mieć jako dorosły stożkowatą czaszkę. Żeby zmienić jej kształt, Wari oplatali ją bandażem. Podobno ludzie o długich, stożkowatych czerepach byli mądrzejsi. Ale zwolennicy teorii o starożytnych astronautach wiedzą swoje i dlatego przyjeżdżają do Pueblo. *The other skull* to ich zdaniem czaszka obcego.

– Zrobię jej zdjęcie.

– A w życiu! – obrusza się pan bileter. – Tu nie wolno. Kto wie, co wyjdzie z takiej czaszki, jak się w nią błyśnie.

– A bez lampy?

– A za pięć soli?

– Okej. Masz pan pięć soli, ale za pięć zdjęć.

– Ale tylko jedno z czaszką.

Pan bileter wie, że zdjęcia śmierci to dobry interes.

Jest ich w mediach mnóstwo. Wylewają się z internetu jak zdjęcia kotów i niemowlaków. Stały się już tematem reklam. United Colors of Benetton pokazał zdjęcie umierającego na AIDS Davida Kirby'ego. Korporacja tłumaczyła, że chodziło o nagłośnienie problemu społecznego, a nie o skandal.

W 2013 roku w reklamie domu pogrzebowego Nishinihon Tenrei pojawił się kościotrup zbudowany z bratków, róż i paproci. Polski portal mementis.pl reklamuje swoje usługi pogrzebowe sloganem „Zaplanuj swój pogrzeb, ty decydujesz, jak cię zapamiętają" i fotografią uśmiechniętego nieboszczyka siedzącego w trumnie z cygarem w ustach. Otaczają go roznegliżowane dziewczyny, a w tle mdleje na ten widok jakiś ksiądz. Największym w naszym kraju skandalem

reklamowym było wykorzystanie w reklamie wódki marki Żytnia zdjęcia pięciu opozycjonistów biegnących z ciężko rannym Michałem Adamowiczem po zamieszkach w Lubinie rozpędzonych przez ZOMO 31 sierpnia 1982 roku. Adamowicz zmarł wtedy w szpitalu.

Łatwiej pojąć wykorzystanie śmierci do celów promocyjnych, kiedy chodzi o reklamę społeczną. Dla fundacji Keep a Child Alive pozowali do zdjęć w trumnach celebryci upozowani na trupy. Alicia Keys, Lady Gaga, Justin Timberlake czy Usher chcieli zwrócić uwagę na to, że śmierć afrykańskiego dziecka niczym się nie różni od śmierci gwiazdy popu. Kampania przyniosła wielkie pieniądze na walkę z głodem i malarią.

Eddie, upiorna maskotka Iron Maiden, wystawa sklepowa, Genewa, Szwajcaria

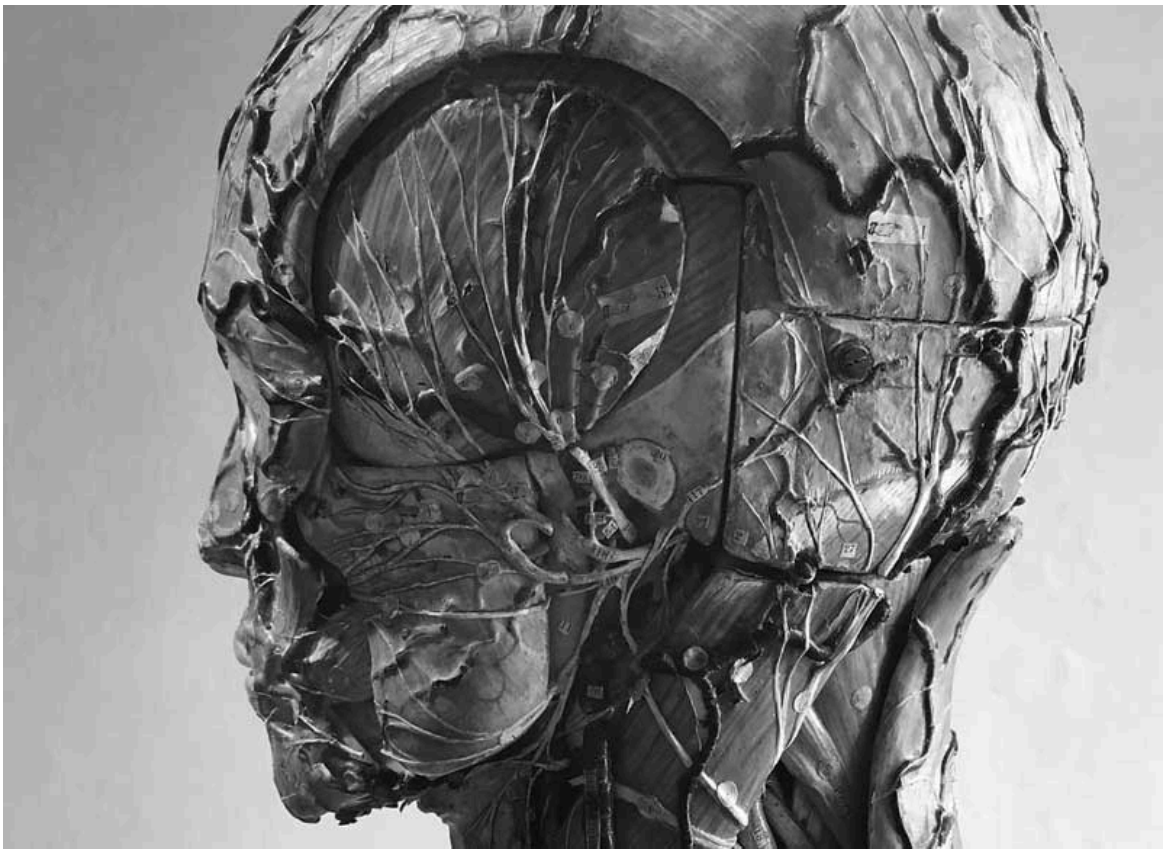

Dziewiętnastowieczny model człowieka bez skóry, Muzeum Narodowe, Praga, Czechy

Zdjęcia śmierci pojawiły się w mediach razem z wojną pokazywaną niemal na żywo przez korespondentów wojennych jeszcze w czasach II wojny światowej.

Wtedy jednak ludzie nie chcieli wierzyć w to, na co patrzą. Zdjęcia z Auschwitz wykraczały poza zdolności poznawcze czytelników gazet.

Dziś wydaje się, że zobojętnieliśmy na śmierć widzianą oczyma fotoreporterów, ale wciąż zdarzają się historie wstrząsające. W 2013 roku izraelski snajper Mor Ostrovski opublikował na swoim Instagramie zdjęcie dziecka widzianego przez wizjer lunety snajperskiego karabinu. Dziecko siedzi na jakimś murze tyłem do widza. W tle widać arabskie miasto. Krzyżak celownika skupiony jest na głowie chłopca. Wybuchł międzynarodowy skandal. Ostrovski tłumaczył się, że zdjęcie znalazł w sieci i przekleił, ale okazało się, że takich zdjęć pokazujących władzę nad życiem innych ludzi jest w sieci więcej.

Przez całe dziesięciolecia założona w 1955 roku w Amsterdamie niezależna fundacja World Press Photo zadbała o nieprawdopodobną promocję zdjęć, które wygrywają ich doroczny konkurs na Zdjęcie Roku.

Zaczęło się od ujęcia karkołomnego wypadku motocyklowego, ale z fotografii Mogensa von Havena nie da się odgadnąć, czy motocyklista mógł wyjść z tego cało. Potem zwyciężały prace na temat segregacji rasowej czy sportowe, ale w 1961 roku zwyciężyło zdjęcie Yasushi Nagao uwieczniające moment, w którym student, prawicowy ekstremista Yamaguchi wbija miecz w brzuch przemawiającego na wiecu przywódcy socjalistów Inejiro Asanumy. Zabójstwo pokazała na żywo telewizja. Yamaguchi powiesił się po kilku tygodniach w policyjnym areszcie.

Rok później zwyciężyło zdjęcie, na którym wenezuelski ksiądz przytula żołnierza sekundę wcześniej rażonego kulą snajpera. Dwa lata później wizerunek wietnamskiego mnicha Thích Quảng Đúca, który płonie żywcem w proteście przeciw polityce, jaką wobec buddystów prowadził prawicowy rząd Wietnamu Południowego. Po trzydziestu latach to zdjęcie powróciło na okładce pierwszej płyty Rage Against the Machine.

Zdjęcia śmierci zaczęły zmieniać historię świata. W 1968 roku w konkursie zwyciężył Eddie Adams fotografią zatytułowaną *Generał Nguyễn Ngọc Loan rozstrzeliwuje jeńca Vietcongu w Sajgonie*. Świat przegapił wiadomość, że generał wykonuje wyrok śmierci na schwytanym dopiero co na gorącym uczynku mordercy kilkudziesięciu kobiet i dzieci. Świat uznał demokratycznie wybrany rząd Wietnamu Południowego za niegodzien wsparcia. To był początek protestów przeciw obecności USA na tej wojnie. Świat oddał Wietnam komunistom. Ilu ludzi zginęło, kiedy padł Sajgon, nie wiadomo do dzisiaj.

Zdjęcia ze śmiercią zmieniały też życie fotografów. W 1993 roku utytułowany już południowoafrykański fotoreporter Kevin Carter

pojechał do Sudanu, aby fotografować ofiary klęski głodu. W buszu natknął się na dziewczynkę czołgającą się w kierunku punktu wydawania wody. Za jej plecami siedział sęp. Carter usiadł i czekał w bezruchu, żeby nie spłoszyć ptaka, na moment, w którym sęp rozłoży skrzydła. Rozpiętość skrzydeł tego ptaka to przeszło dwa metry. Fotograf czekał ponad pół godziny, ale się nie doczekał. Mimo to zdjęcie jest wstrząsające. Kiedy trafiło na okładkę „New York Timesa", wywołało światową reakcję. Na pomoc Sudanowi ruszyły organizacje i rządy z całego świata. Ale otworzyło to też dyskusję nad rolą reportera. Czy powinien był uratować dziecko, czy pozostać biernym świadkiem? Czy dziewczynka przeżyła, Carter nie wiedział. Kiedy zrobił zdjęcie, po prostu wstał i poszedł w busz, płacząc. Dostał za to zdjęcie Nagrodę Pulitzera, ale rok później popełnił samobójstwo, wdychając spaliny swego samochodu. Napisał: „Jestem załamany. Bez telefonu, bez pieniędzy na czynsz i na alimenty. Prześladują mnie żywe obrazy zabitych i cierpiących, widok ciał, egzekucji, rannych dzieci. Odszedłem i jeśli będę miał szczęście, dołączę do Kena". Ken Oosterbroek, przyjaciel, fotoreporter zginął kilka dni wcześniej, robiąc kolejne wojenne zdjęcia.

Oczywiście nie tylko zdjęcia wojenne władają zbiorową wyobraźnią: im bardziej odsuwaliśmy od siebie myśl o własnej śmiertelności, tym bardziej fascynowała nas śmierć w teatrze (już ponad 400 lat temu pan Szekspir doskonale rozumiał ten mechanizm, gdy kazał Lady Makbet zmywać widzialną i niewidzialną krew z własnych rąk), na ekranach kin czy telewizorów. Zdziwicie się, widząc, ile istnieje rankingów „najlepszych scen śmierci w serialach". Prym wiodą zazwyczaj *Żywe trupy* (*The Walking Dead*), *Breaking Bad*, *Rodzina Soprano* i *Gra o tron*. Ale pojawia się i *South Park*. Nikt nie umierał na ekranie tak często i spektakularnie jak rysunkowy Kenny McCormick.

W rankingach na najsmutniejsze sceny śmierci w historii kina pojawiają się śmierć Julii w *Romeo i Julia* Baza Luhrmanna, śmierć Johna na krześle elektrycznym w *Zielonej mili*, śmierć Jenny w *Forreście Gumpie*,

Jacka w *Titanicu* czy z nieco bardziej odległych czasów – śmierci mamy disneyowskiego jelonka *Bambi.*

I tak dotarliśmy do miejsca, w którym wszystkiego jest w bród. Nie do wytrzymania. Do internetu.

Tu jest prawdziwe królestwo śmierci. Kto umiera w realnym świecie, w internetowym zdobywa pewien rodzaj wieczności. Forbes publikuje coroczne rankingi najbogatszych nieboszczyków albo też nieżyjących gwiazd, które sprzedały najwięcej płyt w kolejnym sezonie. Obecnie na czele tych zestawień pojawiają się Marylin Monroe, Bob Marley, Prince, John Lennon, Elvis, Freddie Mercury, Amy Winehouse i Whitney Houston.

Po śmierci Whitney Houston liczba jej fanów na Facebooku z 1,2 mln w ciągu dziesięciu dni wzrosła do 2,1 mln.

W 2016 roku opublikowano dane, z których wynikało, że w ciągu każdej godziny umiera 428 użytkowników Facebooka. Jeśli nikt nie zadba o ich wirtualną śmierć, znajomym wciąż będą się wyświetlać przypomnienia o urodzinach, zdjęcia czy jakieś wspólne sprawy przeżywane tego dnia w poszczególnych latach w przeszłości.

Statystyki wskazują, że pokolenie 60+ pozostawia w sieci ślad nieco ponad 10% swojej życiowej aktywności, ale internetowy ślad nastolatków sięga 85%. Jedynie 15% ich życia należy do sfery ściśle prywatnej.

Badacz obrazu śmierci w popkulturze Grzegorz Kazberuk dzieli internetowe witryny poświęcone śmierci na cztery grupy: serwisy korporacyjne dla ludzi związanych z biznesem funeralnym, strony ze złotymi myślami nawiązującymi do rzeczy ostatecznych lub przypominające o rocznicach śmierci celebrytów i znanych ludzi, hobbystyczne blogi poświęcone śmierci oraz witryny dla fetyszystów zawierające szczególnie drastyczne i okrutne sceny śmierci i umierania.

Zniszczone przez wojnę zdjęcie nagrobne, Stepanakert, Górski Karabach

Dużą popularnością cieszy się portal darwinawards.com, nagradzający rokrocznie najgłupszą śmierć, jaka przydarzyła się komuś z gatunku *Homo sapiens* w uznaniu jego wkładu w przetrwanie naszego gatunku poprzez eliminację swoich genów z puli genów ludzkości. O Nagrodach Darwina powstaje sporo książek i publikacji, a nawet hollywoodzki film z Winoną Ryder.

Tegorocznym zwycięzcą jest świętej pamięci Michael Sexson, który przeczytał książkę Forresta Fenna o 2 mln dolarów ukrytych w Górach Skalistych i podobnie jak 350 tys. innych osób ruszył na poszukiwanie, próbując ustalić miejsce ukrycia skarbu poprzez rozszyfrowanie 9-wersowego wiersza. W lutym ocalili go w ostatniej chwili górscy ratownicy, ale kiedy wyleczył się z wycieńczenia i odmrożeń – w marcu spróbował znowu, choć wejście do parku narodowego było ograniczone z powodu epidemii COVID-19. Tym razem ratownicy nie zdołali go

ocalić. Znaleźli go w tym samym miejscu co przed miesiącem, więc pewnie znowu źle odczytał wskazówki zawarte w wierszu. FBI skłoniło autora książki, żeby publicznie wyznał, iż to mistyfikacja i żart.

Jedną z najważniejszych zdobyczy greckiej, czy w ogóle antycznej, cywilizacji było przekucie lęku przed śmiercią w nadzieję, szansę, dzięki której każdy człowiek może tak przeżyć swój ziemski czas, aby uczynić z indywidualnego losu opowieść. Życie przemija, ale opowieść pozostaje. Horacy zamknął tę receptę w krótkim *carpe diem*, rozumianym przecież nie jako wezwanie do tego, żeby cały tydzień pracować w korporacji, oczekując aż nadejdzie piątek, piąteczek, piątunio i będzie się można upić do nieprzytomności (w czasach epidemii tylko wirtualnie), ale żeby żyć pełnią swojego człowieczeństwa, być bohaterem własnej historii, a nie jedynie świadkiem celebryckich opowieści rodem z plotkarskich pism i portali.

Celebrytami jego czasów byli Herkules, Mars, Jowisz i Wenus. Niektórzy nieśmiertelni z urodzenia, ale inni, zupełnie jak w naszych czasach, na swoją wieczystą opowieść musieli sobie najpierw zapracować.

W epoce internetu i mediów społecznościowych właśnie tam przenosi się nasza życiowa aktywność. Ze stabilnego świata naszych pradziadków, żyjących w czasie odmierzanym wydarzeniami o wydźwięku sakralnym splecionym nierozerwalnie z następstwem zjawisk przyrody (Boże Narodzenie–Wielki Post–Wielkanoc–Zielone Świątki–Adwent–Boże Narodzenie), w którym wszystko miało swoje ustalone miejsce, dokładnie tak jak w ludzkim życiu (narodziny–chrzest–komunia–ślub–ostatnie namaszczenie), przeskoczyliśmy do czasu historycznego odmierzanego dzięki prasie, telewizji i Twitterowi coraz szybciej następującymi po sobie wydarzeniami, w których uczestniczyć musimy nieustannie, bo wciąż mają miejsce zdarzenia o fundamentalnym znaczeniu dla świata.

W takim świecie nie ma po prostu czasu, by umierać. To niestosowne. Nieadekwatne. Zresztą nasze życia w wirtualnej chmurze

będą przecież trwać wiecznie (albo do czasu, aż wyczerpiemy zasoby energii lub jakaś fundamentalistyczna grupa wyłączy internet), możemy wciąż przeglądać wydarzenia z życia osób, które już nie żyją, możemy do nich pisać.

W internecie nie mogłoby też zabraknąć wirtualnych cmentarzy. I chodzi nie o wirtualne strony prawdziwych nekropolii, na których można przy pomocy wyszukiwarki zlokalizować mogiłę kogoś bliskiego lub – częściej – jakiegoś celebryty, ale o cmentarze, na których można swoim bliskim, albo i sobie, wykupić wirtualne miejsce, przy którym inni ludzie (za opłatą) będą mogli palić wirtualne znicze, wpisywać komentarze, zamieszczać filmiki.

Swoje portale mają rodzice nienarodzonych dzieci albo dzieci, które zmarły wkrótce po porodzie. Popularność zdobywają sobie blogi ludzi chorych na nieuleczalne choroby albo takich, którzy przeżyli śmierć kliniczną, mieli doświadczenie spoglądania z zewnątrz na siebie i lekarzy ratujących im życie, widzieli świetlisty tunel, a potem powrócili, żeby przeżyć swoje drugie, nowe, inne życie.

Popularne, nawet w polskim internecie, są wirtualne cmentarze zwierząt.

Ten funeralny trend poszedł dalej.

Niektóre witryny pozwalają wręcz na to, żeby swoim bliskim, albo swoim wrogom, wysyłać po śmierci wiadomości lub mejle. Oczywiście trzeba je napisać samemu przed śmiercią w realnym świecie lub opłacić kogoś, kto wykona za nas tę robotę.

Życie po śmierci nie musi już toczyć się w zaświatach, niebiosach, czyśćcach, czy Walhallach. Naszą wieczność, tak jak nasze życie doczesne, lokujemy teraz w wirtualnej chmurze.

Zostaną po nas na zawsze zdjęcia kotów, dzieci, drinków z palemką, wczasów w ciepłych krajach, pierścionków zaręczynowych, ślubów, rozwodów i miliony selfie, czasami z kimś, kogo kochamy, innym razem z jakimś słynnym celebrytą, albo na tle Tadż Mahal. A jeśli mieliśmy konto na Tinderze, czy innej Sympatii, jakieś nieprzyzwoite

fotografie z wciągniętym brzuchem i zmarszczkami po kuracji fotoszopowej. A na końcu Facebooka zdjęcia z naszych osobistych pogrzebów.

I ostatnie słowa, jeśli oczywiście będziemy mieli coś do powiedzenia. Ostatnie słowa to ciekawa kategoria.

– Klaszczcie – mówi Beethoven – komedia skończona.

A Agnieszka Osiecka zwyczajnie, po polsku:

– Do dupy.

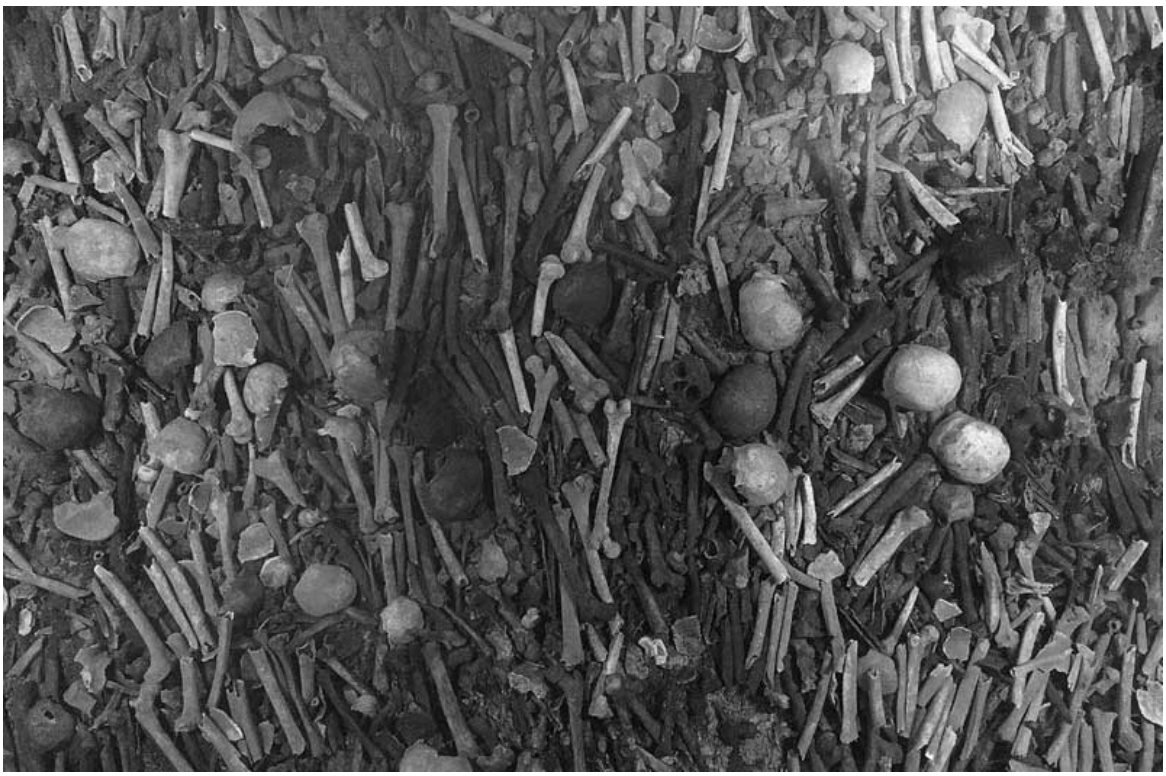

Setki tysięcy ludzkich kości w ossuarium Igreja de São Francisco, Porto, Portugalia

Obraz śmierci we współczesnym, zglobalizowanym świecie to temat na kolejną książkę. Niewyczerpany. Podobnie jak nie da się napisać wyczerpującej opowieści o tym, jak wyobrażają sobie śmierć przeróżne kultury powstałe na naszej planecie w toku dziejów jedynego gatunku istot zdolnych do snucia rozważań na tak wyabstrahowany i oderwany od doczesności temat, jakim jest życie w zaświatach. Albo pośmiertne

istnienie w postaci strzępka kwantowej energii w myśl zasady, że w przyrodzie nic nie ginie, lecz tylko zmienia stan istnienia.

Żeby ta książka mogła powstać, musiałem przeczytać tysiące stron w książkach, których bibliograficzne zestawienie liczyłoby pewnie kolejne dwieście stron. Na szczęście nie jest to publikacja naukowa i można podać tylko wybraną bibliografię.

Ze wszystkich opowieści o śmierci na zakończenie pozostawiłem tę o ptaku śmierci. Usłyszałem ją na Bali, w samym sercu Indonezji, jednego z największych muzułmańskich państw naszej planety. Ale to hinduska opowieść, bo Bali zamieszkują wyznawcy hinduizmu.

Pewien szpak szukał najlepszego miejsca na gniazdo. Próbował zamieszkać w lesie, ale w lesie był cień, a ptak chciał każdego ranka pierwszy widzieć słońce. Zamieszkał na wierzchołku góry. Widział słońce, lecz kiedy na nie patrzył, tak bardzo go oślepiało, że nie widział całej reszty stworzenia. Zamieszkał nad morzem, ale słońce odbijało się w załamaniach fal i zamiast jednego widział tysiąc słońc.

– A przecież chcę widzieć tylko jedno, prawdziwe – pożalił się kiedyś, a jego śpiew był tak piękny, że Bóg zatrzymał się, aby go posłuchać.

– To ja jestem prawdą – powiedział Wisznu, kiedy ptak wyśpiewał swoją pieśń – a ty, skoro chcesz być blisko prawdy, będziesz odtąd budował gniazda w moich świątyniach. Kiedy zaś ktoś będzie umierał, twój śpiew powie mi o tym, żebym wiedział. Twoja skóra będzie odtąd niebieska jak niebo, a twoje pióra będą białe jak przebaczenie.

Zwierzęta giną. Przyjaciele umierają i ty też musisz umrzeć – mówi staroislandzka, spisana w średniowieczu księga Hávamál – ale istnieje coś, co nigdy nie umiera. Opowieść o tym, który żył.

Lubię to zdanie, bo utwierdza mnie w przekonaniu, że warto poświęcić czas na spisanie opowieści.

Wybrana bibliografia

Aboriginal-art-australia.com

Ariès Philippe, *Rozważania o historii śmierci*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2007.

Barwik Mirosław, *Księga wychodzenia za dnia. Tajemnice egipskiej Księgi Umarłych*, PIW, Warszawa 2009.

Baudrillard Jean, *Wymiana symboliczna i śmierć*, Sic! Warszawa 2007.

Berko Anat, *Droga do raju. Świat wewnętrzny zamachowców samobójców*, Replika, Poznań, 2010.

Biblia Tysiąclecia, Pallotinum, Poznań 2014.

Boas Franz, *The Origin of Death. The Journal of American Folklore*, No 118 [PDF].

Britannica.com

Brückner Aleksander, *Dzieje kultury polskiej*, Volumina.pl, Warszawa 2015.

Cartwright Mark, *Aztec Sacrifice*, World History Encyclopedia, 2018 [PDF].

Cichowicz Stanisław, Godzimirski Jakub, *Antropologia śmierci. Myśl francuska*, PWN, Warszawa 1993.

Cmentarze-zydowskie.pl

Constatine Nathan, *Historia kanibalizmu*, Bellona, Warszawa. 2007.

Damásio António, *Dziwny porządek rzeczy. Życie, uczucia i tworzenie kultury*, Rebis. Warszawa 2018.

Dolińska Monika, *Falsyfikaty nie całkiem prawdziwe, mumie nie całkiem fałszywe*, „Światowit", rocznik poświęcony archeologii, 2000, nr 2 (43), str. 29–35.

Durkheim Émile, *Elementarne formy życia religijnego. System totemiczny w Australii*, PWN, Warszawa 1990.

Encyclopedia of death and dying [online]. Dostępna w internecie: http://www.deathreference.com.

Encyclopedia of New Zealand [online]. Dostępna w internecie: Teara.govt.nz.

Encyclopedia Mythica [online]. Dostępna w internecie: Pantheon.org.

Eräsaari Matti A., *The Good Death? Paying Equal Respects in Fijian Funerals*, ANU Press, Canberra, 2018 [PDF].

Erdoes Richard, Ortis Alfonso, *American Indian Myths and legends*, Pantheon Books, New York 1984 [PDF].

Firth Shirley, *Death, Dying and Bereavement in a British Hindu Community*, ProQuest, Ann Arbor 2017 [PDF].

Frankowska Maria, *Mitologia Azteków*, WAiF, Warszawa 1987.

Guampedia.com

Hind Rebecca, *Twarze Boga*, Arkady, Warszawa 2005.

Jabłoński Szymon, *Koncepcja śmierci, procesu umierania oraz wierzenia i rytuały związane ze śmiercią w buddyzmie tybetańskim*, Instytut Etnologii UWr, Wrocław 2003.

Janion Maria, *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.

Jesuitonlinebibliography.bc.edu

Jewishvirtuallibrary.org

Jindra Michael, Noret Joël, *Funeral in Africa*, 2011 [PDF dostępny w internecie:www.researchgate.net"].

Kiste Robert C., *Anthropology of Marschall Islands*. Dostępny w internecie: https://www.atomicatolls.org".

Kapleau Philip, *Koło życia i śmierci. Wybór tekstów pochodzących z buddyzmu zen i innych źródeł na temat śmierci, odradzania się i umierania*, Pusty Obłok, Warszawa 1986.

Kandzia-Poździał Agnieszka, *Aborygeni australijscy – zatraceni w cywilizacji*, „Athenaeum. Polskie Studia Politologiczne" 2015, Vol. 46 [PDF].

Kapla Grzegorz, *Duchy we śnie, duchy na jawie*, Bernardinum, Pelplin 2019.

Kerkhove Ray, *Dark Religion? Aztec Perspectives on Human Sacrifice*, Griffith University, Brisbane 2008 [PDF].

Koran. Tłumaczenie znaczenia Świętego Koranu według Józefa Bielawskiego [online]. Dostępny w internecie: planetaislam.com.

Kowalczyk Mariusz, *Cment@rz w internecie*, „Wprost", 2002, nr 6.

Kramer Kenneth P., *Śmierć w różnych religiach świata*, WAM, Kraków 2007.

Kubiak Anna E., *Inne śmierci. Antropologia umierania i żałoby w późnej nowoczesności*, Universitas, Kraków 2014.

Kultura śmierci, kultura umierania, pod red. Andrzeja Guzowskiego i in., Uniwersytet Medyczny w Białymstoku, Białystok 2016.

Lipińska Jadwiga, Marciniak Marek, *Mitologia starożytnego Egiptu*, Auriga, Warszawa 2006.

Macleod Scott, *The Life and Death of Kevin Carter*, „Time", 2001, 24 czerwca.

Marciniak Maciej, *Śmierć, duch i pogrzeb u Aborygenów australijskich*. Dostępny w internecie: archeolog.pl.

Nowicka-Struska Anna, Elementy teatralne, gest i komunikacja niewerbalna w siedemnastowiecznych kazaniach pogrzebowych, „Annales Universitatis Mariae Curie Skłodowska"2006, Vol. XXIV [PDF].

Niwiński Andrzej, *Bóstwa, kulty i rytuały starożytnego Egiptu*, Świat Książki, Warszawa 2004.

Okamoto Laureen i in., *Evolving Palliative Care Practices among Marshall Islanders in Hawai'i: Generational Comparisons*, „The Hawai'i Journal of Health & Social Welfare" 2020, czerwiec, s. 82–88 [PDF].

Orbik Zbigniew, *Problematyka śmierci w filozofii starożytnej*, „Zeszyty Naukowe Politechniki Śląskiej", Gliwice 2013, nr kol. 1897 [PDF].

Parkes Collin M. i in., *Przemijanie w kulturach. Obyczaje żałobne, pocieszenie i wsparcie*, Astrum, Wrocław 2001.

Piłaszewicz Stanisław, *Afrykańska Księga Rodzaju: Mity i legendy ludów Afryki Zachodniej*, Iskry, Warszawa 1978.

Proszyk Jacek, *Obrządek pogrzebowy w tradycji żydowskiej. Pochówki zwłok, świętych ksiąg i przedmiotów kultu religijnego*, 2011. Dostępny w internecie: poznan.jewish.org.pl.

Rzewuski Eugeniusz, *Azania zamani : Mity, legendy i tradycje ludów Afryki Wschodniej*, Iskry, Warszawa 1978.

Seiuli Byron A., *Ua tafea le tau'ofe : Samoan cultural rituals through death and bereavement experiences*, University of Waikato, Hamilton 2015 [PDF].

Sikorski Dariusz Andrzej, *Religie dawnych Słowian*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2018.

Słownik mitologii hinduskiej, Wydawnictwo Dialog, Warszawa 1996.

Strategie śmierci – formy umierania. Świadectwo literackie i kulturoznawcze, pod red. Wojciecha Burszty, Volumen, Warszawa 2004.

Sullivan Tim, *On India's back roads, sati revered*, „Los Angeles Times", 2006, 10 grudnia [online].

Szczerba Wojciech, *Śmierć i nie-śmiertelność w mitologii greckiej. Podstawy filozoficznej koncepcji apokatastazy duszy*, „Theologica Wratislaviensia" 2008, t. 3.

Topp Izolda, *W poszukiwaniu sensu śmierci. O współczesnych zaświatach*, „Zeszyty Naukowe Centrum Badań Edyty Stein" 2012, nr 9 [PDF].

Tybetańska Księga Umarłych, Wydawnictwo A, Kraków 2005.

Ulmer Andrzej, *Cywilizacja Majów*, Wydawnictwo Napoleon V, Warszawa 2016.

Vovelle Michel, *Śmierć w cywilizacji Zachodu od roku 1300 po współczesność*, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008.

Vries Simon Philip de, *Obrzędy i Symbole Żydów*, Polskie Towarzystwo Teologiczne, Kraków 1999.

Williamson Robert W., *Religious and Cosmic Beliefs of Central Polynesia,* At the University Press, Cambridge 1933 [PDF].

Wilkinson Philip, *Religie,* Hechette Polska, Warszawa 2009.

Yahya Harun, *Muzułmański punkt widzenia*, tłum. Adam ibn Bolandi, Warsaw Islamic Centre Library, Warszawa 2000.

Zohar, z komentarzem „Sulam", pod red. M. Laitmana [PDF].Dostępny w internecine: kabbalah.info.